



WOJTEK
MIŁOSZEWSKI

KONTRA

INWAZJA ★ FARBA

OSTATNI TOM TRYLOGII

Wojtek Miłoszewski

KONTRA



Copyright © by Wojtek Miłoszewski, MMXIX

Wydanie I

Warszawa MMXIX

Redaktor inicjujący: Filip Modrzejewski

Redaktorka prowadząca: Ida Świerkocka

Redakcja: Michał Koźbiel

Korekta: Małgorzata Denys

Adiustacja techniczna: Laura Kusiak

Projekt okładki: Bogdan Kuc

Fotografie wykorzystane na okładce: © Picked / Shutterstock Paulo M. F. Pires /
Shutterstock • Alexander Tolstykh / Shutterstock Anetlanda / Shutterstock • aapsky /
Shutterstock

Projekt typograficzny i łamanie: Typo – Marek Ugorowski

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48

tel. 22 826 08 82, 22 8282519

biuro@gwfoksal.pl

gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-7009-7

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo

Spis treści

[Strona tytułowa](#)
[Karta redakcyjna](#)
[Dedykacja](#)
[Motto](#)
[Rozdział I](#)
[Rozdział II](#)
[Rozdział III](#)
[Rozdział IV](#)
[Rozdział V](#)
[Rozdział VI](#)
[Epilog](#)
[Od autora](#)
[Przypisy](#)

Dla moich synów

Historia pełna jest wojen, o których każdy wiedział, że nie wybuchną.

John Enoch Powell

Rozdział I

1.

Strach. Każdy człowiek nienawidzi tego uczucia. Bez niego trudno byłoby jednak przetrwać miliony lat ewolucji. To przerażenie nakazywało pierwotnemu człowiekowi nocną porą wdrapywać się na drzewo. Wtedy, kiedy był niemal bezbronny wobec dzikich zwierząt, przewyższających jego skromny gatunek rozstawem szczęk oraz siłą mięśni. Car Władimir I słuchał nagrania dostarczonego przez służby specjalne i dziwił się, że mówiący zignorował instynkt samozachowawczy. Zszedł z drzewa i podążył w ciemność, na spotkanie z największym drapieżnikiem w okolicy. Z samym Władimirem Władimirowiczem Putinem.

Oczywiście nawet władca Rosji się bał. Mieszane wieści z frontu sprawiały, że czuł nieprawdopodobne wręcz napięcie. Wykładowcy z KGB zawsze twierdzili, że wygrywa nie ten, który się nie boi, ale ten, kto panuje nad strachem. Władimir I miał jednak na to jeszcze inną receptę. Uważał, że prawdziwym zwycięzcą jest ten, kto strach wywołuje. Rozejrzał się po surowym wnętrzu bunkra mieszczącego się kilka kondygnacji pod Kremlem. Czy stary dobry Iosif Wissarionowicz Dżugaszwili również tu bywał? Całkiem możliwe. To właśnie Stalinowi przypisywano słowa: „Wolę, gdy ludzie popierają mnie ze strachu niż z przekonania. Przekonania są zmienne, strach zawsze jest ten sam”. Współczesny władca Rosji nie mógł się nie zgodzić ze swoim słynnym poprzednikiem.

Ale w takim razie dlaczego? Putin zmarszczył brwi, skupiając zmęczony wzrok na głośnikach, z których płynęły słowa próbującego przekonać wojskowych dowódców, że wywołana wojna to czyste szaleństwo i że doprowadzi naród rosyjski do zguby. Czyżby strach był jednak zbyt słaby?

Tak, to chyba dlatego. Musiał więc wzmóc terror tak, aby na samą myśl o swoim carze ludzie bledli ze strachu. Uśmiechnął się złowieszczo. Głos rozlegający się w pomieszczeniu należał do szefa sztabu rosyjskiej armii. Świetnego i doświadczonego generała, Wasyla Aleksandrowicza Sorokina. Kiedy ucichł, Władisław Surkow, prawa ręka rosyjskiego władcy, wyłączył nagranie, a ten spytał cichym głosem:

– Czy ktoś zgłosił sprawę?

– Merinow. I to jeszcze zanim nasze służby przeanalizowały materiał.

– Jego w takim razie oszczędzić.

– Zostawić w czynnej służbie?

– Gdzie! Wyślijcie go na daleki wschód, pozbawcie dystynkcji i niech tam do śmierci wiedzie zasrany żywot biedaka. Reszta do wora. – Władimir Putin uświadomił sobie, że dawno nie używał tego zwrotu. Ostatnio chyba jeszcze w czasach urzędowania w petersburskim merostwie.

– A Sorokin? – spytał Surkow.

– Chcę przy tym być.

Nad centrum Moskwy rozpadało się na dobre. Do kuchni Sofii Michajłownej gwałtownym podmuchem wdarło się chłodniejsze powietrze. Zamknęła okno i włączyła światło.

– Mama, zrobisz naleśniki?

Odwróciła się i uśmiechnęła do sześciolatniego Maksa. Miał na sobie żółtą koszulkę z Yodą z Gwiezdnych Wojen.

– W porządku, Maksik. – W domu wszyscy tak się zwracali do malca. – A pomożesz mi?

– Jasne! – Roześmiał się.

Sonia szybko wyjęła z lodówki jajka i mleko, a Maksik otworzył jedną z szafek, bezbłędnie odnajdując mąkę. Potem przysunął sobie niewielki plastikowy stopień, na który się wdrapał, dzięki czemu zyskał lepszy dostęp do stołu. Będzie szefem kuchni, na pewno, pomyślała Sonia. Od zawsze z taką chęcią przygotowuje ze mną posiłki i w ogóle nie boi się nowych smaków. Jej mąż przez całe życie nie tknął owoców morza, a Maksik

uwielbiał krewetki. Gdy byli we Francji, nie wystraszył się ostryg ani langusty, tylko zjadał je ze smakiem.

– Pamiętasz składniki ciasta? – spytała.

– Pewnie. Mleko, mąka, jajka, trochę soli i oleju. No i woda gazowana, żeby były takie fajne dziurki! – Buzia chłopca wyraźnie wyjaśniała. – Tylko musisz mi przypomnieć, ile czego dać, bo to trochę zapomniałem.

– Dobrze. Zaraz mi pomożesz. Biegnij tylko spytać Wierę, czy też zje.

Maksik kiwnął głową i wybiegł z kuchni. Jego starsza o cztery lata siostra miała pokój na początku holu. Chłopiec zmierzał w tamtym kierunku, gdy drzwi wejściowe eksplodowały drzazgami i rzucone jakąś potężną siłą, z łoskotem przesunęły się po drewnianym parkiecie. Maks stanął jak wryty, ale dębowe elementy podcięły mu nogi. Potłukł się przy tym i krzyknął z bólu.

Sofia Michajłowna wypadła przerażona z kuchni. Najpierw dostrzegła leżące dziecko, potem wchodzących do środka ludzi w czarno-białych mundurach. Na twarzach mieli kominiarki. Chciała krzyknąć, wzywając pomocy, ale głos uwiązł jej w gardle. Pierwszy z napastników chwycił ją dłonią w skórzanej rękawiczce za szyję, a drugą podniósł Maksika za koszulkę niczym szczenię za skórę na karku.

– Won, suko pierdolona! Ale już! – wysapał i powłókł oboje do wyjścia.

W salonie generał Wasyl Sorokin odrzucił gazetę i zerwał się z fotela, żeby wybiec na korytarz, ale zamarł w pół kroku. Do środka wszedł car Władimir I z obstawą. Po chwili w salonie znalazło się jeszcze ośmiu generałów w galowych mundurach.

– Cześć, Wasyl – mruknął Putin. – Nie gniewasz się, że wpadliśmy bez zapowiedzi?

Pomieszczenie wypełniło się ludźmi w mundurach. W dużym pośpiechu i fachowo opróżniali pokój z mebli. W całym mieszkaniu huczało od wizgu wiertarek i wkrętarek rozmontowujących dekoracje. Z klatki schodowej dobiegał opętańczy, przerażający wrzask Sofii Michajłownej.

Bardzo dobrze, skwitował w myślach Władimir I. Takie było polecenie. Wszyscy mają wiedzieć. Ta pokazowa degradacja miała być na ustach całego

Arbatu, całej Moskwy, całej Rosji wreszcie. Mieli o tym mówić długo. I przede wszystkim nigdy nie zapomnieć. Tak kończą zdrajcy.

– Jestem odpowiedzialny za Rosjan – powiedział bardzo cicho Sorokin. – Sto pięćdziesiąt milionów. Zginą przez tę twoją zasraną wojnę!

– Nie wszyscy. – Putin wzruszył ramionami. – Przestań histeryzować.

W korytarzu mignęła twarz przerażonej Wiery, niesionej przez jednego z żołnierzy. Dziewczynka, widząc ojca, krzyknęła rozpaczliwie:

– Papa! Pomóż!

Sorokin ruszył gwałtownie do drzwi, ale dwóch mężczyzn z obstawy cara powaliło go na ziemię, wykręcając ręce. Rozległ się suchy trzask kości, generał zawył z bólu, a stojących w półkolu wojskowych przeszedł lekki dreszcz. Byli nowymi oficerami sztabu, mieli zastąpić tych, którzy stracili już zaufanie władcy Rosji i właśnie kończyli kariery w bezimiennych mogiłach – swoistym znaku rozpoznawczym najnowszej rosyjskiej historii.

W kącie stał niewysoki, chudy i łysiejący mężczyzna o żywym, inteligentnym spojrzeniu. Generał Igor Nikołajewicz Petrow, nowy szef sztabu rosyjskiej armii. Był doświadczonym dowódcą i nieraz dał się poznać od najlepszej strony, zwłaszcza podczas ostatnich wojen w Syrii i na Ukrainie. Ale nie miał wątpliwości, dlaczego to właśnie jemu car powierzył tak odpowiedzialne stanowisko. Od zawsze szczerze nie cierpiał generała Sorokina. Co nie znaczyło, że mu teraz nie współczuł. I sam się nie bał. Jak rozumiał, taki efekt chciał osiągnąć Władimir Putin. Udało mu się znakomicie.

Człowiek z obstawy chciał zarzucić leżącemu na głowę czarny foliowy worek, car Władimir I jednak mu go odebrał. Potem klęknął i splunął Sorokinowi w twarz.

– Będziesz się smażył w piekle – wychrypiął tamten.

– Bardzo możliwe. – Władimir Putin uśmiechnął się zimno. – Ale ty najpierw.

Sam wciągnął mu worek na głowę, a potem skręcił mocno brzegi, pozbawiając go powietrza. Nie lubił tego robić, ale wiedział, że teraz musi. Z satysfakcją patrzył na przerażone twarze stojących wokół generałów. Sorokin zaczął wierzgać i młócić nogami dywan, który po kilku sekundach

został spod niego wyszarpnięty, zrolowany i wyniesiony przez ekipę czyszcicieli. Dźwięki łamania i rozkręcania mebli rozbrzmiewały coraz rzadziej. W salonie zostały tylko kaloryfery, łomotanie butów Sorokina po parkiecie odbijało się od gołych ścian złowieszczym echem.

W końcu generał przestał się ruszać. Władimir Putin odczekał jeszcze pełne dwie minuty dla pewności i puścił worek, a dwóch ludzi z obstawy wywlekło trupa z salonu. Car podszedł do stojącego w kącie Petrowa. Mam nadzieję, że ten jest z innej gliny, pomyślał. Zmierzył go poważnym spojrzeniem i powiedział:

– Generale, liczę na pana.

– Tak jest! – Petrow wyprężył się na baczność i regulaminowo zasalutował. – Ku chwale ojczyzny!

Władimir Putin skinął głową i wyszedł ze swoją obstawą. Generał Petrow zdążył jeszcze zauważyć, jak mężczyźni w czarno-białych mundurach wnoszą dziecięce łóżeczko. Wiedział, że należało do maleńkiego Wadima, urodzonego niespełna sześć miesięcy temu. Wiedział też, że Wadim nie skończy nawet roku. Przekaz był jasny. Nie ma litości dla zdrajców ojczyzny i ich rodzin.

Car Władimir I wyszedł na ulicę i gwałtownym gestem odtrącił otwierające się nad nim parasole. Chciał, żeby na niego padało. Rozejrzał się po Arbacie. O tej porze ulicą powinny przelewać się tłumy, ale oprócz jego obstawy i żołnierzy ładujących meble na odkrytą ciężarówkę nie było nikogo. Migające w oddali światła policyjnych kogutów potwierdzały, że cały kwartał został odcięty na czas wizyty monarchy.

Szybko cały przemókł. Ale żaden z ochroniarzy nie zdecydował się na ponowne otwarcie parasola. Dobrze znali swego szefa. Ten myślał intensywnie o zbliżającej się awanturze. Tylu ludzi, tyle narodów i organizacji, a wszystkie próbują połączyć siły, aby przeciwstawić się właśnie jemu. Był w centrum wydarzeń. Był teraz bez wątplenia jedną z najważniejszych – jeśli nie najważniejszą – osobą na świecie. Czy był z siebie dumny? Zdecydowanie tak.

Ruszył do samochodu, a któryś z jego ludzi natychmiast otworzył tylne drzwi. Wsiadając do środka, car Władimir I rzucił jeszcze okiem na odjeżdżającą ciężarówkę, wypełnioną meblami z mieszkania Sorokina. Na jednym z krzeseł wisiała przemoczona żółta koszulka z Yodą.

2.

Nie modlił się. Nie uważał nad swoim losem. Zdegradowany do szeregowego Roman Gurski kierował się wieloma zasadami, ale ta była z nich chyba najważniejsza. Nie cierpiał bezproduktywnych zajęć, a do tych właśnie zaliczał mazgajstwo. Postanowił, że będzie walczył do samego końca. Był przekonany o tym, że generał Sawicki będzie chciał wykonać wyrok jak najszybciej.

Żywcem mnie nie wezmą, powtórzył w myślach po raz setny. Siedział na brzegu niewielkiej pryczy w kącie ciasnego pomieszczenia, a wszystkie mięśnie miał napięte do granic możliwości. Gotów zerwać się na nogi i zaatakować wchodzących, gdy tylko przekroczą próg. Nieopodal, na podłodze, stała taca z pozostałościami po kolacji. W poplamionej plastikowej zastawie brakowało łyżki. Tę Roman pieczołowicie spiłował na żelaznym rancie pryczy w taki sposób, żeby uzyskać niewielkie, ale bardzo mocne ostrze. Trzymał teraz tę prymitywną broń w zaciśniętej dłoni.

Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że nie zdoła uciec. Ale przynajmniej załatwi dwóch, a może i trzech skurwieli z FARBY. Snując takie niecne plany, poczuł nagle, że dzieje się coś dziwnego. Żołądek zrobił mu się niepokojąco lekki, a po chwili to wrażenie słabości rozlało się po całym ciele. Kompletnie bezwładny, zaczął powoli przechylać się na bok, by w końcu runąć w kierunku ziemi. Przytomność stracił milisekundę przed zetknięciem twarzy z posadzką.

Gdy tylko zaczął odzyskiwać świadomość, poczuł chłód podłogi rozchodzący się po czole. Nie rozumiał tylko, dlaczego chybotąła się ona na boki i odbijała jego głowę niczym piłkę. Po chwili udało mu się otworzyć

oczy i – gdy uzyskał już odpowiednią ostrość widzenia – stwierdził, że jego czoło opiera się jednak o samochodową szybę. Rozejrzał się po wnętrzu. Wojskowa terenówka jechała leśną drogą, podwozie ciężko pracowało na nierównej nawierzchni. Siedzący obok mężczyzna z berylem między kolanami rzucił od niechcienia:

– Panie generale.

Wtedy pasażer z przedniego fotela się odwrócił i Roman rozpoznał generała Sawickiego.

– Obudziła się nasza śpiąca królowna? Dzień dobry, szeregowy Gurski. Gotowi na wasz najważniejszy dzień?

Roman nie odpowiedział. Jak to, do kurwy nędzy, się stało, pomyślał, że wczoraj tak nagle usnąłem? W rozbitym nosie czuł zaschniętą krew, a w ustach suchość o dziwnym, chemicznym posmaku. Wreszcie zrozumiał. Wczorajsza kolacja od początku smakowała trochę dziwnie, ale uznał, że potrzebuje energii i nie ma co wydziwiać przed czekającą go walką. Skurwysyny. Podrzucili mu coś do żarcia i dlatego stracił przytomność.

Wyprostował się na siedzeniu. Ręce miał skute z tyłu kajdankami, a te dodatkowo połączone łańcuchem z drugim zestawem, spinającym nogi w kostkach. Ponadto przypięto go pasami bezpieczeństwa. Szybko orientował się w sytuacji. Jechali przez las, eskortowani przez jeszcze dwie terenówki, z przodu i z tyłu. Wieloletnie doświadczenie z wojsk desantowych ułatwiło mu błyskawiczne i precyzyjne określenie szans ucieczki. Zero.

– Nie wierzgajcie, Gurski. Dla was to już koniec – odezwał się Sawicki, jakby czytając w myślach swojego podkomendnego.

Ranek powoli zmieniał się w dzień, promienie słoneczne coraz śmieiej przebijały się przez szpalery drzew. Samochody wyjechały na niewielką polanę i zatrzymały się pod potężną betonową konstrukcją. Wszyscy wysiedli, a Gurskiego wyszarpało z terenówki dwóch największych żołnierzy. Zmierzył wzrokiem okrągłą budowlę. Szarą, poznaczoną plamami betonową bryłę otaczały promieniście wąskie przypory, przypominające zwięzające się ku górze skrzydła. Całość na tle ściany lasu wyglądała bardzo tajemniczo.

– To specjalnie na moją cześć? Wylaliście na szybko kilkaset ton cementu, żeby egzekucja była bardziej efektowna? – spytał lekko Gurski.

– Alfred Nobel Dynamit Aktien-Gesellschaft – odparł Sawicki. – Dawna fabryka amunicji.

Ciekawe, pomyślał Roman. Niemcy pozwolili mnie rozwalić na swoim terytorium... Dopiero po chwili uznał, że opuszczona fabryka musi się jednak znajdować w Polsce. Napis sprayem na ścianie nie pozostawiał wątpliwości: „Jestem wariat rozkurwię każdy komisariat”.

– Fajne miejsce. – Gurski wciągnął rześkie powietrze do płuc. – To teraz zjawią się pańscy kumple z tortem?

– Co?

– No, wie pan, z takim tortem nakrytym wafelkami. – Roman zauważył, że Sawicki ciągle nie zrozumiał nawiązania do przedwojennego incydentu, więc szybko dodał: – Tort, wafelki ułożone w swastykę. Mówi to coś panu?

– Zamknij mordę! – Generał stracił nad sobą panowanie i splunął Gurskiemu pod nogi. – Jak śmiesz porównywać nas do faszystów?

– Rozwałka, przepraszam, egzekucja z wyroku sądu wojskowego polskiej organizacji podziemnej w nazistowskiej fabryce amunicji. Faktycznie, za daleko się posunąłem w tych skojarzeniach.

Sawicki dał znak swoim ludziom, a ci brutalnie pociągnęli Romana do pancernego gmaszyska. Wdrapali się po zrujnowanych, porośniętych mchem stopniach na drugą kondygnację i weszli do olbrzymiej sali. W cementowej posadzce wydrążono tam sześć potężnych okrągłych otworów. Roman zaczął się właśnie zastanawiać, czy mogły służyć do montażu wielkich pocisków, gdy nagle zamarł.

Do prętów zbrojeniowych sterczących z jednej z pokruszonych ścian przywiązano pięciu mężczyzn. Rozpoznałby ich na środku oceanu podczas bezgwiezdnej nocy. Sierżant Jovan Lacević, kapral Daniel Seget, plutonowy Marek Bosak, kapral Mariusz Wójcik i kapral Tomasz Janik. Ludzie z jego plutonu. Wszyscy się uśmiechnęli na widok dawnego dowódcy. Bez komendy.

– Co oni tu robią!? – wysyczał do Sawickiego.

– Wierzę, że pozostaną w FARBIE. Chcę, żeby wiedzieli, jak kończą zdrajcy.

– Gościu naprawdę jest porządnie jebnięty – powiedział zniesmaczony Seget.

Gurski zdał sobie sprawę, że kapral, swego czasu świetny dowódca drużyny granatnika Mk 19, ma rację. Podczas służby Roman wielokrotnie dostrzegał w Sawickim cechy godne szczerego podziwu. Ale jakoś nigdy nie zauważył, że poza tym facet był po prostu psychopata.

– Zabierzcie stąd tych ludzi. Przecież to ja mam wyrok – wyszeptał bezsilnie. Był tym wszystkim zmęczony.

– Romuś, nic się nie przejmuj. Nie takie rzeczy widywaliśmy! – Sierżant Lacević był niereformowalny. Przez całą służbę tylko raz się zwrócił do przełożonego w oficjalnej formie.

– W dupie byłeś, gówno widziałeś! – Roman się uśmiechnął. Mimo podbramkowej sytuacji widok jego ludzi na nowo rozpałił w nim płomyk nadziei.

– Ten dziadyga może nam naskoczyć!

– Sierżancie! Liczcie się ze słowami. – Sawicki poczerwieniał na twarzy.

– Przyjdzie pora, że jeszcze będziecie potrzebować mojej pomocy.

Lacević splunął lekceważąco i jak to miał w zwyczaju, udzielił zwięzłej, żołnierskiej odpowiedzi:

– Chuj w to wbijam.

– Przywołuję was do porządku! – Roman mrugnął porozumiewawczo. – Takie słownictwo nie przystoi oficerowi!

– Nic nie poradzę, że mam zdolności do języków. – Sierżant wzruszył skromnie ramionami. – A polski jest stworzony do klęcia. To jest kurwa piękne, do chuja wafla.

– Mądrego zawsze miło posłuchać.

Gurski uśmiechnął się do Jovana, a w ich spojrzeniach zawarła się cała trudna droga, jaką wspólnie przebyli podczas wojennej awantury. Uśmiechy jednak zaraz zgasły, nadając twarzom poważny wyraz. W ten sposób się zegnali. Wiedzieli, że sytuacja jest beznadziejna, a za chwilę jeden z nich przestanie istnieć.

Ludzie Sawickiego przy okrągłym otworze w podłodze rozwinęli grubą linę. Roman szarpnął się gwałtownie, przytrzymywany przez dwóch żołnierzy, i krzyknął:

– Kurwa, co jest!?! Wyrok to śmierć przez rozstrzelanie!

– W tym kraju od wieków zdrajców się po prostu wiesza. – Sawicki roześmiał się nieprzyjemnie. – Szkoda pocisków na takie ścierwo jak ty. Gdyby odpalono ładunek, wszystko wyglądałoby inaczej.

– Gościu pierdoli jak w *Matriksie* – westchnął Lacević, po czym krzyknął: – Lepiej nas też powieście, bo jak zostawicie przy życiu, to wszystkich was zajebimy!

Jeden z żołnierzy wymierzył mu silny cios kolbą. Sierżant zwiesił głowę i gdyby nie więzy trzymające go przy zbrojeniowych prętach, zwałiby się na ziemię. Roman poczuł na szyi ciężar grubej, gryzącej liny, a żołnierze przyciągnęli go do krawędzi otworu, podczas gdy dwóch innych wiązało solidny węzeł na poprzecznej stalowej belce najeżonej nitami.

– Z wyroku podziemnej organizacji wojskowej... – zaczął patetycznie Sawicki.

– Pierdol się! – warknął Gurski.

Zniesmaczony generał dał znak i żołnierze pchnęli Romana nad dziurę. Zakołysał się łagodnie na linie i zaczął obracać wokół własnej osi. Choć wiedział, że to bezcelowe, bo pilnujący go na pewno by zareagowali, próbował skutymi nogami dosięgnąć krawędzi betonu. Bezskutecznie. Po niecałej minucie zrobiło mu się ciemno przed oczami. Mimo wszystko charkot dobywający się z jego własnych ust go zaskoczył. Gurski się dusił.

3.

Wszystko urządzono po rosyjsku. Pomysł całkiem dobry, plan trochę gorszy, ale jeszcze znośny, za to wykonanie kompletnie do dupy. Łuck to średniej wielkości miasto na zachodzie Ukrainy. Przed wojną dzieliło go od polskiej granicy może sto kilometrów. Gdy tylko rosyjskie wojska zajęły ukraińskie terytorium, rozpoczęły się prace na opuszczonym lotnisku na

południe od miasta. Szybko powstały tam dwa pełnowymiarowe pasy startowe, hangary oraz park maszyn. Na pobliskiej równinie stanął gigantyczny obóz, w którego namiotach stłoczono blisko sześćdziesiąt tysięcy żołnierzy.

Był to najlepszy dowód, że car Władimir I od początku planował dalszą ekspansję i marsz na zachód. Pomimo dobrych założeń w obozie i na lotnisku panował niewyobrażalny chaos. Lejtnant Paweł Gawriłow był tu już od trzech dni, ale gubił się za każdym razem, gdy miał wrócić na kwaterę. Wraz ze swoim nieodłącznym druhem, *praporszczikiem* Aleksandrem Kozłowem, zajmował kąt jednego z namiotów. Mieli tam podłogę z drewnianych palet i ścianki działowe z płyty pilśniowej. Prywatności dawały jednak niewiele, bo sięgały raptem dwóch metrów, więc i tak każdy słyszał, co działo się po drugiej stronie. Mimo wszystko był to jeden z bardziej luksusowych namiotów w łuckiej bazie. Prawa do tego lichego kawałka przestrzeni lejtnant Gawriłow nabył za półtora tysiąca dolarów.

– Ja pierdolę, gdzie to było? – mruknął do siebie, pokonując kolejny zakręt wąskiego zaułka.

Pieniądze zarobione w czasach prosperity, gdy szefował polskiemu Krajowemu Urzędowi Bezpieczeństwa Obywatelskiego, na razie pozwalały mu się jako tako urządzić, chociaż nie mógł zabrać całego majątku. Zastanawiał się wcześniej, czyby nie wysłać części pieniędzy do rodziny w Irkucku, ale uznał to za zbyt ryzykowne. Podskórnie czuł, że już niedługo ludzie będą tam jeść pałeczkami i hucznie obchodzić chiński Nowy Rok. Dlatego wybrał rozwiązanie znane już przed wiekami. Po prostu większość gotówki zgromadzonej podczas służby w KUBO zakopał w stalowej skrzyni jeszcze na terenie Polski i zapisał współrzędne geograficzne.

– To się tak robi!?! Oni pojęcia zielonego nie mają! Suki! Na Szeremietiewie lachę by mi robili! To są procedury!?! Kurwa, jebać!

Gawriłow usłyszał znajomy głos i odetchnął z ulgą. W końcu udało mu się znaleźć swoją kwaterę. Sąsiednią zajmował kontroler lotów, którego wcielono do wojska prosto z cywilnej służby. Nie mógł się pogodzić po pierwsze z wyprowadzką z Moskwy, a po drugie z burdelem panującym

w armii. Dlatego poza służbą chlał do nieprzytomności i kłął na czym świat stoi.

Jego niekończące się złorzeczenia zagłuszył samolot transportowy podchodzący do lądowania, a Gawriłow pchnął właściwe drzwi i znalazł się w klitce ledwo mieszczącej dwie prycze. Wylegujący się dotąd Kozłów usiadł na brzegu swojej.

– Już nie mogę słuchać tego wariata – westchnął, wskazując głową na ściankę, a potem przejechał palcem po gardle. – Może by go tak?

– Zostaw. Znalazłeś naszego człowieka?

– Tak jest. Nazywa się Sasza Daniłow.

– Jak sytuacja?

– Słabo. Do gościa praktycznie się nie da podejść. Jest niczym „Sokole Oko” z lornetką i noktowizorem w królestwie ślepców.

– Malownicze porównanie. Nie znałem was od tej strony. – Gawriłow pokręcił głową z niezadowoleniem i zapalił papierosa. Przy okazji poczęstował podwładnego.

– Chodzi mi o to, że ma zajebistą pozycję i trzeba by naprawdę pomachać grubą forszą.

Ciasna przestrzeń szybko wypełniła się dymem, a lejtnant uznał, że nie będzie tłumaczył Kozłowowi, że się domyślił za pierwszym razem, co ten miał na myśli. Gdy siedzieli w ciepłym KUBO w Warszawie, wszystko wyglądało inaczej. On jako szef instytucji w randze pułkownika, jego podopieczny z perspektywą awansu na kapitana. Zastrany Władimir I, pomyślał z wściekłością Gawriłow. Gdyby nie zachciało mu się tej wojny, nie byłibyśmy teraz w ciemnej dupie. Lejtnant dobrze wiedział, że nie może dopuścić do tego, aby wysłano ich na front. Doskonale pamiętał, jak to było podczas polskiej kampanii. Na początku wszystko rozmyte i pogrążone w chaosie tak jak tutaj, w Łucku. Ale kiedy w końcu przydzielą ich do odpowiedniej jednostki i wyślą do walki, to nie będzie zmiłuj. Już się nie wykręca.

– Dowiedziałeś się, gdzie nam będzie najlepiej? – Kozłów przerwał ciszę i zgasił papierosa w popielniczce z wypełnionej wodą połówki plastikowej butelki.

– Dwudziesta Dziewiąta Samodzielna Warszawska Brygada Kolejowa – odparł Gawriłow.

– Lejtnant to jednak ma sentyment do polskiej stolicy...

– Zabezpieczenie szlaków kolejowych, odbudowa i ochrona infrastruktury. Spokojna, tyłowa służba.

– Robota lekka, łatwa i przyjemna?

– Może nie aż tak – parsknął lejtnant. – Ale lepsze to niż selfie z własnymi jelitami.

– Tylko że aby się tam znaleźć, musimy dorwać szefa sekcji personalnej. Tego Saszę.

– Jak myślisz, ile nam to zajmie?

– Kilka dni co najmniej.

Niedobrze, pomyślał Gawriłow. Tyle czasu mogli już nie mieć. W bazie panował taki burdel, że ciągle nie znali swojego prawdziwego przydziału. A może tak naprawdę niepotrzebnie kombinowali? Lejtnant przypomniał sobie jeszcze o swoim poprzednim pomysle. Dotyczył wojsk inżynieryjnych, ale do tego potrzebowaliby odpowiedniego wykształcenia.

– A jak wygląda sprawa naszych papierów, że nie tylko most, ale i rakiety w kosmos zbudujemy, jak będzie trzeba?

– Chcą pięć tysięcy papieru od łba.

– Ile, kurwa?! – Gawriłow wydarł się na całe gardło.

– Szefie, tu jest sześćdziesiąt tysięcy chłopów, a każdy myśli o jednym. Jak by się gdzieś zadekować.

Lejtnant westchnął ciężko, przeciągając dłonią po twarzy. Wiedział, że jego podwładny ma rację. Morale nigdy nie było najmocniejszą stroną armady, jak żołnierze nazywali między sobą rosyjską armię.

Ryk startujących i lądujących maszyn rozlegał się coraz częściej. Przez te trzy dni w obozie odnotowywali taką wzmożoną aktywność każdego popołudnia. Jednak tym razem hałas silników odrzutowych próbował przekrzyczeć jakiś tubalny, coraz lepiej słyszalny głos. Gawriłow i Kozłów wymienili zdziwione spojrzenia. Po krótkiej chwili drzwi do ich kanciapy odskoczyły gwałtownie, a w wejściu pojawiła się wściekła, kanciasta postać. Łysy intruz był purpurowy na twarzy. Pagony polowego munduru miał tak

wymięte, że nie sposób było stwierdzić, czy był kapitanem, czy starszym lejtnantem. Niewątpliwie był za to pijany.

– *Praporszczyk* Kozłow i lejtnant Gawriłow! Są tu takie kurwy?!

Obaj zerwali się z prycz i stanęli na baczność.

– Melduję posłusznie, że kurew brak! – wrzasnął lejtnant. – Tylko żołnierze!

Oficer zmierzył go groźnym spojrzeniem i podszedł bliżej, a Gawriłow uświadomił sobie pomyłkę. On nie był pijany, ale po prostu pod wpływem alkoholu, co nie przeszkadzało mu jednak zachować bystrości umysłu. Prawdopodobnie funkcjonował tak na co dzień.

– Zostajecie wcieleni do Pierwszej Armii Pancерnej! Dwudziesta Siódma Brygada Zmechanizowana, siódma kompania! – Łysy uśmiechnął się plugawie. – Moja kompania!

– To dla nas prawdziwy zaszczyt! – Lejtnant wyprężył się jeszcze bardziej. – Ale myślimy o innej ścieżce kariery.

– Co? – wychrypiał tamten.

– U nas są pieniądze, dolary. Ile?

Łysy pochylił głowę tak, że Gawriłow wyraźnie poczuł ostrą woń wódki i szybko się zorientował, że pomylił się jeszcze raz. Choć to niezwykle w rosyjskich realiach, nie mieli do czynienia z łapownikiem.

– Pieniądze to nie problem. Ludzie... Z tymi gorzej. Jestem kapitan Siemion Pawłowicz Turczyn. Dla przyjaciół Turek, dla was kapitan Turczyn. Ale lepiej myślcie o mnie jako o diable, szatanie, demonie czy co tam. – Złapał obu mocno za włosy i szarpnął tak mocno, że zderzyli się głowami. – A jeśli któryś z was, skurwysyny, pójdzie na lewiznę, to z waszych jaj ukręcę linę i zaduszę jak psa! Mandżur w łapę i za dwie minuty na placu!

Dokładnie półtorej minuty zajęło *praporszczykowi* i lejtnantowi pobieżne rozmasowanie obolałych kręgow, szybkie zebranie dobytku i ustawienie się przed namiotem wśród innych żołnierzy. Całą brygadę zaczęto pakować w potwornym chaosie do ciężarówek i zdezelowanych autokarów. Gawriłow szybko uznał taki sposób podróżowania za wyjątkowo niekomfortowy i odżałował tysiąc dolarów. Dzięki temu jeden z oficerów nadzorujących

transport pozwolił im wleźć do BTR-a, który wkrótce zniknął w trzewiach potężnego śmigłowca Mi-26.

Gdy tylko maszyna wzbiła się w powietrze, Gawriłow z Kozłowem otworzyli drzwi transportera i poszli powyglądać przez wąskie okienko transportowej maszyny. Kozłow pierwszy rozpoznał punkty orientacyjne i rzucił z przygnębieniem:

– Lecimy na zachód, na front. Mamy przejebane.

Lejtnant zlustrował wzrokiem rozciągający się w dole krajobraz, rozpaczliwie pragnąc udowodnić podwładnemu, że się myli. Na próżno. Do głowy przyszło mu tylko jedno słowo:

– Prawda.

Zauważył go w ostatniej chwili, gdy już miał wyjść na otwartą przestrzeń. Wycofał się ostrożnie i przykucnął za jednym z drzew. Wcześniej wyjątkowo długo i skrupulatnie obserwował okolicę stacji benzynowej. Nabral przekonania, że nikt jej nie pilnuje, ale teraz go widział, choć ukrył się całkiem sprytnie. Po prawej, wśród porzuconych na placu samochodów, stała ciężarówka. Teraz, w świetle stojącego wysoko słońca Zenon Marczak widział dokładnie sylwetkę nachyloną nad kierownicą. Ani chybi właściciel stacji, pomyślał. Gdybym podszedł do dystrybutora, pewnie posłałby mi przez okno kulę albo dwie z myśliwskiej strzelby. Cholerny wieśniak.

Odczekał jeszcze chwilę, próbując przyłapać tamtego na choćby drobnej zmianie pozycji. Ale nie, nie poruszył się w ogóle. Marczak musiał. Korzystając z osłony gęstych drzew, uszedł dobry kilometr na północ, dopiero wtedy zdecydował się na przekroczenie drogi i ostrożny powrót. W kucki podkradł się od tyłu do potężnej naczepy. Wsunął się pod cielsko maszyny i podczołgał aż do kabiny, unikając kałuży przy prawym kole. Wyciągnął zza paska glocka. Wcześniej, gdy wrzucił nieprzytomną Danutę do terenówki, zatrzymał się przy martwym najemniku i zabrał mu ten pistolet. Niestety w magazynku były tylko dwa naboje.

Wychylił się ostrożnie zza koła i spojrzął w górę na drzwi kabiny. Zaklął w duchu, ganiąc się za bezmyślność. Kierowca mógł go zobaczyć w dolnej części potężnego lusterka. Nie tracąc czasu, wydostał się spod pojazdu, szarpnął za klamkę i wycelował do wnętrza. Uderzenie fetoru omal nie

zwalilo go z nog. Zenon odszedl kilka krokow z zalzawionymi oczami i zgiat sie wpol, opierajac ruka o burtę naczepy. Siła woli utrzymał w zoladku zjedzona nad ranem konserwę. Wrócił, żeby się wspiąć po stopniach ciężarówki.

Trup za kierownicą był napuchnięty, a jego łuszcząca się skóra przybrała fioletowo-zielony odcień. Z szyi sterczał mu w bok sporych rozmiarów śrubokręt. Jeśli zamordowany był kiedyś strażnikiem stacji benzynowej, to zdecydowanie nie dźwignął zadania, pomyślał Zenon, a lustrując fotel pasażera, uznał, że chyba trafił nawet z tą strzelbą. Na siedzeniu leżało puste opakowanie po amunicji myśliwskiej. Niestety w kabinie nie było żadnej broni.

Z glockiem gotowym do strzału Zenon przeszukał też splądrowany budynek stacji. Po sklepie zostały w środku jedynie meble. Rozszabrowano wszystko, łącznie z kasą fiskalną i grzejnikami. Na zewnątrz przyjrzał się jeszcze jednemu nadpalonemu generatorowi stojącemu przy dystrybutorze. Ktoś podpiął agregat na krótko do pompy, żeby ściągnąć paliwo.

– Ciekawe, czy cokolwiek zostało w zbiornikach – mruknął do siebie Zenon z rezygnacją.

Pamiętał, że minęli Mikołów. Jakies dwadzieścia kilometrów później w terenówce skończyło się paliwo. Ile mogli ujechać... Dwadzieścia, trzydzieści kilometrów? Wcześniej uznał, że nie ma sensu pchać się na zachód i przebijać na front. Stwierdził, że najlepiej przedostać się na południe, do Czech. Może by tak jednak na piechotę?

Rozważania przerwał mu łoskot nisko przelatujących myśliwców. Wkrótce potem po całej okolicy rozniosły się echa dalekich grzmotów eksplozji. Front się zbliżał. Zenon podjął decyzję, że musi chociaż spróbować zdobyć jakieś paliwo. Kłopot w tym, że przez całe życie tankował benzynę tak jak wszyscy. Podjeżdżał pod dystrybutor, nalewał i płacił w kasie. Gdzie się trzyma paliwo na stacji? Nie miał zielonego pojęcia, ale wytypował sporych rozmiarów żelazną klapę przed wjazdem pod dystrybutory.

Otworzył bez problemu oba skrzydła i spojrzał na wystający z ziemi cylinder przykryty dekiem przymocowanym dużymi śrubami. Dwudziestki albo dziewiętnastki, oszacował i wrócił do ciężarówki z trupem.

W schowkach przy kołach naczepy znalazł kilka kluczy nasadowych. Przy kłapie okazało się, że pasuje ten w rozmiarze dwadzieścia sześć. Narzędzie w kształcie fajki umożliwiało zastosowanie dźwigni, ale Zenona i tak kosztowało bardzo wiele wysiłku, aby choć ruszyć pierwszą śrubę. Mocno dokręcone i zastałe, najlepiej byłoby pewnie poluzować kilkoma uderzeniami, uznał jednak, że krzesanie iskier podczas otwierania zbiornika z paliwem to kiepski pomysł.

Pół godziny później był zlany potem, a dłonie i plecy płonęły mu żywym ogniem. W tym czasie zdołał pokonać dziesięć śrub. Zostało jeszcze osiem. Wstał i rozprostował bolący kręgosłup. Strasznie chciało mu się pić. Przeszukał jeszcze raz budynek i nawet kontener ze śmieciami, ale nic nie znalazł. W końcu wczuł się w desperacji pod ciężarówkę i wychłęptał trochę wody z kałuży jak pies. Potem wrócił do pracy.

Gdy uporał się z ostatnią śrubą, miał pozdieraną z palców skórę, a obie dłonie mocno krwawiły. Naparł rękoma na pokrywę, a ta po dłuższej chwili ustąpiła z cichym sykiem. Powietrze wokół zafalowało od oparów benzyny. Odłożył ostrożnie pokrywę i odszedł kilka kroków, dając czas większości gazów na rozproszenie się w powietrzu. Po kilku minutach zajrzał do zbiornika i odetchnął z ulgą. Na dnie było jeszcze trochę benzyny.

Kanistra, rzecz jasna, nie znalazł nawet w ciężarówce. Za to czegoś innego w okolicy nie brakowało. Śmieci. Ulice były wprost zasypane niezniszczalnym plastikowym badziewiem w każdym możliwym rozmiarze i kolorze. Bez trudu wyszukał dwa odpowiednie baniaki i butelkę. Najwyraźniej szabrownicy nie pomyśleli jeszcze o kradzieży oświetlenia, bo po rozpruciu podwieszanego sufitu pozyskał kilka metrów kabla.

Cierpliwie spuszczał półtoralitrową butelkę do zbiornika i korzystając z tego, że kabel był dosyć sztywny, wpychał ją pod powierzchnię i nabierał trochę benzyny. Potem wyciągał butelkę i przelewał zawartość do baniaka. Gdy napełnił pierwszy i po raz kolejny posyłał butelkę na dół, kabel zahaczył o leżący obok klucz nasadowy. Zenon rzucił się gwałtownie w przód, uderzając boleśnie czołem o krawędź wjazdu, i wyciągnął rękę. Złapał klucz w ostatniej chwili, ale po sekundzie ten wyslizgnął się ze spoconych palców. Zenonowi w mgnieniu oka przeleciały przez głowę obrazy z ostatniego roku:

początek wojny, praca u starego Wojnarowicza, okrutna rana zadana przez jego siostrę, wreszcie niebezpieczna gra z Gawriłowem i KUBO. A teraz zginę przy szabrowaniu wachy, pomyślał, gdy klucz wpadł z pluskiem do paliwa i stuknął w dno zbiornika.

Nic się nie stało. Zenon uświadomił sobie, że przecież wybuchają opary, a nie sama benzyna. I nie od szturchnięcia zwykłym kluczem, tylko od iskry.

Gdy w połowie wypełnił drugi baniak, usłyszał daleki pomruk silnika. Przesunął pokrywę na miejsce, zakręcił naczynie i ruszył z oboma biegiem w kierunku lasu. Niecałe osiem litrów powinno mu starczyć do granicy, a może nawet do Ostrawy, bo terenówka przy oszczędnej jeździe paliła jakieś dziesięć litrów na sto kilometrów. Miał tylko dwa pociski i nie chciał ryzykować spotkania z jakimiś maruderami.

Już pod osłoną drzew odstawił na chwilę baniaki i odwrócił się w stronę stacji. Pod dystrybutory podjechało niewielkie kombi, z którego wysiadł mężczyzna. Nawet z tej odległości Zenon widział, że w aucie została kobieta z dwójką dzieci. Kierowca wymienił z nią kilka zdań, a potem wyciągnął z bagażnika łom. Gdy tylko podszedł do wjazdu i wziął solidny zamach, Zenon padł na ziemię, nakrywając głowę rękoma. Nie mógł zobaczyć iskry skrzęsanej uderzeniem. Potężny huk niemal rozerwał mu bębenki w uszach.

4.

Natalia przysiadła na krześle. Zmęczona, ale zadowolona. Cały ranek szorowała kuchnię i efekt był więcej niż zadowalający. Wcześniej ten kąt ich skromnego mieszkania lepił się od brudu, a teraz jako tako przypominał miejsce do gotowania posiłków dla cywilizowanych ludzi. Gdy tylko odsapnęła trochę, podniosła z obrzydzeniem stojącą na podłodze miskę z piwem, w której w nocy potopiło się kilkanaście karaluchów, i wylała zawartość do sedesu. Smutny twierdził, że to jeden z lepszych sposobów, aby choć trochę przetrzebić szeregi robactwa. Pułapka zdała egzamin, pomyślała Natalia, ale żeby na dobre pozbyć się tych obrzydliwych owadów, trzeba by pewnie spryskać czymś cały blok.

Gdy tylko Smutny dowiedział się, że jego brat zaginął bez wieści w rosyjskiej stolicy, natychmiast zaczął szukać dla nich mieszkania. Niestety ich finanse, mówiąc delikatnie, były dość ograniczone. Mimo to dosyć szybko wprowadzili się do ciasnego lokum na Butowie, jednej z południowych dzielnic Moskwy. Zresztą nie mieli innej możliwości. Powrót do Irkucka był niemożliwy, bo na Smutnego czyhali tam bandyci, a Natalia z matką też obawiały się konsekwencji. W końcu ktoś mógł oskarżyć ich o wywołanie pożaru w nadbajkalskim domu. Na nic mogły się zdać tłumaczenia, że Dima, u którego mieszkali, był po prostu szaleńcem.

Ich obecne mieszkanie kiedyś było większe, ale właściciel podzielił je na kilka klitek, żeby zmaksymalizować zysk. Do dyspozycji mieli jedno pomieszczenie z dwiema rozkładanymi kanapami, masywnym stołem i kuchnią w kącie. Za harmonijkowymi drzwiami znajdowały się toaleta i bardzo ciasny prysznic.

Natalia zerknęła na zegarek i wstawiła wodę na makaron. Zorientowała się, że Basia, leżąca na kanapie, ma otwarte oczy.

– Cześć, mamó. Jak się czujesz?

Ta nie odpowiedziała, tylko kiwnęła nieznacznie głową. Piotruś, przytulony do jej piersi, nadal spał, oddychając głęboko. Natalia zauważyła, że od przeprowadzki na Butowo mama dziwnie przygasła. Nie odzywała się, nie komentowała ich rozmów ze Smutnym. Zapadła się w sobie, wykonywała jedynie konieczne przy niemowlaku czynności, a i to jak automat. Natalia naprawdę się o nią martwiła.

– Niedługo wróci Smutny. Pomożesz mi z obiadem? – spytała.

– Jestem zmęczona. – Basia zamknęła oczy.

Natalia westchnęła, stawiając patelnię na ogniu. Trochę była zła na matkę. Od wczoraj musiała sama sprzątać ich nowe mieszkanie (a wbrew pozorom było co sprzątać) i szykować posiłki. Liczyła na pomoc Basi, ale na razie nie chciała poruszać tego tematu. Postanowiła dać jej trochę czasu.

Kiedy usmażyła kurczaka i odcedziła makaron, wyjrzała przez wąskie okno. Cały ranek padał deszcz, ale teraz słońce zaczęło się przebijać przez chmury, zalewając blaskiem mokre ulice. Ta część Butowa zabudowana była dziesięciopiętrowymi blokami połączonymi w fantazyjne łamańce, między

którymi mieściło się trochę zieleni. Ich blok był akurat nieco niższy i nie łączył się z innymi. Kwadratowy klocek niczym rozbitek pośród kanciastych fal pozostałych, pozrastanych ze sobą budynków.

Zauważyła Smutnego, który się nachylał do okna zdezelowanego czarnego mercedesa. Rozmawiał z kierowcą dłuższą chwilę. Potem wymienił z nim uścisk dłoni i wręczył kilka banknotów. Mercedes odjechał, a Smutny ruszył w kierunku budynku.

– Mamo, zjesz coś?

– Może później – mruknęła niechętnie Basia.

Natalia nałożyła dwie porcje kurczaka i makaronu, który posypała obficie startym żółtym serem. Gdy tylko postawiła talerze na stole, do mieszkania wszedł Smutny.

– Priwiet! – Uśmiechnął się i pocałował Natalię.

– Cześć. Obiad gotowy.

– Dzięki! Tylko ręce umyję.

Coraz lepiej radziła sobie z rosyjskim i w tego typu prostych rozmowach nie musiała już używać telefonu. Cyrylica ciągle jednak stanowiła dla niej zagadkę. Smutny wyszedł z łazienki i usiadł przy stole.

– Pyszne – powiedział z pełnymi ustami, pochłaniając błyskawicznie makaron.

– Zrobiłam z tego, co kupiłeś wczoraj...

– Nie martw się, niedługo będzie więcej jedzenia. – Mrugnął do niej. – Jak mama?

– Dobrze. Musimy jej dać trochę czasu. Kto to był?

– Co?

– Ten czarny mercedes.

– Lokalny z Butowa. Opłaciłem cały miesiąc.

Natalia zmarszczyła brwi. Była obecna podczas wynajmu mieszkania i przysłuchiwała się targom Smutnego z właścicielem. Mogłaby przysiąc, że to nie był ten sam mężczyzna.

– Jak to? To był ten od mieszkania?

– Nie. – Tempo Smutnego było naprawdę ekspresowe. Już kończył. – Temu zapłaciłem, żebyśmy mieli spokój.

– Nie rozumiem.

– Boże... – Smutny się skrzywił. – A chcesz, żeby ci torebkę wyrwali? W łeb dali? Drzwi nam podpalili?

– To trzeba za to płacić?

Skończył jeść i odsunął talerz, kręcąc głową z niedowierzaniem, że trzeba tłumaczyć takie proste rzeczy. W Moskwie wiele dzielnic i osiedli tak działało. Zwłaszcza tych biedniejszych, takich jak Butowo. Oczywiście na razie nie mieli dużo pieniędzy, ale Smutny postanowił sobie, że to się wkrótce zmieni. Dlatego wolał mieć spokój. Za cienką ścianką z karton-gipsu rozległy się krzyki w obcym języku. Smutny posłuchał chwilę i się uśmiechnął.

– To Kirgizi. Wrócili z pracy i kłócą się o pieniądze.

Awantura za ścianą szybko się przeistoczyła w bójkę, a cienkie przepierzenie zatrzęsło się, gdy ktoś po drugiej stronie w nie rąbnął.

– Nic się nie martw. – Smutny wyciągnął niewielki telefon starego typu i położył na stole. – Tu masz zapisane dwa numery. Jeden do mnie, a drugi do Wowy.

– Kto to? – spytała, oglądając aparat.

– Człowiek z mercedesa. Jakby były jakieś kłopoty, to dzwonisz. Do mnie albo do niego.

– Kłopoty? – Natalia zrobiła wystraszoną minę.

– To tylko tak na wszelki wypadek. Nie martw się. Mam dla ciebie prezent.

– Naprawdę!?

Smutny wstał, sięgnął do kurtki na wieszaku i położył na stole książkę. Na okładce wiekowego wydania dziewczynka i chłopiec stali za dużą literą A, w środku której siedział uśmiechnięty żółty miś.

– Bukwar – powiedział Smutny.

– Co? – Natalia zaczęła wertować strony i szybko się zorientowała, co to takiego. – A, elementarz!

– Czas, żebyś poznała litery. Wydaje mi się, że na razie tu zostanieie. Oczywiście, o ile będziecie chciały... – Smutny się zmieształ.

– Dziękuję! – Wstała i pocałowała go w policzek.

– Jest trochę stary, ale to jeden z najlepszych. Popatrz tutaj!

Przerzucił dwie pierwsze strony z wypisanym alfabetem i pokazał jej trzy słowa wydrukowane grubszą czcionką: *мама, Родина, Ленин*.

– Tu jest napisane, że po raz pierwszy napiszesz sama trzy najdroższe dla ciebie i wszystkich innych słowa.

– Pierwsze to mama?

– To było łatwe. Teraz tak: to jest „r”, „o” tak samo jak u was, to „i”, to „n”, a „a” też tak samo.

– Rodina... Rodzina!

– Ojczyzna. Ale dobrze ci poszło. A to jest najlepsze! – Smutny się roześmiał. – „E” tak samo, a to pierwsze to „L”, resztę już wiesz.

– Lenin? – Natalia zmarszczyła brwi i po chwili również się roześmiała. – Lenin!?

– Tak! A tutaj jeszcze taki drobiazg dla ciebie, żeby nie było, że daję same nudne prezenty.

Pomiędzy palcami Smutnego zamigotał łańcuszek z malutkim kluczykiem i kłódką w kształcie serca.

– Dziękuję, jest piękny – szepnęła Natalia, wzruszona.

– Daj, założę ci. – Smutny rozpiął zapięcie i po chwili łańcuszek wisiał na szyi dziewczyny, mieniąc się w ostrych promieniach słońca wpadających przez okno. – To białe złoto.

– Naprawdę? Musiał być drogi. To przesada, może idź, oddaj do sklepu.

Na słowo „sklep” twarz Smutnego przeciął ironiczny, blady uśmiech. Spoważniał zaraz i powiedział:

– Cieszę się, że ci się podoba. Muszę teraz jechać do centrum.

– Po co?

– Robotę trzeba znaleźć.

Mrugnął do niej szelmowsko, ucałował mocno w usta, złapał kurtkę i po chwili był już na zewnątrz. Natalia ciągle oglądała prezent, uśmiechając się do siebie. W końcu podeszła do rozłożonej kanapy i nachyliła się nad Basią.

– Mamo, patrz. Dostałam prezent od Smutnego. Białe złoto.

Basia otworzyła jedno oko, zerknęła przelotnie na mieniący się łańcuszek i powiedziała:

– Ciekawe, z kogo to ściągnął?

– Jak możesz go tak oskarżać!? Po tym wszystkim, co dla nas zrobił!?

Natalia odwróciła się na pięcie i zaczęła sprzątać po obiedzie, trzaskając głośno naczyniami. Była zła na matkę. Czy naprawdę nie mogła powiedzieć choć jednego dobrego słowa? Nie może się cieszyć, że mimo wszystko ona jest choć trochę zadowolona? Leży tylko z tym niemowlakiem przy piersi i gapi się w ścianę. Żałosne! Nie to co Smutny, który coś robi, próbuje. Natalia naprawdę mocno wierzyła, że chłopak szybko znajdzie pracę. Kiedy tylko pomyślała o Smutnym, humor jej się poprawił, a gdy zaczęła zmywać talerze, nuciała już lekko pod nosem, uśmiechając się do swoich myśli. Była zakochana.

Michał Barański ocknął się z suchą szmatą w ustach. Obrócił się na bok i stęknął, czując przeszywający ból w lewej nodze. Próbował zwymiotować, ale nie mógł z powodu szmaty. Sięgnął do twarzy i zorientował się, że to jednak duszący pył, a nie tkanina. Wygrzebał palcem drobny niczym mąka proszek, potem wydmuchał nos. Pomogło, ale do komfortu oddychania było jeszcze daleko.

Przypomniał sobie, jak kiedyś podczas wesela, mocno już podcięty, zgłosił się do konkursu. Musiał zjeść kieliszek bułki tartej bez popijania. Strasznie się wtedy namęczył, ale to i tak było nic w porównaniu z tym, co czuł teraz. Starał się oddychać jak najpłycej. Ciągle leżąc, obmacał powoli całe ciało. Wychodziło na to, że oprócz bólu w lewym udzie i zaschniętego już rozcięcia na czubku głowy nic mu się nie stało. W oddali widział bladą poświatę, sączącą się z góry na zwały pogruchotanych elementów betonowych konstrukcji. Tu, gdzie leżał, panowała totalna ciemność.

– Jurek! Jurek, słyszysz mnie?! Jurek! – zawołał chrapliwie. Tak głośno, jak tylko pozwalał mu zalepiający gardło pył.

Ile mogłem tu przeleżeć, zastanowił się. Dzień? Dwa? Chciał się podnieść, ale dał sobie spokój, gdy namacał kawał betonu raptem kilkanaście centymetrów od swojej twarzy. Ziemia zadrżała kilka razy. Najpierw usłyszał szelest sypiącego się tynku, a potem dalekie, stłumione grzmoty. Nie miał wątpliwości. Na zewnątrz toczyły się ciężkie walki.

– Jurek! Jurek! Juuuurek!

Nawoływał tak dobre kilka minut, aż w gardle poczuł palący ogień. Nie miał siły. Leżał, ciężko oddychając, kompletnie zrezygnowany. To koniec, myślał. Ale może to i lepiej? Wreszcie się skończy ta cholerna męczarnia... Nagle wściekł się na samego siebie za to żałosne uzalanie się nad sobą. A potem przeniósł tę złość na ślepy los. Dlaczego, do kurwy nędzy, nie zabił mnie jakiś kawałek betonu, pomyślał. Teraz zdechnę tu z głodu.

Podniósł się na łokciu i obmacał drugą ręką najbliższe otoczenie. Z popękanych fragmentów konstrukcji sterczały tu i tam ostro zakończone pręty. Zaczął się zastanawiać, czy gdyby nadział się gwałtownie na któryś z nich okiem, to wystarczyłoby, aby uszkodzić mózg i choć trochę skrócić cierpienia... Przestań się mazać, nakazał sobie w duchu. Obrócił się na brzuch i kawałek przeczołgał po omacku. Szybko odkrył, że jego więzienie ma góra osiem metrów kwadratowych powierzchni i w żadnym miejscu nie było nawet co marzyć o tym, aby ukłęknać. W jednym kącie trafił na coś miękkiego, a gdy jego dłoń powędrowała wyżej, palce zanurzyły się z mlaśnięciem w czymś grząskim i zimnym. Jego pierwszą, absurdalną myślą był miąższ rozbitego grejpfruta – przynajmniej dopóty, dopóki nie namacał ostrych krawędzi wokół. Cofnął z obrzydzeniem rękę.

– Tata, tata...

Michał zastygł, nasłuchując. Usłyszał ten słaby szept tylko dlatego, że stłumione wybuchy, dochodzące z zewnątrz, na chwilę ustały. Kanonada zaraz rozpoczęła się na nowo, ale gdy po kilkudziesięciu sekundach jeszcze raz ucichła, znowu usłyszał:

– Tata, tata, nie... Nie!

– Jurek! Jurek, słyszysz mnie!?! – zawołał mocnym głosem, przekrzykując kolejne wybuchy. – Idę do ciebie, słyszysz!?! Trzymaj się!

Dochodzący z daleka głos syna momentalnie pobudził Michała do działania. Musiał coś zrobić. I to natychmiast! Na początek rozejrzeć się po tej ciemnicy. Tylko jak? Walcząc z obrzydzeniem, podczołgał się do trupa, któremu wcześniej włożył dłoń w rozłupaną czaszkę. Przeszukał go, ale nie znalazł niczego poza listkiem jakichś tabletek. Dobre i to, pomyślał,

chowając go do kieszeni. Szybko uznał, że trup musiał być pacjentem umieralni, jak nazywano wcześniej piwnicę.

Jeszcze raz, o wiele skrupulatniej zbadał ciasną przestrzeń i w przeoczonym wcześniej zakamarku wymacał nogę w wojskowym bucie. Gdy szarpał się z ciałem, zdał sobie sprawę, że opinała je kamizelka kuloodporna. To musiał być jeden z najemników, którzy pilnowali terenu. Michał wsunął rękę pod kevlar i z kieszeni polowego munduru wydobyl pogniecioną paczkę papierosów. Podekscytowany, wyciągnął ze środka zapalniczkę i gdy tylko się zorientował, że to porządna, benzynowa konstrukcja, z radością krzyknął:

– Jest!

Jasny płomyk rozświetlił najbliższe otoczenie. Zanim jednak Michał przesunął zapalniczkę, by lepiej się przyjrzeć zwałom betonu, za przegub chwyciła go jakaś ręka. Z gardła natychmiast wyrwał mu się okrzyk przerażenia, a światełko zgasło. Walczył przez krótką chwilę z żelaznym uściskiem, ale nie miał szans. Sięgnął do kółka zapalniczki drugą ręką i chybotliwy płomień znowu się pojawił. Palce zaciśnięte na przegubie niewątpliwie należały do najemnika. Żywego, bo niemożliwe, aby taki efekt wywołało stężenie pośmiertne. Wśród pogruchotanych szczątków betonu Michał dostrzegł błysk oka. Część głowy mężczyzny była zmiażdżona, jednak ten ciągle żył. Jakim cudem?!

– Pomóż – rozległ się stłumiony, chrapliwy głos.

Michał poczuł w nadgarstku pulsujący ból i przestraszył się, że zaraz wypuści zapalniczkę. Instynktownie wraził palec wskazujący prosto we wpatrzone w niego oko. Najemnik zawył przeciągle i puścił rękę Michała, a ten szybko się odczołgał poza zasięg jego ramion.

– Synek! Synek, słyszysz mnie!? Idę do ciebie!

W słabym świetle zapalniczki wszystko wyglądało inaczej. Dopiero teraz spostrzegł, że w niektórych miejscach mógł się przczołgać dalej nad kawałem pokruszonego betonu. Pokonywał kolejną przeszkodę, gdy usłyszał głośniejsze tym razem słowa:

– Mama! Mama, uważaj! Oni tam są!

Z zadowoleniem uznał, że szczęśliwie podąża we właściwym kierunku. Wykrzywane słowa napawały go jednak lękiem. Mogły znaczyć, że Jurek bredzi, śniąc jakiś koszmar w malignie.

Nagle Michał zatrzymał się, wpatrzony w przedmiot leżący przed nim na zapyłonej posadzce. Trochę odrapany, ale wciąż cały, razem z tkwiącą w kłamce zawleczką. Granat ręczny.

Bardzo delikatnym i ostrożnym ruchem sięgnął po pocisk i przełożył go w zagłębienie pod betonowym słupem. Potem poczołgał się dalej, aż w świetle płomienia zapalniczki zobaczył w końcu Jurka. Chłopiec był szary od pyłu, ale jakimś cudem nie został niczym przywalony.

– Synek, Jureczku. To ja, tata...

Jurek wybełkotał coś niezrozumiale, a Michał położył dłoń na czole chłopca. Od razu wyczuł, że dziecko trawi gorączka. Musiało mieć to związek z ręką. Jurek złamał ją podczas wypadku samochodowego, gdy uciekali przed rosyjskimi żołnierzami.

– Nic się nie martw, wyciągnę cię stąd – powiedział Michał i ucałował syna w rozpalone czoło. Potem poczołgał się dalej wśród gruzów, próbując dotrzeć do klatki schodowej. Kiedyś słyszał, że wszystkie budynki konstruowane są tak, aby właśnie ten element był najmocniejszy i odporny na zawalenie. Niestety. Schody były całkowicie zasypane gruzem.

Odszukał drogę do punktu oświetlonego nikłym światłem z góry. Widział stamtąd sporych rozmiarów otwór i nawet wieczorne niebo, zasnuwane chmurami. Niestety dostęp do wyjścia blokował potężny metalowy słup, który wcześniej pewnie podpierał strop. Teraz leżał pod kątem, opierając się w połowie na popękany betonowy blok.

Gdyby się tylko udało jakoś podnieść ten słup, choćby o kilkanaście centymetrów, pomyślał Michał. Zgasił zapalniczkę, poczekał, aż ostygnie, a potem po omacku chwycił za żelastwo i spróbował je przesunąć choćby o milimetr, ale ani drgnęło. Bez sensu, przecież to musi ważyć kilka ton, stwierdził w duchu z rezygnacją. Zapalił ponownie zapalniczkę i jeszcze raz ocenił sytuację. Naprzeciw końca filaru dostrzegł fragment masywnej betonowej ściany, który stał na krawędzi, przekrzywiony wyraźnie na jeden

bok. Gdyby Michał zdołał go wytrącić z równowagi, to być może jego nacisk uniósłby drugi koniec słupa. Tylko jak to zrobić?

Michałowi przypomniał się znaleziony granat. Chyba cię popierdoliło, zganił się w duchu. Inżynierowie uczą się takich sztuczek latami, a potem i tak burzenie budynków nie zawsze przebiega tak, jak zaplanowali. Lepiej poczekać na pomoc. Tak, zaczekają, aż się zjawią odpowiednie służby i przeszukają gruzowisko z psami. Zresztą po co psy? Jeśli podczołga się pod filar i krzyknie w kierunku otworu, na pewno go usłyszą.

Gdzieś niedaleko doszło do potężnej eksplozji, a rumowisko się zatrzęsało, sypiąc hojnie drobnym pyłem. Michał niemal roześmiał się do swoich myśli. Jakie służby? Ile było teraz takich miejsc w Polsce? Sto? Tysiąc? Przed wojną to byłaby katastrofa jedyna w swoim rodzaju, relacjonowana przez wszystkie stacje. Ale teraz? To było szaleństwo, ale musiał spróbować.

Postanowił nie marnować benzyny w zapalniczce. Nie wiedział, na ile jeszcze może wystarczyć. Po omacku przeciągnął Jurka za betonowy zawal, mający osłonić go przed wybuchem. Wydarł ze swojej koszuli kilka pasków materiału, nasączył je śliną, a następnie wetknął sobie i chłopcu w uszy. Potem odnalazł granat i przyświecając sobie zapalniczką, ułożył go pod odłupaną ścianą tak, jak mu się wydawało, że będzie najlepiej. Wreszcie wyciągnął zawleczkę i odczołgał w tempie, które – jeśli gdzieś na świecie organizowano w tym zawody – niewątpliwie zapewniłoby mu miejsce w czołówce. W niecałe trzy sekundy znalazł się przy Jurku i nakrył go własnym ciałem.

Rumowiskiem wstrząsnęła potężna eksplozja. Michał niemal od razu zapalił zapalniczkę i przeczołgał się przez duszący pył, ciągnąc za sobą Jurka, aż pod żelazny słup. Niewiele widział, chwycił więc syna pod pachy i pchając go przed sobą, zaczął powolną wspinaczkę ku górze. Nie miał pojęcia, czy w wyniku wywołanej przez niego eksplozji słup się przesunął, zadarł, a może obsunął. Grunt, że ostatecznie zdołali precyzyjnie się przez otwór i wkrótce Michał mógł zaczerpnąć świeżego, wolnego od pyłu powietrza.

Gdy pociągnął chłopca w górę rumowiska, pod nimi rozległo się głuchoe tąpnięcie i nagle zwały cegieł i betonu ożyły. Zaczęły się zapadać, skręcając

niczym wir, a środek leja powolnie, ale bezlitośnie ściągał ich do siebie.

– Nie! Neeeeee! – ryknął Michał.

Przytrzymując Jurka, wściekle młócił gruz wolną ręką i nogami, jakby płynął przez wzburzone fale. Jego rozpaczliwa walka przyniosła skutek i w końcu dotarł z synem na szczyt rumowiska. Ciężko dysząc, rozejrzał się stamtąd po okolicy.

Po zabudowaniach lotniska nie było śladu, a cały pas startowy zasłany był szczątkami pojazdów, samolotów i gruzem. Dookoła – bliżej i w oddali – widać było setki pożarów, a słupy dymu gęsto znaczyły niebo, rozpalone zachodzącym słońcem. Uderzony nagle w tył głowy, Michał osunął się na gruzowisko. Zanim zemdleł, zdążył jeszcze zobaczyć postać nachylającą się nad Jurkiem i usłyszeć:

– Dzieciak długo nie pociągnie.

5.

Budził się wcześniej raz po raz, ale potem znowu zapadał w sen. Wreszcie Roman Gurski na dobre odzyskał przytomność. Rozejrzał się po pomieszczeniu oświetlonym jasnymi, jarzeniowymi lampami. Oprócz niego w sali leżało jeszcze dwóch nieprzytomnych mężczyzn. Drzwi się otworzyły i usłyszał głuchy odgłos kroków po metalowej powierzchni pociągniętej linoleum. Znał ten dźwięk. Kontener, pomyślał z zaskoczeniem. Jestem w kontenerze.

Nachyliła się nad nim kobieta o południowej urodzie z ciasno związanymi, czarnymi jak węgiel włosami.

– Do you speak english? – spytała z uśmiechem.

– Tak – odparł Roman, zdziwiony, że jego głos brzmi tak chrapliwie. Dopiero teraz przypomniał sobie ostatnie wydarzenia. Opuszczoną fabrykę amunicji i Sawickiego. Przed oczami stanął mu obraz ludzi z jego dawnego plutonu, którzy musieli się bezradnie przyglądać, jak go wieszają.

– Jak się pan czuje?

– Całkiem nieźle. Biorąc pod uwagę, że jestem martwy.

– Nie jest pan martwy.

– Poważnie? – wychrypiał Roman, a jego wzrok powędrował na bluzę polowego munduru, ciasno opinającego biust kobiety.

– Błagam, tylko bez tekstów, że musi pan być w niebie, bo właśnie spotkał anioła.

– Skąd pani wiedziała? – Uśmiechnął się i zaraz skrzywił, gdy poczuł pulsujący ból szyi. – To było tak oczywiste?

– Służę w Nurse Corps od ośmiu lat. Jak pan myśli, ile razy to słyszałam?

– Pewnie z tysiąc. To może: ma pani piękny uśmiech.

– Lepiej, ale ciągle daleko od listy zatytułowanej „oryginalność”.

Uśmiechnęła się delikatnie i zapisała coś na karcie pacjenta, a ten zauważył na prawym rękawie munduru amerykańską flagę.

– Mogę chociaż wiedzieć, kto się mną tak wspaniale zaopiekował?

– Porucznik Mary Lopez.

– Roman Gurski, miło mi poznać. Dziękuję.

– Naprawdę nie ma za co. I proszę się nie martwić, nic panu nie będzie.

Chciał odpowiedzieć, że wcale się nie martwi, ale nie zdążył. Porucznik Lopez znów się uśmiechnęła i wyszła z pomieszczenia, a do środka wszedł sierżant Jovan Lacević. Przystawił sobie taboret do łóżka Gurskiego i robiąc zboląłą minę, powiedział:

– Ja pierdolę. Ale nieszczęście...

– Co się stało? – Roman zaniepokoił się. – Coś z chłopakami?

– Nie, z nimi wszystko w porządku, ale ty znowu przeżyłeś. To znaczy, że dalej będziemy musieli znosić twoje chujowe poczucie humoru i marne dowodzenie.

– Nie sądziłem, że jesteś we mnie aż tak zakochany. – Gurski posłał mu buziaka. – Dowodzenie raczej należy do przeszłości. To prawda, co mówiła ta porucznik? Nie naderwało mi żadnych kręgów ani nic?

– Nie, bo nie zrzucili cię z wysokości, tylko zepchnęli. Mówią, że wtedy byś nie przeżył. Fajna dupa, co nie? Podobno jeśli dasz jej sto dolców, to zrobi...

– Błagam – parsknął Gurski i znowu poczuł ból szyi. – To, że właśnie uniknąłem śmierci przez powieszenie, nie znaczy, że dam się nabrać na taki

chamski numer.

– Warto było spróbować. – Jovan się wyszczerzył.

– Co z chłopakami?

– Wszyscy cali i zdrowi, relaksujemy się, korzystając z amerykańskich zapasów. W ciągu jednego dnia każdy chyba przybrał z pięć kilo.

– Dobra. To teraz mi powiedz, gdzie jesteśmy i dlaczego, do kurwy nędzy, ja ciągle żyję?

– Jesteśmy w bazie US Army w okolicach bydgoskiego Szwederowa. A ty konkretnie: w ich szpitalu polowym.

– Okej. A jak się tu znalazłem?

– Dyndałeś sobie wesoło, gdy do fabryki wpadło kilku rangersów. Spacyfikowali Sawickiego oraz jego chłoptasiów i bez zbędnych dyskusji postanowili przeciąć sznur. Nas przerzucili tu chinookiem, a ty miałeś prywatną taryfę, black hawka. Kurwa, fajnie, co? – Jovan znowu błysnął zębami. – Jak na filmach.

– Skąd oni się tam wzięli?

Zanim Lacević zdążył udzielić odpowiedzi, do środka wszedł niski, lekko siwiejący mężczyzna w amerykańskim mundurze polowym. Jovan wstał natychmiast i powiedział do Romana po angielsku:

– Pułkownik Rogers. To dzięki niemu możemy się cieszyć amerykańską gościnnością. – Następnie zwrócił się do tamtego: – Panie pułkowniku, kapitan Gurski, o którym rozmawialiśmy.

– Świetnie. Może nas pan zostawić samych?

– Oczywiście.

Jovan kiwnął głową i wyszedł bez słowa. Pułkownik odprowadził go spojrzeniem, a potem przeniósł je na Romana.

– Cieszę się, że odzyskał pan przytomność.

– Dzięki pańskim ludziom. Dziękuję.

– Muszę coś z panem zrobić, ale jeszcze nie do końca wiem co. – Pułkownik westchnął i usiadł na taborecie. – Wysyłam pluton swoich chłopaków, bo z satelity widzimy jakieś silosy między drzewami. No więc nie mamy pewności, czy to te zasrane iwany znowu czegoś nie wymyśliły. Moi chłopcy lądują na spadochronach, po czym informują mnie, że to tylko

stara, poniemiecka fabryka. A w niej jakaś dziwaczna egzekucja. Potrzebuje pan tłumacza, żeby mi to wyjaśnić?

– Nie trzeba, poradzę sobie – odparł Roman.

A potem streścił swoją historię. Założył, że pułkownik Rogers, jak większość wojskowych, nie jest miłośnikiem kwiecistych opisów. Dlatego przedstawił wszystko tak zwięźle, jak tylko się dało. Początek rosyjskiej inwazji i przebieg walk. Zwłaszcza akcje z udziałem Romana wywarły na oficerze dowodzącym trzecim batalionem rangerów duże wrażenie. Gurski przeszedł gładko do kapitulacji i swoich działań w FARBIE, polskiej organizacji podziemnej. Zakończył smutnym opisem szaleńczego planu wysadzenia Alexanderplatz w Berlinie i własnej odmowy wypełnienia tego rozkazu.

– I za to chcieli cię powiesić, żołnierzu? – spytał Amerykanin.

– Tak jest.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka próbował wtargnąć generał Sawicki, powstrzymywany przez dwóch rosyjskich amerykańskich żandarmów.

– Zostawcie mnie! – krzyczał Sawicki po angielsku. – Żądam natychmiastowej rozmowy z panem pułkownikiem!

Powstrzymujący generała podoficerowie nie bardzo wiedzieli, jak reagować na jego wściekłość. Wyraźnie nie chcieli go uszkodzić ani też wpuścić do środka. W końcu pułkownik Rogers wybawił ich z opresji, wydając rozkaz:

– Wpuście go.

Żandarmi posłusznie dali za wygraną, ale stanęli przy drzwiach, gotowi interweniować w potrzebie. Sawicki, purpurowy ze złości, podszedł do łóżka i wymierzył oskarżycielsko palec w Romana.

– Ten człowiek to zdrajca! Domagam się natychmiastowego dokończenia egzekucji. – Odwrócił się do Amerykanina. – Pan chyba wie, co to takiego sąd polowy?

– Owszem, wiem – odparł tamten spokojnie.

– U nas zdrajców się wiesza!

– W amerykańskiej armii ostatni zadyndał chyba jeszcze w latach sześćdziesiątych. Zdaje się gwałciciel. Czy to prawda, że ten oficer został

odznaczony za akcje, które przeprowadzono pod jego dowództwem?

– Tak, ale to ja sam nadałem mu te odznaczenia – wycedził z pogardą Sawicki. – Popełniłem błąd.

– Na pewno przyjrzymy się tej sprawie. Zapewniam pana. – Pułkownik Rogers skinął elegancko głową.

– Wyrok już zapadł. Z tego, co mi wiadomo, Polska jest jeszcze niepodległym krajem.

– Z tego, co mi wiadomo, w każdym szanującym się niepodległym kraju obowiązują jakieś reguły i możliwości odwołania się od wyroku. – Amerykański oficer cierpko się uśmiechnął. – A Polska jest obecnie teatrem działań wojennych, prowadzonych między innymi przez amerykańskie wojsko. Decyzję podejmie dowódca Siódmej Armii, generał Frank Edwards.

– Pan chyba kpi!?! – zapienił się Sawicki.

– Nie. I dobrze panu radzę, nie podnosić więcej głosu i przede wszystkim cieszyć się naszą gościnnością. Pan raczy wybaczyć, ale mam wrażenie, że w tej chwili jej nadużywa.

– A jak nie, to co?

– To spędzi pan noc w areszcie.

Pułkownik Rogers dał delikatnie znak żandarmom, a ci z szacunkiem, acz bardzo stanowczo wyprowadzili Sawickiego z pomieszczenia.

6.

Eksplozje. Wybuchy. Strzały. Huki. Grzmoty. Róża Popławska zdążyła się do nich dawno przyzwyczaić, ale również nauczyła rozróżniać ich poszczególne rodzaje. Na przykład wybuchy bomb lotniczych, poprzedzone różnymi gwizdami, nie były tak naprawdę niebezpieczne. To znaczy były, jeśli pocisk spadł blisko. Ale nie należało się tym na zapas przejmować, bo tak naprawdę to nie człowiek był celem.

Co innego eksplozje na powierzchni albo pożary. Te zawsze zwiastowały ogromne zagrożenie. Może rosyjskie wojsko. A może polskich maruderów i dezertersów. To mogli wreszcie być zwykli bandyci. Róża, sprawna, ale dość

uboga malarka, nie chciała mieć do czynienia z żadnymi z nich. Od początku wojny dwukrotnie ją obrabowano, pobito i trzy razy zgwałcono. Wiele się nauczyła w tym czasie i solidnie odrobiła lekcje. Dlatego, gdy tylko usłyszała potężny wybuch, natychmiast się ukryła z Helcią pomiędzy drzewami.

Ale teraz wiedziała już, że nic im nie grozi. Poznała po czarnych, gęstych słupach dymu. Widziała to już nie raz i nie dwa. Płonęła stacja benzynowa. Najwyraźniej znowu ktoś nieumiejętnie zabrał się za kradzież paliwa. To znaczyło, że kimkolwiek był, już nie stał im na drodze.

– Helcia, chodź. Możesz wyjść – powiedziała półgłosem.

Cisza. To była jedna z zasad, których się nauczyła podczas wędrówki. Nie wolno hałasować. Głośno się śmiać czy rozmawiać. Helcia wyszła na drogę, a Róża wyciągnęła z krzaków wózek sklepowy z ich dobytkiem. Wypchnęła go na drogę, a potem mechanicznym, nerwowym gestem wyciągnęła smar w sprayu i spryskała wszystkie kółka. Cisza.

Ruszyły drogą, obserwując uważnie okolice. Kątem oka Róża zauważyła, że Helcia zatrzymała się przy terenówce stojącej na poboczu.

– Mamo, tu ktoś jest – odezwała się spokojnie.

Róża spotkała tę dziesięcioletnią dziewczynkę pół roku wcześniej i długo musiała ją uczyć, aby nie okazywała emocji i nie podnosiła głosu ani nie krzyczała bez potrzeby. Początkowo nie chciała również, aby mówiła do niej „mamo”, ale w końcu dała za wygraną. Przecież Róża straciła dzieci, a Helcia rodziców. Jakie to miało znaczenie?

Podeszła do samochodu i zajrzała przez okno. Na tylnym siedzeniu leżała związana i zakneblowana kobieta. Rozpaczliwie próbowała zwrócić na siebie uwagę. Róży Popławskiej nie interesowało, kto uwięził w samochodzie tę kobietę. Wiedziała, co to znaczy. Niebezpieczeństwo.

– Chodźmy stąd. Szybko – powiedziała bez emocji i mocno złapała Helcię za rękę.

– Ale mamo – zaprotestowała cicho dziewczynka. – Musimy jej pomóc. Pewnie ktoś ją porwał.

Pewnie tak, pomyślała Róża. Ale gorsze, że może zaraz wrócić. A nas nie może już tu wtedy być.

– To nie nasza sprawa. My musimy przeżyć, rozumiesz? – Spojrzała uważnie na dziewczynkę.

– A co, jak to ciebie by ktoś porwał? Nie chciałabyś, żeby ktoś ci pomógł?

Pewnie, że by chciała. Ale przez te kilka miesięcy wojny rzadko się spotykała z wyciągniętą, pomocną dłonią. Tak naprawdę to nie doświadczyła serdeczności lub dobroci ani razu.

– Tak nie wolno. Sama mówiłaś, że trzeba być dobrym. Nawet gdy inni są źli.

– Masz rację. – Róży łzy napłynęły do oczu. Schyliła się i pocałowała Helcię w czoło. – Masz rację.

Zastukała delikatnie w szybę tylnych drzwi i powiedziała:

– Proszę pani, zaraz panią uwolnimy. Proszę zamknąć oczy i odwrócić twarz.

Zenon nie ucierpiał w wybuchu, ale od samochodu dzieliła go dość spora odległość. Po drodze zaszedł jeszcze do dwóch supermarketów, żeby sprawdzić, czy się w nich nie ostało coś do jedzenia. Niestety. W jednym nie było nawet pólek.

Gdy wrócił na drogę, stanął ze swoimi banknotami w rękach jak wryty. Przy terenówce stała siwa kobieta w dziwnym, połatanym płaszczu, a obok niej dziewczynka w czapce i kurtce za dużej o dwa rozmiary. Obie wyglądały jak obdartusy, a wrażenia dopełniał wózek sklepowy ze skromnym dobytkiem. Siwa, jak określił ją w myślach Zenon, zamachnęła się i rozbiła kamieniem szybę w tylnych drzwiach, a potem je otworzyła. Odstawił banknoty i podszedł po cichu do auta.

Kobieta zauważyła go w ostatniej chwili i drgnęła. Spokojnie sięgnął po pistolet. Nie chciał im robić krzywdy, tylko pogrozić bronią i poradzić, aby pilnowały swojego nosa. Reakcja siwej była jednak dla niego kompletnym zaskoczeniem. Po prostu się na niego rzuciła, drapiąc wściekle paznokciami po twarzy. Zenon odepchnął ją, ale w tym samym momencie doskoczyła dziewczynka, wbiła mu w udo paralizator i nacisnęła spust. Ciałem Zenona szarpnął gwałtowny skurcz i powalił go na ziemię.

Przez kilka sekund nie mógł się ruszać i ze zgrozą tylko obserwował, jak siwa wyciąga spod połatanego płaszcza sporych rozmiarów maczetę. Ta diablica mnie zabije! Odrąbie mi głowę, pomyślał z przerażeniem. Kątem oka zauważył, że dziewczynka szykuje się do kolejnego ataku paralizatorem. Zmusił mięśnie do wysiłku i wyprostował gwałtownie nogę, kopiąc dziecko prosto w twarz. Mała krzyknęła i się przewróciła, wypuszczając urządzenie z ręki, a kobieta zawyła z furją i zamachnęła się maczetą. Rzucił się po drodze jak wariat, ostrze raz po raz krzeszło na asfalcie iskry. Siwa młóciła nim z takim zapałem i taką energią, że Zenon nie mógł zmienić strategii, dopóki nie sturlał się z drogi na leżące gałęzie. Kobieta ponownie zamachnęła się maczetą i ostrze utkwilo w grubym konarze. To wystarczyło, aby Zenon zyskał chwilę i zerwał się na nogi. Jednak atakująca szybko odzyskała swoją broń i była znowu gotowa do walki.

– Helcia, uciekaj! – krzyknęła i rzuciła się na Zenona, jednak ten trzymał już pistolet w dłoni. Kula rozerwała czaszkę siwej i kobieta padła martwa na ziemię.

Zenon się rozejrzał i zobaczył, że mała ucieka. Szczerze wątpił, by po ostatnich walkach Amerykanów z Rosjanami w okolicy ktokolwiek pilnował choćby pozorów porządku. Struktury państwa na pewno nie odrodziły się tak szybko, więc nawet jeśliby kogoś spotkała, to i tak raczej nie powinni go ścigać. Postanowił jednak nie ryzykować. Klęknął ostrożnie na jedno kolano i złożył się do strzału. Wiedział, że w ten sposób pozbawi się całej amunicji, ale się nie wahał. Nacisnął spust i trafił uciekającą dziewczynkę w głowę. Potem podszedł szybko do terenówki i zajrzał na tylne siedzenie.

– Kurwa mać.

Po Danucie Wojnarowicz nie było śladu. Zenon szybko ukrył ocalały baniak z paliwem, a potem uważnie zbadał okolicę. Na poboczu po przeciwnej stronie drogi zauważył kilka okruchów hartowanego szkła. Natychmiast wyciągnął pistolet i ruszył w las. Co prawda nie miał już naboju, ale Danuta o tym nie wiedziała. Poza tym nie mogła uciec daleko, pomyślał. Moja walka z tą jebniętą siwą trwała krótko, a ona była dobrze związana.

Tak naprawdę zastanawiał się, co jej zrobić, odkąd udało mu się ją złapać na płycie katowickiego lotniska. Chciał zemsty, i to okrutnej, za to, co mu

zrobiła, ale żaden sposób jej uśmiercenia nie wydawał się wystarczająco spektakularny. Za to teraz, gdy po raz kolejny się wymknęła, poczuł gniew. Postanowił, że nie będzie się z nią dłużej pierdolić jak matka z łobuzem. Jak tylko ją znajdzie, od razu rozwali łeb.

Z takim planem w głowie pokonał gęsty las, by natrafić na wypalony wrak rosyjskiego myśliwca, leżący wśród połamanych drzew. Pod ostrą, osmaloną krawędzią oderwanego skrzydła znalazł sznury, którymi wcześniej skrępował Danutę. Najwyraźniej nie była już związana. W miękkim, błotnistym podłożu zostawiała za to wyraźne ślady. Ruszył jej tropem, trzymając pistolet przed sobą.

Po kilkuset metrach natknął się na zwłoki w stanie zaawansowanego rozkładu. Kombinezon oraz naszywka z dwugłowym orłem trzymającym śmigła pozwoliły mu się domyślić, że ma do czynienia z tym, co zostało z rosyjskiego pilota. Szybko obmacał śmierdzącego trupa w poszukiwaniu broni lub amunicji, ale nic nie znalazł. Kabura była pusta. Czy to znaczyło, że teraz to Danuta była uzbrojona? Zauważył również, że martwy pilot miał na sobie uprząż spadochronu, ale brakowało linek i czaszy. Na czubkach pobliskich drzew Zenon niczego takiego nie dostrzegł.

Ruszył dalej. Po niecałych dwóch minutach dotarł do niewielkiej polany z wysoką białą wieżą. Był kompletnie zaskoczony. Nie spodziewał się czegoś takiego w samym środku lasu. Zadarł głowę. Wieża miała ze czterdzieści metrów i wystawała wysoko ponad korony drzew. Na całej wysokości w smukłej bryle odznaczały się prostokątne okienka. W jednym z nich coś mignęło. Danuta!?

Puścił się biegiem do wieży i po chwili szarpnął drzwi z zielonym napisem „Lasy Państwowe. Nadleśnictwo Kobiór”. Spojrzał tylko przelotnie w górę i od razu zaczął się wspinać po metalowej drabinie. Co kilka metrów umieszczono podesty w kształcie koła bez ćwiartki. Tam Zenon musiał wskakiwać na kolejną drabinę i z łoskotem wspinał się dalej. Gdy tylko dotarł spocony na ostatni, wyciągnął broń i rozejrzał się po niewielkim przeszklonym pomieszczeniu. Co to, kurwa, jest, pomyślał. Latarnia?

Przez wąskie wyjście wy dostał się na balkon, otaczający szczyt wieży, i dostrzegł cienką linkę, znikającą za metalową barierką. Zrozumienie

sytuacji zajęło mu kilka sekund. Rzucił się do balustrady, żeby chwycić koniec linki, ale było za późno. Wychylił się przez poręcz i zobaczył, że Danuta podchodzi do drzwi. Wpadł z powrotem do środka wieży. Nie schodził ani nie zjeżdżał po drabinach. Po prostu skakał na kolejne podesty, powodując ogłuszający huk i wstrząsając całą konstrukcją. Dotarł na dół w kilka sekund i napał na żelazne drzwi, ale nic z tego, były już zablokowane.

– Do zobaczenia, braciszku! Mam nadzieję, że będziesz tu długo zdychać z głodu – usłyszał.

– Ty kurwo! – krzyknął, pryskając śliną. – Za to ja, jak cię dorwę, nigdy nie zabiję! Będziesz konać bez końca! Słyszysz?!

Odpowiedzią był tylko złośliwy śmiech Danuty. Zenon zaczął wściekle kopać i łomotać w metalowe drzwi. Na próżno. Był uwięziony.

7.

Wszyscy trochę się może dziwili, ale przede wszystkim byli zadowoleni. Spacerowicze i przechodnie obdarzali się uśmiechami i przyjaznymi spojrzeniami. Rzecz w rosyjskiej stolicy niespotykana. Trudno się było jednak temu dziwić, bo słupki termometrów w południe dobiły do dwudziestej kreski. W Moskwie, w pierwszej połowie kwietnia!

Natalia też była zadowolona, przechadzając się niespiesznie po okolicach placu Czerwonego. Smutny miał świetny pomysł z tym elementarzem, pomyślała. Spędziła cały dzień i część nocy, studiując rosyjskie litery. Leżeli razem w łóżku, a on jej pomagał. Nawet dała mu się kilka razy pocałować w bardziej namiętny sposób. Na szczęścia mama już wtedy spała, przynajmniej taką nadzieję miała Natalia.

Spacerując teraz po zatłoczonych ulicach, wiedziała już, że *кафе* to kawiarnia oraz w jakich godzinach serwują tam *ланч*, czyli lancz. *Антиквариат* to był antykwariat, a *подарки* rozszyfrowała jako „podarki”, a więc pewnie sklep z upominkami. *Продукты* to „produkty”, czyli pewnie spożywcza, pomyślała.

Oczywiście, ciągle rozumiała w większości tylko słowa podobne do polskich. Zaczynała płynnie czytać cyrylicę, ale tylko w wersji drukowanej. Gdy poprzedniego dnia Smutny odręcznie zapisał jej, co powinna kupić, z dużym trudem odczytała raptem dwa słowa. Litery pisane bardzo się różniły od drukowanych. Mimo wszystko nauka alfabetu sprawiała jej dużo przyjemności. W dodatku naprawdę zaczynało jej się tu podobać, choć mieszkali w ciasnej klitce, gdzie co rano trzeba było wylewać miskę piwa pełną karaluchów. Ale spacerowanie takie jak ten pozwalały jej zapomnieć o tych uciążliwościach. Moskwa to olbrzymie miasto. Nie można jej porównywać do Katowic, a nawet do Warszawy. Jeśli już, to raczej do Londynu albo Nowego Jorku. Czuła się tu o wiele lepiej niż w Irkucku, gdzie każdy wiedział, że jest obca. To miasto zawsze było pełne przyjezdnych, a po „zdradzieckim ataku amerykańskich faszystów”, jak zwykło się tu mawiać, pojawiło się niemało uciekinierów z zachodniej części kraju. Natalia wtapiała się w tłum, była niewidoczna. Bardzo jej to odpowiadało.

Pod pomnikiem, gdzie zazwyczaj spotykała się ze Smutnym, zaczepił ją pijak o czerwonej twarzy, krzyząc:

– *Diewuszka, ty znajesz, kto eto?! –* Mężczyzna ledwo się trzymał na nogach. – *Gieorgij Konstantinowicz Żukow! Wielikij geroj!*

Przechodnie odwracali głowy z zaciekawieniem, kwitując historyczną wiedzę pijanego pobłażliwymi uśmiechami. Natalia również się uśmiechnęła. W taką pogodę trudno się było gniewać.

Przysiadła na murku, zamykając oczy i wystawiając twarz do słońca, którego ciepłe promienie zalewały plac Maneżowy. Po kilku minutach ktoś przed nią stanął, rzucając cień. Poczowała na policzku muśnięcie ust.

– Cześć, śliczna – szepnął Smutny. – Myślałem o tobie.

– Ja o tobie też. – Otworzyła oczy i odwzajemniła uśmiech.

– Ćwiczyłaś słówka?

– Cały czas! Czy pan profesor mnie przepyta?

– Chętnie, ale w drodze do metra. Czas do pracy!

Natalia skinęła bez entuzjazmu głową i wstała, a Smutny chwycił ją za rękę i pociągnął w kierunku placu Rewolucji.

Nic nie trwa wiecznie, pomyślała ze smutkiem. Nie cierpiała tej pracy, ale z drugiej strony jakoś przecież trzeba było zarabiać. Musieli żyć.

– No, to dawaj – powiedział radośnie Smutny, otwierając małą książeczkę dla dzieci z obrazkami.

– Dom. Błagam, takie proste? – Roześmiała się głośno, a on przekładał powoli kolejne strony. – Kawa, pierogi, ciasto, zupa, herbata. Co to dzisiaj tak o jedzeniu?

– Aż się sam głodny robię. Takie mieli. – Wzruszył ramionami. – W domu mam dla ciebie maszyny budowlane. Krany i inne.

– Krany? – Natalia nie wiedziała, co ma wspólnego kran z maszynami, ale gdy Smutny pokazał jej mający w oddali dźwig, pojęła. – A, rozumiem, to trochę jak po angielsku, crane!

Gdy dotarli do stacji, zbiegli wśród tłumu po schodach, przeszli przez salę z szachownicową posadzką i po pokonaniu kolejnych schodów znaleźli się na peronie. Niecałą minutę później wsiedli do składu linii Zamoskworieckiej. Był oczywiście zatłoczony. Wojna czy nie, Moskwę odwiedzały tysiące turystów, ludzie z każdego zakątka imperium.

Wysiedli na trzeciej stacji i przemierzali ciasną i stosunkowo niską halę Dworca Białoruskiego. To właśnie tam kończyły bieg pociągi z uciekinierami z zachodu. Było ciasno i duszno, a ponad tłumem niosły się krzyki, śmiechy oraz odgłosy kłótni.

Natalia zauważyła kobietę w łachmanach, która na przemian klękała ze wzniesionymi do nieba rękami i wstawiała, by przejść kilka kroków. Dziewczyna szybko odwróciła wzrok. Nie spodobało jej się obłąkane spojrzenie wariatki, za bardzo przypominało to, które ostatnio widywała u matki. Wychodząc na zewnątrz, minęli dziwaczną scenę. Dwóch żołnierzy okładało się bez opamiętania pięściami, czemu z zainteresowaniem przyglądało się trzech policjantów, palących smętnie papierosy i niekwapiących się wcale do interwencji.

Natalia i Smutny przecięli aleję Leningradzką i wkrótce dotarli do niewielkiego skweru, nieopodal szerokiego parowu, którym biegły tory kolejowe. Właśnie ze względu na ten niewielki skrawek zieleni. Dworzec Białoruskij zyskał ostatnio alternatywną nazwę Bładorusskij, co swobodnie

można by było przełożyć na „ruska dziwka”. Podczas wojny, rewolucji i wszelkich innych historycznych zawirowań ceny z reguły wahają się w zależności od miejsca oraz aktualnej sytuacji. Jednak bieda i głód sprawiają, że jedna usługa niemal zawsze tanieje bez względu na szerokość geograficzną i rodzaj wojny. Seks.

Nie inaczej było i tym razem. Pomiędzy drzewami przechadzały się kobiety w różnym wieku i o najrozmaitszych typach urody. Każdą można było mieć praktycznie za bezcen.

– Zrób włosy – powiedział Smutny i cmoknął Natalię w nos, gdy zrobiła markotną minę. – No już, bez humorów.

Nie cierpiała tej fryzury, ale posłusznie związała włosy w dwa kucyki, dzięki którym wyglądała na o wiele młodszą, niż była w rzeczywistości.

– Powodzenia. Pamiętaj o czasie! – Smutny pocałował ją w usta i odszedł pospiesznie.

Natalia przycupnęła na połamanej ławce i zapatrzyła się z przerażeniem w ziemię. Smutny ją tego nauczył. Początkowo myślała, że lepiej zadziała mocny makijaż i wulgarne zachowanie, ale chłopak szybko wybił jej to z głowy. Większość dziewczyn ze skwerku miała tony fluidu na twarzach i wyginała się w prowokujących pozach. Zawsze patrzyły na Natalię z niechęcią, ale nigdy nikt jej nie zaczepił ani nie powiedział złego słowa. Domyślała się, że to sprawka Smutnego. Przecież musieli tu działać za czyjąś zgodą. Tego zdążyła się już w Rosji nauczyć. Nieważne, czy pozwolenie uzyskałeś od władzy legalnej, czy tej pokątnej. Jakies musiałeś mieć. A przede wszystkim – opłacić.

Kątem oka wyłowiła wśród przypadkowych z pozoru spacerowiczów mężczyznę, który się jej przyglądał. Spojrzała niby od niechcienia w bok i zlustrowała go wzrokiem. Był niski i lekko łysiejący, dobrze po pięćdziesiątce. Wąskie, niemal niewidoczne usta oraz szeroka twarz, przecięta okularami w grubej oprawie, nadawały mu niesympatyczny wygląd. Natalia uśmiechnęła się do niego skromnie, po czym znowu spuściła wzrok. Po chwili stał już obok. Gdy się odezwał, poczuła ostrą woń alkoholu, zmieszaną z potwornym smrodem jakiegoś tłuszczu.

– Cześć, maleńka. Jak masz na imię?

– Weronika. Ale możesz mi mówić Wera. – Natalia uniosła twarz, na której malowało się przerażenie.

– Co tu robisz?

– Przecież wiesz – odparła niechętnie.

– Robiłaś to już kiedyś?

– Nie. Nigdy.

Nie umiała stwierdzić, czy jej uwierzył, czy nie. Ale zauważyła zmianę w jego spojrzeniu, nerwowe drżenie ust i napięcie mięśni twarzy. Widywała to już nieraz u bywających tu mężczyzn. Podniecił się.

– Ile? – zapytał, rozglądając się nerwowo.

– Sześćset rubli. – Dokładnie tak, jak nauczył ją Smutny. Nie za tanio, nie za drogo.

– Mam tu niedaleko mieszkanie...

– Nie, znam miejsce.

Natalia wstała z ławki i wzięła mężczyznę za rękę. Jego dłoń była ciepła i spocona. Potem, ani razu nie oglądając się na niego, pociągnęła go w stronę torów. To było zawsze niesamowite. Dokładnie tak, jak powiedział Smutny: „Uwierz mi, Tasza, po prostu ich prowadź. Żaden nie zaprotestuje i pójdą za tobą niczym zbłąkane szczeniaki”. Miał rację.

Przeprowadziła mężczyznę przez dziurę w płocie i położyła się na plecach na kolejowym nasypie. Podwinęła spódnicę, odsłaniając białe majtki z nadrukowanym misiem trzymającym baloniki. To także był pomysł Smutnego. Od razu zobaczyła wypukłość, rosnącą w kroczu okularnika. Tego momentu naprawdę nie zносиła, ale przesunęła dłoń i odchyliła palcem majtki. Mężczyzna patrzył tam pożądliwie, nie widział już nic innego. Ani towarowego składu, przetaczającego się nad nimi z łoskotem, ani Smutnego, który zaszedł go od tyłu i znokautował silnym ciosem w tył głowy.

Chłopak złożył wprawnie teleskopową pałkę, a potem obszukał nieprzytomnego. Natalia wstała i obciągnęła spódnicę, bacznie obserwując Smutnego. Zawsze robiły na niej wrażenie jego zwinne palce. W kilka sekund mężczyzna ogołocony został ze wszystkiego, co przedstawiało jakąkolwiek wartość. Potem Smutny zarzucił go sobie na ramię, przeniósł do

samych torów i władował niczym worek kartofli na platformę jednego z wagonów. Gdy wrócił, chwycił Natalię za rękę.

– Szybko!

Podróż do domu była zawsze długa i męcząca. Wrócili do metra i pojechali na Czechowską. Tam złapali dziewiątkę, z której musieli się przesiąść na stacji końcowej do składu linii Butowskaja. Tym, po godzinie z okładem, dotarli do stacji Buninskaja Alleja. Stamtąd czekał ich już jedynie dziesięciominutowy spacer do domu.

Po drodze wstąpili do sklepu i zrobili szybkie zakupy. Gdy wreszcie weszli do mieszkania, Smutny zniknął w łazience, a Natalia zaczęła rozpakowywać sprawunki. Poczowała, że ktoś zagląda jej przez ramię do lodówki. Odwróciła się.

– O, cześć, mammo! Myślałam, że śpisz?

– Skąd macie pieniądze?

– Co?

– Nie udawaj! – Basia podniosła głos. – Dobrze wiesz, o co pytam.

– Pracujemy. – Natalii zadrżał głos. Ciągle była poniekąd dzieckiem i ostry ton matki sprawiał, że traciła pewność siebie.

– Niby gdzie?

– W mieście – wtrącił spokojnie Smutny.

Basia się odwróciła i przez chwilę obserwowała, jak ten zapina spodnie, a potem podchodzi leniwym krokiem do zlewu i myje ręce.

– Pytam się, gdzie?!

– Nie lubię, kiedy ktoś krzyczy. – Smutny się skrzywił, wycierając dłonie w ścierkę. – Fajnie by było, jakby wszyscy w tym domu coś robili.

– Słucham? – Basia zmarszczyła brwi.

– Tazsa nie dość, że ciężko w ciągu dnia pracuje, to jeszcze potem musi gotować i zmywać?

– Właśnie! – Natalia wyraźnie odzyskała rezon. – Może byś pomogła, a nie tylko cały dzień leżysz i pierdzisz w kołdrę!

– Jak śmiesz!?! – wydarła się Basia, a leżący na kanapie Piotruś głośno zapłakał. – Masz się mnie słuchać, rozumiesz?!

– Nie! Nie! Nie! – Natalia ze łzami w oczach wyszła z mieszkania i trzasnęła drzwiami.

Siedziała z papierosem na dachu, patrząc na kulę zachodzącego słońca nad blokowiskami Butowa. Zaciągnęła się mocno, ale gdy tylko usłyszała, że ktoś otwiera drzwi, zwyczajem nastolatków wyrzuciła w panice papierosa.

– Przede mną przecież nie musisz się kryć. – Smutny się roześmiał. – Chodź.

Wziął ją delikatnie za rękę i sprowadził piętro niżej. Otworzył kluczem drzwi i weszli do obszernego pomieszczenia pachnącego proszkiem do prania. Na licznych sznurach leniwie chygotały się prześcieradła, poszwy i ubrania. Byli w suszarni. Nabierające pomarańczowej barwy światło słoneczne wpadało tam przez wąskie, zabrudzone okienka. Natalia już po chwili poczuła spływający jej po plecach pot.

Smutny też się spocił. Ściągnął nasiąkający wilgocią podkoszulek i rzucił na ziemię. Natalia uświadomiła sobie, że dawno nie widziała fantazyjnych tatuaży zdobiących jego tors. Ostatnio chyba jeszcze w irkuckim szpitalu, kiedy się poznali. Objął ją i zaczął namiętnie całować. Nie protestowała, gdy delikatnie zsunął z niej spódnice. Zerwał ze sznura i rozpostarł na podłodze wilgotne prześcieradło, a potem ją na nim ułożył. Chciała zaprotestować, ale nie miała siły. Oddychała szybko i płytko, niemal słyszała mocno bijące serce. Pomogła Smutnemu uporać się ze swoją bluzką i ze stanikiem, a potem z jego spodniami.

Jednym ruchem ściągnął z niej majtki i po chwili poczuła napierającą, sztywną męskość. Natalia położyła mu dłoń na ramieniu i powstrzymała go łagodnie. Smutny się nieco odsunął i popatrzył jej w oczy.

– Nie chcesz? – spytał i pocałował ją delikatnie w usta. – Nie musimy. Mamy czas.

– Chcę. Tylko się boję, że będzie bolało.

Smutny pokiwał ze zrozumieniem głową, po czym poślinił obficie dłoń. Dziewczyna przymknęła oczy, czując, jak jego zwinne palce wślizgują się między jej uda. Po kilku minutach cofnął rękę, a Natalia uniosła głowę i zobaczyła, jak zakłada prezerwatywę. Potem bardzo delikatnie wszedł

w nią, a ona poczuła delikatny ból, który jednak szybko minął. Z każdym kolejnym ruchem było jej coraz przyjemniej.

Szczytowała dosyć krótko i po wszystkim stwierdziła, że to żadne fajerwerki. Tak naprawdę mogłaby śmiało powiedzieć, że o wiele przyjemniej było jej samej ze sobą. Otworzyła oczy i zobaczyła nachyloną nad nią twarz Smutnego. Uznała, że oczekuje pochwały, więc powiedziała:

- Było wspaniale.
- Coś ty, Tasza? Złodzieja chcesz oszukać? – Uśmiechnął się.
- Mówię prawdę. Skończyłeś?
- Nie.

Objęła go nogami, a on ponownie w nią wszedł i tym razem doprowadził do orgazmu siebie, jęcząc przy tym głośno. Potem położył się obok, a Natalia zerknęła ukradkiem na wilgotne prześcieradło. Nie było śladów krwi, choć tego się spodziewała, biorąc pod uwagę opowieści starszych koleżanek. Smutny wsunął do ust dwa papierosy, odpalił i podał jednego Natalii. Zaciągnęła się mocno, odszukała dłoń chłopaka i położyła ją na swojej piersi.

– Kocham cię – powiedziała i przymknęła oczy, bojąc się jego odpowiedzi.

- Ja ciebie też – usłyszała. Była szczęśliwa.

Pierwszą myślą po ocknięciu było to, że ma już dosyć takich przebudzeń. Michał Barański po raz kolejny w ciągu niecałej doby odzyskiwał przytomność z potężnym bólem głowy. Niewielką pociechę stanowił fakt, że tym razem usta i gardło nie były zapchane pyłem. W dodatku mógł oddychać powietrzem czystym i świeżym.

Słyszał monotony, gwizdzący szum. Gdy uniósł nieznacznie głowę, zorientował się, że leży na pace ciężarówki. Wydało mu się dość dziwne, że pojazd nie podskakiwał na nierównościach drogi. Musimy jechać po wyjątkowo gładkim asfalcie, pomyślał. Nad sobą widział rozgwieżdżone niebo, poprzątkane gdzieniegdzie cienkimi pasmami chmur. Wątpił, żeby bardzo się oddalili od śląskiej aglomeracji. Kiedyś taki widok byłby nie do pomyślenia, bo cały region był mocno zanieczyszczony światłem. Ale teraz

niebo przypominało to, które kiedyś miał okazję obserwować na bezkresnej egipskiej pustyni.

Uniósł się na łokciach, ale czyjaś dłoń powstrzymała go delikatnie. Obok siedziała postać ubrana na czarno. Kominiarka na twarzy, kamizelka kuloodporna oraz kałasznikow trzymany między nogami sprawiły, że Michał poczuł respekt i ułożył się płasko na dnie części załadunkowej. Odwrócił głowę w lewo i zobaczył Jurka, otulonego śpiworem. Ze zwałów pikowanego materiału wystawało tylko jego czoło. Michał dotknął go dłonią i stwierdził, że gorączka ciągle jest bardzo wysoka. Przy kabinie ciężarówki dostrzegł jeszcze dwie ubrane na czarno postacie, wbijające w niego poważne spojrzenia. Kim byli ci ludzie? Czego, do jasnej cholery, od niego chcieli?

Po kilkunastu minutach ciężarówka zwolniła i w końcu się zatrzymała z cichym zgrzytem hamulców. Dwie z postaci wyskoczyły na zewnątrz, a potem jedna z nich zabrała Jurka zawiniętego w śpiwór. Potem sprowadzono z pojazdu Michała i usadzono na kłodzie leżącej przy torach. Dopiero teraz zrozumiał, dlaczego nie było żadnych wybojów. Nie jechali ciężarówką, tylko motorową drezyną, która gładko toczyła się po torach. Z kabiny wysiadło jeszcze dwóch mężczyzn w czerni. W sumie było więc pięciu.

Jeden z zamaskowanych podał śpiącego Jurka Michałowi, a potem ustawił się przy nich z karabinem w rękach. Reszta porozumiewała się bez słów. Jeden podszedł do ściany lasu, mającej za gruntową drogą, i rozsunął umocowane na żyłkach gałęzie iglastych drzew. Po chwili rozjarzyły się światła cofania potężnej ciężarówki, która z rytmicznym popiskiwaniami podjechała do torów. W tym czasie dwóch innych, którzy wcześniej zniknęli w lesie, wróciło samochodami terenowymi. Gdy wysiedli, zaczęli przeładowywać z pomocą ostatniego mężczyzny przedmioty z drezyny do terenówek. Były to głównie karabiny i amunicja, a Michał szybko się domyślił, że pochodziły zapewne ze zbombardowanego lotniska, zarządzanego wcześniej przez najemników.

Kierowca ciężarówki wyskoczył z kabiny i wspiął się na pakę. Usiadł na niewielkim siedzeniu, wcisnął kilka przełączników, a z podwozia wysunęły się cztery potężne łapy, które opadły na ziemię, stabilizując pojazd. Po chwili

nad drezyną zawisło ramię dźwigu. Gdy trzech ludzi ją rozładowało, sprawnie umocowali stalowe liny, które na koniec zaczepili na haku dźwigu. Michał patrzył z wybałuszonymi oczami, jak drezyna sunie w górę, by spocząć bezpiecznie na pace ciężarówki. Odczepiono liny, kierowca złożył ramię i ukrył łapy z powrotem pod podwoziem. Po niecałych pięciu minutach ciężarówka z drezyną zniknęły już w lesie za sprytnym maskowaniem z gałęzi.

Jeden z mężczyzn, wyraźnie jeszcze zdyszany po wysiłku, ściągnął jednym ruchem kominiarkę z twarzy, a na jego ramionach rozsypały się ciemne długie włosy.

– Bracie Florianie! – krzyknął ze zgrozą jeden z zamaskowanych.

Tamten w odpowiedzi tylko machnął ręką, potem związał włosy w kucyk i założył okulary w cienkich drucianych oprawkach. Michał przyjrzał mu się w świetle reflektorów terenówek. Florian miał twarz inteligentnego człowieka o wyjątkowo szczerym i rozsądnym spojrzeniu.

– Przepraszam, że musieliśmy cię unieszkodliwić na chwilę. Ale nie wiedzieliśmy, kim jesteś – odezwał się mocnym, radiowym wręcz głosem.

– Rozumiem – burknął Michał.

– Myślę, że najlepiej by było, gdybyś pojechał z nami.

– Jestem więźniem?

– Nikt na tym świecie nie powinien być więźniem. Jesteś wolnym człowiekiem. I właśnie jako taki masz wybór. – Florian spojrział Michałowi w oczy i usiadł obok niego. – Przystąpienie do nas wiąże się z pewnymi warunkami.

– To znaczy?

– Tworzymy, nazwijmy to... – Długowłosy szukał odpowiedniego słowa. – Społeczność. Ale taką, w której wszyscy są równi. Jesteśmy braćmi i siostrami. Pracujemy dla wspólnego dobra. Jeśli zgodzisz się do nas przystać, jedzenia wam nie zabraknie. Myślę, że możemy też pomóc chłopcu. To twój syn?

– Tak.

– Najważniejszy warunek: naszą siedzibę opuszczamy tylko po to, żeby zdobyć żywność i inne potrzebne zapasy. Zgadzasz się na bycie naszym

bratem przez rok, równe dwanaście miesięcy. Jeśli potem będziesz chciał odejść, twoja wola. Ale nie możesz nas opuścić wcześniej.

– A co, jak wojna się skończy? I będzie znowu normalnie...

Florian przerwał mu krótkim parsknięciem.

– Nie żartuj. Wojna jeszcze długo się nie skończy.

Michał bił się z myślami, obserwując długowłosego mężczyznę o przyjaznym spojrzeniu i czterech pozostałych zamaskowanych. Z jednej strony widział dobrze zorganizowaną grupę, która właśnie zdobyła pokaźny arsenał. Z drugiej jakąś niezwykłą społeczność i nieomal bajkowe dwanaście miesięcy, które miał odpracować. Zerknął w dół, na Jurka. Krople potu błyszcząły na rozpalonym czole chłopca. Podjął decyzję.

– Zgadzam się.

– Jak chcesz się nazywać? Możesz przybrać dowolne imię. Twoje stare, tak samo jak nazwisko, nas nie interesuje.

– Michał – odparł odruchowo.

– Bracie Michale! – zawołał mocnym głosem Florian, wstając. – Tedy przystępujesz do nas na równe dwanaście miesięcy, nie mniej! Czy decyzję swą podjąłeś samodzielnie, bez jakiegokolwiek przymusu!?

– Tak – odpowiedział Michał. Uznał, że nie ma sensu wspominać, że jego obecna sytuacja była jednym wielkim przymusem.

– W takim razie brat Michał zostaje przyjęty do naszej wspólnoty! Są świadkowie tej decyzji?

Cztery postaci po kolei zrywały z głów kominiarki, recytując:

– Brat Andrzej jest świadkiem!

– Brat Feliks jest świadkiem!

– Brat Igor jest świadkiem!

– Brat Łukasz jest świadkiem!

Florian wyciągnął z kieszeni worek, uszyty z czarnego materiału, i wręczył go Michałowi.

– Wybacz, ale miejsce naszego schronienia nie może wyjść na jaw. Załóż to, proszę.

Michał wykonał polecenie i po chwili siedział z Jurkiem na tylnym siedzeniu terenówki. Kierowca wrzucił bieg i ruszył ostro, a samochód

zabujał się na wertepach leśnej drogi.

Rozdział II

1.

Słońce schowało się za potężną trybuną i obraz na gigantycznym telebimie za sceną stał się o wiele bardziej czytelny. Wirujące gwiazdki sformowały znajomy wzór. Gdy dołączyły do nich biało-czerwone pasy, układając się we flagę Stanów Zjednoczonych, nad stadionem rozległo się stłumione „wow” zachwytu. A kiedy zabrzmiały pierwsze takty piosenki, przeszło dwadzieścia tysięcy amerykańskich żołnierzy zgromadzonych na Arenie Lwów po prostu oszalało z radości.

Punktowy reflektor oświetlił postać na scenie i z głośników dobiegł czysty, melodyjny głos:

*We clawed, we chained, our hearts in vain
We jumped, never asking why
We kissed, I fell under your spell
A love no one could deny.*

Przeszło dwadzieścia tysięcy gardeł śpiewało razem z Miley Cyrus, a telebim za jej plecami wyświetlał obrazy z dalekiej Ameryki. Farmer na kombajnie, smukłe cheerleaderki podczas Dnia Niepodległości, Statua Wolności, nawet Neil Armstrong zeskakujący z lądownika na powierzchnię Księżyca.

Miley wykonała efektowne kopnięcie w powietrzu i przeszła do refrenu:

*I came in like a wrecking ball
I never hit so hard in love
All I wanted was to break your walls
All you ever did was wreck me
Yeah, you, you wreck me¹.*

Żołnierze stłoczeni na stadionie śpiewali dalej, a na ekranie pojawiały się amerykańskie czołgi, pociski balistyczne, myśliwce i samoloty bezzałogowe, a po nich kolejno uśmiechnięci żołnierze różnych formacji. Tłum zawył ze szczęścia, gdy wyświetlono zdjęcie symbol, które swego czasu zrobiło światową karierę. Amerykański G.I. w różowych bokserkach „kocham NJ”. Wyrwany ze snu, nie zdążył założyć spodni, a mimo to w kamizelce taktycznej i hełmie ostrzeliwał talibów w górskich rejonach Afganistanu.

Miley skończyła utwór, scenę zalało ostre światło reflektorów, a tłum zaczął wiwatować. Okrzyki przerodziły się w ogłuszający ryk, gdy wybiegł na nią Dwayne „The Rock” Johnson. Jego potężną klatkę piersiową opinała koszulka bez rękawów z nadrukowana flagą USA. Przygarnął do siebie piosenkarkę masywnym wytatuowanym ramieniem, chwycił mikrofon i krzyknął:

– *God bless our troops in Ukraine!*

Odpowiedział mu prawdziwy grzmot, przelewający się po całym stadionie.

– Dzielne dziewczyny i dzielni chłopcy! Mam do was jedną prośbę! – Dwayne Johnson błysnął swoim firmowym uśmiechem i napiął monstrualne bicepsy. – Bądźcie jak w piosence Miley! Bądźcie jak kula burząca! Rozwalajcie ściany i kasujcie Iwanów! Błagam was! *They started that shit!*

Na stadionie zapanowało totalne szaleństwo. Dwayne Johnson wysunął klatkę piersiową, a napinane na przemian mięśnie zatrzepotały flagą nadrukowaną na koszulce. Popularny aktor, w przeszłości zapaśnik, znów uniósł mikrofon i po chwili po okolicy rozniosło się gromkie, zaintonowane przez niego:

– USA! USA! USA! USA! USA!

Niecałe dziesięć kilometrów dalej, na lwowskiej starówce, kawiarnia Cukiernia świeciła pustkami. Właściciele nie przestraszyli się ostatnich walk, które zresztą cały Lwów przetrwał całkiem dobrze, i dotąd lokal był czynny tak jak zawsze. Jednak wobec argumentów Secret Service i innych amerykańskich służb musieli skapitulować.

Obecnie jedynym gościem kawiarni był generał Benjamin Donahew, piastujący najwyższe stanowisko wojskowe w Siłach Zbrojnych USA, a mianowicie Przewodniczącego Kolegium Połączonych Szefów Sztabów. Ubrany w wyjściowy mundur, szczupły i lekko siwiejący oficer siedział przy stoliku w kącie i mieszał energicznie swoje cappuccino łyżeczką. Gdy tylko

zobaczył wchodzącego, podniósł się z miejsca, włożył czapkę i zasalutował elegancko.

– Panie prezydencie!

– Daj spokój, Ben. – Mike Pence uściskał go serdecznie i zajął miejsce naprzeciwko. – Zamówiłeś coś więcej?

– No coś ty, czekałem na ciebie.

Przez dłuższą chwilę obaj studiowali menu przyniesione przez kelnerkę, w końcu prezydent przerwał milczenie:

– Poproszę tort Nostalgia i czarną bez cukru.

– A dla mnie będzie napoleonka – zaordynował generał.

Kelnerka odeszła, a obaj panowie popatrzyli na siebie, po czym wybuchnęli śmiechem.

– Ben, nostalgia za Napoleonem ci się włączyła?

– Za wysokie progi na moje skromne, wojskowe nogi.

– Już nie bądź taki wstydlivy! – Mike Pence był w doskonałym humorze.

– Niecały tydzień operacji, a my już odzyskaliśmy Polskę, Litwę, Łotwę i pijemy kawusie we Lwowie. To nie było kiedyś polskie miasto?

– Ciii... – Choć byli w kawiarni sami, generał trwożliwie się rozejrzył. – Ostrożnie tu z takimi sprawami. Ukraińcy są trochę przewrażliwieni. Polacy zresztą też. W ogóle, kurwa, w tej wschodniej Europie wszyscy żyją przeszłością.

– Ale z nas pedały.

– Co? – Donahew zrobił zaskoczoną minę.

Prezydent przywołał gestem kelnerkę i powiedział:

– Dwa razy Jack Daniel's na lodzie. – Kelnerka skinęła głową, a on znów zwrócił się do generała: – Chyba nie będziemy wznosić zwycięskich toastów torcikiem i kawą?

– Do zwycięstwa jeszcze daleko – mruknął tamten. – Są punkty oporu na terenie Polski, a także na zachodniej Ukrainie. Poza tym do Moskwy daleko...

– Dobra, dobra. Wiem, że się musisz zabezpieczyć, ale skoro poszło nam tak gładko na początku, to teraz też powinno być z górki.

Kelnerka podała kawę, ciastka oraz dwie szklanki z lodem i whiskey. Prezydent podziękował jej serdecznym uśmiechem, po czym powiedział do generała:

– Zobaczysz, będą cię wymieniać jednym tchem z Eisenhowerem.

– Chyba raczej ciebie. – Przewodniczący kolegium się roześmiał. – Pamiętaj, że musiałbym zostać prezydentem, żeby moje nazwisko

wymalowali na burcie lotniskowca.

– Jak to? A USS „Enterprise”?

– No tak, zapomniałem! Mogę jeszcze zostać kapitanem Spockiem.

– Komandorem! – Mike Pence z groźną miną upomniał generała, po czym obaj wybuchnęli śmiechem. Prezydent wznosił szklanke. – Za zwycięstwo!

– Za zwycięstwo!

Obaj wypili, a potem zabrali się do ciastek.

– Zajebiste – powiedział z pełnymi ustami Donahew.

– W rzeczy samej.

– Będiesz dzisiaj wieczorem? – spytał generał, a gdy prezydent skinął głową, dodał: – Dasz czadu. Ludzie się ucieszą z twojej wizyty.

– Trudno będzie mi przebić Miley Cyrus. – Mike Pence smutno się uśmiechnął i wychylił whiskey do końca. – Ale próbować zawsze można.

W przeciwieństwie do Lwowa na Wyspie Wniebowstąpienia pozostały jeszcze dwie godziny do zachodu słońca. Mimo to Andriej Dratenkow musiał być prowadzony przez dwóch barczystych rosyjskich spadochroniarzy. Miał na oczach grubą przepaskę. Zawsze był wrażliwy na ludzkie nieszczęście i nie cierpiał krwi. Dlatego poprosił o ten niecodzienny środek zapobiegawczy. Wiedział, że lotnisko na wyspie, leżącej w połowie drogi między Afryką a Ameryką Południową, jest zasłane trupami. Wszyscy musieli zginąć, aby oni mieli choć trochę czasu na działanie.

Co jakiś czas kierowano go w prawą lub lewą stronę, w pewnym momencie poczuł chłodne, przepuszczone przez klimatyzator powietrze i domyślił się, że są już w budynku. Opaskę zdjęto mu jednak dopiero wtedy, gdy usiadł w biurowym fotelu. Zamrugał, przyzwyczajając się do światła, i zobaczył przed sobą ekran komputera. Obok Andrieja stał Walerij, dowódca oddziału specnazu, który opanował wyspę. Ubrojony po zęby, spojrzał na Dratenkova bladoniebieskimi oczami i powiedział:

– Masz pięć minut.

Dobre sobie, parsknął ten w duchu. Sto sekund, tyle właśnie potrzebuję, żeby się z tym uporać, w końcu przygotowywałem się ponad trzy lata. Palce Andrieja zatańczyły na klawiaturze. W takich chwilach naprawdę czuł się jak geniusz, wirtuoz komputerowego fortepianu, i aż szkoda, że nie mógł być podziwiany przez ludzkość na równi z innymi ponadprzeciętnymi talentami. Choć jego praca zapewne wpłynie na losy świata.

Kto by pomyślał, że to właśnie on odegra taką rolę? Wychowany w Magnitogorsku, nijakim, przemysłowym mieście, zasnutym dymem z kominów kombinatu metalurgicznego. Jego matka Alisa była nauczycielką WF-u, a ojciec Siergiej pracował w kombinacie. Oboje widzieli dla niego jedną ścieżkę kariery: Miedalurg Magnitogorsk, klub hokejowy. Od najmłodszych lat, gdy tylko otwierano lodowisko, mały Andriej zmuszany był niemal przemocą do stawiania pierwszych kroków na lodzie. Choć jego pociągało coś zupełnie innego. Programowanie, kody źródłowe, komputery, internet. Ale dla ojca każdy, kto się interesował informatyką, był po prostu „ciotą bez jaj”.

Gdy miał zaledwie trzynaście lat, skumał się w sieci z dwoma hakerami i trochę namieszał na rządowych stronach. Niestety wtedy nie był jeszcze biegły w zacieraniu swoich śladów i wkrótce potem do jego drzwi zastukała policja. „Zastukała do drzwi” to może jednak nie najtrafniejsze określenie. Zgarnięto go dyskretnie podczas powrotu ze szkoły, aby rodzice o niczym się nie dowiedzieli. Na posterunku czekał już na niego bezbarwny człowiek w beżowym garniturze. FSB!

Od tamtej pory działał na zlecenie rządu za naprawdę grube, jak na chłopaka z Magnitogorska, pieniądze. Niestety brakowało mu pięciu lat do pełnoletności, a Siergiej z uporem maniaka ciągle próbował zrobić z niego hokeistę. Dochodziło do kłótni i awantur. Podczas jednej z nich ojciec wyrzucił komputer Andrieja przez okno. Chłopak poskarżył się mocodawcom z Moskwy. Następnego dnia wystraszony ojciec wrócił z pracy z nowiutkim komputerem pod pachą, ale nie zamienił już z synem ani jednego słowa, od czasu do czasu patrzył tylko spode łba. Biedny frajer, pomyślał ze złością dwudziestoletni informatyk. I co teraz, chuju!? Andriej Siergiejewicz Dratenkow zmienia dzieje ludzkości. Tu i teraz!

Skończył kod i wcisnął gniewnie „enter”.

– Gotowe.

Saïd Elbaz nie miał już siły nawet na gniew czy wściekłość. Był po prostu kompletnie załamany. Wiedział, że z każdą chwilą, którą spędzał wpatrzony tępo w deskę rozdzielczą, traci cenne sekundy, zamieniające się w eurocenty. Tamte składają się w minuty, które z kolei teoretycznie mogłyby się przekształcić w euro. Wiedział, że musi wyciągnąć rękę, przekręcić kluczyk i odpalić silnik. Ale nie miał siły.

To wszystko jest absolutnie bez sensu, pomyślał, pocierając bezsilnie gęstą brodę. Tyle wysiłku i wszystko na marne. Przez głowę w jednej sekundzie przeleciała mu długa podróż do francuskiej stolicy. Pałace słońce Za'atari, tymczasowe namioty i kontenery jordańskiego obozu dla uchodźców. Piekło na ziemi. Spędził tam ponad pół roku, aż w końcu udało mu się skontaktować z wujkiem. Dżamal wyemigrował do Francji jeszcze w latach siedemdziesiątych. Obiecał, że znajdzie Saïdowi jakąś robotę, ale nie mógł mu pomóc w przedostaniu się do Paryża.

Do Za'atari regularnie docierała pomoc z Zachodu. Pewnego dnia Holendrzy przysłali im dziesięć tysięcy rowerów. Ludzie byli wściekli, złorzeczyli i pytali, jak do kurwy nędzy można zjeść rower. Mimo to dosyć szybko rozeszły się wśród uchodźców, którzy jeździli na nich po obozie, przekształcającym się powoli w regularne miasto. Saïd też stał się szczęśliwym posiadaczem takiego pojazdu. Musiał nawet za niego zapłacić jak za dziecko, podczas podróży pontonem z Jordanii na Krete. Na początku wszyscy byli wściekli, bo rower zajmował sporo miejsca i ciągle ktoś się o niego potykał. Na szczęście w nocy dopadł ich sztorm i połowa ludzi wypadła za burzę, topiąc się w morzu. Gdy wzeszło słońce, rower już nikomu nie przeszkadzał.

Gdy dostał się na kontynentalną Grecję, ruszył rowerem przez Bułgarię i Rumunię, w trasę mierzącą dwa tysiące kilometrów. Nie było najgorzej, bo w porcie w Pireusie zerwał plakat z prośbą o pomoc dla chorego chłopca. Zafoliował zdjęcie i przykleił sobie na plecaku. Mówił ludziom, że jedzie na rowerze z Turcji do Lizbony, aby zdobyć pieniądze dla bratanka. Większość napotkanych nie traktowała go jak uchodźcy i pomagała, karmiąc i przekazując mu drobne datki.

Rower sprzedał w Budapeszcie, ciesząc się niesamowicie na myśl o podróży pociągiem. Nogi miał jak z kamienia po dwutygodniowym pedałowaniu, schudł w tym czasie o piętnaście kilogramów. Niestety węgierskie władze wypowiedziały wojnę uchodźcom podróżującym przez ich kraj i zdecydowały o zamknięciu dworca Keleti. Resztę drogi musiał więc przebyć pieszo. Nawet nie próbował łapać stopa, bo wszędzie spotykał się z wrogością. Końcówkę pieniędzy przeznaczył na skromne posiłki podczas wędrówki. Te kolejne trzy tygodnie i tysiąc pięćset kilometrów na piechotę kosztowały go następne kilogramy. Gdy w końcu dotarł do Paryża, ważył niecałe pięćdziesiąt. Wuj Dżamal nie powiedział ani słowa, gdy go zobaczył. Po prostu objął bratanka i się rozplakał.

Gdy zdobył posadę kurierską, Saïd poczuł się jak król świata. Zaczął normalnie jeść, przybierać na wadze i pracować. Czternaście, szesnaście, osiemnaście godzin na dobę. Nieważne! Czuł, że sukces ma w zasięgu ręki. Wiedział, że może się dorobić. A teraz? Rok spędzony w kanciapie w Saint-Denis był niczym kubeł zimnej wody. Z rana wylanie miski piwa z potopionymi karaluchami. Potem dwugodzinna podróż do bazy po furgonetkę. I cel. Cel, który trzeba było wyrobić, aby otrzymać premię. Dwieście osiemdziesiąt paczek podczas dwunastogodzinnej zmiany! Dwadzieścia trzy przecinek trzy paczki w godzinę! Jedna w niecałe trzy minuty! W zatłoczonym Paryżu to było nierealne.

Dlatego popadł w otępienie. Wiedział, że jakkolwiek by się starał, jest przegrany na starcie. Karty we francuskim społeczeństwie zostały dawno rozdane. Mało tego, były znaczone, a Saïd nie siedział nawet przy stoliku. Czekał z brudną szmatą w kiblu, aż gracze odwiedzą ten przybytek i będzie można po nich posprzątać.

– Przestań się nad sobą użalać – powiedział do siebie po arabsku. – *Inszallah*.

Włączył silnik i wystukał adres na GPS-ie przymocowanym do deski. Długo czekał, ale urządzenie nie mogło złapać sygnału z satelity. Zrestartował je trzykrotnie, ale to nic nie dało. Stracił niemal pół godziny, a wciąż był jak ślepy! Przez rok za kierownicą kurierskiej furgonetki nie nauczył się dobrze topografii, bo ciągle korzystał z GPS-u! Jak mam dostarczać te cholerne przesyłki, pomyślał w panice. Jego poprzednie troski wyblakły niczym dziecięce marzenia, teraz w głowie miał tylko jedno. Wywalą go z roboty! Nie! Nie!

W końcu stracił panowanie nad sobą, wyszarpnął nawigację z zatrzasków, otworzył drzwi i wyskoczył na zewnątrz, by rozbić ją na asfalcie i poprawić butem. Jakiś samochód zahamował gwałtownie i zatrąbił przeciągle. W odpowiedzi Saïd wystawił środkowy palec i dalej się znęcał nad urządzeniem. Dopiero gdy usłyszał, że otwierają się drzwi, zerknął na ulicę.

Biały pięciodrzwiowy peugeot z biegnącym w poprzek maski napisem „police nationale”. Dwóch policjantów, też białych. Niedobrze. Saïd Elbaz już wiedział, co trzeba zrobić. Skulił się przy kole swojej furgonetki, a wepchniętą między kolana głowę zakrył rękoma. Zanim spadły pierwsze ciosy pałką, usłyszał jeszcze groźne warknięcie:

– Ty jebana małpo z Afryki! Będiesz nam tu, kurwa, śmiecić?!

Uwielbiał ten moment, kiedy po godzinie biegu odpalał mu się jakiś ukryty, drugi silnik. Mógł wtedy biec jeszcze dłużej, aż do chwili dotarcia, jak to mawiają biegacze, do ściany, czyli kompletnego odcięcia sił i energii. James Bradford z kancelarii Bradford & Chilton & Winslow miał tego dnia wolne i dlatego mógł sobie pozwolić na trening przed trzecią po południu. Piękne, jasne, kwietniowe słońce rozświetlało alejki i drzewa Central Parku. Jednak James nie był tego dnia w humorze.

Przede wszystkim pokłócił się z żoną. Który to już raz w ciągu ostatniego roku? On miał pięćdziesiąt dwa lata, ona dwadzieścia sześć. Poznał ją na jakimś bankiecie, na którym pracowała jako hostessa. Pierwsze dwa lata były sielanką, po ślubie osiągnęli coś na kształt rajy na ziemi. Ale ostatni rok był porażką. Kłócili się praktycznie o wszystko. Najbardziej go denerwowało, że Amanda całymi dniami przesiaduje w apartamencie przy Park Avenue i nie robi właściwie nic! Gdy ją poznał, miała jakieś zainteresowania, a teraz jej jedyną rozrywką było przeglądanie Facebooka.

Zachowuje się jak utrzymanka bogatego prawnika, pomyślał ze zgrozą. Zerknął na zegarek. Tempo nie było złe, ale powinien je trochę podkręcić. Przyspieszył, a mały, mijany właśnie foksterier zaczął ujadać i rzucił mu się na nogi.

– Och, mój Boże, przepraszam – zawołała właścicielka psa.

Wściekły James Bradford pokazał leciwej damie środkowy palec i krzyknął:

– Trzymaj tego zasranego kundla na smyczy, głupia babo!

Ta zastygła w szoku i długo patrzyła zniesmaczona za oddalającym się prawnikiem.

Co mnie ugryzło, do jasnej cholery, zganiał się w myślach. To było do niego niepodobne. Gdy skręcił w prawo i pobiegł brzegiem zbiornika Jackie Kennedy Onassis, uświadomił sobie powód swojego rozdrażnienia. Dzień wcześniej otrzymał list z klubu golfowego Piping Rock. Mimo wysokiej pozycji w nowojorskiej hierarchii starał się o członkostwo przez osiem długich lat, a cieszył nim dopiero półtora roku.

Pole mieściło się w Locust Valley. W każdym z czterech klubowych barów panowały inne zasady dotyczące ubioru, a po osiemnastej marynarki były absolutnie obowiązkowe. To właśnie do tego klubu należała między innymi Jackie Kennedy Onassis, a zagrać tam można było jedynie z polecenia któregoś członka.

W liście poinformowano Bradforda o zmianie jego miejsca przy stole podczas corocznych świątecznych kolacji. Do tej pory siedział nieopodal zabytkowego zegara, przy oknie ze wspaniałym widokiem na lasy przecięte Bobrzym Potokiem. A teraz!? Został przeniesiony na południowy koniec stołu, zaraz obok kibli! Czy chcieli w ten sposób dać mu coś do zrozumienia? Z tego powodu nie zmrużył oka przez niemal całą noc.

Te same rozterki towarzyszyły mu podczas dalszego biegania. Gdy w końcu wpadł do recepcji apartamentowca przy Park Avenue, był potwornie zmęczony, ale niebywale zadowolony. Pobił swój życiowy rekord! Zamierzał wrzucić zaraz zapis trasy na Facebooka i przez resztę dnia cieszyć się pochwałami od znajomych. Tak, taka wizja zdecydowanie poprawiała mu humor.

– Jak się pan dzisiaj miewa, panie Bradford? – Recepcjonista Terry skłonił głowę z lekkim uśmiechem, ale adwokat minął go bez słowa.

Jak zawsze od dnia, w którym Terry zapomniał wstać, gdy on przechodził obok jego stanowiska. James złożył nawet wizytę w zarządzie budynku, ale prezes uznał, że nagana będzie w zupełności wystarczająca, a zwolnienie Terry’ego byłoby przesadą. Jebani parweniusze, pomyślał Bradford, wsiadając do windy. Z zadowoleniem przyjrzał się sobie w lustrze. Był szczupły i ważył już poniżej siedemdziesięciu pięciu kilogramów. Uzyskał idealne BMI, zgodne z zaleceniami swojego dietetyka.

Wszedł do mieszkania i od razu skierował się do gabinetu. Wyciągnął iPhone’a z kieszeni przyklejonej do ramienia i podłączył do laptopa. Gdy tylko spostrzegł, że telefon nie zarejestrował trasy, wpadł we wściekłość. Całe napięcie z kilku poprzednich dni skumulowało się i przerwało tamę. Zaczął tłuc bez opamiętania w klawiaturę, krzycząc:

– Kurwa! Kurwa! Kurwa! Kurważ w dupę jebana mać!

Amanda, zaniepokojona hałasami, stanęła w progu i spytała:

– Co ty wyrabiasz?

– Pierdolony jebaniec nie zarejestrował mojej trasy! Nie ma GPS-u! Akurat dzisiaj, kiedy pobiłem życiówkę!

– Och, nasz biedny James. Jego telefonik nie zadziałał, więc trzeba robić awanturę na całą Upper East Side. Jesteś żałosny.

Nie kontrolował się. W ogóle o tym nie myślał. Za dużo było tego wszystkiego. Wczorajszy list przynoszący go pod kibel i teraz jeszcze ta durna suka! Doskoczył do Amandy i z całej siły uderzył ją w twarz. Zaraz potem przeraził się śmiertelnie i cofnął pod ścianę. Przerazenie przerodziło się

w zdziwienie, gdy Amanda podniosła się i odgarnęła włosy, odsłaniając szeroki uśmiech. Podeszła do komody i odczepiła coś małego z dyndającym kablem.

– Co to takiego?

– Kamera. – Roześmiała się i pocałowała go w usta. – To będzie dla ciebie kurewsko drogie rozstanie, mój drogi!

Porucznik William McKay dzielił dzień po ostrym chlaniu na kilka faz. Pierwsza po przebudzeniu była kolażem poszatkowanych wspomnień oraz dobrego mimo wszystko humoru. Stopniowo przypominał sobie, że narzygał komuś na buty i wyleciał z kolejnego kasyna, do którego będzie miał odtąd dożywotni zakaz wstępu. Ale ciągle był w dobrym nastroju. Taki rozwój wydarzeń tłumaczył sobie swoją żywiołową osobowością i pocieszał się tym, że w Las Vegas jest przecież mnóstwo kasyn.

Druga faza, przypadająca na wczesne popołudnie, charakteryzowała się już gorszym humorem i powolnym trzeźwieniem, co u każdego chyba wiąże się z mniejszymi lub większymi dolegliwościami. Tę akurat przespał. Za najgorszą uważał jednak fazę wieczorną, kiedy w poprzedniej nocy człowiek nie widział już niczego wesołego i jedyne, co mu pozostawało, to wstyd i dręczące poczucie winy. Właśnie na tę najgorszą fazę przypadła jego służba.

Siedział przy konsoli, obserwując wskaźniki stanu bojowego drona MQ-9 Reaper, latającego gdzieś na granicy polsko-ukraińskiej. Problemy McKaya z piciem, bo chyba tak to należało już nazwać, rozpoczęły się właściwie wraz ze służbą w Bazie Sił Powietrznych Nellis na przedmieściach Las Vegas. Siedział sobie w klimatyzowanym kontenerze, chroniącym go przed prażącym słońcem Nevady, tysiące kilometrów od miejsca operowania bezzałogowego reopera. A jednak nieustannie mordował. I mimo że on tylko wciskał guzik, bardzo to przeżywał. Myślał, że może będzie inaczej, kiedy przerzucą ich maszyny do Europy i w końcu przestaną wybijać bezbronnych Arabów, a zaczną strzelać do Rosjan, którzy wywołali kolejną wojnę. Nic z tego. Ciągle dręczyły go wyrzuty sumienia, które musiał topić w hektolitrach alkoholu.

Dlatego tym razem pierwsza godzina od rozpoczęcia służby była dla niego niczym tymczasowe wybawienie. Nie działały nadajniki GPS i cała flota bezzałogowych samolotów została uziemiona. Awaria tak się przeciągała, że ich przełożony – straszny sztywniak, major Higgins – poszedł do dowództwa, aby dowiedzieć się, jak długo może jeszcze potrwać.

Po kwadransie otworzył z łoskotem drzwi kontenera.

– Jesteśmy w dupie!

– Co? – Porucznik McKay był zaskoczony. Jego dowódca zazwyczaj nie używał takiego słownictwa.

– Nie ma GPS-u.

– A kiedy będzie?

– Nie ma! W ogóle nie będzie! Nie sygnału w naszych samolotach, statkach. Kurwa, Billy! Nie ma go nawet w naszych telefonach!

– To niemożliwe.

Mi-38T kołysał się łagodnie w powietrzu, lecąc na wschód. Plan zakładał, że wszyscy biorący udział w operacji na Wyspie Wniebowstąpienia zostaną przetransportowani czterema helikopterami na rosyjski tankowiec Moskowskij Uniwersitet, a z niego czekał ich niedługi lot do bezpiecznego portu w Luandzie. Rosja miała w Angoli kontakty i wpływy jeszcze z czasów radzieckich.

Siedzącego przy oknie Andrieja Dratenkowa rozpierała duma. Amerykański GPS, europejski Galileo, francuski Doris i chiński Beidou. Wszystkie te systemy nawigacji satelitarnej stały się właśnie bezużyteczne. A to za sprawą złośliwego oprogramowania, które wpuścił do komputera na wyspie. Na tym małym skrawku lądu mieściła się jedna z pięciu baz monitorowania systemu GPS, a kod Andrieja, niczym nowotwór, zaczął się mnożyć, unieszkodliwiając pozostałe systemy. Poza jednym rzecz jasna. Rosyjskim GLONASS-em.

Młody haker musiał przyznać w duchu, że car Władimir I był geniuszem. Cały pomysł wymyślono podobno jeszcze w latach osiemdziesiątych, kiedy systemy nawigacji satelitarnej były w powijakach, za to po orbicie ziemskiej krążyły już wyniesione tam przez człowieka obiekty. W latach dziewięćdziesiątych projekt zarzucono, ale Władimir Putin reaktywował go, gdy tylko został po raz pierwszy prezydentem w 2000 roku. Przez te kilkanaście lat pracowano w pocie czoła, aby połączyć zachodnie systemy nawigacji satelitarnej tak, by możliwe było ich uszkodzenie. Paradoksalnie pomysłowi zaczęła sprzyjać nowoczesna technologia i fakt, że w nowoczesnych satelitach co jakiś czas musiano wgrywać najnowsze oprogramowanie. Cały projekt pochłonął olbrzymie nakłady. Ale się opłaciło. Drogie zabawki zachodnich wojsk zostały pozbawione w ten sposób oczu. Andriej miał w zamian otrzymać sto milionów dolarów i zupełnie nową tożsamość. Zerknął na zegarek. Za dwie doby będę nowym człowiekiem z furą pieniędzy, pomyślał z zadowoleniem.

Nie wiedzieć czemu, znowu wspomniał ojca. Biedny Siergiej, pomyślał z przekąsem, pewnie ciągle tkwi w tym zasranym mieszkanku w Magnitogorsku. Głupiec, nawet nie wiedział nigdy oceanu. Andriej patrzył na błękitny bezkres, rozciągający się w dole. Był z siebie dumny. Wszystko rozegrał w bardzo inteligentny sposób. Nikt oprócz niego nie znał ani nie byłby w stanie rozgryźć kodu źródłowego. Tylko jego mózg był kluczem do całej zagadki. Specjalnie tak to zaplanował, aby nikt nie mógł go zastąpić. To dawało mu świetną kartę przetargową podczas rozmów z samym Władimirem Władimirowiczem. Wierzył, że można polegać na carskim słowie.

- Ile do wyspy? – spytał pilota dowódca grupy specnazu.
- Czteryście kilometrów.
- A do tankowca?
- Sześćset osiemdziesiąt.
- Wysokość?
- Cztery tysiące osiemset metrów.

Walerij skinął głową i gwałtownie chwycił Andrieja za gardło. Chłopak nie zdążył nawet sięgnąć dłońmi do muskularnego ramienia komandosa, nim tamten otworzył szarpnięciem drzwi, wpuszczając do środka lodowate powietrze. Sprawnie odpiął pasy Dratenkowa i wyrzucił go na zewnątrz, po czym zatrzasnął drzwi.

Lecący w dół geniusz miał trzy ostatnie myśli. Że oto podziwia widok, którego jego ojciec nigdy nie zobaczy. Że człowiek po wykonaniu zadania nie jest nikomu potrzebny. No, i ostatnia. Że car Władimir I nie dotrzymuje słowa. Bo nie musi.

2.

Trzy dni upłynęły Romanowi Gurskiemu właściwie na niczym. Miał dużo czasu na myślenie. Coraz częściej wracał do wspomnień związanych z Basią. Do ich dziwnego spotkania w obozie dla uchodźców nad Zalewem Sulejowskim. Tego, co mu wtedy powiedziała. Że nosi jego dziecko. Ciągle się zastanawiał, czy to prawda. Może tylko kłamała? Ale po co, żeby załatwić im wtedy transport do stolicy? Przecież zrobiłby to i bez tego. Zresztą czy ona w ogóle jeszcze żyje? Przypomniał sobie, jak pojechał w ostatnim dniu rosyjskiej inwazji z jej mężem na lotnisko. Ale wszystkich ludzi z Okęcia wywieziono na wschód, a potem Rosjanie się tego wyparli. Im dłużej myślał

o Basi, tym mniej był z tego zadowolony. Bardzo go to bolało. Wolał, żeby wreszcie coś zaczęło się dziać.

Tymczasem rytm dnia wyznaczały posiłki, wydawane w stołówce amerykańskiej bazy. Siedzieli teraz przy stole, a jedyną milczącą osobą był Roman. Seget i Boski przerzucali się żartami o żeńskiej części amerykańskiego wojska, prowadząc seksualne podboje we własnych głowach. Sierżant Lacević, Wójcik i Janik grali w tysiąca, tylko od czasu do czasu komentując zagrywki partnera i to, ile właśnie zgarnął lew. Byli w siódmym niebie. Nie brakowało im jedzenia, mieli gdzie się zdrzemnąć, no i przede wszystkim byli pewni, że dla nich wojna już się skończyła.

Z początku opuchnięta, sinogranatowa szyja Romana była dla żołnierzy skoszarowanych w bazie jakąś tam atrakcją; pytali, co takiego się stało. Ale wkrótce opuchlizna i zasinienie raz, że trochę straciły na intensywności, a dwa: po prostu wszystkim spowszedniały. Oprócz nich jedynymi Polakami w bazie byli generał Sawicki i jego dwa przydupasy, które się ostały po FARBIE. Nigdy nie siadali razem z ekipą Romana. Wybrali sobie najdalsze możliwe miejsce i tam w milczeniu spożywali posiłki.

Gurski obserwował teraz, jak do Sawickiego i przydupasów podchodzi dwóch żandarmów. Generał po krótkiej wymianie zdań skinął głową, wstał i wyszedł z jednym z nich. Drugi się odwrócił i ruszył w kierunku Romana.

– No i co!?! – Lacević się roześmiał. – Po raz kolejny pan sierżant ma tysiąca, a wy, cieniasy, nawet pięciu stówek!

– Oszust! – Kapral Janik machnął ręką.

– Niby jak oszukałem? – Sierżant udał oburzonego, ale gdy dostrzegł spojrzenie Gurskiego, natychmiast zapomniał o kartach: – Romuś, wszystko w porządku?

– Chyba coś się dzieje.

– Co? – Lacević się odwrócił i zobaczył podchodzącego żandarma. Podoficer z naszywką MP skinął głową na powitanie i spytał:

– *Mister Roman Gursky?*

– Tak jest.

– Muszę pana zaprowadzić do dowództwa.

– Jak mus, to mus – odparł po angielsku Roman i wstał z miejsca.

– Trzymaj się, Romuś! – krzyknął jeszcze Lacević, zanim Gurski opuścił stołówkę.

Dowódca Siódmej Armii, generał Frank Edwards, był tęgim ciemnoskórym mężczyzną. Ze względu na wiecznie przymrużone oczy i zacięty wyraz twarzy mówiono o nim Czarny Trump. Nienawidził tego przezwiska, bo nigdy nie darzył byłego prezydenta szacunkiem. Służył jednak w wojsku ponad czterdzieści lat i doskonale zdawał sobie sprawę, że jak już cię jakoś nazwą, to nie ma zmiłuj. Łatwiej usunąć tatuaż z gałki ocznej.

Był dobrym dowódcą, ale przede wszystkim prostolinijnym. Cenił rozwiązania, które po pierwsze są szybkie, a po drugie nie wymagają wielu skomplikowanych posunięć. Jego ulubionym powiedzeniem było: „Siła tkwi w prostocie. Wodór, najpotężniejszy pierwiastek, posiada atom o najprostszej budowie”.

Dlatego ta sprawa była mu bardzo nie na rękę. Przeprowadził już wnikliwe rozmowy z polskim generałem, a potem z tym zasłużonym żołnierzem. Wszystkie odbyły się w towarzystwie tłumaczy i wszystkie zostały skrupulatnie zaprotokołowane. Teraz musiał podjąć decyzję. Tylko jaką? Kto tak naprawdę miał rację? Nie miał pojęcia. Dodatkowo z Departamentu Obrony otrzymał instrukcję, żeby sprawę załatwić delikatnie. Czyli jak? Usłyszał pukanie i donośnym głosem rzucił:

– Wejść!

Do środka wszedł pułkownik Rogers, zasalutował i zameldował się regulaminowo.

– Masz ich?

– Tak jest.

– To dawaj.

Pułkownik wyszedł i po chwili wrócił z Romanem Gurskim i generałem Sawickim. Obaj po krótkim przywitaniu usiedli naprzeciwko biurka, a ranger zajął miejsce po prawej stronie.

– Panowie! – Generał Edwards nie usiadł. – Przejdę od razu do rzeczy. Nie jestem zwolennikiem marnowania cennego czasu, jakim obdarzyła nas matka natura.

– To tak jak ja – wtrącił Sawicki, ale został kompletnie zignorowany.

– Będę szczery. Nie mam pojęcia, który z was tak naprawdę ma rację, ale wiem jedno. Nie zamierzam tolerować niepewnego elementu w swojej bazie, gdy trwają działania wojenne.

– Niepewny element? – Roman nie krył zdziwienia.

– Tak, to wy. – Amerykanin oskarżycielsko wymierzył w siedzących palec.

– Nie wiem, co o tym myśleć, i nie wiem też, co wy takiego zamierzacie, a nie

będę tolerować plotek krążących po bazie.

– Podobno nie lubi pan marnować czasu – rzucił ze złośliwym uśmiechem Gurski. – Podjął pan jakąś decyzję czy nie?

Generał Frank Edwards zmierzył go surowym spojrzeniem, a Roman uznał, że gdyby facet był biały, to rzeczywiście strasznie przypominałby Donalda Trumpa.

– Jutro wyślemy was do bazy w Rammstein.

– Jesteśmy więźniami!? – zaperzył się Sawicki.

– Powiedzmy, że gośćmi... – Edwards zamyślił się na chwilę. – Ale takimi, którzy na razie zostaną w obrębie naszej niemieckiej placówki.

– Czyli więźniami – powiedział Gurski. – A jak długo?

– Do końca.

– Przepraszam, do końca czego?

– Do końca wojny.

– Ale przecież wojna może potrwać jeszcze kilka lat! – zaprotestował Sawicki.

– Trudno. – Generał Edwards ewidentnie uznał, że taka odpowiedź rozwiązuje wszystkie problemy. – To wszystko, co mam do powiedzenia. Dziękuję panom za rozmowę.

W ciasnej puszcze nie było wprawdzie gorąco, ale zaduch panował potworny. Pokłosie tego, że metalową beczkę zaizolowano od środka tak, aby nocny chłód nie dawał się za bardzo we znaki ukrywającym się w środku ludziom. Czterech żołnierzy kulilo się w nienaturalnych pozycjach, żaden nie mógł nawet rozprostować ręki czy nogi. Zbiornik bujał się na linach, aż w końcu osadzono go z głośnym stukiem na stelażu. Usłyszeli na zewnątrz nawoływania rosyjskich żołnierzy. Odczepiono stalowe liny i wkrótce odgłosy krzątania przycichły.

Porucznik Dave Parker zerknął na zegarek z podświetlaną tarczą. Dochodziła siódma wieczorem. Do zachodu słońca na tej szerokości geograficznej mieli jeszcze niecałą godzinę, a do zapadnięcia nocy – jakieś dwie i pół. Oprócz Dave'a w klaustrofobicznej przestrzeni siedzieli jeszcze sierżant Erik Garcia, jego stary kumpel z czasów stacjonowania w polskim Redzikowie, oraz dwaj specjaliści: Nelson i Lindgren.

Człowiekiem współpracującym za ciężkie pieniądze z amerykańskim rządem był konserwator awaryjnego zasilania. To właśnie on rozszczelnił zbiornik na paliwo do generatorów. W nocy zapakowano Parkera i jego ludzi

do puszki, w której siedzieli już blisko szesnaście godzin. Wcześniej nic nie pili i połknęli tabletki spowalniające powstawanie moczu. Ale porucznikowi i tak chciało się łać jak cholera. Był ciekawy, czy pozostali czują to samo, ale mieli bezwzględny zakaz rozmowy. Głos mocno rezonował w metalowym zbiorniku i mógłby ich łatwo zdradzić.

Nowy, przywieziony z Kaliningradu zbiornik nadziewany amerykańskimi żołnierzami był odpowiednio dociążony, aby nie wzbudzał podejrzeń. Konserwator miał go podłączyć dopiero następnego dnia i zapewniał, że nikt nie zbliży się do tych urządzeń bez niego, bo żołnierze, pilnujący olbrzymiej konstrukcji, po prostu się na tym nie znali.

Amerykanie przesiedzieli w totalnym milczeniu kolejne dwie i pół godziny. Parker ponownie sprawdził godzinę, trącił w ramię sierżanta Garcię i obaj odkręcili śruby zamaskowanej kłapy w dolnej części zbiornika. Po krótkiej chwili poczuli na twarzach nieco świeższe powietrze i zaczęli kolejno wypełzać na zewnątrz. Mieli na sobie jedynie czarne kombinezony i kominiarki. Ograniczona przestrzeń nie pozwoliła na zabranie kamizelek, hełmów ani nawet karabinów. Oprócz materiałów wybuchowych, noktowizorów, terminala komunikacyjnego i niewielkiej saperki mieli tylko po pistolecie SIG Sauer na głowę.

Gdy wszyscy wydostali się na zewnątrz, zignorowali rozkazy oraz kolejność czynności opracowaną przez sztab operacji specjalnych. Jak jeden mąż rozpięli rozporki i ulżyli sobie, znacząc hojnie stelaż zbiornika. Spędzili niemal dwadzieścia godzin w niewygodnych, nienaturalnych pozycjach. Dlatego sikali teraz skuleni, przybierając dziwaczne pozy, jakby odgrywali w milczeniu skecz według Monthy'ego Pythona. Dopiero gdy w końcu opróżnili pęcherze i rozprostowali trzeszczące kości, schowali się za załomem metalowej konstrukcji, a Parker rozejrzał się po okolicy.

Było dokładnie tak, jak opisał to zwerbowany konserwator. Generatory awaryjnego zasilania zajmowały narożnik terenu ogrodzonego podwójnym płotem. Potężna azurowa konstrukcja w kształcie odchylonego prostokąta wznosiła się na trzydzieści metrów w górę. Antena radaru oraz całe jej otoczenie były rześście oświetlone. Dlatego najpierw musieli pozbawić placówkę zasilania. Nie przejmowali się awaryjnym, które z oczywistych przyczyn zadziałać nie mogło.

Porucznik skinął głową Nelsonowi. Ten odpowiedział gestem i poczołgał się do ogrodzenia z małą rozkładaną saperką. Jego zadaniem było odkopanie

przewodu zasilającego i podłożenie niewielkiego ładunku, który miał go przerwać i pozbawić placówkę prądu.

Rosja dysponowała ośmioma radarami pozahoryzontalnymi Woroneż. Te nowoczesne konstrukcje miały zasięg ponad sześciu tysięcy kilometrów i mogły śledzić przeszło pięćset obiektów latających naraz. Były oczami imperium, śledzącymi ruch w powietrzu tysiące kilometrów od rosyjskich granic. Dowództwo amerykańskich sił specjalnych postanowiło zniszczyć wszystkie. Aby operacja zakończyła się powodzeniem, należało skoordynować działania w oddalonych od siebie zakątkach rosyjskiego terytorium.

Parker wiedział, że gdy tylko odetną zasilanie, żołnierze pilnujący instalacji wylegną na zewnątrz i że powiadomią o incydencie dowództwo. Szacował, że od momentu odcięcia będą mieli niecałe dziesięć minut, aby wysadzić radar. Gdy zerknął po raz kolejny na zegarek i uznał, że czas rozpocząć zabawę, wyciągnął ledową latarkę z kieszeni i błysnął kodem Morse'a w kierunku Nelsona. Dwie kropki, kreska, kropka; dwie kropki; kropka, kreska, kropka; kropka. F-I-R-E!

Trzy sekundy później spod ogrodzenia dobiegł stłumiony huk niewielkiej eksplozji. Rzęsiste oświetlenie zgasło gwałtownie i cała okolica utonęła w mroku. Parker, Garcia i Lindgren włączyli noktowizory i korzystając z osłony ciemności, szybko podbiegli pod fundamenty radaru. Gdy tylko zaczęli rozkładać ładunki, usłyszeli ostry ryk ręcznej syreny, a po chwili z budynków wysypali się Rosjanie. Ciemność przecięły snopy światła latarek, a gdzieś pod ogrodzeniem ktoś krzyknął:

– *Stoj!*

Usłyszeli serię z karabinu i porucznik pomyślał, że nie dane będzie im już się spotkać ze specjalistą Nelsonem. Garcia umieszczał materiały wybuchowe od południowej strony, Lindgren od północnej, a Parker w środkowej części konstrukcji. Porucznik z sierżantem szybko i sprawnie uwinęli się ze swoimi zadaniami i wycofali za jeden z budynków. Stamtąd obserwowali guzdrzącego się Lindgrena przez noktowizory, gdy nagle zieleń obrazu ożywił ogień rosyjskich karabinów. Specjalista padł martwy, wypuszczając ładunek z ręki. Porucznik podjął błyskawiczną decyzję. Nie miał pewności, czy dwa punkty wybuchu wystarczą do zniszczenia radaru, ale nie mógł pozwolić, aby Rosjanie odnaleźli przewody i udaremnili całą akcję.

Przekręcił przełącznik i mimowolnie skulił się pod wpływem huk, jaki wstrząsnął ścianą budynku. Potem rozległy się rozpaczliwe nawoływania rosyjskich żołnierzy. Jeden z nich darł się wniebogłosy o lekarza.

Porucznik podniósł głowę i spojrzał na konstrukcję radaru, rysującą się słabo w okularach noktowizora. Z przerażeniem zauważył, że antena majestatycznie się przechyla. Nie w kierunku zachodnim jednak, jak to zaplanowali, lecz na wschód, wprost na budynek, za którym Parker chował się razem z Garcia.

– Spierdalamy! – wydał zupełnie nieprofesjonalny rozkaz.

Pobiegli zgodnie z łagodnym spadkiem terenu, najkrótszą drogą do ogrodzenia i rosnących za nim drzew. Nie odwrócili się ani razu. Nawet gdy usłyszeli za sobą głuchy łoskot i poczuli, jak ziemia zatrzęsa się od potężnego uderzenia. Potworny jęk setek ton giętej stali zawładnął na moment okolicą.

Gdy od ogrodzenia dzieliło ich ledwie kilka metrów, teren znowu zalały światła, oślepiając ich zupełnie, dopóki nie zerwali z twarzy noktowizorów. Dwaj Rosjanie, którzy dojrzeliby uciekinierów, wskoczyli na motocykle i ruszyli w pogoń. Ci szybko przesadzili ogrodzenie, nie bacząc na wieńczący je drut kolczasty. Parker był przekonany, że mokre, błotniste podłoże w lesie powstrzyma pościg.

Nie mógł się bardziej pomylić. Rosjanie korzystali z motocykli Taurus własnej produkcji. Były to powolne, ale niezwykle lekkie maszyny z napędem na oba koła, wyposażone w balonowe opony. Taka konstrukcja pozwalała poruszać się nimi w niemal każdym terenie. Dlatego Parker, gdy tylko zobaczył, jak ścigający go Rosjanin zjeżdża po stromym zboczu i z łatwością forsuje błotniste rozlewisko, krzyknął:

– Rozdzielamy się!

Sierżant pobiegł na północny zachód, a on ruszył w przeciwnym kierunku, jednak już po kilkunastu sekundach usłyszał za sobą narastający warkot silnika. Zahaczył ramieniem o pień mijanego właśnie drzewa, okręcił się wokół niego, po czym silnym uderzeniem obu nóg strącił kierowcę z motocykla. Maszyna poleciała dalej i zanurkowała w błotnistej kałuży, Rosjanin podniósł się jednak szybko i rzucił na Parkera. Ten wyciągnął SIG sauera, ale napastnik wytrącił mu go szybkim kopnięciem.

Amerykanin uderzył pięścią, ale tamten zgrabnie jej uniknął, złapał go za rękę i obalił na ziemię, po czym usiadł mu na klatce piersiowej, wyciągając bagnet. Porucznik chwycił Rosjanina za przeguby, próbując odsunąć od swojej twarzy ostrze noża. Nagle obu oświetlił motocyklowy reflektor. Rosjanin zerwał się na nogi, odskoczył i krzyknął:

– *Misza! Periejed sukina syna!*

Motocykl ruszył z rykiem silnika i uderzył w tamtego przednim kołem, przygważdżając go do drzewa. Rosyjski żołnierz padł nieprzytomny w błoto, a Parker przez krótką chwilę szykował się do dalszej walki, przekonany, że kierowca motocykla popełnił błąd, dopóki nie rozpoznał Garcii.

– Żyjesz? – Sierżant pomógł mu wstać.

Porucznik tylko kiwnął głową i zaraz wyciągnął terminal, aby skontaktować się z dowództwem i ustalić miejsce ewakuacji. Szybko stwierdził, że coś jest nie tak. Przekreślona antenka satelitarna, migająca w rogu ekranu, oraz niemożność przesuwania mapy, na której widniała tylko jedną nazwa: Teriberka.

Garcia spojrział nerwowo w niebo; już słyszeli nadlatujący śmigłowiec. Odwrócił głowę w kierunku dopiero co wysadzonego radaru. Było kwestią kilku minut, kiedy Rosjanie ogarną się na tyle, aby ruszyć w las w poszukiwaniu „zdradzieckich amerykańskich imperialistów”.

– Panie poruczniku – mruknął. – Nie chcę popędzać, ale do, kurwy nędzy...

– Coś jest zjebane – szepnął ten nerwowo. – Nie mamy odczytu GPS, żadnej łączności. Nic!

Parker schował terminal i zaczął pospiesznie przeszukiwać kieszenie Rosjanina z pogruchotanymi nogami. Odnalazł telefon komórkowy i odblokował ekran, szczęśliwie niezabezpieczony kodem ani wzorem. Wskaźnik pokazywał, że urządzenie ma sygnał. Wyświetlało wprawdzie cyrylicę, ale porucznik bez problemu uruchomił klawiaturę numeryczną. Odkąd telefony robiły to za niego, nie pamiętał oczywiście zbyt wielu numerów. Jeden, podobnie jak większość ludzi, znał jednak doskonale. Szybko wystukał na dotykowej klawiaturze odpowiednie cyfry.

3.

Ośrodek wypoczynkowy Leśna Strażnica położony był między Jabłonką Niżną a dawną granicą polsko-ukraińską. Zbudowany jeszcze za czasów, kiedy Ukraina była jedną z radzieckich republik. Masywną, betonową konstrukcję w stylu socrealizmu wzniesiono na skarpie. Z tak usytuowanego punktu można było obserwować położone niżej zachodnie terytoria, a zarazem prowadzić ich ostrzał.

Gdy Ukraina odzyskała niepodległość, ośrodek wczasowy stał się nierentowny i popadł w ruinę. Przez następnych dwadzieścia lat służył za siedzibę miejscowych przemytników, a w ciągu ostatnich kilku lat przed wojną został po prostu ogołocony ze wszystkiego, co miało jakąś wartość. Od tego czasu straszył szarymi betonowymi ścianami i czarnymi ślepiami pustych otworów okiennych.

Przez ostatnie dwa dni budynek zmalał jednak o połowę, a jego ściany zostały poszczerbione tak bardzo, że przypominał raczej ruiny średniowiecznego zamku niż relikw socrealizmu. W środku rozbrzmiewały odgłosy wywoływane nieprzerwanym ostrzałem karabinowym. Amerykanie dali sobie spokój z wielkokalibrowymi pociskami, ale od niemal doby zasypywali konstrukcję drobnymi kulami. W jaki sposób zorganizowali nieustanny ostrzał? Lejtnant Paweł Gawriłow nie miał pojęcia. Ale było to bardzo skuteczne. Budynek wypełniał monotony i jednostajny stukot łupanego betonu, od którego można było dostać szału.

Z zewnątrz znowu dobiegł komunikat, puszczany przez megafon.

– Żołnierze! Poddajcie się! Wasz opór jest absolutnie bezcelowy! Linia frontu przesunęła się dawno na wschód! Nie ma wartości cenniejszej niż życie! Chcecie je oddać za kawałek betonu na wzgórzu!? – Choć Amerykanin mówił po rosyjsku z wyraźnym akcentem, to poprawnie i bez gramatycznych błędów. – Za pół godziny kończy się ultimatum! To wasza ostatnia szansa! Zastanówcie się! Czy car Władimir I oddałby za was życie!?

Ni chuja, lejtnant gorzko się uśmiechnął. Ten stary skurwiel sprzedałby własną matkę za kopiejkę albo i pół. Z racji stopnia Gawriłow otrzymał w dowódzenie pluton żołnierzy zaraz po rozpoczęciu obrony Leśnej Kurwy, jak ochrzcili pensjonat, ze względu na podobieństwo rosyjskich słów zastawa i *szatawa*, czyli strażnica i kurwa.

Początkowo jego oddział liczył czterdziestu dwóch żołnierzy, a teraz został tylko on, Kozłów i jeszcze czterech szeregowych. Jeden z tej czwórki dostał w nogę, wdało się zakażenie i teraz leżał rozgorączkowany w kącie, robiąc pod siebie. Gawriłowa też trafili, w ramię, i choć kula przeszła na wylot, to przy każdym ruchu, bolało jak diabli. Właściwie jedynym, który jeszcze nie został ranny, był *praporszczyk* Kozłów. Co prawda miał opuchnięte wargi i brakowało mu czterech górnych zębów, ale to tylko dlatego, że potknął się napruty na schodach i wybił sobie zęby o betonowy stopień.

Gawriłow usłyszał głos dowódcy. Bał się go. Wszyscy się bali, bo facet okazał się kompletnym szaleńcem.

– To przez tego pojeba ciągle tkwimy w tym gównie – wyseplenił siedzący obok Kozłowa, nim w pomieszczeniu pojawiła się zwałista postać kapitana Siemona Turczyna, zwanego Turkiem. Łysą głowę przepasał czarno-białą bandaną w trupie czaszki. Potoczył obłąkanym wzrokiem po żołnierzach i zawołał:

– No co!? Gotowi na ostateczne starcie, łyse pizdy!? – Roześmiał się. – Wiecie dlaczego łyse!? Bo jeszcze wam włosy nie wyrosły! *This is Sparta!*

Siedzący w zatłoczonym pomieszczeniu ludzie nie odezwali się słowem.

Przed obsadzeniem Leśnej Kurwy kompania Turczyna liczyła stu pięciu żołnierzy. Zostało dwadzieścia łącznie z dowódcą. Poprzedniego dnia podłączył do akumulatora przenośny odtwarzacz DVD i puścił film pod tytułem *300*. A potem ze śliną wzbierającą w kąciku ust opowiadał swoim przerażonym ludziom, że obronę tego zasranego pensjonatu ludzie będą w przyszłości wspominać niczym słynną bitwę pod Termopilami.

Wszyscy wiedzieli, że Turek był skończonym pojebem. Ale jednocześnie strasznie się go bali. Kiedy dwóch oficerów nieśmiało zaprotestowało i zaproponowało głosowanie w sprawie kapitulacji, kapitan wpadł w szał. Uwiązał obu na łańcuchu w jednym z pomieszczeń z oknami. Nieszczęśnicy nie mogli stamtąd wyjść i przywarli do ziemi, aby pociski, wpadające przez otwory w ścianie, nie mogły ich sięgnąć. W końcu obaj oberwali jednak rykoszetami. Nie były to trafienia, które mogłyby ich uśmiercić od razu, obaj wykrwawiali się więc powoli i ponad dwadzieścia godzin wszyscy musieli słuchać ich potępieńczych jęków, przebijających się przez amerykańską kanonadę. Od tamtej pory nikt nie sprzeciwił się Turkowi.

– Gawriłow, ty tchórzliwa mendo! – Kapitan wycelował w lejtnanta palec.
– Myślę, że Amerykańce przestały żartować i teraz zaatakują.

– Też tak sądzę – odparł cierpko Gawriłow.

– Pokierujecie obroną na wschodniej flance. Nikt nie ma prawa się poddać! Nasza krew wsiąknie w tę ziemię. Jesteśmy wyspą na oceanie amerykańskiej zarazy! I tak zostanie! Zrozumiano?!

– Tak jest! – odparli chórem żołnierze. Nie był to może okrzyk entuzjastyczny, ale jednak zgodny. W końcu tak ich szkolono. Aby wypełniać rozkazy dowódców.

– No to ruszcie dupy i zajmijcie pozycję!

Gawriłow wstał i skinął na Kozłowa. Wkrótce potem poprowadzili połowę mizernej kompanii części ośrodka ostrzeliwanej wciąż przez Amerykanów.

Tamci musieli wypatrzeć przez lornetki albo dzięki dronom ruch, bo wstrzymali ostrzał. Zamiast tego rozległ się znajomy głos:

– Bracia! Rosjanie! Ludzie przede wszystkim! Jaką decyzję podjęliście?!

Skulony za kolumną Gawriłow rozejrzał się niespokojnie, ale Turka na szczęście nigdzie nie dostrzegł, dał więc znak swojemu *praporszczykowi*, który spod koszuli wyciągnął białą flagę, zszytą przez nich w nocy z dwóch podkoszulek. Potem założył materiał na prowizoryczne drzewce i już miał go wystawić za okno, gdy z drugiej strony budynku usłyszeli potężny głos kapitana Turczyna:

– Pies was jebał, amerykańskie świnie! I wasze matki, i wasze dzieci! Tłusty chuj wam w dupę!

Lejtnant z zaskoczeniem stwierdził, że Turek wykrzyczał to wszystko całkiem składną angielszczyznę. Musiał ćwiczyć, pomyślał ze zdumieniem. Potem usłyszał szum i zobaczył białą smugę rakiety wystrzelonej z ręcznej wyrzutni. Pocisk przemknął nad jarem i wybuchł gdzieś w okolicy amerykańskich pozycji.

Gawriłow nie czekał, natychmiast pociągnął Kozłowa w głąb budynku i obaj stoczyli się po schodach. W tym samym momencie na zewnątrz rozpętało się prawdziwe piekło. Wojska USA zaczęły z taką wściekłością ostrzeliwać pensjonat, że gdyby nie solidne posadowienie na skale, niewątpliwie by się rozsypał niczym domek z kart.

Lejtnant z wiernym druhem szybko dotarli do najgłębszej piwnicy w samym środku budynku. Za dawnych czasów musiała to być kotłownia, ale Turek urządził tam małą zbrojownię. W pomieszczeniu trzymali też akumulatory i właśnie tu odbył się pamiętny seans 300.

Gawriłow z Kozłowem położyli się na podłodze i zakryli głowy rękami. Budynek trząsał się tak bardzo, że cała konstrukcja w każdej chwili mogła się zawalić. Byli przekonani, że dzielą ich od tego dosłownie sekundy. Kanonada trwała jednak dobre pięć minut i w końcu ucichła. Przez kilka kolejnych słyszeli tylko szum tynku sypiącego się ze ścian i sufitów.

Lejtnant podniósł się i rozejrzał ze zdziwieniem. Żarówka podłączona do jednego z akumulatorów, choć obsypana pyłem, wciąż świeciła i dawała dość światła. Ściany i sufit były popękane, ale betonowa konstrukcja ciągle się trzymała.

– Ja pierdołę – wyseplenił ze zdumieniem Kozłow.

Kapitalistyczne pociski nie dały rady topornej socrealistycznej myśli budowlanej. Wkrótce potem usłyszeli na górze karabiny maszynowe.

Niesamowite, pomyślał Gawriłow. Któryś z naszych przeżył tę hekatombę?

Potem dotarł do nich huk granatów zaczepnych i amerykańskie okrzyki, poprzeplatane strzałami:

– *Fucking Ivans!*

– *You piece of shit!*

– *Fire in the hole!*

– *Clear!*

– *Move it, move it!*

– Słyszysz? Ktoś idzie – Kozłów przerwał swoim seplenieniem ciszę panującą w zbrojowni.

Gawriłow musiał przyznać mu rację. Usłyszeli stukot i nieidentyfikowalny szelest na schodach. Wreszcie do piwnicy wczołgał się Turek. Włókł za sobą zakrwawione kikuty nóg i patrzył na nich jednym okiem, bo drugie zniknęło gdzieś razem z fragmentem twarzy.

– Bracia – wycharczał, a z jego ust popłynęła krew. – Honorowe samobójstwo. Musimy...

Kiedy dwóch marines dotarło do piwnicy, od razu zauważyli składowisko amunicji i broni, dlatego starszy stopniem zakazał użycia granatu. Po krótkiej wymianie gestów po prostu wpadli do pomieszczenia z karabinami gotowymi do strzału i tam natknęli się na dziwaczną scenę.

Na podłodze leżał beznogi trup z głową zgruchotaną pokaźnych rozmiarów akumulatorem. Pod ścianą klęczało dwóch Rosjan, kompletnie obsypanych pyłem. Obaj trzymali ręce wysoko w górze, a w dłoniach kurczowo ściskali brudne – ale jednak białe – skarpetki.

Zenon nie pamiętał, kiedy ostatnio był tak głodny. Owszem, zdarzało mu się już podczas tej wojny cierpieć z powodu niedożywienia. W areszcie na Rakowieckiej KUBO też ich nie rozpieszczało. No, ale zawsze było cokolwiek. A teraz? Przez trzy dni nawet nie widział żadnego pożywienia. Czuł, jakby żołądek owinął się wokół kręgosłupa, ściśnięty do rozmiaru mandarynki.

Dobrze, że wczoraj chociaż padało, pomyślał, próbując dodać sobie otuchy. Nałapał wody w śmieci, które się do tego nadawały, i teraz przynajmniej wody miał pod dostatkiem. Ale ile można wytrzymać w ten sposób? Dwa, trzy tygodnie? Przez trzy doby miał wystarczająco dużo czasu, aby dokładnie zwiedzić wieżę. Po niektórych przedmiotach oraz zapiskach w notatniku i dwóch plakatach łatwo się zorientował, jakie było

przeznaczenie wieży. Leśnicy obserwowali z niej w upalne dni, czy aby gdzieś w okolicy nie wybuchł pożar.

Niestety dla Zenona wieża była obecnie więzieniem. Sam już nie wiedział, ile razy próbował otworzyć metalowe drzwi na dole. Nic z tego, ani drgnęły. Nie było sensu również tłuc szyb w okienkach, bo i tak nie dałby rady się przez nie prześliznąć.

Siedział teraz na szczycie wieży, kompletnie wyczerpany i otepiały. Jego wzrok padł na spadochron leżący w kącie. Danuta musiała go tam zostawić, gdy odcięła linki, które związała razem, żeby się zsunąć na dół. Już pierwszego dnia Zenon wpadł na pomysł, że gdyby udało mu się jakoś przymocować sobie spadochron, to opadłby na nim delikatnie na ziemię.

Uśmiechnął się gorzko na to wspomnienie. Czymkolwiek Danuta odcięła linki od czaszy, świetnie się nadało także do poszatkania dosłownie cienkiego, jedwabnego materiału, co przekreślało szanse na jego ponowne użycie. Kochana siostrunia, pomyślał, trzeba jej przyznać, że jest naprawdę przewidująca i mimo wszystko ciągle udaje jej się wymykać z moich rąk.

Jeszcze do niedawna był przekonany, że kiedyś naprawdę ją dorwie i w końcu wymierzy sprawiedliwość. Na tę myśl odruchowo dotknął paskudnej blizny na swoim prawym policzku. Ale teraz nie był wcale pewien, że kiedyś jeszcze ją spotka. Po trzech dniach mogła być już daleko. Zdechnę w tej cholernej wieży, pomyślał ze złością, podniósł się ociężale i wyszedł na galerię.

Oparł się o barierkę, odgradzającą go od czterdziestu metrów niczego, które dzieliły go z kolei od wolności. Po raz chyba setny spojrzął na „to” drzewo. Przede wszystkim było o wiele wyższe od pozostałych. Większość sięgała tylko do połowy wieży, natomiast czubek tej strzelistej sosny równał się niemal z galerią obserwacyjną. „To” drzewo miało jeszcze jedną zaletę. Rosło bardzo blisko. Zenon znowu zaczął rozważać, co by było, gdyby się mocno odbił nogami od barierki i skoczył między iglaste gałęzie. Przecież dam radę złapać się którejś z nich, a reszta złagodzi upadek, przekonywał się nieśmiało w myślach.

Westchnął, wrócił do wnętrza i położył się przy ścianie. Głód osłabił go na tyle, że większość dnia po prostu przesypiał. Tym razem Zenon również zapadł w drzemkę, trwającą godzinę lub dwie. Obudził się jeszcze bardziej głodny, postanowił więc oszukać żołądek i wypił sporo wody. Wcześniej myślał, że może uda mu się zrobić grzałkę ze znalezionej przewodu

i zagotować wodę, jak się nauczył w areszcie. Niestety w budynku nie było zasilania.

Zszedł na dół i wysikał się na zamknięte drzwi. Urządził sobie w tym miejscu toaletę, bo po pierwsze, chciał zachować resztki higieny i godności. Nie uśmiechało mu się siedzenie w pokoju śmierdzącym moczem. A po drugie, w ten sposób okazywał złość na stalowe drzwi trzymające go w szachu.

Zaczął się wspinać na górę, ale na każdym z podestów musiał robić długie przerwy. Gdy dotarł na szczyt, był zlany potem i musiał natychmiast usiąść, bo bał się, że zaraz zemdleje. W końcu doszedł jednak do siebie i uznał, że nie może dłużej czekać. To nie miało sensu. Za dzień lub dwa będzie już zupełnie bez sił. Podjął decyzję.

Wyszedł na galerię, przelazł przez barierkę i stanął po drugiej stronie. Choć zdawał sobie sprawę, że niewiele mu to pomoże, czekał na moment, gdy delikatny wiatr przechyli wierzchołek „tego” drzewa w jego stronę. Wtedy naprężył wszystkie mięśnie i się odbił. Skoczył.

Wyrzucił ramiona w przód i w połowie drogi pojął, że nie trafi tam, gdzie zamierzał. Nieubłagane prawo grawitacji pociągnęło go w dół. Wpadł między rozłożyste konary dopiero jakieś dziesięć metrów nad ziemią. Iglaste gałęzie chłostały go bezlitośnie po twarzy, a on próbował rozpaczliwie złapać się czegokolwiek. Niestety mu się nie udało.

Gruchnął plecami o ziemię, a uderzenie wydusiło z jego płuc całe powietrze. Zrobiło mu się ciemno przed oczami, ale nie zemdłał. Przez dobre pół minuty nie mógł złapać tchu. Przeraził się, że uderzenie doprowadziło do jakiegoś obrzęku płuc albo może tchawicy i zaraz się udusi. Ostatecznie zdołał jednak wciągnąć odrobinę powietrza, potem odetchnął głęboko. Roześmiał się głośno. Żył, nie umarł! Nic mu się nie stało. Śmiał się tak dłuższą chwilę, patrząc w błękitne niebo między wierzchołkami drzew. Widział też szczyt wieży otoczony balustradą. Swoje niedawne więzienie.

Odwrócił głowę w lewo, w stronę stalowych drzwi. Dopiero teraz mógł zobaczyć, czym jego kochana siostra je zablokowała. W solidne klamry, nigdy utrzymujące sztabę, wetknęła kawał żelastwa poskręcane pod wpływem wysokiej temperatury. Zenon skojarzył, że to część myśliwca, przy którym Danuta rozcięła swoje więzy. To suka, pomyślał. Podniósł się na łokciu i splunął. Podparł się rękoma, żeby wstać i z bliska obejrzeć tę blokadę. Wtedy z jego gardła wyrwał się okrzyk przerażenia.

– Nie! Nie! Kurwa, nieee!

Podpierając się rękoma, przesuwał się na pośladkach, a nogi ciągnął za sobą. W myślach wydawał rozkazy bezwładnym kończynom, ale te ani drgnęły. W końcu się zatrzymał i zaczął unosić i szarpać nieposłuszne nogi rękoma. W lesie panowała cisza. Tym rozpaczliwiej brzmiał jego cichy szloch. Zenon Marczak zrozumiał, że jest sparalizowany od pasa w dół.

4.

Tyle czasu na to czekała i wreszcie jest, udało się! Kto by pomyślał, że stanie się to gdzieś daleko, w obcym kraju, w mieście takim jak Moskwa, pomyślała. Zakochała się bez pamięci w Smutnym, do tego paliła papierosy, a poprzedniego dnia spróbowała też trochę wina. Zakręciło jej się od niego w głowie i przybyło odwagi, dzięki czemu wieczorny seks ze Smutnym był o wiele przyjemniejszy. W końcu jestem dorosła, powiedziała sobie w duchu, przechadzając się po skwerku prostytutek.

Wszystkie dziewczyny jak zwykle patrzyły na nią z niechęcią. Ale Natalia nie odwracała już głowy jak dotychczas. Patrzyła im hardo prosto w oczy. Powoli zaczynała rozumieć, jak to działa. Dopóki Smutny się tu komuś opłacał, nikt nie mógł jej ruszyć. Zerknęła na zegarek, miała jeszcze trochę czasu do wyznaczonej godziny.

Zazwyczaj po prostu wybierała jakąś inną część centrum Moskwy, aby wcześniej popatrzeć trochę na ludzi i pozwiedzać. Ale nie dzisiaj. Chciała zrobić Smutnemu niespodziankę. Uznała, że zasługiwał na to po wszystkim, co dla niej zrobił. To znaczy dla nich. Jej myśli nagle podążyły do Basi i Piotrusia, a twarz delikatnie spochmurniała. Natalii nie podobała się ostatnio postawa matki, która z małym całym dniami leżała jak jakaś locha pod kołdrą i coraz bardziej narzekała na Smutnego. Przecież gdyby nie on, już byśmy nie żyły, pomyślała ze złością. Na szczęście matka ma gównno do gadania. Przecież jestem już dorosła!

Wróciła do myśli o Smutnym i od razu się uśmiechnęła. Zastanawiała się wiele razy, dlaczego zawsze okradają jakichś biedaków? No, może nie biedaków, ale takich nie za bogatych. Skoro i tak nikt nie zgłaszał tego nigdy na policję, jak twierdził Smutny, to czy nie lepiej byłoby zdobyć trochę więcej gotówki? Swoją drogą, nie miała żadnego problemu z tym, że okradali tych wszystkich mężczyzn. To byli dla niej zwykli obrzydliwi zboczeńcy. Dlatego tym razem postanowiła zrobić swojemu chłopakowi niespodziankę i przyszła

wcześniej. Od kilku dni wiedziała, że jeden ze stałych bywalców skweru uparcie się jej przygląda. Co prawda dotąd za każdym razem wybierał starsze od niej kobiety, ale zawsze mogła spróbować.

Gdy siadała na murku, rozglądając się, czy może nie ma już Smutnego, znowu zobaczyła tego mężczyznę. Miał eleganckie pantofle, czarne wąskie spodnie oraz skórzaną kurtkę, na pewno drogą. Duże wrażenie robiła jego biżuteria. Na nadgarstkach i szyi błyszcząły białe ozdoby z jasnego metalu. Natalia nie wiedziała, czy to białe złoto, czy platyna, ale niewątpliwie robiły duże wrażenie. Facet był nawet całkiem przystojny, miał ciemną karnację i lekko szpakowate włosy. Jedyne, co według Natalii psuło efekt, to cztery przednie zęby wykonane ze złota. Wyglądają na maksa wieśniacko, pomyślała. Ale co cię to obchodzi, kochana. Ślubu przecież z nim brać nie będziesz.

Mężczyzna, tak jak kilka razy wcześniej, też zerknął na nią z zaciekawieniem. Do tej pory odwracała płochliwie wzrok, jak ją nauczył Smutny. Tym razem spojrzała nieznajomemu prosto w oczy i uśmiechnęła się zalotnie. Ten odpowiedział tym samym i podszedł do niej z zainteresowaniem malującym się na twarzy.

– Cześć, jestem Rusłan. A ty? – Ucałował ją szarmancko w dłoń. Natalia poczuła zapach drogich perfum.

– Swieta – odparła.

– Nie mówisz jak Swieta. – Roześmiał się i przyjrzał jej uważniej. – Skąd jesteś? Polska, Słowacja, Czechy?

– A czy to ważne?

– Chcesz się zabawić?

– Nigdy wcześniej tego nie robiłam i...

– Bez żartów! – Przerwał jej machnięciem ręki. – Widzę cię tu nie pierwszy raz. Ile?

– Cztery tysiące rubli – wypaliła bez namysłu Natalia i zaraz pożałowała. To za dużo, nikt tyle nie da, pomyślała, zrezygnowana.

– Zgoda. – Rusłan kiwnął głową. – Tylko pamiętaj, że ja lubię na ostro.

– Ostro? – Natalia nie знаła tego słowa.

Mężczyzna wyciągnął z kieszeni portfel i szybko odliczył cztery tysiące rubli. Wetknął je Natalii w rękę, błysnął w uśmiechu złotymi zębami i powiedział:

– Płącę z góry, mam do ciebie zaufanie. Chodź.

Chwycił ją za przegub i pociągnął w kierunku ulicy. Natalia próbowała wyszarpnąć rękę i krzyknęła:

– Nie teraz! Tak to ja nie chcę!

– Co „nie chcesz”!? – Zbliżył twarz i poczuła jego ciepły oddech. – Zapłaciłem?!

Pociągnął ją przez alejki skweru, a Natalia krzyczała rozpaczliwie:

– Nie. Pomóżcie! Słyszycie?! Pomóżcie! Proszę!

Nikt nie zareagował. Zarówno prostytutki, jak i klienci nawet nie skierowali spojrzeń na szamoczącą się parę. Wszyscy udawali, że są pochłonięci swoimi sprawami. A może wcale nie udawali?

Natalia próbowała walczyć z Rusłanem, ale ten był po prostu dla niej za silny. Krzyczała również na ulicy, ale szum przejeżdżających samochodów zagłuszał jej wrzaski. Mężczyzna zaciągnął ją do czarnego, lśniącego range rovera i wepchnął na siedzenie pasażera. Potem wsiadł szybko na miejsce kierowcy, odpalił silnik i wrzucił bieg. Jedną ręką trzymał kierownicę, a drugą Natalię za włosy. Bardzo ją to bolało; zaczęła płakać.

– Proszę, ja nie chcę. Weź pieniądze, nie chcę. Nie chcę, nie chcę. Dlaczego?

– Dlaczego?! – ryknął Rusłan. – Bo jesteś kurwą, rozumiesz?! To twoja praca!

Natalia obserwowała przez szybę szeroką, trzypasmową ulicę, którą pędzili. Rusłan odbił w prawo, przejechał pod wiaduktem i teraz droga miała w sumie pięć pasów, a wzdłuż niej rozciągał się park. Rusłan zignorował wszystkie zakazy, skręcił w tamtym kierunku i wjechał między gęste drzewa. Zgasił silnik, wywłókł Natalię z samochodu za włosy, a potem otworzył klapę bagażnika i pchnął dziewczynę na twardą podłogę.

– Proszę, nie... – zaprotestowała cicho.

– Zamknij ryj!

– Ja znam Smutnego, rozumiesz?!

Rusłan, zdziwiony, popatrzył na nią przez moment, a ona nabrała nadziei, że ksywa jej ukochanego faktycznie coś znaczyła i zrobiła na napastniku wrażenie. Zaraz jednak roześmiał się i powiedział:

– A niby kto to, kurwa, jest? Ten Smutny?

Natalia zauważyła nad drzewami potężny niebieski baner z napisem „VTB Arena”. Domyśliła się, że są w pobliżu jakiegoś stadionu. Na pewno jest tu wielu przechodniów, pomyślała naiwnie. Zaraz ktoś nas zobaczy i zareaguje, pomoże mi. Muszę tylko krzyknąć. Nabrała powietrza do płuc, ale w tym

samym momencie Rusłan wyciągnął z kieszeni nóż i przystawił jej ostrze do gardła.

– Jeszcze słowo, a poderżnę ci gardło. Rozumiesz, dziwko!?! – Drugą ręką rozpiął rozporek. – Najpierw mi obciągniesz.

Już miała powiedzieć, że nie wie, co to znaczy, ale kiedy zobaczyła z bliska sterczącego, żylastego penisa, wszystkiego się domyśliła. Łzy znowu pociekły jej po policzkach, a Rusłan docisnął jej ostrze do szyi.

– Tylko nie próbuj gryźć, bo zęby powybijam.

Zamknęła oczy i rozchyliła usta, i wtedy poczuła, że nie ma już noża przy szyi. Uniosła powieki i zobaczyła, że nie ma też Rusłana przy samochodzie. Bo szarpał się w trawie ze Smutnym. Szybko zyskiwał przewagę, był niezwykle silny. Usiadł na nim okrakiem i zaczął go dusić. Natalia wyskoczyła z bagażnika i podniosła z ziemi nóż. Przez chwilę gorączkowo się zastanawiała, jak go właściwie użyć, w końcu z całej siły po prostu wepchnęła Rusłanowi ostrze w ucho. Mężczyzna stęknął cicho i zrobił zdziwioną minę. Smutny natychmiast wyswobodził się z chwytu, przewrócił napastnika na bok, po czym złapał rękojęć noża i wbił go jeszcze głębiej. Oczy tamtego nabiegły krwią, ciało wpadło w epileptyczne drgawki, a po chwili całkiem znieruchomiło.

Natalia uklękła obok trupa i wycedziła z nienawiścią:

– To jest właśnie Smutny!

Potem spojrzała na ukochanego i rozplakała się jak mała dziewczynka.

– Przepraszam... – Łkając, objęła Smutnego i wtuliła się w niego. – To miała być niespodzianka.

– Boże kochany, Tasza... Coś ty najlepszego zrobiła...

Jechali całą noc. Nie zbliżali się do asfaltowych dróg. Terenowe samochody z mozołem pokonywały kolejne nierówności, aż dotarli na podmokły, grząski obszar. Kilka razy bracia musieli nawet wyskakiwać w błoto, mocować do grubych pni liny i korzystać z wyciągarek, aby auta pojechały dalej. Godzinę wcześniej Michałowi ściągnięto worek z głowy. Najwyraźniej od tego momentu nie bali się, że będzie mógł rozpoznać okolicę. Ale Michał martwił się o Jurka. Chłopiec miał coraz płytszy oddech.

Gdy zatrzymali się przed strzeżoną żelazną bramą, zatarasowaną leżącymi w poprzek pniami, był już środek dnia. Florian wyskoczył z samochodu, a strażnicy natychmiast zajęli się usuwaniem blokady.

– Dajcie znać bratu Robertowi! Mamy ranne dziecko!

Jeden z nich skinął głową i odpiął od paska krótkofalówkę.

Po kilku minutach samochody podjechały pod piętrowy pałac, którego kremowa elewacja jaśniała w słońcu. Narożniki wzmocniały kwadratowe w przekroju, trzypiętrowe wieże, między nimi z dachu wyrastały trzy mansardowe okna. Michał wysiadł z auta i się rozejrzał. Budynek okalał zadbane, rozległy park.

Ze środka wybiegł niski, szczupły blondyn z torbą lekarską w ręku, a za nim jeszcze dwóch mężczyzn. Florian z pomocą Michała wyciągnął ostrożnie Jurka z samochodu i ułożył na podstawionych przez nich noszach. Medyk założył stetoskop i osłuchiwał szybko chłopca. Potem laserowym termometrem zmierzył mu temperaturę.

– Czterdzieści jeden – powiedział i wyciągnął do Michała rękę. – Brat Robert, miło mi. Czy chłopiec ma jakieś urazy?

– Michał... Brat Michał – wybąkał tamten w odpowiedzi. Ciągłe głupio się czuł, używając tej formy. – Myślę, że ma złamaną rękę. Prawe przedramię.

Robert rozciął rękaw bluzy i odsłonił spuchniętą, nabiegłą fioletem kończynę.

– Zakażenie krwaka – wydał diagnozę stanowczym tonem. – Musimy to naciąć. I to natychmiast.

– Co? Zaraz! – zaprotestował Michał. – Na pewno? Jesteś lekarzem?

– Lepiej. – Florian położył mu uspokajająco dłoń na ramieniu. – Ratownikiem medycznym.

Robert zdawał się ich w ogóle nie słuchać. Wyciągnął już z torby strzykawkę, napełnił ją i wbił w przedramię chłopca, a ten cicho zajęczał. Ratownik polał płynem dezynfekującym skalpel, a następnie przetarł przedramię Jurka. Delikatnym, ale pewnym ruchem rozciął ściemniałą skórę, spod której natychmiast wypłynęła gęsta niemal czarna krew, zmieszana z ropą. W powietrzu rozszedł się taki smród, że nawet Michał cofnął się o krok. Tylko Robert nachylił się, zaciekawiony, nad rozcięciem, a potem ostrożnie obmacał nabrzmiałe przedramię.

– Dobra, pomóżcie mi. Chłopak musi dostać antybiotyk. Potem nastawimy kość, zszyjemy i usztywnimy.

Spakował swoje przybory do torby i ruszył do budynku, nie oglądając się za siebie. Dwóch mężczyzn podniosło lekkie nosze z Jurkiem i pospieszyło za ratownikiem. Michał chciał iść za nimi, ale Florian powstrzymał go gestem.

– Daj spokój, pozwól mu pracować. To naprawdę dobry fachowiec i niejednego wyciągnął z kłopotów. Chyba na tyle zaufania możesz się

zdobyć?

Michał przypatrzył mu się uważnie i po krótkim namyśle skinął nieznacznie głową. W końcu gdyby chcieli nas zabić, to już dawno by to zrobili, pomyślał.

– Chodź, oprowadzę cię po naszym małym królestwie.

Obeszli potężny budynek z prawej strony. Na tyłach, pośród parkowych alejek, stał prawdziwy folwark. Drewniane budynki przykryto blachą falistą, a w zagrodach z cienkich żerdzi pały się cztery krowy. Po sąsiedzku wylegiwało się z piętnaście świń razem z baraszkującymi wesoło prosiakami. W kącie menażerii urządzono jeszcze sporych rozmiarów kurnik. Ptaki spacerowały niespiesznie po wybiegu, dziobiąc ziarno, a całej gromady strzegł dumnie wyprężony kogut.

– Jesteśmy samowystarczalni – odezwał się Florian. – Swoje mleko, swoje jajka. Na pewno jemy zdrowiej niż przed wojną. Żadnego syfu nastrzykiwanego chemikaliami. Tam, za drzewami i stawem, mamy ogród warzywny z prawdziwego zdarzenia. Chodź.

Minęli zbiornik z lewej strony, a Michał nie próbował ukrywać, że był pod wrażeniem.

– O, kurwa...

Otwarta przestrzeń pałacowego parku podzielona była na grządki i poobsadzana krzakami, między którymi uwijali się ludzie. Z prawej strony ogród od drzew dzieliły trzy szklarnie. Florian zobaczył, że Michał na nie patrzy, i powiedział:

– Nie są to może profesjonalne konstrukcje, ale uwierz mi, że spełniają swoje zadanie. Tę po prawej przeznaczylismy pierwotnie tylko na ogórki. Wiadro dziennie! – Roześmiał się. – Wszyscy mieli dość ogórkowej i tzatzików do każdego dania. Teraz ogórki zajmują tylko połowę, a drugą część przeznaczylismy na cukinie i arbuzy. Wracajmy. Pokażę ci nasze kwatery.

Michał poszedł za Florianem, podziwiając po drodze doskonale utrzymany staw. Tym razem to on przerwał milczenie:

– Mogę cię o coś zapytać?

– Jasne.

– Naprawdę masz na imię Florian?

– Nie, ale jak ci powiem, jak się nazywam, to mi pewnie nie uwierzysz.

– Dlaczego?

– Jan Kowalski.

– Poważnie? – Michał się uśmiechnął.

– Jak najbardziej. Ojciec powiedział mi kiedyś, że myślał nawet o innym imieniu, ale uznał, że tak będzie zabawnie.

– Czym się zajmowałeś przed wojną?

– Byłem strażakiem.

– To stąd ten Florian... Wasz patron?

– Aha. – Florian skinął głową. – A poza tym byłem preppersem. Wiesz, kto to taki?

– To ci wariaci, co budują sobie bunkry, bo wierzą, że zaraz wybuchnie wojna? – Michał niemal natychmiast zdał sobie sprawę, co powiedział, i równie szybko bąknął: – Przepraszam.

– Nie ma za co. Większość ludzi tak myśli.

– Tylko że w sumie nie okazałeś się takim znowu wariatem.

– Otóż to. Miałem swój schron, w którym na początku inwazji zamieszkałem z rodziną. Potem dołączyli sąsiedzi i wkrótce zrobiło się po prostu za ciasno. Znaleźliśmy to miejsce pod koniec października.

Dotarli do budynku, a Michał zwrócił uwagę na solidne kraty w oknach.

– Co tu wcześniej było?

– Kiedyś pałac jakiejś niemieckiej rodziny, potem technikum leśne. Urządziliśmy sobie pokoje w dawnych klasach. Jest całkiem wygodnie. Ale wiesz, co jest najlepsze w tym budynku?

– No?

– Położenie. Wokół same bagna i mokradła. Droga, którą się tu dostaliśmy, to jedyna jako tako przejezdna. Od początku wojny nikt nas tu nie niepokoił.

Obeszli pałac z drugiej strony i po chwili Florian sprowadził Michała po schodach do obszernej wykafelkowanej kuchni. Brodaty mężczyzna w białej kurtce szefa kuchni nachylał się tam nad wielkim kotłem. Próbował właśnie zupy, siorbiąc z olbrzymiej chochli.

– A oto człowiek dbający o nasze podniebienia. Brat Albert.

– Brat Albert, bardzo mi miło. – Kucharz wyciągnął dłoń na powitanie.

– Brat Michał.

– Powiem ci, że chyba cenię go nawet bardziej od brata Roberta, który potrafi utrzymać nas w zdrowiu. Powiedz bratu Michałowi o swoim doświadczeniu, bracie.

– Daj spokój, nie róbmy z tego wielkiego halo. – Kucharz machnął ręką.

– Skromny jak zawsze. – Florian się uśmiechnął. – Brat Albert był szefem między innymi w Paryżu i w tej słynnej nowojorskiej restauracji. Jak to szło?

– Po co gadasz, jak nie wiesz? – burknął tamten. – Kilka hoteli za granicą. Dla brata Floriana to już wielki świat.

– Skąd macie prąd? – spytał Michał, patrząc na kuchenne urządzenia podłączone do gniazdek.

– Generatory – wyjaśnił krótko Florian.

– A paliwo?

– Od czasu do czasu musimy wyjeżdżać, żeby uzupełnić zapasy. Przyznaję, że to są zawsze najniebezpieczniejsze wyprawy.

Michał skinął głową. Oczywiście zauważył też tradycyjną płytę z fajerkami, pod którą konkretnie się paliło, i nie zostawił tego bez komentarza:

– Nie widziałem, aby z któregoś komina leciał dym.

– Jesteś bardzo spostrzegawczy. – Florian spojrzął mu w oczy. – Mamy specjalne filtry i wiatraki. Z zewnątrz nie widać dymu. Nie chcemy tu żadnego towarzystwa. Lubimy spokój.

– To ciekawe – rozległ się kobiecy głos. – Skoro lubimy spokój, to po co nam kolejne osoby?

Trzej mężczyźni zgodnie odwrócili się w kierunku wejścia do kuchni. W drzwiach stała szczupła, dosyć wysoka blondynka z włosami związanymi w koński ogon. Michał uznał, że byłaby całkiem atrakcyjna, gdyby nie wściekłość wymalowana na twarzy.

– Bracie Michale, pozwól, że ci przedstawię. Siostra Beata. Moja droga małżonka.

– Bracie Michale? – prychnęła ze złością. – A od kiedy to?

– Złożył przysięgę – wyjaśnił cierpliwie Florian. – Mam prawo go tak nazywać.

– Z tego, co mi wiadomo, mój drogi mężu, to o wszystkim decyduje Rada. Takie zasady ustaliliśmy sobie na początku. Czyż nie?

– Dobrze, w takim razie niech zadecyduje Rada.

Michał poczuł się głupio i niezręcznie, słuchając tej krótkiej kłótni. Pewnie powinien coś powiedzieć. Tylko właściwie co?

– O której ją zwołamy? – spytała Beata, splatając ręce na piersi.

– Choćby zaraz. Nie widzę żadnych przeszkód. – Florian z kolei wzruszył ramionami. – Chodźmy do kancelarii. Bracie Albercie, zwołaj, proszę, resztę.

Zaprowadził Michała na pierwsze piętro, do dawnego pokoju nauczycielskiego, co wywołało u Michała falę odległych wspomnień.

– Może powinienem poczekać na zewnątrz? – spytał.

– A niby dlaczego? Masz prawo tu być, w końcu rzecz dotyczy ciebie i twojego syna.

Sala powoli wypełniła się ludźmi. Michał znał już Beatę, Alberta oraz Roberta, do nich dołączyli jeszcze dwie kobiety i mężczyzna. Florian ich przedstawił, a potem streścił krótko, jak grupa, która pojechała zdobyć broń, spotkała Michała na gruzach lotniska. Na koniec wyjaśnił mu, że Rada liczy siedem osób, a decyzje podejmowane są większością głosów.

– Może ja zacznę – odezwała się Beata. – Wiemy, że na razie nasze zapasy są wystarczające. Ale nie wiemy, jak długo przyjdzie nam z nich korzystać. Nie mamy pojęcia, jak długo potrwa wojna.

– Nasze zapasy są naturalne, siostrzo Beato – odezwał się miękkim głosem Florian. – Świnka urodzi prosiaki, krówka cielaki, a ogórek z pomidorkiem same sobie urosną.

– Dobrze wiesz, że wzrost roślin nie jest tak szybki, jak byśmy sobie życzyli. No, może poza ogórkami... A tylko tej zimy straciliśmy krowę, trzy świnię i osiem kur.

– Ja tylko, jeśli można, chciałbym coś powiedzieć bratu Michałowi, zanim wyrzucimy go na bruk. – Robert lekko się skrzywił. – Twój syn ma już nastawioną i usztywnioną kość. Rana jest zaszyta, a antybiotyki zaczynają działać. Stan stabilny, gorączka spadła do czterdziestu stopni.

– Jestem ci niezmiernie wdzięczny, naprawdę. – Michał wahał się tylko chwilę, zanim dodał: – Bracie Robercie, dziękuję ci.

Ten pochylił głowę, ale Beata szybko wyprowadziła kontratak:

– Nikt nie mówi o wyrzucaniu na bruk. To jakaś historyczna narracja. Mogą zostać na tydzień lub dwa, dopóki chłopiec nie wydobrzeje. Potem dajmy im zapasy, nawet broń, jeśli zechcą. I niech idą w swoją stronę.

– Dobrze, sami wiecie, jak nie cierpię marnowania czasu. – Florian potoczył po zebranych wzrokiem. – Przejdźmy do głosowania. Kto jest przeciwko temu, aby nasza wspólnota się powiększyła o brata Michała z synem?

W górę powędrowały trzy ręce, w tym Beaty.

– Kto za tym, żeby pozostali?

Ręka Alberta, Roberta... I jeszcze jedna. Trzy do trzech. Decydujący głos należał wprawdzie do Floriana, ale Michał nie miał złudzeń. Wiedział, że Beata jest żoną tamtego, a doskonale się znał na związkach. Jeśli Florian stanie tej babie okoniem, to może się pożegnać z seksem na najbliższe miesiące, pomyślał z rezygnacją. To ciekawe swoją drogą, z początku wziąłem

ich za kompletnych świrów, mówiących do siebie per „bracie”, „siostrze”, i przyłączyłem się do nich tylko dla Jurka. A teraz? Podoba mi się tu. Chcę tu doczekać w spokoju do końca wojny. Chcę żyć! Nawet nie patrzył w kierunku Floriana. Nie chciał się rozczarować. Dlatego nie wiedział, czy ten podniósł rękę, czy nie, usłyszał za to jego głos:

– W takim razie zdecydowane. Brat Michał z synem zostają w naszej wspólnocie. Dziękuję za spotkanie.

5.

Nowoczesne samoloty Amerykańskich Sił Powietrznych to zaawansowane technologicznie dzieła sztuki. Jednak – jako takie – były też o wiele delikatniejsze niż ich poprzednicy. Myśliwce oraz najnowsze wielkie transportowce nie mogły korzystać z byle lotniska polowego. Nie chodziło nawet o długość pasa czy jakość nawierzchni, ale przede wszystkim o sterylność. Nie można było pozwolić, by jakieś śmiecie dostały się do silników i powodowały zniszczenie maszyn wartych po kilkaset milionów dolarów.

Dlatego dopiero teraz przenoszono ich bazę z bydgoskiego Szvederowa dalej na wschód, pod Warszawę. Wycofujący się Rosjanie przemienili niestety Okęcie w totalne gruzowisko, ale sztuczka ta, na szczęście, z Modlinem udała się tylko w niewielkim stopniu. Amerykańskie wojska inżynieryjne dokonały niezbędnych napraw i właśnie tam przerzucano cały sprzęt.

Kontenery mieszkalne wraz z całym gabinetem Franka Edwardsa, dowódcy Siódmej Armii, już dawno były w powietrzu. Sam generał siedział w fotelu przy stanowisku odprawy bagażowej. Stojący przed nim pułkownik Rogers wyglądał jak podróżny, który właśnie szykuje się do odlotu i zaraz postawi swoją walizkę na taśmociągu.

– Naprawdę mam ostatnio trochę na głowie. – Generał westchnął ciężko.

To była szczerza prawda. Amerykańska machina wojenna, pozbawiona komunikacji i nawigacji satelitarnych, jakby się trochę zacięła. Postępy w marszu na wschód nie były już tak imponujące, a myśliwce, pozbawione istotnej części zintegrowanego systemu transmisji Link16, nie radziły już sobie w powietrzu tak dobrze jak wcześniej.

– To jeszcze takiego gówna mi brakuje – dokończył filozoficznie.

– Coś wymyślimy – powiedział Rogers uspokajającym tonem.

Edwards skwitował to miną z rodzaju „mam nadzieję” i odchylił się na oparcie obrotowego fotela. Obaj w milczeniu patrzyli na zmierzających w ich kierunku mężczyzn. Pierwszego znali doskonale. Łysy jak kolano, szczupły mężczyzna w świetnie skrojonym garniturze i z permanentnym trzydniowym zarostem, czyli dyrektor Charles Peterson z Centralnej Agencji Wywiadowczej. Towarzyszył mu szeroki w barach sześćdziesięciolatek, ubrany we flanelową koszulę, dżinsy i piaskowe sznurowane buty za kostkę. Generał szybko uznał go w myślach za typowego Amerykanina ze Środkowego Zachodu.

– Panowie – odezwał się oficjalnie dyrektor. – Pozwólcie: dowódca Siódmej Armii, generał Frank Edwards, pułkownik Rogers z rangersów. A to pan Steven Parker. Ojciec jednego z naszych żołnierzy.

Gdy wymienili uściski dłoni, Peterson zachęcił gościa, by mówił.

– Wczoraj późnym wieczorem otrzymałem telefon. Nieznany mi numer z kierunkowym, który mój iPhone rozpoznał jako rosyjski. Dzwonił mój syn, żeby mi powiedzieć, w jakiej się znalazł sytuacji. Wysłaliście go z misją...

– Zadzwoił do pana i poinformował o szczegółach misji!? – przerwał mu Rogers podniesionym głosem, marszcząc brwi. – To oburzające!

– Zamknij pan mordę i wysłuchaj do końca! – Parker wprost zatrzęsł się z wściekłości. – Wysłaliście go, żeby wysadził jakiś pierdolony radar! No i dobrze, chłopak jest żołnierzem. Choć ja nigdy tego nie popierałem. W każdym razie nie mógł się z wami połączyć, bo nie miał GPS-u. Zanim się rozłączył, dopytałem o kilka szczegółów. Wiem przecież, że ruscy nas załatwili i nie mamy GPS-u. Ale z tego, co on mówił, wychodzi, że kiedy wysłaliście go w to gówno, wiedzieliście już, że nie wróci!

Obaj wojskowi i dyrektor CIA milczeli. Niestety to była prawda. Musieli zareagować na paraliż systemu nawigacji i choć trochę wyrównać szanse. Próby zniszczenia rosyjskich satelitów na razie spełzły na niczym. Ale pozbawiając przeciwnika radarów dalekiego zasięgu, wracali do gry. Miał teraz o wiele mniejsze możliwości śledzenia rakiet balistycznych i musiał się liczyć nawet z atakiem jądrowym. Choć zapewne wiedział, podobnie jak Amerykanie, że taki krok byłby prawdopodobnie jednym z ostatnich na planecie Ziemia.

– Więc pytam się was! Wysłaliście mojego syna na misję bez powrotu? – Parker nie doczekał się odpowiedzi. – Wy skurwysyny! – ryknął. – Załatwię was! Rozbiję namiot pod pierdolonym Białym Domem i będę tam siedział do

końca życia! Systemu nie zmienię, nie jestem naiwniakiem! Ale wy... Was utopię w gównie! Nigdy się z tego nie wygrzebiecie!

Dyrektor Peterson zastanawiał się przez dłuższą chwilę, czy nie najprościej byłoby zwyczajnie usunąć Stevena Parkera. Odrzucił jednak tę myśl. Jako wieloletni dyrektor CIA był wprawdzie przyzwyczajony do okropieństw i świństw, ale zabójstwo ojca żołnierza wysłanego na misję bez powrotu to było za dużo nawet dla niego. Poza tym tak naprawdę nie mogli jeszcze skreślić młodego Parkera. Niektórym grupom udało się wrócić. Szkoda, że akurat jemu trafił się ten radar.

– Mój syn powiedział, że żyje i będzie na was czekać nad brzegiem morza, w punkcie Teriberka! Macie tam kogoś wysłać i sprowadzić mojego chłopaka z powrotem! – W oczach mężczyzny pojawiły się łzy. – Jest ich dwóch, on i Garcia. Jeśli tego nie zrobicie, to Bóg mi świadkiem, podpale się na schodach Kapitolu.

Wojskowi wymienili spojrzenia z dyrektorem CIA. Ten ostatni powiedział:

– Panie Parker, da nam pan chwilę na osobności?

Tamten otarł łzy, skinął płytko głową i odszedł w stronę pozostałości pobliskiego bistro. Usiadł na krześle, zgarbił się i wbił wzrok w ziemię. Był totalnie załamany.

– Nie ma wyjścia, pchniemy tam ekipę specjalsów. Rogers, załatw to – powiedział Edwards.

– Wykluczone – rzucił Peterson.

– Co? – Generał się skrzywił. – Jeśli jest jeszcze w Ameryce jakaś władza o realnej sile, to właśnie ta czwarta. Media zrobią z nas krwiożercze bestie!

– W razie wpadki wszystkiemu zaprzeczamy. Podamy, że Parker z tym Garcia polegli na Ukrainie przypadkowo. Znajdziemy nawet świadków. Mina pułapka, szczątków brak...

Wojskowi spojrzeli po sobie, zniesmaczeni. Nie tak wyobrażali sobie służbę dla kraju, ale z drugiej strony doskonale wiedzieli, że mają wojnę do wygrania. To nie był czas na rozpaczanie nad dwoma istnieniami ludzkimi.

– Ale co nam to szkodzi spróbować? – zaproponował generał Edwards.

– Wyślemy ludzi. To trudna misja. Wysokie ryzyko, że zginą – odparł dyrektor CIA. – Wtedy nie będzie jak się wykręcić. Za dużo świadków. I za dużo ofiar. Naprawdę chcemy narażać życie kolejnych chłopaków?

– Słuchajcie. Chyba mam pomysł – powiedział Rogers.

Niewielki beechcraft C-12 huron czekał cierpliwie w kolejce. Potężne maszyny transportowe podnosiły się leniwie z pasa startowego i kierowały na wschód. Ocieężałe galaxy, globemaster i hercules z hukiem mijały kolejno mały, dwusilnikowy samolot. Jako jedyny z całej bydgoskiej bazy oczekiwał na swoją kolej, aby odlecieć w kierunku zachodnim.

Generał Sawicki ze swoimi dwoma towarzyszami siedział z przodu. Gurski z Laceviciem oraz resztą ekipy zajęli tylne miejsca. Przedzielono ich sześcioma żołnierzami amerykańskiej żandarmerii, którzy mieli za zadanie odstawić Polaków do bazy w Rammstein.

Ktoś z wieży w końcu ulitował się nad pilotem beechcrafta i maszyna wreszcie potoczyła się po pasie. Samolot nie nabrał jednak odpowiedniej prędkości, żeby się unieść, rozpoczął za to gwałtowne hamowanie. Wszyscy na pokładzie uczyli się siedzeń, gdy maszyną zaczęło rzucać na boki. Kiedy stanęła bezpiecznie, z kokpitu wypadł czerwony z wściekłości pilot, przecisnął się do wyjścia i odblokował je gwałtownymi szarpnięciami.

W poprzek pasa startowego stały trzy hummery. Pilot zbiegł po stopniach otwartych drzwi, wyszarpnął z kabury pistolet i przeładował.

– Wyłaż, ty skurwysynu! Myślisz, że to jest śmieszne!? – Darł się na całe lotnisko.

Z jednego z samochodów wysiadł Frank Edwards, ale nawet nie spojrzał na przerażonego pilota, który gwałtownie ustawił się na baczność. Przechodząc obok, rzucił tylko do niego:

– Schowaj ten pistolet, synu, bo się jeszcze w jaja postrzelisz.

Po chwili był już w samolocie.

– Możemy zamienić słowo? – zapytał bez żadnych wstępów Gurskiego.

– Jasne – odparł ten, rozpiął pas i wyszedł na zewnątrz za generałem.

Stanęli przy ogonie beechcrafta, a Gurski z podziwem zerknął na stojące karnie w kolejce maszyny transportowe. Akcja na pasie startowym ewidentnie nie była konsultowana z kontrolą lotów, bo tuż obok zatrzymał się z piskiem opon pikap z pomarańczowymi światłami na dachu. Wskoczył z niego zdenerwowany major, ale gdy tylko zobaczył, że powodem zatoru jest generał Edwards, zrobił stropioną minę i stanął bezradnie przy swoim samochodzie.

– Mam dla pana propozycję – powiedział tymczasem tamten do Gurskiego.

– Słucham.

– Dwóch naszych utknęło w okolicach Murmańska. Trzeba ich sprowadzić do domu.

– A wasi specjaliści strajkują czy poszli na chorobowe?

– Bardzo śmieszne. – Frank Edwards się skrzywił. – Nie wszystko musisz wiedzieć. Niezależnie od wyniku misji będziecie potem wolni.

– Czyli martwi na dnie Morza Barentsa?

Major z obsługi lotniska zdobył się wreszcie na odwagę, podszedł do rozmawiających i odchrząknął cicho.

– Panie generale. Najmocniej przepraszam, ale mam dzisiaj trochę samolotów do wysłania i...

– Zaraz! – Tamten powstrzymał go gestem dłoni i znowu zwrócił się do Gurskiego: – Wchodzisz w to czy nie?

– Dwa warunki.

– Jakież?

Roman doskonale wiedział, jak zresztą wszyscy żołnierze służący swego czasu pod komendą Sawickiego, że generał naprawdę nie cierpiał jednego. Zimna. Nigdy nie jeździł na narty, każdy urlop spędzał w ciepłych krajach i od zawsze snuł wizję o spokojnej emeryturze gdzieś na Wyspach Kanaryjskich.

– Macie jakąś bazę na Antarktydzie?

Amerikanin westchnął ciężko i wyciągnął rękę w kierunku swojego majora.

– Radio.

Tamten przekazał generałowi radio, a ten odszedł kilka kroków i połączył się z kontrolą, prosząc o nawiązanie łączności. Wrócił po chwili i spokojnie odpowiedział:

– Naszej wojskowej już nie ma, była kiedyś, Brockton. Ale mogę załatwić coś ze stacją McMurdo. Ale o co chodzi?

– Ile tam mają teraz stopni?

– Przeginasz. – Generał zrobił groźną minę, ale powtórzył pytanie do krótkofalówki. Po chwili usłyszeli trzeszczącą odpowiedź: – Minus cztery.

– Fahrenheita?

– Tak.

– W porządku. – Roman szybko przeliczył jednostki w głowie i wyszło mu minus dwadzieścia stopni Celsjusza. – Wyśle pan tam Sawickiego z jego przydupasami. Na dwa lata.

– A jak wojna skończy się wcześniej?

– Trudno. Umowa stoi?

– Stoi – odparł generał, a oblicze majora z kontroli rozpromienił uśmiech. Pewnie na myśl o tym, że za chwilę pas zostanie udroźniony i maszyny czekające w długiej kolejce wylecą z ładunkiem na wschód. – A ten drugi warunek?

– Jeśli wrócimy z misji, pozwoli pan moim kolegom oraz mnie walczyć w waszych szeregach. Żebyśmy mogli dokończyć swoją robotę i skopać wreszcie te ruskie dupy.

Frank Edwards wolno podsunął krótkofalówkę majorowi. Potem zmierzył uważnym spojrzeniem Gurskiego i wreszcie wyszczerzył się w uśmiechu i powiedział:

– *Be my guest!*

6.

Stał na brzegu rzeki i dumał. Ostatnio robił to coraz częściej. Może to oznaka starości? W końcu mam już sześćdziesiąt pięć lat, pomyślał bez żalu czy smutku. Zastanawiał się na przykład nad wartościami. Nad tym, co jest tak naprawdę cenne dla ludzi. Chyba najbardziej zawsze śmieszyło go to całe złoto. Gówniany metal, za miękki, żeby cokolwiek z niego zrobić, nie da się go również zjeść, praktycznie zero pożytku. Za to skutecznie zawładnął ludzką wyobraźnią. Choć trzeba po sprawiedliwości przyznać, że na przykład w takim królestwie Majów nikt się nad złotem specjalnie nie trząsał. Płacili sobie ziarnami kakaowca, materiałem albo kukurydzą. Czyli całkiem rozsądnie – czymś, co miało istotną wartość. Oczywiście złoto okazało się ich przekleństwem, gdy na piaszczystych brzegach wylądowały łodzie ze śmierdzącymi Europejczykami. Ci wkrótce wymordowali większość mieszkańców Ameryki Południowej.

Wiedza. Tak, gdyby miał wybierać, zdecydowanie postawiłby na wiedzę. Gdyby Majowie wiedzieli, co ich czeka z rąk Hernána Cortésa, mogliby się jakoś przygotować. Urządzić miłe przyjęcie powitalne już na plaży. Zamiast tego jako ludzie kulturalni i otwarci zaprosili przybyszy na spotkanie ze swoim przywódcą.

Wiedza i dostęp do informacji. Było i nie ma, skwitował w duchu posepnie. Przed wojną wszystko na wyciągnięcie ręki. A teraz? Wycofujący się Rosjanie powysadzali ocalałe stacje przekaźnikowe. Nie było już internetu, radia ani telewizji. Cywilizacja w Polsce została cofnięta do „jedna baba

drugiej babie”. A przecież on i tak miał niewielu znajomych. Jego poglądy i sposób życia nie były popularne. Dodatkowo po rosyjskiej inwazji kilka razy zachował się jak tamci naiwni Majowie. Próbował pomagać ludziom, przyjmował ich w swoim domu. Najpierw go okradziono, a innej wizyty o mało co nie przypłacił życiem. Od tamtej pory, gdy tylko ktoś wszedł na jego posesję, po prostu używał strzelby. Chciał przeżyć, tak jak wszyscy.

Rzeka, nad którą stał Maciej Nawrot, tak naprawdę była raczej potokiem. W najgłębszym miejscu miała może z metr, rozlewała się za to dość szeroko. Lubił te lasy leżące nieopodal Mikołowa. Gęste i malownicze, dodatkowo rozciągały się nieopodal jego domu. Lekarz trzymał na ramieniu myśliwską strzelbę, a u jego stóp warował Tyson. Rudy kłębek mięśni – tak jak jego pan – wpatrywał się w zmagającego się z nurtem mężczyznę.

Ten krztusił się raz po raz, ciągnąc za sobą bezwładne nogi. W pewnym momencie stracił oparcie i woda porwała go kilka metrów w dół, ale zdołał złapać się omszałego, śliskiego kamienia i podciągnął na rękach, plując i parskając. Uparciuch z niego, pomyślał Nawrot.

Największymi pasjami doktora były niewątpliwie samochód i pies. Po okolicy poruszał się potężnym pikapem, toyotą tundrą z ośmiocylindrowym silnikiem. Wszystko przy tym samochodzie robił sam i znał go na wylot, do ostatniej śrubki. Dlatego po wybuchu wojny nie musiał liczyć na żadnych mechaników. Tysonowi również poświęcał wiele uwagi, trenował go niemal codziennie.

Pitbull był mu bezwzględnie posłuszny i diabelnie niebezpieczny. Wybawił swojego pana z niejednej opresji. To właśnie Tyson go uratował, kiedy jeden z tych, którym Nawrot udzielił schronienia, chciał mu w nocy poderżnąć gardło.

Na podium, tyle że na najniższym stopniu, zostawało jeszcze miejsce dla neurochirurgii. Tyle lat szefować oddziałowi w powiatowym szpitalu... Trudno byłoby to po prostu wyrzucić z głowy, choć z czasem wycofał się z operowania, bo nie dość, że praca była cholernie męcząca, to jeszcze obciążająca emocjonalnie.

Dlatego teraz przyglądał się częściowo sparaliżowanemu mężczyźnie, walczącemu z nurtem, okiem fachowca. Ciekaw, co też mu się przytrafiło. Pobicie? A może upadek z wysokości? Kilka lat przed wojną Nawrot operował dwudziestoletniego chłopaka, który skoczył z mostu, bo rzuciła go dziewczyna. Gdybyż tylko ten dzieciak wtedy wiedział, że z takich powodów nie warto skakać z mostów.

No tak, znowu ta wiedza. To chyba faktycznie musiała być najcenniejsza rzecz. Postanowił pomóc.

Po pierwsze potrzebował czegoś takiego, dobrego uczynku. Mimo że tak naprawdę nikt nie wiedział, jaki jest aktualny wynik awantury między Rosjanami a Amerykanami, Nawrot wciąż wierzył, że ogólnie idzie ku lepszemu i wkrótce w Polsce znowu zapanuje porządek. A po drugie, wiedziony był zwykłą lekarską ciekawością. Postawić diagnozę. To zawsze był najfajniejszy element całej tej zabawy w doktora.

Zmordowanemu mężczyźnie udało się w końcu dotrzeć na ich brzeg, tylko że niecałe dwieście metrów niżej. Dotąd nie zauważył doktora ani tym bardziej jego psa.

– Pilnuj! – rzucił Nawrot, a Tyson wyprężył się i zerwał do biegu. Po kilkunastu sekundach stał już nad leżącym, warcząc i szczerząc kły. Jego pan spokojnym krokiem wrócił do toyoty, schował strzelbę i otworzył klapę części załadunkowej. Poprzesuwał skrzynki z przyborami i narzędziami na jedną stronę, aby zmieścić obok rannego. Przy okazji wyciągnął pilarkę spalinową. Potem podszedł do dwóch cienkich drzewek i odpalił narzędzie. Powinny się nadać, żeby trochę go usztywnić, pomyślał i zabrał się do ścinania. Miał wprawdzie własną teorię, że te wszystkie usztywniające deski ratunkowe tak naprawdę gównem dawały przy urazach kręgosłupa. No, ale dla świętego spokoju.

7.

W tym miejscu rzeka Moskwa zawracała, zataczając malowniczy łuk. Przelatujący nisko samolot błyskał światłami pozycyjnymi, podchodząc do lądowania na lotnisku Żukowskij. Drzewa rzucały długie cienie na kręte piaszczyste ścieżki niknące wśród szuwarów. Milczący mężczyzna w gumiakach, waciaku oraz przekrzywionym na bok kapelusiku podszedł do wyciągniętej na brzeg łódki i zaczął odpinać kolejne kłódki i łańcuchy.

Smutny w milczeniu patrzył na spracowane dłonie rybaka. Nie wiedział, czy monstrualnych, nienaturalnie wypukłych paznokci mężczyzna dorobił się od ciężkiej pracy, czy od zestarzałego brudu. A kłódek naliczył pięć, i do tego trzy grube łańcuchy.

– Aż tak tu kradną? – spytał i łobuzersko mrugnął. – Może zabieraj łódkę na noc do domu?

Mężczyzna obrzucił go niechętnym spojrzeniem. Najwyraźniej nigdy wcześniej nie pożyczał łódki, ale ciężko było odmówić sobie amerykańskiego pieniądza.

– Widzimy się o jedenastej. Jak nie będzie ciebie albo łódki, depozyt przepada. Łańcuchy trzymaj przypięte na pokładzie.

Wręczył klucze Smutnemu i odszedł bez słowa. Ten odczekał chwilę, a potem z powrotem przypiął łódkę i poszedł wzdłuż rzeki. Po dziesięciu minutach bez wahania skręcił i wspiął się na niewielki leśny parking. Przy range roverze stała Natalia, paląc nerwowo papierosa. Smutny wiedział, że przez głupią samowolkę dziewczyny czekają ich kłopoty. Ale podobnie jak ona był zakochany. Nie wiedział dlaczego. W swoim barwnym, złodziejskim życiu miewał dziewczyny, które przebijały Taszę urodą. Ale w niej było coś innego. Jakaś delikatność i kobiecość, których wcześniej nie znalazł u innych. Dlatego chciał jej oszczędzić przykrych widoków.

– Idź na spacer. – Pocałował ją w usta. – Ja go przygotowuję.

– Pomogę ci. To przecież moja wina.

– Nie mów tak. Wiem, że chciałaś dobrze.

– Pomogę ci – powiedziała stanowczo.

Wzruszył ramionami i otworzył bagażnik. Trup zdążył już trochę stężeć, ale nie na tyle, aby sprawiać szczególne problemy przy pospiesznym rozbieraniu do naga. Ubrania schowali do czarnego worka na śmieci. Smutny z niepokojem obejrzał rozliczne, starannie wykonane tatuaże na plecach Rusłana. Rozpoznawał niektóre symbole. Nadzieja, że facet był po prostu nowobogackim, który się dorobił na handlu gaciami, prysła jak bańka mydlana. Musiał być moskiewskim gangsterem. I to kimś z wyższej półki. Kurwa, mamy przejebane, pomyślał Smutny i zatrzasnął bagażnik. Potem wsiadł z Natalią do auta.

– Poczekamy, aż się ściemni – powiedział i podsunął Natalii papierosa, ale odmówiła.

Siedzieli w kompletnym milczeniu ponad pół godziny. Przez ten czas Smutny wypalił trzy papierosy, sztywniejąc za każdym razem, gdy biegnącą nieopodal drogą przejeżdżał samochód. Gdy zrobiło się prawie zupełnie ciemno, a nad ich głowami przeleciał kolejny lądujący samolot, Natalia wreszcie się odezwała:

– Przepraszam.

Smutny poprawił jej niesforny kosmyk włosów, przy okazji głaszcząc delikatnie po szyi. Nachyliła się do niego, a ich usta się zetknęły. Delikatny

buziak szybko przeszedł w namiętny pocałunek. Smutny chciał go przerwać, pomny tego, że w bagażniku leżał nagi trup, ale poczuł, jak bardzo była podniecona. To podniecenie udzieliło się również jemu. Chwycił ją pod kolanami i podciągnął wyżej, a potem sprawnie ściągnął buty oraz spodnie. Gdy z kolei zsuwał swoje, Natalia, dysząc ciężko, ściągnęła majtki i usiadła na nim. Nie zdążył nawet założyć prezerwatywy.

Naparła mocno, osuwając się na jego członku, a Smutny stęknął cicho. Wpiła się ustami w jego usta i zaczęła go ujeżdżać tak mocno, że chwilami czuł ból. Pospiesznie zerwał z niej resztę garderoby, a Natalia pozbawiła go podkoszulka. Odchyliła się i wparła ręce w deskę rozdzielczą, plecami ocierała się o kierownicę. Coraz mocniej pracowała biodrami w przód i w tył. Smutny poczuł, że jest już tak podniecony, że lada moment do reszty straci nad sobą kontrolę i się spuści.

Zacisnął zęby, przywarł do Natalii i chwycił ją jedną ręką za włosy. Odchylił jej głowę i zaczął całować po szyi, a dziewczyna jęknęła z rozkoszy. Przeczekał kryzys i teraz to on naparł biodrami, wciskając się w nią coraz głębiej. Rozochociona i zdyszana, ujeżdżała go jeszcze z piętnaście minut, aż w końcu jęki przeszły w głośny krzyk. W pierwszym odruchu Smutny chciał jej zatkać usta, żeby ktoś z zewnątrz ich nie usłyszał, ale za bardzo mu się podobało. Natalia szczytowała dobre pół minuty, potem opadła na niego, tuląc się doń mocno i całując go po torsie.

Dziewczyna zsunęła się z członka i oparła plecami na fotelu pasażera, rozkładając szeroko nogi. Potem pociągnęła Smutnego do siebie. Chwyciła sterczącego nad nią penisa i patrząc w oczy klęczącemu chłopakowi, zaczęła pieścić, aż trysnął na jej brzuch i piersi. Po dłuższej chwili Smutny uniósł powieki i spojrzał na Natalię z oszołomieniem. Tego się nie spodziewał.

Kwadrans później Smutny podjechał tyłem range rovera do skutej łańcuchami łódki. Natalia pomogła mu wrzucić do środka wywleczony z auta Rusłana, choć bardzo wstydziła się niedawnego podniecenia. Z drugiej strony było jej wtedy tak potwornie dobrze. Nigdy wcześniej czegoś podobnego nie przeżyła.

– Wsiadaj – sapnął Smutny.

Natalia weszła do łódki, którą Smutny zepchnął na wodę, zanim sam wskoczył na pokład. Chwycił za wiosła i energicznymi pociągnięciami wyprowadził ich na środek rzeki. Pięć minut później ustawił dziób pod prąd i przekazał wiosła Natalii, mówiąc:

– Postaraj się utrzymać nas w miejscu.

Dziewczyna skinęła głową i zajęła się wiosłowaniem. W ciągu dwóch minut spociała się i poczuła silne pieczenie wewnętrznych części dłoni. Smutny tymczasem się rozebrał, a Rusłana przywiązał za rękę łańcuchem do rufy i wypchnął do wody. Potem sam skoczył z dużym wojskowym nożem.

– Nie patrz – ostrzegł Natalię.

Udała, że odwraca głowę, ale kątem oka ciągle obserwowała, jak chłopak wbija broń w podbrzusze trupa. Posługując się ząbkowanym ostrzem niczym piłą, rozplatał go aż po mostek. Wypuszczone wnętrzności z cichym pluskiem osunęły się do rzeki. Smutny czym prędzej odwiązał łańcuch i wypatroszony Rusłan poszedł na dno. Potem chłopak puścił nóż i, ciągle zanurzony w wodzie, starannie obmył się z krwi. Dopiero wtedy podciągnął się z powrotem do łódki. Natalię ponownie zalała fala wstydu, bo obserwując całą tę makabrę, doznała tak silnego podniecenia, że musiała zacisnąć nogi.

– Prosiłem, żebyś nie patrzyła.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Gazy – wyjaśnił rzeczowym tonem. – Wzdęłoby go i po kilku godzinach wypłynąłby na powierzchnię. A tak jego wnętrzności zezrą ryby i koleś zostanie na dnie.

Smutny wrócił na środkową ławkę i przejął wiosła. Szybko podpłynął ze sto metrów pod prąd i po niecałych dziesięciu minutach znaleźli się z powrotem na plaży. Natalia obserwowała w milczeniu, jak wciąż nagi mocuje się z kłódkami i łańcuchami. Myślała, że podniecenie minie, ale nic z tego. Gdy się odwrócił, zobaczył, jak dziewczyna zrzuca ubrania i kładzie się na piasku, szeroko rozkładając nogi. Zrobili to znowu, tym razem szczytując niemal w tym samym momencie.

Potem odstawili range rovera na bezpieczną odległość, Smutny wrócił pieszo na plażę, żeby odebrać od rybaka depozyt. Gdy wyjechali w końcu z lasu, Natalia oparła Smutnemu głowę na ramieniu i natychmiast usnęła. Przejechał na drugi brzeg Moskwy, potem z federalnej M5 skręcił na zachód. Gdy dotarł do stopiątki, skierował się na lotnisko Domodiedowo.

Natalia obudziła się dopiero wtedy, gdy podskoczyli na progu zwalniającym pod szlabanem. Zobaczyła rozjarzony światłami, rozległy budynek terminala oraz czerwony napis: P4 ПАРКОВКА ЦЫТОЧНАЯ – LONG TERM PARKING.

– Co się dzieje? – spytała zdezorientowana.

– Nie możemy porzucić wozu gdzieś w lesie. Za drogi, szybko ktoś się nim zainteresuje – wyjaśnił Smutny znużonym głosem. – Zanim tutaj ktoś się zorientuje, że ten range stoi za długo, może minąć i pół roku.

– A ubrania? – Natalia sama była zaskoczona, że o tym pomyślała.

– Spalimy. Spokojnie, znam miejsce.

Wjechał na parking długoterminowy i znalazł wolne miejsce. Z range rovera zabrali tylko worek z ubraniami Rusłana i pomaszerowali do autobusu, który miał ich zawieźć na stację metra Domodiedowskaja.

Nie pamiętał już, kiedy ostatnio tak bardzo zbliżył się do cywilizowanego człowieka. Ciepłą wodę z łazienką mieli przez chwilę w Katowicach, gdy zgodził się pracować w rosyjskiej szkole. Ale mimo wszystko nie mógł najeść się wtedy do syta. A teraz? Na kolację wsunął dwa talerze pysznego żurku z jajkiem, zagryzając świeżo pieczonym chlebem. Na drugie zjadł roladę śląską z kluskami. Może to kwestia ostatnich przeżyć i wycierpianego głodu, ale przysięgłby, że nigdy w życiu nie jadł lepszej. Swoją drogą, Florian mógł mieć rację. Skoro wyrabiali, co tylko mogli, na miejscu i tak się o wszystko troszczyli, być może faktycznie jedzenie było lepsze i zdrowsze niż przed wojną.

Michał zszedł na dół, gdzie obok sali gimnastycznej znajdowały się natryski. Po prostu nie mógł sobie odmówić trzeciego gorącego prysznica. Po pierwsze, wprawiało go to w świetny nastrój. Po drugie, strumienie gorącej wody świetnie działały na obolałe udo.

Po kąpieli przemknął do siebie, przepasany tylko ręcznikiem. Dostali kwatere w prawym skrzydle – porządny, wysoki na ponad trzy metry pokój. Mieścił bez problemu dwa łóżka oraz całkiem pojemną szafę i komodę z trzema szufladami. Drugie łóżko czekało rzecz jasna, aż Jurek opuści izbę chorych, jak nazywano tutaj namiastkę szpitala. Co prawda nie odzyskał jeszcze przytomności, ale gdy ojciec odwiedzał go dwie godziny wcześniej, chłopiec wyglądał o wiele lepiej, a po gorączce praktycznie nie było śladu.

Michał rozwiesił ręcznik na otwartych drzwiach szafy, a potem założył ofiarowane mu bokserki i biały podkoszulek i usiadł na łóżku. Kompletnie wyczerpany, nie myślał absolutnie o niczym. Dopiero po dłuższej chwili pustkę zapełniły wspomnienia Basi z Natałką. Jeszcze do niedawna, myśląc o żonie i córce, zastanawiał się przede wszystkim, gdzie są, co robią i czy w ogóle żyją. Ten etap miał jednak za sobą. Teraz był przekonany o tym, że już ich nie ma. Nie wierzył w Boga, dlatego jego quasi-modlitwa nie

przypominała tych tradycyjnych. Po prostu przywoływał wspomnienia. Szczerze też życzył Basi i Natalce, żeby w życiu pozagrobowym – jeśli się mylił i jednak jakieś istniało – miały lepiej niż w tym, które dzielili.

Może gdzieś, kiedyś natrafię na jakąś informację o nich, pomyślał. Kiedy w końcu przywrócą jakąś łączność, cokolwiek? Nigdy bym nie przypuszczał, że w dwudziestym pierwszym wieku, w czasach światłowodów i internetu, może nastąpić takie odcięcie informacji.

Wstał i otworzył okno, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, ale za kratami wisiała jeszcze gruba, ciemna plandeka przesłaniająca widok. Uwagę Michała odwróciło jednak od niej pukanie do drzwi.

– Proszę!

Do pokoju wszedł Florian z Robertem, który od razu zakomunikował, że Jurek odzyskał przytomność.

– To super! Już się ubieram.

Michał sięgnął po spodnie, ale zaniepokojony Robert go powstrzymał.

– Czekał, a co to takiego? – Wskazał krwiaka na jego udzie.

– Nic takiego. Coś musiało mi rąbnąć, jak nas przysypało na lotnisku.

– Zgłoś się później do mnie po jakąś maść.

– Jasne. Mogę odwiedzić Jurka?

– Jak najbardziej. – Robert się uśmiechnął. – Nie tylko odwiedzić, ale nawet już go tu przenieść.

– Jestem ci, to znaczy wam, niezmiernie wdzięczny. – W oczach Michała pojawiły się łzy wzruszenia. Uścisnął obu mężczyznom dłonie.

– Daj spokój, przecież nic wielkiego nie zrobiłem.

Robert machnął na pożegnanie i wyszedł z pokoju. Michał usiadł na łóżku i założył buty, potem zamknął okno i spytał Floriana:

– O co chodzi z tą plandeką?

– Zaciemnienie. Nie chcemy, żeby ktoś nas wypatrzył z powietrza. Początkowo pilnowaliśmy po prostu, żeby nie świecić przy oknach. Ale z czasem, kiedy nasza społeczność się rozrosła, stało się to kłopotliwe. Dlatego teraz spuszczaemy z dachu plandekę i po kłopotcie, a w pokojach może być jasno. Palisz?

– Nie.

– To dobrze. Bo w środku jest zabronione, po nocy również na zewnątrz.

– Ktoś stale pilnuje budynku?

– Tak, z czasem też będziesz musiał się w to włączyć. Rozumiesz, każdy po kolei musi.

- Jasne. – Michał skinął głową.
- Ale na początku damy ci jakieś prace gospodarskie. Choć dla niektórych to podobno gorsze.
- Dlaczego?
- Są z miasta. Nie lubią dawać świniom, wygarniać obornika i innych tego typu zajęć.
- Jestem z miasta, ale zrobię, co będzie trzeba. Przecież też ze wszystkiego tutaj korzystam.
- Podoba mi się twoje podejście. – Florian się uśmiechnął. – Chodźmy. Jurek się o ciebie dopytuje.

Pół godziny później Jurek rozglądał się z poziomu łóżka po nowym lokum. Jego ojciec z kolei studiował uważnie dostarczoną przez Roberta kartkę z rozpiską, kiedy podawać chłopcu środki przeciwbólowe, a kiedy antybiotyki.

– Synek, na pewno cię teraz nie boli? Może chcesz tabletkę? – spytał z troską.

– Tata, przecież mówiłem. Przestań histeryzować.

Michał już miał powiedzieć, że dopiero co obaj cudem uniknęli śmierci, bo mogli zginąć pod gruzami, a poza tym Jurek ma złamaną rękę i przez to też praktycznie mało co nie umarł, ale dał sobie spokój, kiedy spojrzał na umytą, trochę jeszcze bladą i wychudzoną buzię chłopca. I po prostu się uśmiechnął.

– Można na chwilę? – usłyszeli znajomy głos.

– Tak, jasne – odparł Michał.

– Przyniosłem coś, co może cię zainteresować – powiedział Florian do Jurka i położył na kołdrze kilkanaście kolorowych zeszytów, a ten uniósł się, zaciekawiony, podpierając zdrową ręką.

– Wow, komiksy! Tata, patrz, *Thorgal*, *Spider-Man*! O, jest *Kajko i Kokosz*! Skąd pan wiedział, że lubię komiksy!?

– Nie wiedziałem. – Florian się roześmiał. – Koledzy uznali, że ci je podarują. Znają je już na pamięć.

– Koledzy? – wyszeptał zdziwiony Jurek.

– Chłopcy, chodźcie tutaj!

Do środka weszło czterech chłopców. Michał ocenił na oko, że byli trochę starsi od Jurka. Ale żaden nie mógł mieć więcej niż dziesięć lat. Zaczęli witać się hałaśliwie i przedstawiać:

– Cześć, stary, jestem kadet Filip!

– A ja kadet Bartek! Ten *Thorgal* jest najlepszy, normalnie czytałem go z tysiąc razy. Skąd ty jesteś w ogóle? Bo my z Rybnika!

– Cześć, kadet Szymek. Proszę pana, czy kadet Jurek będzie mógł się z nami jutro pobawić?

– Jasne, jak tylko będzie się dobrze czuł.

– Jezu, tata – jęknął Jurek. – Przecież ja już się dobrze czuję!

Michał uśmiechał się, patrząc jak rozemocjonowany chłopiec rozmawia z nowymi kolegami. Przypomniawszy sobie, jak bardzo jego synowi brakowało towarzystwa rówieśników, kiedy mieszkali w okupowanych Katowicach. Nie wiedział, o co chodziło z tymi całymi kadetami, ale na razie go to nie interesowało. Najwyżej jutro zapytam Floriana, pomyślał. Na razie wiedział jedno: bardzo chciał zostać wśród tych życzliwych ludzi.

Dopiero po chwili spostrzegł, że chłopcy mają przy paskach kabury. Były co prawda puste, ale wyglądały na pełnowymiarowe, mogące pomieścić typowe pistolety. Potem przeniósł wzrok na otwarte drzwi i napotkał wzrok stojącej na korytarzu Beaty. Bezbłędnie mógł z niego wyczytać jedno – nienawiść.

Rozdział III

1.

Dyrektor CIA Charles Peterson ledwo widział na oczy. Z Polski szybko przerzucono go przez ocean, a gdy tylko dotarł do Anchorage, bezpośrednio z płyty lotniska zabrał go rządowy śmigłowiec i teraz lecieli na północ. Bardzo chciało mu się spać, ale nigdy wcześniej nie był na Alasce i za nic nie chciał przegapić tych widoków. W końcu, gdy wznieśli się na odpowiednią wysokość, a chmury się rozproszyły, jego cierpliwość została wynagrodzona. Dyrektor patrzył teraz na majestatyczny, mieniący się w słońcu, zaśnieżony masyw Denali. Najwyższy szczyt Ameryki Północnej, który przez ponad sto lat nosił nazwisko zamordowanego prezydenta Williama McKinleya. Dopiero w 2015 roku zdecydowano się przywrócić nazwę, używaną od stuleci przez północne plemiona Atabasków.

– Wspaniały widok, prawda? – spytał siedzącego obok wiceprezydenta.

Alben King tylko wzruszył ramionami, zatopiony w swoich notatkach. Ależ z niego dusza towarzystwa, stwierdził z niezadowoleniem Peterson. Obecność wiceprezydenta była mu potrzebna tylko z jednego powodu. Miał pełnomocnictwo do podejmowania decyzji w sprawie człowieka, do którego lecieli. Towarzystwo mrukliwego Albena Kinga wcale nie było Petersonowi na rękę w tej misji, ale nie miał tu nic do gadania. Zresztą odzyskanie łączności oraz nawigacji satelitarnej okazało się dla amerykańskiego wojska o wiele istotniejsze, niż się wszyscy spodziewali. Co prawda w systemach nawigacyjnych w bombach czy pociskach wykorzystywano też inercyjne układy, to jednak sam GPS był niezbędny do precyzyjnego uderzenia. System bezwładnościowy działał ze zbyt dużym marginesem błędu. Tym

samym na dużych odległościach zyskiwano precyzję V-2, a nie tomahawka. A to już w tych czasach nie wystarczało.

Po dwóch godzinach helikopter obniżył lot i Peterson wyjrzał z ciekawością przez okno. Cztery szare kanciaste budynki z betonu niemal gubiły się w śnieżnym krajobrazie. Do tego miejsca można było się dostać wyłącznie drogą powietrzną. Obiekt 64 położony był pośrodku niczego. Bezwzględne, surowe środowisko było najlepszym strażnikiem tego miejsca. Mimo to cztery budynki ogrodzono potrójnym, dziesięciometrowym płotem. W narożnikach stały wysokie wieże wartownicze, a teren patrolowały drony z kamerami wykrywającymi ciepło. Nieźle, pomyślał Peterson. Wszystko to dla zaledwie ośmiu więźniów.

Gdy tylko śmigłowiec zbliżył się do ziemi, wzbił tumany śniegu, chłozzące bezlitośnie żołnierzy, wybiegających z jednego z budynków. Maszyna osiadła z gracją na ziemi, a pilot wyłączył silniki. Gdy tylko łopaty wirnika zwolniły, gwałtowna zamieć ustała. Dwa psy dokładnie obwąchały cały helikopter, a dyrektora i wiceprezydenta zaprowadzono do najbliższego budynku, mieszczącego recepcję, biura oraz stołówkę.

Znowu pojawiły się owczarki, żeby tym razem równie sumiennie obwąchać ich samych, nim jeden z oficerów zaprosił gości do osobnych pomieszczeń. Żołnierze wydawali polecenia suchym, nieznoszącym sprzeciwu tonem, a oni przyjmowali to bez słowa skargi. Zostali uprzedzeni.

Peterson musiał rozebrać się do naga i oddać ubranie do prześwietlenia i wnikliwego przeszukania. Segregator z wydrukami, który miał ze sobą, został sprawdzony kartka po kartce. Mimo czekającego go prześwietlenia całego ciała, dyrektora CIA nie uniknął też upokarzającego schylania się i rozwierania pośladków. Obiekt 64 był jednym z najsilniej strzeżonych miejsc na terenie Stanów Zjednoczonych.

W końcu goście mogli się ubrać z powrotem, a potem podoficer zaprowadził ich łącznikiem do drugiego budynku. Peterson naliczył łącznie osiemnaście śluz oraz podwójnych, zbrojonych drzwi, które musieli pokonać. Minęli dyżurkę, gdzie dwóch żołnierzy obserwowało na monitorach obraz z kamer, a przewodnik poprowadził korytarzem dalej, aż do drzwi oznaczonych numerem 09.

Stalowe skrzydła rozsunęły się bezszelestnie, wpuszczając ich do ciasnego pomieszczenia, przypominającego windę. Drzwi się zamknęły i dłuższą chwilę stali w półmroku, rozpraszającym jedynie czerwoną diodą umieszczoną w suficie. W końcu otworzyły się drzwi po przeciwnej stronie, prowadzące do pokoju o nagich betonowych ścianach. Cella miała nie więcej niż dwadzieścia metrów kwadratowych. Taka powierzchnia mogłaby się wydawać luksusową w porównaniu do klitek w więzieniach federalnych, ale tutaj panowały wyjątkowo surowe reguły. Żadnych ozdób na ścianach, żadnych spacerów, żadnych rozmów. Z kimkolwiek. Więzień nie miał prawa opuszczać celi.

Pod ścianą stało wąskie, niskie łóżko, kąć zajmowały sedes, umywalkę i prysznic. Jeden z niewielu przywilejów. Osadzony mógł się tu kąpać, ile tylko chciał. Wyposażenia dopełniał stół z czterema taboretami. Zarówno jego nogi, jak i siedziska, były na stałe przyśrubowane do betonowej posadzki. Mężczyzna w pomarańczowym drelichu w milczeniu rozgrywał przy stole partię pokera z niewidzialnymi przeciwnikami. Charles Peterson wiedział, że więzień ma zaledwie dwadzieścia siedem lat, ale wyglądał, jakby przekroczył już czterdziestkę. Pięć lat w tym bunkrze musiało zrobić swoje.

Matwiej Pawłowicz Czuprow. Może nie tyle nawet genialny informatyk, co przede wszystkim matematyk. Z wyboru czy nie, pracował dla rosyjskiego rządu i brał udział w operacjach przeciwko Amerykanom. Ale nie dlatego skończył w Obieckie 64. Podczas tamtej pracy pozyskał na ich temat wiedzę, której upublicznienie bardzo by Stanom Zjednoczonym zaszkodziło. Co prawda większość ludzkości doskonale wie, że – jak każde supermocarstwo czy imperium – mają swoje za uszami. Ale dowodów zawsze było mało. Matwiej Czuprow posiadał ich aż nadto. Dlatego umieszczono go tutaj niejako w zawieszeniu. Bez możliwości obrony, bez procesu, bez wyroku. I bez nadziei.

– Dzień dobry panom – odezwał się z silnym rosyjskim akcentem. Jak na kogoś, kto przyjmował gości po raz pierwszy od pięciu lat, zręcznie maskował ciekawość. Jego twarz była wręcz pozbawiona emocji.

– Dzień dobry – odparł dyrektor. – Pan pozwoli, że się przedstawimy. Charles Peterson z CIA, a to Alben King, wiceprezydent USA.

– No coś takiego! Sam wiceprezydent? – Czuprow uśmiechnął się ironicznie. – A, właśnie. Kto został prezydentem po Obamie?

Peterson dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że więzień od 2013 roku w ogóle nie kontaktował się ze światem zewnętrznym, nawet strażnicy nie mogli z nim rozmawiać.

– Donald Trump.

– Trump? – Matematyk zmarszczył brwi. – Z tego programu telewizyjnego?

– Dokładnie ten – odparł Peterson. – Ale to już nieaktualne. Obecny prezydent USA jest Mike Pence.

– Panowie, przejdźmy do rzeczy. – Wiceprezydent był wyraźnie zniecierpliwiony.

– Mnie tam się nigdzie nie spieszy. – Matwiej Czuprow się skrzywił.

Dyrektor CIA tymczasem położył na stole segregator i pokrótce opisał obecną, dość zawiłą sytuację międzynarodową oraz problem, przed jakim stanęły Siły Zbrojne USA. Gdy skończył, Czuprow nawet nie próbował ukrywać zdumienia. Po jego wyważonym spokoju nie było śladu.

– Wojna między USA a Rosją? To jakiś żart? To... Przecież to niemożliwe!

– Wiem, że siedzisz tu bardzo długo i kurewsko ci się nudzi – wtrącił Alben King. – Ale nie przedłużajmy tego. Myślisz, że lecieliśmy tu, żeby sobie robić jaja?

Czuprow przyjrzał się obu gościom i gdy w końcu im uwierzył, zabrał się za studiowanie materiałów z segregatora. Oni usiedli naprzeciwko i chcąc nie chcąc czekali. Po kilku minutach Peterson przerwał jednak milczenie:

– Nasi najlepsi ludzie nad tym pracują.

– Wasi najlepsi ludzie są do dupy – mruknął matematyk, przerzucił jeszcze kilka kartek i zatrzasnął segregator. – Nieźle pomyślane.

– Wiesz może, kto mógł to zrobić? – spytał dyrektor CIA.

– To nie ma znaczenia. – Czuprow wzruszył ramionami.

– Może i ma. Moglibyśmy do niego dotrzeć.

– Eh, Amerykanie. Nigdy się nie nauczycie, co? Przecież ten koleś dawno nie żyje.

– Panie Czuprow. – Wiceprezydent nachylił się nad stołem. – Może pan to odkręcić?

– Mogę. Tylko muszę postawić kapitalistyczne pytanie.

– Co?

– Za ile? – Matematyk uśmiechnął się szeroko.

– Możemy pana gdzieś przenieść, w jakieś cieplejsze miejsce na przykład – powiedział Peterson.

– Będę patrzył się w betonową ścianę w innym miejscu? Świetne!

– Proszę nie żartować. Dostanie pan przywileje, książki, gazety.

– Spacery – dodał szybko wiceprezydent. – Na powietrzu.

– Spacer na powietrzu... – Czuprow założył ręce na piersi i spojrzał w zamyśleniu w sufit. – Tak, to byłoby fajne. Ale wiecie co, ja nie chcę tych waszych przywilejów.

– Proszę? – Dyrektor był zaskoczony.

– Spacery, książki, przeniesienie... To mi niepotrzebne. Mało tego, nie potrzebuję też pieniędzy.

– To znaczy że... – Alben King wyraźnie się zawahał. – Zrobi pan to dla nas za darmo?

Czuprow przeniósł wzrok na niego, mrugnął kilka razy z niedowierzaniem, po czym wybuchnął gromkim śmiechem. Po chwili obaj goście przyłączyli się do niego. Wszyscy trzej, genialny matematyk i oszust, szpieg i oszust oraz polityk i oszust, wspólnie śmiali się z konceptu zrobienia czegokolwiek za darmo. W końcu się uspokoili, a Rosjanin powiedział z kamienną miną:

– W zamian chcę tylko jednego. Wolności.

– Nie mamy czasu na takie... – zaczął wiceprezydent, ale matematyk przerwał mu natychmiast:

– Skoro nie mamy, to się szybko zastanówcie i dajcie mi znać. Najlepiej dzisiaj, bo jutro mogę być w gorszym humorze. Albo wolność, albo wypierdalajcie z tymi swoimi papierami. A teraz wybaczcie, u mnie o tej porze podają obiad.

Czuprow pchnął segregator w ich kierunku, a potem przesiadł się ze stołka na łóżko. Oni wyszli, mijając się w słuzie z żołnierzem, który zostawił

wewnątrz tacę z obiadem.

– Co robimy? – spytał Peterson, gdy wyszli na korytarz.

– Muszę zadzwonić do prezydenta.

Wrócili do dyżurki, a Alben King poprosił o telefon. Wciąż czekał na połączenie, gdy nagle jeden z wartowników wskazał na coś na ekranie i krzyknął:

– Kurwa mać!

Żołnierz wcisnął czerwony przycisk i cały budynek ożył jękiem syren alarmowych. Wartownicy pobiegli do drzwi z numerem 09, a dyrektor z wiceprezydentem podążyli za nimi. Tym razem śluza otworzyła się na przestrzal, a kilku żołnierzy natychmiast wbiegło do środka. Na blacie leżały rozrzucone resztki obiadu. Sok pomarańczowy kapał na posadzę, tuż obok Czuprowa, który się krztusił, rzucając konwulsyjnie.

Pierwszy z wartowników ukląkł przy nim i spróbował go podnieść, ale matematyk nagle znieruchomiał. Drugi żołnierz sięgnął do jego ust i wygrzebał nieprzełknięty kęs, potem przytknął ucho do ust Czuprowa, i nagle sam się zwałił na bok i zaczął drzeć, tocząc pianę z ust.

– Odsuńcie się! – krzyknął Peterson, który od razu zrozumiał, co się stało.

– Został otruty! Nie dotykajcie go!

Pozostali wartownicy natychmiast podnieśli się i odsunęli od martwego Czuprowa i konającego kolegi. To koniec, pomyślał dyrektor CIA. Nasza ostatnia szansa na odzyskanie GPS-u w sensownym czasie. Napotkał spojrzenie wiceprezydenta, który również pojął powagę sytuacji i cicho powiedział:

– Mamy przesrane.

2.

Od wielu lat konstruktorzy okrętów podwodnych musieli wyważyć dwie istotne sprawy: szybkość jednostki i powodowany przez nią hałas. Nie było to proste, jednak inżynierom, którzy wykreślili projekty okrętów podwodnych typu Virginia ta sztuczka się udała. Motto USS „California”

brzmiało *Silentium est aureum*, czyli milczenie jest złotem. Jednocześnie okręt mógł rozpędzić się do ponad dwudziestu pięciu węzłów na godzinę. Głębiny arcydzieło, ultrasprzęt naszpikowany zaawansowaną technologią.

USS „California” z dziobem w górze zmniejszał zanurzenie, aż w końcu wyrównał na zadanej głębokości, a jeden z oficerów zameldował:

– Jest czterdzieści metrów.

– Dziękuję. – Kapitan skinął lekko głową, przerzucając jednocześnie kęs tytoniu w drugi kącik ust.

Roman Gurski od razu uznał, że dowódca jednostki wygląda jak Gene Hackman, z czego ten musiał zresztą doskonale zdawać sobie sprawę, bo zachowywał się niemal identycznie jak hollywoodzki gwiazdor. W czapce z daszkiem zsuniętej na tył głowy, opierał się barkiem o gródź; pełen luz. Roman nie był nawet w stanie przypomnieć sobie jego prawdziwego nazwiska.

– Słuchajcie, chłopaczki – odezwał się tamten. – Macie dokładnie cztery godziny. Proteus będzie miał nasz sygnał. Wystarczy, że wciśnięcie odpowiedni guzik i sam do nas wróci. Musicie założyć, że podróż od brzegu zajmie jakąś godzinę. Ale to wam pewnie już powiedziano. Kto będzie sterował mini-subem?

– Ja – odparł sierżant Lacević.

– Pamiętajcie o jednym. Punkt osiemnasta. – Kapitan użył hermetycznego sformułowania, które dosłownie można by przełożyć jako „godzina osiemnastu setek”. – Jeśli minutę po nie zobaczymy was na monitorach, dajemy całą naprzód i spierdalamy. Chcę, żeby to było jasne. Nie będę narażał dłużej, niż to konieczne, okrętu wartego trzy miliardy dolarów. Rozumiemy się?

– Tak jest – odpowiedział Gurski.

– *Chief* – kapitan zwrócił się do jednego z oficerów. – *Take the boys to the lockout trunk.*

Ten zsalutował regulaminowo, a potem poprowadził chłopaków Gurskiego po wąskich schodach w dół. Po przebraniu się w piankowe kombinezony i założeniu akwalungów przeszli do pomieszczenia

określonego przez kapitana jako *lockout trunk*. Była to swoista śluza, z której – po zalaniu wodą morską – można było się wydostać na zewnątrz okrętu.

Dwóch marynarzy zamknęło i zablokowało, kręcąc kołem, masywne drzwi. Rozległy się trzy krótkie sygnały. Chłopcy zaczęli jeszcze raz sprawdzać sobie nawzajem wyposażenie. Lacević wyszeptał przy tym do Romana:

– Romuś, powiem ci, że w młodości lubiłem przyćpać co nieco. Ale to, co nam dali, to jakiś kosmos. Mogę dopłynąć wpław do tego pierdolonego brzegu, a potem przebiec się z karabinem do Moskwy i nic mnie nie powstrzyma.

Gurski tylko skinął głową z uśmiechem. Nie mógł się nie zgodzić ze swoim sierżantem. Ponieważ nie mieli czasu, niezbędne przeszkolenie przechodzili w trakcie przerzucenia ich na pokład okrętu. Nie mogli pozwolić sobie na sen, dlatego dostali od lekarza po listku małych, blad różowych tabletek, które mieli łykać co trzy godziny. Efekt był taki, że nie zmrużyli oka od ponad doby, przyswoili w tym czasie ogromną ilość wiedzy, a mimo to czuli się, jakby właśnie zstąpili na chwilę z Olimpu, żeby sprawdzić, co słychać u śmiertelników.

Roman przyjrzał się swoim ludziom. Wcześniej, po rozmowie z generałem Edwardsem na bydgoskim lotnisku, miał wątpliwości, czy pójdą za nim i wezmą udział w misji. Przecież widział, jak się cieszyli, że dla nich wojna już się skończyła. Ale nie zawiódł się na żadnym. Zgodzili się bez wahania. Widział po ich twarzach, że narkotyk ma bardzo silne działanie. Skoncentrowani i gotowi do akcji. Może poza plutonowym Bosakiem, który miał jednak trochę niepewną minę. Jako jedyny nie umiał pływać, więc Gurski postanowił dodać mu trochę otuchy:

– Boski, nie martw się. Masz na sobie nurkowy jacket i będziemy cisnąć mini-subem. Umiejętności pływackie na nic ci się nie zdadzą.

– Nie o to chodzi. – Plutonowy machnął ręką. – Tylko jak my się właściwie mamy teraz do, no właśnie, pana porucznika, kapitana...? Jak mamy się zwracać?

Roman dopiero teraz uświadomił sobie, że faktycznie przez ostatnie kilka dni jego ludzie mówili do niego w dziwny, bezosobowy sposób. Na zasadzie

„Można sól?”, „Wiadomo, co teraz będzie?” i tym podobne. Podczas rosyjskiej inwazji Gurski miał stopień porucznika, a w FARBIE awansowano go do rangi kapitana. Jednak sąd polowy pod nadzorem generała Sawickiego zdegradował go do zwykłego szeregowego.

– Jak tam sobie chcecie. Byle nie „Romuś”. To jest zarezerwowane dla mojego chłopaka.

– Romuś, zawsze wiedziałem, że wpadłem ci w oko. – Sierżant Lacević mrugnął i wystawił oblesnie język. – Wyglądasz bosko w tym kombinezonie. Jeśli dodasz do tego maskę z suwakiem na ustach, to spuszczę się tu i teraz.

– Kurwa, Jovan. – Gurski się skrzywił. – Ty to zawsze musisz przesadzić.

– Nie wypada jakoś tak po imieniu – podjął stropiony Boski. – Trudno, ja tam będę mówił „panie poruczniku”.

– A skąd taka degradacja? W FARBIE był kapitanem – zaproponował Wójcik. – To ja mam być znowu szeregowym?

Przekrzykiwali się i przekomarzali, aż Roman zaczął się zastanawiać, czy ten dziwny słowotok to przypadkiem nie efekt podanego im specyfiku. Postanowił jednak skończyć na razie tę jałową dyskusję:

– Panowie, uspokójcie się do chuja Mariana. Ja jestem porucznik, Wójcik kapral, reszta bez zmian. A teraz skupmy się na zadaniu.

Gdy usłyszeli dwa krótkie sygnały, założyli maski oraz ustniki. Od tej pory oddychali powietrzem pobieranym z butli umieszczonych na plecach. Po kolejnym, tym razem pojedynczym sygnale, z dysz umieszczonych pod kratownicami wypłynęła woda. W niecałe trzy minuty wypełniła pomieszczenie. Mieli na sobie najnowocześniejsze suche kombinezony z używanych przez Navy SEALs. Ale Gurski i tak poczuł chłód morskiej wody, która miała nie więcej niż trzy stopnie.

Przyszła pora, żeby kapral Seget pokazał, czego się nauczył na przyspieszonym szkoleniu. Odbił się od podłogi, podpłynął w górę i otworzył właz. W parę chwil wszyscy przepłynęli do mini łodzi podwodnej Proteus, umocowanej do kadłuba okrętu. Gdy sierżant Lacević zajął miejsce za sterami, odłączyła się z metalicznym szczęknięciem i popłynęła w kierunku brzegu.

Była to niewielka, półotwarta konstrukcja, w której nurków swobodnie opływała morska woda. Niecałe piętnaście kilometrów, dzielące ich od brzegu, przepłynęli w czasie poniżej godziny. Jovan posadził proteusa na kamienistym dnie i wkrótce wypłynęli na powierzchnię, choć Gurski zdążył odnotować, że Boski w zasadzie do brzegu doszedł.

Na tym odcinku nie było żadnych klifów czy wypiętrzających się skał. Wody Morza Barentsa obmywały niewielkie, płaskie formacje i cała szóstka bez problemu wydostała się na kamienistą plażę, gdzie przycupnęła w ciasnym kręgu. Roman wypluł ustnik i ściągnął maskę. Na twarzy od razu poczuł ostre szpileczki mrozu. Zerknął na zegarek, standardowe wyposażenie specjalsów. Minus trzy. Powietrze zimniejsze od wody, pomyślał i bacznie się rozejrzał.

Fale pieniały się na skałach, a po horyzont nie było widać śladu cywilizacji. Na zachód od niskiego brzegu rozciągała się kamienna pustynia, skapana w bladym świetle popołudniowego słońca skrytego za chmurami. W głębi lądu rysowały się niewielkie wzniesienia, pokryte karłowatą roślinnością. Roman wiedział, że za cyplem znajduje się ujście rzeki. Tam leżała mała, licząca niecałe tysiąc mieszkańców, miejscowość.

– Wójcik, odpalaj swoje zabawki – zakomenderował.

Kapral zrzucił plecak i wyjął z niego dwa czarne, prostokątne pudełka. Otworzył je i na płaskim kamieniu ustawił sześć urządzeń tylko trochę większych od kostki do gry. Z kremowych korpusików wyrastały stateczniki oraz mikroskopijne śmigła, które ożyły zaraz po tym, jak Wójcik włączył panel sterujący. Każde z urządzeń odleciało w innym kierunku. Te małe cudeńka techniki wyposażone były w kamery, mogły wznieść się na trzydziestu metrów i przelecieć ponad kilometr.

– Wyślij z jeden na drugą stronę rzeki – powiedział Roman.

– Robi się.

Podobno amerykańscy specjaliści wiedzieli, że będą ich szukać za pomocą tych urządzeń i powinni czekać nie dalej niż tysiąc metrów od miejscowości i od brzegu. Roman wiedział, że jeśli ukryli się za ujściem rzeki, to przekreślili swoje szanse na ocalenie. W takim wypadku amerykańskie dowództwo rozkazało bowiem odnotować ten fakt i wracać na łódź

podwodną. Gurski znów zerknął na zegarek. Dochodziła piętnasta trzydzieści. Godzinę musieli zarezerwować na podróż proteusem, pozostawało im dziewięćdziesiąt minut.

– Mam coś – rzucił Wójcik.

Roman nachylił się nad nim i zobaczył niewielki punkcik na mapie. Amerykańskie wojska zostały wprawdzie pozbawione GPS-u, ale terminal taktyczny porucznika Parkera wysyłał sygnał, który mógł być odebrany przez mikrodrony.

– Jaka odległość? – spytał Gurski.

– Niecałe sześćset metrów.

– Zbieramy się.

– Nie podoba mi się ta pogoda – mruknął sierżant Lacević.

Roman podniósł głowę. Faktycznie niebo pociemniało, a fale urosły i rozbijały się o płaskie skały wybrzeża z większą ochotą. Poleciał schować akwalungi w niewielkim zagłębieniu, przykrywając je kilkoma kamieniami. Potem założyli kominiarki i asekurując się wzajemnie, pobiegli w głąb łądu. Mniej więcej w połowie drogi umiarkowany dotąd wiatr przeszedł w bardzo silny, podrywał drobne kamienie i żwir. Wcześniej i tak poruszali się skuleni i przygarbieni, ale teraz musieli dosłownie przywrzeć do ziemi, aby – rozpędzony po pustkowiu – ich nie poprzewracał.

Prowadził sierżant Lacević i to on jako pierwszy zdał sobie sprawę, że między wycie wiatru i łoskot fal uderzających o brzeg, wkradły się jakieś nowe dźwięki.

– Śmigłowiec! Kryć się!

Gurski nie bawił się w wątpliwości. Ponaglił swoich ludzi i po chwili wszyscy leżeli w skalnych zagłębieniach, poprzykrywani na szybko narwanym zielskiem. Zaraz potem wszyscy usłyszeli monotony łopot wirników, przebijający się przez odgłosy wichury. Roman zobaczył przez liście przelatujący nisko rosyjski śmigłowiec Ka-60 Kasatka, czyli po prostu Orka.

Gdy maszyna ich minęła, uniósł się nieco i wyjrzał z zagłębienia, a maszyna niespodziewanie obróciła się w powietrzu nosem do niego. Z tej

odległości Gurski dokładnie widział podwieszony z przodu masywny, sferyczny kształt. Kamera termowizyjna!

– Wstawać, szybko! – wydarł się i wyskoczył ze swojego zagłębienia. – Pozycje strzeleckie! Szykować żelazo! Jak tylko podleci, prujemy w niego po dwa magi!

– Romuś, jesteś pewien? – Jovan klęknął obok porucznika i przeładował karabin.

– Namierzył nas. Ma kamerę termowizyjną. Na tej zimnej pustyni jesteśmy widoczni jak lampki choinkowe w Korei Północnej!

Helikopter ruszył w ich kierunku, a oni patrzyli w milczeniu, trzymając karabiny gotowe do strzału. Nagły podmuch wiatru targnął maszyną, łopaty wirnika niemal musnęły ziemię. Pilot ostro skontrował drążkiem i runęła w drugą stronę, znowu centymetry od spotkania z ziemią, po czym poderwała się gwałtownie i zatoczyła łuk, odlatując w głąb lądu. Porywy wiatru targały nią na wszystkie strony.

– Mamy fart. Pogoda sprzyja! – Roman przekrzykiwał jej odgłosy, podnosząc się z ziemi.

– Romuś! Oni musieli szukać tych naszych zbiegów! To jakim, kurwa, cudem jeszcze ich nie znaleźli!?

– Dobre pytanie! Może tam między skałami jest tylko ich terminal! Tak czy siak zerkniemy na to i spierdalamy!

Wiejący od morza wicher pchał ich nieomal w kierunku miejsca, które wcześniej namierzyły z powietrza mikroskopijne drony. Prowadzący teraz kapral Wójcik zatrzymał się i powiedział:

– To tutaj!

Gurski się rozejrzał. Nie było tu karłowatej roślinności ani większych zagłębień. Po prostu skały i kamienie.

– Zwariowałeś!? Może ci się coś pomyliło!? – darł się, próbując przekrzyczeć coraz silniejszy wiatr.

– Panie poruczniku, to na pewno tutaj! Nie wiem, może kilka metrów w prawo...

Kapral nie skończył mówić, bo kamienie pod jego nogą zapadły się i runął w dół. Seget się rzucił, aby pomóc koledze, ale człowiek wynurzający

się gwałtownie z jamy zdążył go chwycić wcześniej i przystawił mu do skroni pistolet. Wyglądał na wyczerpanego, ale zdeterminowanego. Usiadł na brzegu dziury, z której wychynęła druga postać z bronią.

Gurski wiedział, że właśnie odnaleźli zguby. Dostał fotografie porucznika Parkera i sierżanta Garcii. Nie mogło być mowy o pomyłce. Zauważył, że jama, z której wyleźli, sięgała głęboko pod skalną płytę. Dzięki temu pozostawali niewidoczni dla kamery termowizyjnej. Konwencjonalne maskowanie zapewniał porwany kombinezon obsypany kamieniami.

– Poruczniku Parker, sierżancie Garcia! – wydarł się po angielsku. – Jesteśmy tu, żeby zabrać was do domu!

Parker obrzucił spojrzeniem pianki oraz karabiny SCAR, typowe dla Navy SEALs.

– Poruczniku, to jakaś ściema! Słyszał pan ich wcześniej! Skurwiele gadali ze sobą po rusku! – krzyknął ten drugi, trzymający pistolet przy skroni Wójcika.

– Jesteś niepoprawny, Garcia! – Parker się skrzywił. – Tyle czasu w Redzikowie i nie wiesz, co to za język!?

– No tak! – Sierżant szybko przypomniał sobie kilka zwrotów, których nauczył go kolega z Gdańska. – Jebacz policju! Arczers Gdynia, kurła swinja!

– Poruczniku, nie mamy na to czasu! – krzyknął Gurski. – Piętnaście mil od brzegu pod powierzchnią czeka USS „California”! Chcecie wracać do domu czy nie!?

– Dlaczego wysłano po nas Polaków?!

– Zadasz to pytanie swoim dowódcom!

– Powiedz mi, czy uwierzyłbyś w to na moim miejscu?! – Wiatr wiał tak bardzo, że porywał słowa natychmiast, ale Roman zdążył uchwycić ich sens.

Nachylił się nad Parkerem, a ten wcisnął lufę sig sauera w pierś Polaka. Roman wykrzyczał mu do ucha wystarczająco głośno, by przekrzyczeć wiatr, ale jednocześnie na tyle cicho, by inni nie słyszeli:

– Masz młodszą o rok siostrę, Susan! Gdy byłeś mały, obejrzałeś *Lśnienie* w telewizji, choć rodzice ci zabronili! W nocy przestraszyłeś się i zacząłeś

płakać. Zawołałeś siostrę! Przyszła do twojego pokoju i trzymała cię za rękę, dopóki nie usnąłeś!

Porucznik Parker wytrzeszczył oczy i patrzył bez słowa na Gurskiego, który kontynuował:

– Do wczoraj wiedzieliście o tym tylko ty i ona! Wstydziłeś się komuś powiedzieć, bo to siostra i to młodsza, dlatego obiecała, że też nikomu nie powie!

– Powiedziała ci to?!

– Nie! Twój ojciec, Steven! Do niego zadzwoniłeś po wysadzeniu radaru, prawda!? Susan kazała cię przeprosić, że złamała obietnicę, ale potrzebowaliśmy czegoś takiego!

– Garcia! Wszystko gra!

Amerykański sierżant zdziwił się trochę, ale posłuchał przełożonego i puścił Wójcika. Dziesięć minut później wszyscy dobiegli na plażę, na której wylądowała ekipa Gurskiego. Niebo było jeszcze ciemniejsze, a rozpędzone wiatrem fale młóciły wściekle o kamienny brzeg. Parker z Garcia szybko przebrali się w pianki i razem z innymi umocowali akwalungi na plecach. Przedostali się na płaską, zalewaną gwałtownymi falami skałę. Jako pierwszy do wody skoczył sierżant Lacević.

Roman patrzył niecierpliwie na zegarek. Jovan został przeszkolony z obsługi mini łodzi podwodnej. Miał odnaleźć proteusa, obrócić go w kierunku morza, a potem wysłać sygnał na zegarek Gurskiego.

– Panie poruczniku! Ruscy! – wydarł się kapral Janik.

Wszyscy się odwrócili jak na komendę, podążając spojrzeniami za jego wyciągniętą ręką. Faktycznie brzegiem zbliżała się kolumna rosyjskich terenówek. Kurwa mać, zaklął w duchu Roman. Załoga śmigłowca musiała wysłać namiary. Co, do chuja, robi ten Jovan? Jakby w odpowiedzi na jego myśli, z morza wyłoniła się postać sierżanta, rozpaczliwie czepiając zalewanej wodą skały. Seget z Wójcikiem pomogli się mu wspiąć na górę, a on, zgiął się w pół, wypluł ustnik i zwymiotował dobry litr morskiej wody.

– Co jest?! – wrzasnął Roman.

– Proteus rozjebany! Pod powierzchnią też buja! Sam się ledwo uchowałem!

Gurski rzucił okiem na rosyjskie samochody, zatrzymujące się na brzegu. To koniec, pomyślał, widząc Rosjan rozstawiających pospiesznie granatniki. Jego chłopcy siedzieli na nagiej skale, zalewanej raz po raz falami, kompletnie odsłonięci. Jeśli wskoczą do wody i wyjdą na brzeg, zginą. Jeśli spróbują płynąć w przeciwnym kierunku, fale roztrzaskają ich o skały i rezultat będzie ten sam.

Nagle przez wycie wiatru i łoskot fal przedarł się przeciągły wizg, a fragment brzegu z Rosjanami eksplodował, wyrzucając w górę fontannę ziemi, skał, części pojazdów i ludzkich szczątków. Wszyscy na skale skulili się odruchowo, gdy tuż obok do morza wpadła połowa korpusu z naderwaną ręką oraz płonąca opona. Roman nie zdążył się nawet otrząsnąć z wody, nim ich niewielki kawałek lądu na wzburzonym morzu zalało światło reflektora. Duży RIB, połączenie łodzi i pontonu, napędzały dwa potężne silniki, ale nawet one na pełnej wstecz ledwo sobie radziły z falami. Przez megafon odezwał się mocny, amerykański głos:

– Szybko! Wskakujcie do morza, moi ludzie was wyciągną! – Potem dosłyszeli jeszcze rzucone od niechcienia motto Navy SEALs: – *The only easy day was yesterday!*

Pół godziny później Roman Gurski ze swoją ekipą oraz porucznikiem Parkerem i sierżantem Garcia siedzieli przemoczeni na dolnym pokładzie Californi. Schodzący ostro okręt wyrównał, a przypatrujący im się Gene Hackman wsunął do ust porcję świeżego tytoniu.

– Dobra robota, chłopaczki – mruknął.

Za jego plecami zjawił się oficer wachtowy i zameldował:

– Panie kapitanie, jest dwieście metrów, dwadzieścia dwa węzły, kurs trzy zero cztery.

– Dziękuję panu, kapitanie – wychrypiał Gurski, zmęczony i przemarznięty. – Wiem, że z rozkazów wynikało, że nie powinien pan narażać swoich ludzi.

– No. – Gene Hackman zsunął czapkę na tył głowy, podrapał się po czole, a potem spytał oficera. – Jaki mamy czas?

– Osiemnaście setek – odparł zapytany, zerkając na przegub.

- Nie ma za co. – Kapitan wyszczerzył zęby w amerykańskim uśmiechu.
- Mówiłem, że ten okręt odpłynie o wyznaczonej porze.

3.

Lejtnant Paweł Gawriłow siedział oparty o burtę kadłuba, przytłoczony rozmiarem części ładunkowej transportowego herculesa. Siedzieli tu osamotnieni razem z Kozłowem, w dodatku bez pojęcia dokąd ich wiozą. Zaraz po ich poddaniu się wszystko przebiegło w miarę standardowo. Przesłuchało ich kilku oficerów, dopytując o rozmaite szczegóły dotyczące uzbrojenia czy też organizacji obrony dawnego ośrodka wypoczynkowego.

Potem odesłano ich do celi. Gdyby tylko Gawriłow z Kozłowem mieli dostęp do alkoholu, niewątpliwie uczciliby to grubą popijawą. Żyli, to było najważniejsze! A resztę wojny mieli spędzić w amerykańskim więzieniu. Czyż może być lepszy powód do radości dla rosyjskiego żołnierza? Rano wyprowadzono ich jednak i zapakowano do transportowca. Wszelkie próby dowiedzenia się czegokolwiek spełzały na niczym. Pilnujący ich żołnierze milczeli i patrzyli na nich z niechęcią.

Gawriłow poczuł, że silniki zwalniają, a cielsko herculesa zaczyna powoli opadać. Wstał i podszedł do jednego z okienek. Gdy w końcu wylecieli z chmur, przypatrzył się dobrze układowi lotniska.

- To Mińsk – wyszeptał, zdziwiony.
- Co? – wyseplenił Kozłow. – Na Białorusi?
- Nie, kurwa. Ten pod Warszawą.

Kozłow podniósł się z miejsca i również wyjrzał na zewnątrz. Wkrótce potem koła uderzyły o płytę lotniska, a pilot włączył ciąg wsteczny. Maszyna zwolniła, dotoczyła się do miejsca postojowego, po czym zatrzymała, a silniki powoli przycichły. Rampa ładunkowa z chrzęstem zaczęła sunąć w dół, a po chwili wskoczył na nią amerykański oficer.

- Wyłazić, ale już! – warknął po rosyjsku.

Jeńcy wymienili zdziwione spojrzenia i wyszli na płytę lotniska. Było pochmurno, a drobny, jakby zawieszony w powietrzu deszcz, pokrywał

wszystko warstwą wilgoci. Amerykanin pokazał im stojący w oddali samolot w malowaniu rosyjskich sił powietrznych. Gawriłow od razu rozpoznał garbatą, nieforemną sylwetkę górnopłłowca Antonow-72. Drzwi maszyny się otworzyły, wypuszczając kilku ludzi w amerykańskich mundurach, a oficer bezceremonialnie pchnął lejtnanta i jego *praporszczyka* w tamtą stronę.

Poszli więc w kierunku antonowa, a Amerykanie pomaszzerowali do swojego herculesa. Lejtnant zrozumiał, o co w tym wszystkim chodziło. Tak samo jak Kozłow, który ze zdumieniem powiedział:

– Wymiana.

Gawriłow tylko skinął głową. Gdy w połowie drogi mijali ośmiu amerykańskich oficerów, przyjrzeni im się dokładnie. Z wzajemnością zresztą.

– Widziałeś to? – spytał Kozłow, kiedy zbliżyli się do swojego samolotu. – Trzech generałów i pięciu pułkowników! Za takich szmaciarzy jak my? O co tu chodzi?

– Nie mam pojęcia – mruknął Gawriłow. Ale podskórnie wyczuwał, że nic dobrego.

Drzwi antonowa zamknęły się sekundę po tym, jak weszli do środka. Pilot uruchomił silniki, maszyna zaczęła kołować, a z fotela podniósł się jedyny prócz nich pasażer. Chudy mężczyzna w mundurze pułkownika, zbliżający się do sześćdziesiątki. Miał lekko siwiejące włosy oraz głowę w dziwnym kształcie. Szeroka, masywna szczęka zwężała się ku górze, wąsko osadzone oczy patrzyły czujnie.

– Chłopcy! Jak ja się cieszę, że to mnie przypadł ten zaszczyt!

Uściskał ich serdecznie na niedźwiedzia i ucałował.

– Tacy bohaterowie! Cała Rosja przecież o was mówi! Codziennie były relacje. Zdjęcia lotnicze, satelitarne!

– Relacje z czego? – spytał lekko skołowany Gawriłow.

Pilot zwiększył ciąg silników, a pułkownik dał gestem znać, żeby usiedli i zapięli pasy. Gdy tylko maszyna znalazła się w powietrzu, pułkownik kontynuował:

– No, jak to z czego!? Z waszej obrony Leśnej Fortecy! Front już dawno was minął, a wy ciągle się broniliście! Chłopcy, to było piękne! Jesteście bohaterami!

Gawriłow pojął, że chodzi o ich walki w ośrodku Leśna Strażnica. Co dla nich była Leśną Kurwą, gdzie indziej zyskało szlachetne miano fortecy. Jęknął w duchu i uznał, że ma w życiu strasznego pecha. Znał doskonale swój kraj. Lepiej było gnić w amerykańskiej celi, niż zostać rosyjskim bohaterem.

Godzinę później pilot posadził gładko antonowa. Lejtnant od razu rozpoznał niskie zabudowania lotniska w Kubince. Pułkownik zaprowadził ich do pomieszczeń socjalnych, gdzie mogli wziąć długi i przede wszystkim gorący prysznic. Gdy wyszli z zaparowanej łazienki, przepasani jedynie ręcznikami, zabronił im zakładać z powrotem brudne mundury. Miał dla nich galowe uniformy. Gawriłow z Kozłowem założyli je posłusznie i uznali, że są świetnie dopasowane.

Następnie pułkownik powiódł ich na płytę, gdzie czekał mi-26 z włączonym silnikiem. Śmigłowiec nie był pomalowany w kamuflujące wzory. Jego kadłub zdobiły narodowe barwy Rosji oraz potężny, dwugłowy orzeł. Gdy tylko wsiedli, helikopter wystartował.

Lejtnant z *praporszczykiem*, widząc wewnątrz, w niemym zdumieniu rozdziawili usta. Poza standardowym wyposażeniem w transportowcu były jeszcze dwa profesjonalne stanowiska do makijażu oraz fotel dentystyczny. Na tym z miejsca posadzono Kozłowa, a lekarz zajął się mocowaniem protezy, przykrywającej szczyrby po czterech wybitych zębach. Do lejtnanta tymczasem przysiadł się barczysty mężczyzna i wyciągnął dłoń.

– Władisław Surkow, miło mi.

– Lejtnant Paweł Gawriłow. – Żołnierz rozpoznał twarz, widywaną w telewizji. Prawa ręka cara Władimira I.

– Jesteście starsi stopniem. I jak słyszałem, niegłupi. Więc to wy będziecie gadać, dobra?

– Gadać?

– Musicie przemówić do ludzi. Jesteście teraz największymi rosyjskimi bohaterami od czasów Gagarina. Rozumiecie!?

Najchętniej Gawriłow odparłby, że tak szczerze, to nic z tego nie rozumie. No ale, jak już stwierdzono, był starszy stopniem, a do tego niegłupi. Powiedział więc:

– Oczywiście.

– Zabrakło wam amunicji, nie mogliście nawet popełnić samobójstwa i tak dalej. Wszystko to, bo broniliście mateczki Rossji. Aha, no i pamiętajcie o kobietach!

– O kobietach? – Gawriłow się zdziwił.

– No, że Amerykanie je gwałcili.

– Przecież tam nie było żadnych kobiet. Tylko nasza kompania...

– Słuchaj no, skurwysynu. – Surkow przerwał mu i przysunął twarz do jego twarzy. – Chcesz, żebyśmy inaczej pogadali?

– Płakaliśmy, ale nie mogliśmy nic zrobić. Ta część Leśnej Fortecy była już poza naszym zasięgiem.

– Co? – Surkow zmarszczył brwi.

– Część budynku, gdzie były kobiety. Słyszeliśmy ich krzyki, gdy były gwałcone.

– Bardzo dobrze.

Kiedy uporano się z protezą dla Kozłowa, posadzono obu przed lustrami, a profesjonalne makijażystki napracowały się nad tym, aby przedzierzgnąć ich w parę przystojnych wojaków. Śmigłowiec wylądował, miękko bujając się na zawieszaniu. Poczekali, aż wirnik stanie, a potem wysiedli na zewnątrz. Tłum zawył, a Gawriłow poczuł, jak nogi się pod nim uginają.

Wylądowali wprost na olbrzymiej scenie, rozstawionej na placu Czerwonym. Potężna powierzchnia tego jednego z bardziej rozpoznawalnych, moskiewskich miejsc, była szczelnie wypełniona tłumem. Wielu ze zgromadzonych ludzi trzymało rosyjskie flagi, olbrzymie dwugłowe orły przysłaniały pobliskie budynki.

Tyle razy oglądali go na ekranach telewizorów i w prasie, że mimo wszystko zrobiło na nich gigantyczne wrażenie, gdy car Władimir I podszedł

i serdecznie wyściskał Gawriłowa i Kozłowa. Tłum wiwatował. Opamiętał się dopiero wtedy, gdy Putin stanął przy mównicy i podniósł dłoń.

– Rosyjscy bohaterowie! To oni przez stulecia bronili naszej świętej Rusi! Nie inaczej było tym razem! Ktoś powie, że przecież forteca padła...

I natychmiast znajdzie się w więzieniu, dopowiedział w myślach Gawriłow.

– Ale to tylko bitwa! Wojna składa się z wielu! Ja sam, choć codziennie troszcę się o ten kraj jak o własną matkę, żołnierzem przecież nie jestem. Dlatego niechże oni opowiedzą wam o swojej bitwie.

Władimir Putin się odsunął i dał znak Gawriłowowi, aby podszedł. Lejtnant zajął miejsce przy mównicy i głośnym, stanowczym głosem, niosącym się echem po placu Czerwonym, zaczął opowiadać bzdury niestworzone, podsycając je pompatycznymi zwrotami. Mówił o tym, jak *praporszczyk* Kozłow wybił sobie przednie zęby pistoletem, chcąc strzelić sobie w usta. Ale zabrakło mu amunicji. Na potwierdzenie tych słów Kozłow podszedł i wyciągnął demonstracyjnie protezę. Tłum, oglądający zbliżenia na potężnych telebimach, jęknął ze współczuciem. Gdy lejtnant wspomniał o gwałtach, myślał, że tego nikt nie kupi. Ale po twarzach zgromadzonych, po malującej się na nich wściekłości poznał, że ludzie naprawdę mu wierzą. Historię zakończył tym, że chcieli sobie z Kozłowem poderznąć gardła, ale Amerykanie w ostatniej chwili wyrwali im bagnety z rąk.

Tłum wiwatował, klaskał i powiewał flagami. Władimir I również klaskał i teatralnie ocierał łzy z kącików oczu, ale Gawriłow nie miał złudzeń. Nie byli z Kozłowem przecież jak Gieorgij Żukow, tak słynny, że nawet Stalin nie zdołał się mimo kilku prób do niego dostać. Putin zdawał sobie sprawę, że przeżyli, bo się poddali. Czy rosyjska propaganda przedłuży im życia, czy też znajdzie zaraz nowe bożyszcze, a Gawriłow z Kozłowem skończą wkrótce w lesie? Podjął decyzję. Chwycił znowu mikrofon, uciszył gestem tłum i powiedział:

– Czuję wstyd, że moi bracia polegli tam, w Leśnej Fortecy. Chociaż nic nie mogłem na to poradzić. Ale może dobry Bóg ocalił mnie w jakimś celu.

Gawriłow klęknął przed zaskoczonym Putinem.

– Carze Władimirze I! Błagam cię i zaklinam na wszystkie świętości! Pozwól mnie i mojemu druhowi, znowu stanąć do walki. Chcemy raz na zawsze się ich pozbyć! Nie z Rosji, nie z Europy, ale z całego globu! Raz na zawsze zlikwidować amerykańskich faszystów!

Potężny ryk przetoczył się po placu Czerwonym. Ludzie dosłownie oszaleli. Władimir Putin podniósł z klęczek Gawriłowa, skinął głową, że się zgadza i przytulił go serdecznie. Ten podziękował mu wzrokiem, znowu odwrócił się do stojących na placu ludzi i zaintonował do mikrofonu:

Rosja to nasze święte mocarstwo,
Rosja to ukochany nasz kraj.
Potężna siła woli, wielka chwała
Są twoją własnością po wsze czasy!

Car objął go ramieniem, a po chwili dołączył także Kozłow. Ludzie na placu kładli rękę na sercu, a w ich oczach błyszczały prawdziwe łzy wzruszenia. Niemal sto tysięcy gardeł ryknęło ze swoim przywódcą i bohaterami:

Chwała Ci, nasza wolna Ojczyzno,
Prastary związku bratnich narodów,
Ludowa mądrości dana przez przodków!
Chwała ci, kraju! Jesteśmy z ciebie dumni!

Gawriłow darł się na całego, ale słyszał Putina, śpiewającego tuż obok. Mógłby przysiąc, że w pewnym momencie rosyjski władca użył starej wersji hymnu i wyśpiewał *Sowieckij Sojuz*, ale potem uznał, że musiał się przesłyszeć.

Zenon Marczak teoretycznie nie powinien narzekać. Skoczył z kilkudziesięciu metrów i przeżył, a teraz leżał w czystej pościeli. Wygodne łóżko stało w elegancko pomalowanym pokoju. Słońce rozświetlało koronę rosnącego za oknem drzewa, a cienie bujających się gałęzi tańczyły leniwie

na twarz Zenona. Powinien być wdzięczny, a był wściekły i kompletnie zrezygnowany. Lepiej by było, gdyby upadek pozbawił mnie życia, myślał. Mam do końca życia jeździć na wózku? Z drugiej strony wiedział przecież, że mógł sam ze sobą skończyć. Mało tego, mógł się nie czepiać omszałego kamienia w potoku i po prostu pozwolić ponieść się nurtowi. Zginąłby niechybnie po kilku minutach.

Ciągle jednak tliła się w nim jakaś isierka nadziei. Łudził się, że może jakoś mu się upiecze, może wyjdzie z tego obronną ręką. W końcu tyle razy mu się to w życiu udało. Ale właśnie ta wściekłość i to rozżalenie powodowały, że dotąd nie zamienił z ratującym go mężczyzną ani słowa. Tamten próbował dowiedzieć się od Zenona, jak ma na imię, czy też wypytać o szczegóły wypadku. Ale Zenon konsekwentnie milczał. O nic nie prosił.

Na szafce nocnej przy łóżku miał niewielki przełącznik. Mógł wezwać dzięki niemu gospodarza, ale rzadko z tego korzystał. Chyba, że w takich przypadkach jak teraz. Zaklął pod nosem i skrzywił się z niesmakiem. Nie potrafił się przyzwyczaić do tego, że nie wiedział, kiedy się wypróżnia. Po prostu nagle dolatywał do niego potworny smród. Stęknął cicho i do przełącznika.

Po kilku minutach drzwi się otworzyły i stanął w nich człowiek, który załadował go na pikapa i przywiózł tutaj. Według Zenona mógł mieć sześćdziesiąt parę lat i był średniego wzrostu. Pomimo wieku mężczyzna miał sylwetkę sportowca. Widać było, że dbał o siebie i musiał ćwiczyć regularnie. Wizerunku starszego pana dopełniały okulary w złotych oprawkach. Na pierwszy rzut oka wyglądał dobrotliwie, ale Zenon miał nieodparte wrażenie, że w oczach mężczyzny czaiła się jakaś niewypowiedziana groźba. Jakby ktoś zarzucił baranią skórę na wilczy grzbiet.

– Przepraszam, że tak długo, ale byłem w ogrodzie.

Ściągnął kołdrę z Zenona, zręcznymi ruchami zdjął mu pieluchę i przemył tyłek mokrymi chusteczkami. Założył świeżego pampersa i po kilku minutach Zenon znowu leżał pod przykryciem. Przymknął oczy i wciągnął głęboko powietrze. Wiedział, że to głupie, ale za każdym razem czuł się upokorzony.

Starszy pan zawiązał brudną pieluchę w foliowy worek, poklepał Zenona po ramieniu i powiedział:

– Jeśli będziesz gotowy na rozmowę, daj znać.

Potem wyszedł za drzwi, ale gdy miał już je zamknąć za sobą, Zenona się odezwał:

– Skąd u pana taki deficytowy towar jak nawilżane chusteczki?

Tamten wrócił, odłożył worek na podłogę i przysunął sobie krzesło do łóżka.

– W pierwszych dniach inwazji, gdy się zorientowałem, że to nie żarty, ruszyłem na szaber. Tak jak wszyscy. Spóźniłem się i jedyne użyteczne produkty zostały w dziale niemowlęcym. Ciągle mam ze trzydzieści kilogramów mleka w proszku i kilkanaście smoczków.

Starszy mężczyzna roześmiał się, a Zenon poczuł, że ten kłamie. Tylko po co i dlaczego? Podniósł się na łokciu i wyciągnął rękę.

– Zenon Marczak. Dziękuję panu. Przepraszam, że tak długo to trwało, ale ta sytuacja... To dla mnie pewna nowość.

– Ależ nie ma problemu. – Gospodarz uściśnął mu dłoń. – Jestem przyzwyczajony.

– Słucham?

– Doktor Maciej Nawrot, neurochirurg. W mojej pracy często spotykałem się z takimi reakcjami.

– Chce mi pan powiedzieć, że zajmował się takimi przypadkami?

– Oczywiście. – Nawrot znowu się uśmiechnął. – Mów mi Maciek.

– Czy jest... – Zenon zawahał się przez sekundę. – Czy jest szansa, że będę jeszcze chodził?

– To nie takie proste – westchnął lekarz. – Poczekaj chwilę.

Wrócił po paru minutach i postawił na szafce nocnej plastikowy model ludzkiego kręgosłupa.

– Jest pan sparaliżowany od pasa w dół. Prawdopodobnie doszło do uszkodzenia kręgow na poziomie TH11 do L1. – Neurochirurg wskazał palcami odpowiednie fragmenty. – Jak to się w ogóle stało?

– Nie wnikając w szczegóły, musiałem skoczyć z wieży.

– Rozumiem – mruknął lekarz. – Spadł pan na plecy?

– Tak.

– Złamanie wybuchowe któregoś z tych kręgów uszkodziło rdzeń kręgowy. Stąd porażenie kończyn dolnych. Przykro mi.

– Ale naprawdę nie można nic na to poradzić? – Zenon zdawał sobie sprawę, jak żałośnie brzmiało to pytanie.

– Tak naprawdę to ja sam tutaj gdybam. Normalnie zrobiłbym ci tomografię albo rezonans. A tak...

– Możesz mnie zawieźć do jakiegoś szpitala?

– Tylko do jakiego? Dopiero co front się przetoczył, jeszcze nic nie działa.

– Przecież są jakieś szpitale wojskowe!

– Nie przyjmą cię tam.

– Proszę cię. To już będzie mój problem. Po prostu mnie tam zawieź, a ja już sobie poradzę.

– Ale niby gdzie? Skąd mam wiedzieć, gdzie są amerykańskie szpitale wojskowe? Tym bardziej, że oni przenoszą się z miejsca na miejsce.

Zenon zwiesił głowę. Zdał sobie sprawę, że Nawrot ma rację. Widać było, że naprawdę chce pomóc. Wyszedł na chwilę. Gdy wrócił, znowu odrzucił kołdrę, a Zenon zobaczył swoje blade, bezwładne nogi. Myśl, że nigdy już na nich nie stanie, była zbyt straszna. Nawrot wbijał w różne miejsca na jego łydkach długą, grubą igłę, za każdym razem rzucając mu pytające spojrzenie. Niestety.

– Na początku wojny wyniosłem trochę rzeczy ze szpitala – powiedział, chowając igłę. – Mogę ci zrobić zastrzyk. Mam ampułki deksametazonu.

– Co to takiego?

– Silny steryd. Może zmniejszyć obrzęk rdzenia. O ile to tylko stłuczenie.

– Czyli jednak jest jakaś szansa?

Nawrot nie odpowiedział. Wyszedł po raz kolejny i wrócił ze strzykawką. Wyuczonym, zręcznym ruchem zrobił Zenonowi dożylny zastrzyk.

– Przykro mi, ale tylko tyle mogę dla ciebie zrobić.

Gdy neurochirurg był już w drzwiach. Zenon spytał:

– W całej swojej karierze... Ile pan miał takich przypadków?

– Proszę? – Lekarz nie zrozumiał.

– Ktoś był sparaliżowany, ale się okazało, że to nie strzaskane, tylko stłuczone kręgi. I wracał do zdrowia.

– Ani jednego.

Nawrot zrobił smutną minę i zamknął drzwi, a Zenon usłyszał cichy szcęk zamka. Już wcześniej go to bardzo zdziwiło. Miał nawet zapytać o to gospodarza, ale zapomniał. Co, boi się, że gdzieś mu ucieknę? Sparaliżowany? A może myśli, że w nocy go okradną i poderżną mu gardło?

Zapatrzył się smętnie w okno, ale po chwili usłyszał rozmowę na dole. Głosy były zbyt przytłumione, aby je rozróżnić. Dopiero gdy dyskutujący zbliżyli się do schodów, zorientował się, że lekarz rozmawiał z kobietą. Wchodzili po schodach na drugie piętro. Gdy mijali jego pokój, Zenon rozpoznał głos kobiety i momentalnie wszystkie włoski zjeżyły mu się na karku. Głos należał do Danuty Wojnarowicz.

4.

Knajpa nazywała się Rekin. Pomysłodawca trafił z nazwą idealnie. Podobnie jak jej oceaniczny odpowiednik, podrzędna speluna budziła strach. Nie chodziło nawet o drewnianą konstrukcję trzech połączonych okrągłaków z dużymi, porysowanymi szybami w oknach. Atmosferę przerażenia, chwytającego za gardło od razu po przekroczeniu progu, powodowała klientela.

Lokal stał między drzewami nieopodal Parku Gorkiego, na Puszczyńskim Wybrzeżu. Przez cały dzień było tu gwarno, ale ruch nasilał się zwłaszcza popołudniami i wieczorami. Wtedy przy niewielkich, kwadratowych stołach zbierali się złodzieje, rozbojarze, pospolici bandyci, łamignaci do wynajęcia oraz dziwki i ich opiekunowie. Smutny, choć nie należał do ułomków, nigdy nie zamawiał tu piwa. Bał się korzystać z toalety w piwnicy. Niejeden wyjechał stamtąd na noszach, a ten i ów w plastikowym worku.

Teraz też zamówił u kelnerki dwie pięćdziesiątki i odprawił ją krótkim gestem. Potem położył na lepkiem od brudu stole banknoty. Siedzący naprzeciwko, szerszy od Smutnego jakieś dwa razy, szybko je przeliczył.

Ubrany był w poplamiony sportowy dres. Na to narzucił brązową skórzaną kurtkę z futrzanym kołnierzem, który niegdyś mógł być biały. Krótko ostrzyżone włosy oraz kostropata, niezdrowa cera i papieros w kąciku ust dopełniały wizerunku Lokomotywy. Smutny nie wiedział, jak facet miał naprawdę na imię, a genezy ksywki były dwie. Pierwsza, że za młodu, jako przywódca gangu, chłopak uśmiercał wrogów, wrzucając ich pod pociąg. A druga, że był zagorzałym fanem klubu Lokomotiw Moskwa. Smutny zdążył całkiem niezłe gościa poznać. Wierzył w pierwszą wersję.

– Co tak mało? – Lokomotywa schował banknoty do kieszeni.

– Stawka dzienna, ale nikogo nie udało się ćwiknąć. – Smutny wzruszył ramionami.

Musiał opłacać się Lokomotywie za każdy dzień. Dodatkowo dokładał mu odpowiednio, gdy kogoś obrabowali. Powiedział Taszy, że okradzeni ludzie po prostu się budzili na platformach towarowych pociągów, a nie zgłaszali się na policję ze wstydu. Dziewczyna mu uwierzyła, ale prawda była inna. Ludzie Lokomotywy zgarniali takiego nieszczęśnika za następnym zakrętem i kończyli robotę. Taki układ, choć znacznie uszczuplał zarobek, był dla Smutnego bezpieczniejszy. Poza tym on zawsze, jak to złodziej, trochę oszukiwał. Nie o każdym złotym zegarku czy innej błyskotce meldował.

– Na razie stopuję. – Smutny wychylił przyniesioną przez kelnerkę wódkę.

– Dlaczego?

– Wracam na swoje śmieci. Może tam będzie łatwiej.

– Poważnie? – Oczy Lokomotywy się zwężyły. – Z tego co wiem, w Irkucku potną cię, jak tylko wysiądziesz.

Smutny był zdziwiony, że Lokomotywa ma takie dobre informacje, ale nie dał tego po sobie poznać.

– Poradzę sobie. Cześć.

Chciał wstać, ale tamten powstrzymał go gestem.

– Byłeś dzisiaj na „bladoruskiej”?

– Byłem. Przecież wiesz. – Smutny nie dał się podpuścić.

– Nie widziałeś takiego typu ze złotymi zębami? Wygląda trochę na „czarnego” – Lokomotywa użył pogardliwego określenia przybysza z Kaukazu – ale to nasz, Rusłan. Jeździ ciemnym range roverem.

– Nie znam. A co to za jeden?

– Kapitan od Dzierżyńskich.

Smutny doznał szoku, ale żaden mięsień jego twarzy nie drgnął. Tak nazywano gang, wywodzący się z podmoskiewskiej miejscowości, od jej nazwy zresztą. Jeden z najpotężniejszych w rosyjskiej stolicy. Mawiano, że ich przywódca, niejaki Plita, znał samego cara.

– Ale co, zgubił się w wielkim mieście? – spytał Smutny nonszalanckim tonem. – Mam go szukać? To nie za darmo chyba?

– Nie, spokojnie. Tak tylko pytam. Wszystko gra. No, to trzymaj się! – Lokomotywa uściśnął mu dłoń i klepnął go po przyjacielsku w ramię. – *Poka!*

Smutny ani razu się nie obejrzał, ale plecy wprost go paliły pod spojrzeniem Lokomotywy. Pchnął drzwi i wyszedł na chłodne, wieczorne moskiewskie powietrze. Włożył czapkę i ruszył nabrzeżem, zerkając na pomarszczone wody Moskwy, rozświetlone latarniami.

Czy Lokomotywa wiedział? Nie, wtedy na pewno by go zatrzymał. Na razie Dzierżyńscy nie robili afery. W końcu Rusłan mógł po prostu zapisać gdzieś z kurwami i przez parę dni się nie wyświetlać, pomyślał Smutny. To był gangster, a nie księgowy, który codziennie wraca do domu parę minut przed osiemną.

Poszedł przez park w kierunku alei Lenina. Ale wkrótce wszystko się zmieni. Dzierżyńscy się dowiedzą, że Bładorusskij to ostatnie miejsce, gdzie widziano Rusłana. Wtedy przycisną Lokomotywę, który zarządza terenem. Nie muszą zresztą przyciskać, obiecują sowitą zapłatę, a Lokomotywa szybko sobie przypomni, że Smutny zniknął zaraz po Rusłanie. Na szczęście nie wie, gdzie mieszkam, pomyślał z satysfakcją. Dochodził już do stacji Oktiabrskaja, gdzie chciał złapać pociąg linii Kałużsko-Riżskaja.

Wtedy ich zobaczył. Początkowo sądził, że mu się wydawało. Dopiero gdy dojrzał ich odbicia w drugiej, a potem trzeciej witrynie sklepowej, był pewien. Dwóch oprychów, zakapiorów wysłanych najpewniej przez

Lokomotywę. Albo mieli go śledzić i dowiedzieć się, gdzie mieszka, albo dać od razu w łeb. Smutny zbiegł na peron. Ale nie ten, gdzie zatrzymywały się szóstki, które zawiozłyby go na południe miasta, do domu. Przeszedł łącznikiem na peron, przy którym stawały pociągi Kolcewajej, zwanej również okrężną. Ta linia okrążała ściśle centrum Moskwy, spinając poszczególne linie metra ze sobą.

Wsiadł do zatłoczonego wagonu i złapał się uchwytu. Jeden z oprychów wszedł przednimi drzwiami, drugi tylnymi. Ewidentnie go pilnowali. Smutny nie dał po sobie poznać, że wie o ich istnieniu. Wysiadł na Pawieleckajej i przeszedł na peron Zamoskworieckajej. W wagonie, do którego zaraz wskoczył, było trochę luźniej, więc rozsiadł się wygodnie, udając, że czyta porzuconą gazetę. Pociąg zatrzymał się na kolejnej stacji, a niedługo potem wyjechał z tunelu na powierzchnię, docierając do następnej – Technopark.

Tam Smutny opuścił wagon. Była to jedna z najnowszych stacji, wybudowana, aby obsługiwać nowoczesny kompleks biznesowy oraz centrum handlowe. Chłopak skierował się do schodów, ukradkiem obserwując śledzących go w gładkiej, lustrzanej powierzchni sufitu. Wbiegł na galerię przerzuconą nad torami. Pociąg, który go przywiózł, ruszał właśnie z miejsca. Smutny uczeplił się stalowego żebra pod sufitem, podciągnął i wyrzutem obu nóg rozbił zabezpieczającą szybę. Skoczył na barierkę, a stamtąd na dach wagonu. Przewrócił się na bok i spojrzał w górę. Pierwszy oprych tylko patrzył z przerażeniem. Za to drugi się nie zawahał i też skoczył.

Pociąg nabierał prędkości, więc Smutny rozpląszczył się na dachu. Skład opuścił już stację i mknął teraz na południe. Bandzior nie ruszył się w kierunku Smutnego, co tylko potwierdzało, że mieli rozkaz go śledzić. W takim razie to ja pójdę do ciebie, pomyślał z wściekłością chłopak. Podniósł się ostrożnie i pobiegł, przeskakując przerwy między wagonami. Tamten zrozumiał, o co toczy się gra i wyjął nóż.

Smutny zatrzymał się na chwilę, balansując niebezpiecznie, bo skład się zachybotał na zakręcie. Wtedy bandzior przeskoczył na ten sam wagon i zbliżył się do chłopaka. Ten w odpowiedzi ściągnął kurtkę i owinął sobie wokół lewej ręki. Pociąg wjechał z łoskotem na most Nagatyński, a oprych

zaatakował. Chłopak odskoczył, i po zgrabnym piruecie uderzył go łokciem w nos. Mocno. Bandzior zatoczył się, a on, nie tracąc czasu, jeszcze go popchnął. Tak, że poleciał w bok, odbił się od latarni i spadł bezwładnie na asfalt niemal wprost pod nadjeżdżającą ciężarówkę. Opony zdążyły wprawdzie zapiszczyć, ale kierowca był bez szans. Koła pojazdu zmiażdżyły leżące ciało. Smutny natychmiast położył się na dachu i czekał, aż pociąg zatrzyma się na stacji Kołomenskaja. Wtedy ześlizgnął się na dół i normalną już drogą dostał z powrotem na peron.

Był przerażony. Teraz miał pewność, że Lokomotywa wie. Zamierzał pojechać metrem na obrzeża Moskwy, na północ. Potem wrócić sztafetą kilku taksówek i autobusów, klucząc tak, aby nikt nie zorientował się, gdzie mieszka. Wiedział jednak, że prędzej czy później go znajdą. Muszą uciekać z Moskwy. I to jak najszybciej.

5.

Roman Gurski był pod wrażeniem organizacji amerykańskiej armii. USS „California” wynurzył się gdzieś na wysokości Trondheim. Z pokładu podjął ich śmigłowiec, który natychmiast skierował się na zachód. Pogoda była paskudna i rzucało nimi niemiłosiernie przez kilka godzin. Po drodze musieli skorzystać z latającej cysterny, by uzupełnić paliwo.

Gdy wreszcie znaleźli się w amerykańskiej bazie w Keflaviku, Roman stwierdził, że w całym swoim życiu nie miał gorszego zejścia. Jovan i pozostali też nie potrafili przypomnieć sobie tak złego samopoczucia czy to po amfetaminie, czy po ecstazy, czy jakimkolwiek innym specyfiku, którego próbowali za młodu. Gdy Amerykanie zaproponowali Jowanowi kawę, ten po prostu zwymiotował. Roman widział, że reszta czuła się tak samo podle. Niestety okazało się, że amerykańscy farmaceuci wymyślili genialną pigułkę na podtrzymanie koncentracji, której efekty uboczne trzeba było leczyć najbardziej tradycyjnym sposobem – czasem.

Z Islandii przerzucono ich do Rammstein. W Niemczech złapali wreszcie kilka godzin snu i zameldowali się na pokładzie kolejnego samolotu, który

zabrał ich do Lwowa. Tam ulokowano ich w bazie, która na razie stanowiła największą amerykańską fortyfikację na wschodzie. Zjedli późną kolację w stołówce, wdając się w dyskusję z Parkerem i Garcia. Przerzucano ich ciągle razem i wywiązała się już między nimi całkiem naturalnie pewna więź. Szybko odkryli, że nastroje były niespecjalne. Potężna amerykańska machina wojenna zwolniła bez wsparcia GPS-u, kolejnych części ofensywy po prostu nie dawało się przeprowadzić tak sprawnie, jak pierwotnie zakładano.

Gdy w końcu zajęli jedno z pomieszczeń bazy, przespalili tam ciurkiem ponad dwanaście godzin. Z rana przyniesiono im nowe mundury. Naszywki z nazwiskami nie sprawiły większego problemu, bo nie nosili znowu tak skomplikowanych nazwisk. Tylko Wójcik musiał na jakiś czas zapomnieć o kresce nad „o”, a Lacević nad „c”. Ich stopnie zweryfikowano według kodów NATO. I tak plutonowemu Bosakowi przypadł *corporal*, a kapralom *private first class*. Lacević pozostał sierżantem, choć w nieco innej pisowni, porucznik Gurski wreszcie stał się *first lieutenantem*. Mimo to zgodnie postanowili, że między sobą będą używać starych polskich stopni.

Umyli się porządnie i ogolili, a zaraz po śniadaniu jakiś podoficer zgarnął Romana z kantyny i zaprowadził do generalskiego gabinetu. Gdy porucznik stanął przed Frankiem Edwardsem, siedzącym za biurkiem, wyprężył się na baczność i zaszalutował. Tamten skinął głową i wskazał mu krzesło naprzeciwko.

- Dobra robota.
- Dziękuję. – Roman usiadł.
- Jedno pytanie. O co chodzi z tym waszym salutem?
- Słucham?
- Salutujecie tylko dwoma palcami. Dlaczego?
- To taka tradycja. – Porucznik podrapał się po głowie. – Mamy z tym związaną pewną legendę. Przepraszam, zapomniałem, że u was salutuje się pełną dłonią.
- Co to za legenda?
- Jakies dwieście lat temu z hakiem, prawdopodobnie podczas powstania listopadowego...

Edwards zmarszczył się delikatnie, a Roman uświadomił sobie, że o polskich powstaniach raczej nie uczą w amerykańskich szkołach, więc pospieszył z wyjaśnieniem:

– To była taka rebelia przeciw Rosjanom.

– Wy i oni. Macie za sobą trochę historii, co? – Generał wyszczerzył zęby.

– Tak jest. No, więc jeden z adiutantów jechał z meldunkiem. Po drodze szrapnel urwał mu trzy palce. Mimo to musiał złożyć meldunek, więc zasalutował tymi, które mu zostały. Potem zmarł, a my salutujemy tak do dzisiaj.

– Fajna historia. Prawdziwa?

– A kto to może wiedzieć? – Gurski wzruszył ramionami. – Przekażę swoim ludziom, żeby salutowali pełną dłonią, aby uniknąć nieporozumień. U nas nie salutuje się też do odsłoniętej głowy, tak jak u was.

– Dobra. Przekaż im to. Nie chcę żadnych spięć z naszymi oficerami.

– Dziękuję za mundur. Jak rozumiem, zdecydował się pan dotrzymać słowa i będziemy mogli wziąć udział w walkach?

– Ja zawsze dotrzymuję słowa. – Amerykański oficer rzucił mu twarde spojrzenie. – Razem z porucznikiem Parkerem i sierżantem Garcia stworzycie niewielką grupę do zadań specjalnych. Ty i twoi ludzie, jako polscy obywatele, zostajecie wcieleni do naszej armii w ramach Sojuszniczego Dowództwa Komponentu Operacji Specjalnych. Jasne?

– Tak jest!

– Jeszcze jedno. Za niecałą godzinę porucznik Parker otrzyma awans na kapitana. To on będzie faktycznym dowódcą oddziału. Macie z tym jakiś problem?

– Żadnego.

– Cieszę się. Aha, jeszcze jedno.

Generał zachichotał jak uczeń, a potem wyciągnął z szuflady i położył na blacie zdjęcie. Roman nachylił się nad biurkiem. Na fotografii widniał starszy mężczyzna w polarnym otoczeniu. Z jego wąsów i brody zwisały sople, a on sam ugiął się pod ciężarem jakiejś skrzyni.

– Nie rozumiem. – Gurski zmarszczył brwi. – Co to? Amundsen zdobywa biegun południowy, zdjęcie koloryzowane?

– Nie, to twój dobry znajomy. Odmraża sobie dupę w McMurdo Station. Kolejny dowód na to, że generał Frank Edwards dotrzymuje słowa.

– Genialne! – Gurski dopiero teraz rozpoznał Sawickiego i roześmiał się na głos. – Mogę zatrzymać to zdjęcie?

– Jasne, bierz.

Roman schował fotografię do kieszeni, stanął na baczność i zsalutował otwartą dłonią.

– Jesteście wolni – mruknął Edwards.

– Panie generale, jeszcze jedno.

– No?

– Skoro salutujemy i przejmujemy wasze zwyczaje... Czy zamiast amerykańskiej flagi możemy chociaż mieć na ramieniu polską? Myślę, że to dla mnie ważne. – Gurski sam był trochę zdziwiony. Nigdy by się tego po sobie nie spodziewał. – Dla moich ludzi też.

Amerikanin milczał dłuższą chwilę, w końcu powiedział:

– Dobra, doczepcie swoje barwy na ramieniu. Ale te – wskazał amerykańską flagę w rogu gabinetu – zostają zawsze i wszędzie. Jasne?

– Tak jest!

Kapitan Dave Parker stał nieopodal placu apelowego we lwowskiej bazie. Jego sierżant, Erik Garcia, opierał się niedbale o fortyfikację wykonaną ze składanych koszy hesco, wypełnionych ziemią. Jedną ręką niecierpliwie wygrzebywał ostatnie orzeszki z torebki z charakterystycznym Panem Orzeszkiem w cylindrze, z monoklu w oku i laską w ręce. To od zawsze koło mu nerwy, praktycznie zawsze miał pod ręką paczkę. Z całego zamieszania, związanego z wysadzeniem radaru, najbardziej chyba przeżył właśnie to, że nie mógł zabrać ze sobą nawet jednej.

Parker czekał spokojnie. Dopiero co przedstawił mu najświeższe informacje. O swoim awansie i o tym, że z sześcioma Polakami mają stworzyć niewielki oddział do zadań specjalnych. Sam nie miał właściwie nic przeciwko. W końcu to oni tak naprawdę uratowali im dupy pod

Murmańskiem. Oczywiście wojsko to nie klub dyskusyjny, czy też parlament, wypełniony rozwydrzonymi primadonnami. Tutaj były rozkazy. Ale i tak liczył się z opinią Garcii. Po tym wszystkim, co razem przeszli, byli niczym stare dobre małżeństwo. Takie, co to nawet po rozwodzie dzwoni do siebie, zapytać, czy aby wszystko w porządku.

– No i? – ponaglił w końcu sierżanta.

– Ale co, niby mamy jakieś głosowanie? – Garcia wyrzucił puste opakowanie i z kieszeni bojówek wysupłał nową porcję orzeszków.

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Nie mam nic przeciwko Polakom. Fajnie było z nimi w tym całym Redzikowie. Tylko wkurwiało to, że byli tacy przewrażliwieni na swoim punkcie. Ty będziesz rządził?

– Tak.

– Uratowali nam tyłki, a poza tym ta ekipa jest w porządku. Lubię tego typu, co słabo zna angielski i ciągle gada o ruchaniu. Myślisz, że gościu w ogóle dymał?

– Też się zastanawiałem. – Kapitan Parker się uśmiechnął.

– Generalnie jedziemy z koksem. Co, mamy dyskutować z Czarnym Trumpem?

Obaj wybuchli takim śmiechem, że żołnierze przechodzący obok popatrzyli na nich ze zdziwieniem.

– A poza tym, ja na tamtej skale, jak mieliśmy skakać, to byłem trochę zestrany – powiedział wolno sierżant. – A widziałeś ich ryje? Nic się nie bali! Z taką ekipą możemy iść na Moskwę.

– To prawda. Coś mi się wydaje, że ci goście przeżyli o wiele więcej niż my.

6.

Zenona obudził dźwięk delikatnie otwieranych drzwi. Gdy jeszcze przecierał oczy, usłyszał inny – nieprzyjemny i zgrzytliwy. Odwrócił głowę i zobaczył, jak Danuta przesuwająca ciężką komodę, wyposażoną w cztery

szuflady. Gdy uznała, że mebel zablokował wejście, odwróciła się i uśmiechnęła promiennie.

– Witaj, braciszku – powiedziała. – Nie mam pojęcia, jak ci się udało wydostać z wieży i dodatkowo dobrnąć aż tutaj. Ale to na szczęście koniec.

Wyciągnęła z rękawa długi kuchenny nóż i niespiesznie podeszła do łóżka.

Niecałą godzinę wcześniej, Maciej Nawrot podjechał tyłem swojej tundry do wjazdu szamba. Wsiadł z samochodu i założył maskę przeciwgazową, wydobytą spomiędzy sprzętów na pace. Część jego sąsiadów, gdy już doprowadzono im kanalizację, zasypała szamba. Ale nie on. Dzięki temu do tej pory mógł się cieszyć jako takim komfortem życia. W domu korzystał z wody ze studni, podpiętej do instalacji. A jeśli chodziło o ścieki, to tak długo czekał na gminną kanalizację, że w końcu postarał się o własną, przydomową oczyszczalnię.

Odsunął łomem wjazd zbiornika. To było zwykłe szambo, zainstalowane przy niewielkim domku letniskowym na działce, położonej trzydzieści kilometrów od jego domu. Zbiornik musiał być co jakiś czas opróżniany, po doprowadzeniu kanalizacji Nawrot w ogóle z niego nie korzystał. Aż do rozpoczęcia wojny, kiedy to zyskało nową funkcję.

Nachylił się nad wjazdem, oddychając ciężko przez maskę. Wiedział, że pomimo długiego nieużywania, w środku dalej może gromadzić się niebezpieczny metan. Niejeden już się tak załatwił, pomyślał. Otworzył szambo bez maski, stracił przytomność i chlup! Topił się w gównie. On nie popełniał takich błędów. Włączył latarkę i oświetlił wnętrze zbiornika. Naliczył pięć ciał zawiniętych w grubą, czarną folię. Jeszcze pięć? Myślał, że zostało ich raptem trzech.

Zdjął z pikapa rozkładaną drabinę i spuścił do środka zbiornika. Tyson wiedział już, co się święci. Nie cierpiał tego smrodu. Siedział z podkulonym ogonem pod ogrodzeniem w najodleglejszym kącie posesji. Nawrot metodycznie wydobył trzy ciała z szamba i ułożył je na pace toyoty. Potem zasunął wjazd, schował łom i zasiadł za kierownicą. Postanowił na razie nie ściągać maski, w końcu zwłoki były już w stanie zaawansowanego rozkładu.

Zatrzasnął swoje drzwi i otworzył na chwilę te od strony pasażera. Tyson od razu wskoczył na fotel obok.

Potężny pikap wyjechał za ogrodzenie niewielkiej działki. Lekarz wysiadł, zamknął bramę na kłódkę i po chwili terenówka zniknęła w lesie. Postanowił posprzątać, bo czuł, że pokój nadchodzi wielkimi krokami. Ludzie ze zbiornika mieli to nieszczęście, że spotkali Nawrota na swojej drodze i posiadali coś, co było mu potrzebne. Zawsze tłumaczył sobie, że musiał to zrobić, aby przeżyć. Ale coraz częściej targało nim poczucie winy. Oczywiście poczucie winy nie oznaczało, że chciał ponieść karę. Musiał się pozbyć dowodów.

Znał kilka miejsc, gdzie podczas wojny doszło do gwałtownych pożarów. Dwa ciała zawiózł na zgłiszczą stacji benzynowej. Oblał je paliwem i podpalił. Folia szybko zajęła się ogniem i zwłoki zaczęły skwierczeć, w kłębach ciemnego dymu. Kolejne ciało umieścił w zwęglonym wraku samochodu, stojącym przy drodze. Również oblął je benzyną i podpalił. Doskonale, pomyślał, ściągając za kierownicą maskę. Zostały tylko dwa.

Mimo że jechał z opuszczonymi szybami, a zwłok już nie było na pace, w nozdrzach ciągle czuł ich mdlący, słodki odór. Pomyślał o rozmowie, którą odbył dzień wcześniej z Danutą. Początkowo nie chciał jej w swoim domu, ale kobieta wydała mu się pociągająca. No i szybko okazało się, że nie miała nic przeciwko wślizgnięciu się pod kołdrę starszego lekarza. Boże kochany, od tyłu miesiący nie miał kobiety!

Poprzedniego wieczoru powiedział jej w końcu o tym, że mają gościa. Wyjaśnił, że to sparaliżowany człowiek, któremu trzeba pomóc. Danuta zaakceptowała jego decyzję i nawet uznała, że to bardzo szlachetne z jego strony. Dopiero gdy wspomniał, że człowiek ten uszkodził się podczas skoku z wieży, Danutę jakby piorun trafił. Zaczęła dopytywać, czy ranny nie ma blizny na policzku, ale Nawrot wymówił się zmęczeniem. Skąd mogła wiedzieć? Odpowiedź była prosta. Musiała go znać. Dlatego przed wyjściem się upewnił, że dobrze schował klucz do pokoju Zenona.

Zaparkował pod wiatą i wszedł do domu. Wygłodniały Tyson od razu pobiegł do misek, kręcąc się niespokojnie i zaczepiając swego pana. Ten nalał do jednej z misek wody, a do drugiej wrzucił trochę mokrej karmy.

Nagle usłyszał z góry odgłos przesuwanego mebla. Rzucił się do schodów i wbiegł na pierwsze piętro. Nacisnął klamkę, ale drzwi nie chciały się otworzyć. Napał na nie barkiem i odepchnął prymitywną barykadę Danuty. Wpadł do środka i w ostatniej chwili wyszarpnął Danucie nóż z ręki.

– Nie wiem, co was wcześniej łączyło, ale w tym domu nie będzie już mordowania – wysapał.

– Nawet nie masz pojęcia, co ten skurwysyn mi zrobił! – krzyknęła Danuta z wściekłością i wyszła, trzaskając drzwiami tak, że mało co nie wyleciały z zawiasów.

– Dziękuję – powiedział Zenon.

– O co chodzi?

– To moja przyrodnia siostra. – Marczak wzruszył ramionami. – Takie tam kłótnie między rodzeństwem.

Nawrot spojrzał na niego przeciągle, ale nie skomentował. Nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić. Ustawił komodę na miejscu i wyszedł. Wrócił szybko i wykonał kolejny zastrzyk ze sterydu. Potem odsłonił kołdrę i wyciągnął igłę. Wbijał ją w kolejne miejsca na łydkach Zenona i rzucał mu pytające spojrzenia.

Zenon doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że był o krok od śmierci. Tym razem lekarz zdołał go uratować, ale co będzie dalej? Dlatego – gdy Nawrot znowu wbijał igłę, a on poczuł delikatne mrowienie – włożył całą siłę woli w to, aby utrzymać obojętny, lekko smutnawy wyraz twarzy i ukryć ekscytację. Może jednak nie wszystko było stracone i faktycznie rdzeń był tylko opuchnięty? Ale Zenon nie chciał się z tym zdradzać, bo nie ufał lekarzowi. Jego uwadze nie uszło słowo „już”, kiedy tamten mówił Danucie, że nie będzie mordowania. Jaka w ogóle była relacja tych dwojga? Cóż, tego mógł się tylko domyślać.

Mrowienie w prawej nodze przeciągało się. Zorientował się, że Nawrot kręci igłą w jego łydce. Na szczęście Marczak nie odczuwał bólu, więc mógł zachować obojętną minę.

– Gdybyś czegoś potrzebował, daj znać – powiedział w końcu tamten i wyszedł.

Po chwili Zenon usłyszał szcęk przekręcanego klucza. Odczekał jeszcze jakiś czas, a potem podniósł się na łokciu i odkrył kołdrę. Omal nie krzyknął ze szczęścia. Tak jak przypuszczał po ciągłym, delikatnym ucisku, igła wciąż tkwiła w łydce. Powoli wraca mi czucie w nogach, pomyślał uradowany. Tylko dlaczego Nawrot zostawił tę igłę? Może zapomniał.

Pozostały do popołudnia czas Zenon wykorzystał na ćwiczenia. Zwlekał się z łóżka i zmuszał osłabione ciało do ruchu. Kładł się na plecach, na boku i przede wszystkim, pomagając sobie rękami, próbował poruszać nogami. Coraz wyraźniej czuł w obu mrowienie. Wprost nie posiadał się ze szczęścia! Nic nie przerażało go bardziej od trwałego kalectwa. Nawet śmierć.

Po jednej z takich treningowych sesji usłyszał z góry odgłosy seksu. Danuta darła się wniebogłosy, przeżywając prawdziwy – lub świetnie udawany – orgazm. Kochana siostrunia, pomyślał Zenon ze złośliwą satysfakcją. Nie pomyliłem się co do tego, w jaki sposób wywarła na panu doktorze korzystne wrażenie. Założę się, że ten stary pryk od dawna nie miał takiej młody dupy.

Gdy odgłosy ustały, usłyszał, jak stopnie protestują pod czyimś ciężarem. Schodził. Zenon szybko się upewnił, że nogi leżą mniej więcej w tej samej pozycji, co wcześniej. Nakrył się kołdrą i czekał cierpliwie. Wtem jego spojrzenie padło na leżącą na podłodze igłę i przypomniał sobie, że Nawrot zostawił mu ją w łydce. Jak się mógł wytłumaczyć z tego, że igła leży na podłodze? Przecież nie powie, że ją poczuł! Nie chciał, aby lekarz się domyślił, że odzyskuje władzę w nogach.

Zenon odrzucił kołdrę i zsunął się na podłogę. Słyszał kroki na korytarzu. Chwycił igłę i wczołgał się z powrotem na łóżko. Usłyszał metaliczny dźwięk za drzwiami. To lekarz wyciągnął klucze z kieszeni. Zenon odszukał właściwie miejsce i wraził tam igłę, przebijając strup. Ledwie na centymetr, ale i tak niemal zawył z bólu. Wcześniej doznanie nie było tak intensywne, ale po ćwiczeniach czucie wróciło w o wiele większym stopniu. Żeby lekarz nie nabrał podejrzeń, Zenon musiał wcisnąć grubą igłę jeszcze ze dwa centymetry. Napałł kciukiem na główkę i wsunął głębiej metalowy przedmiot. Był przekonany o tym, że zaraz zemdleje z bólu.

Gdy tylko nakrył się kołdrą i starannie ułożył, tamten wszedł do środka.

– Wszystko w porządku? – spytał.

– Tak. Niestety bez zmian.

– Przykro mi.

Nawrot trzymał w ręku strzykawkę z obnażoną igłą. Wykonał kolejny zastrzyk, a potem podszedł do nóg łóżka. Odwinął kołdrę w taki sposób, aby Zenon nie mógł widzieć, co tam robi. Ten zacisnął mocno zęby, siląc się na obojętny wyraz twarzy. Nawrot kręcił igłą w ranie, następnie wbijał ją w inne miejsce i ponawiał torturę. Fale potężnego bólu wstrząsały umysłem Zenona, ale ten nawet nie pisnął.

– I jak?

– Niestety. Ciągle nic nie czuję. – Bez trudu przywołał na twarz płaczącą minę.

Neurolog tylko pokiwał głową, schował igłę, poprawił kołdrę i wyszedł, zamykając drzwi na klucz. Zenon odczekał chwilę dla pewności i rozplakał się z bólu.

7.

Pod kościołem Piotruś zaczął płakać. Usiadła na parkowej ławce, wyjęła go z wózka i przystawiła do piersi. Gdy się najadł, ponosiła go chwilę do odbicia, potem położyła z powrotem i otuliła kocykiem. Co prawda ten głęboki wózek Smutny załatwił już dawno, ale dopiero pierwszy raz odważyła się na spacer.

Robiła już trzecią rundkę i zdążyła poznać otoczenie. Obok żółtej prawosławnej świątyni rozciągał się przestronny park. Po tej stronie były dwa mniejsze stawy, z kolei za aleją Buninską, przecinającą tereny zielone, znajdował się o wiele większy – cztery albo nawet pięć razy – zbiornik. Przy szerokiej ulicy mieściła się też stacja metra.

Co prawda okolica nie wyglądała na bogatą, ale podobała się Basi ze względu na parki, które o tej porze dnia były opustoszałe i spokojne. Kilka dni spędziła w łóżku, kompletnie pozbawiona chęci do jakiegokolwiek działania

czy w ogóle życia, jednak ten spacer dodał jej sił. Przeszła pod wiaduktem dźwigającym całą stację metra i przecięła aleję, korzystając z przejścia dla pieszych.

Spojrzała na Piotrusia. Oczka zaczęły się kleić malcowi i po krótkiej chwili już spał. Basia na takie spacerowanie chadzała ostatnio osiem lat temu. Przed oczami zaraz stanął jej Jurek i załkała cicho na wspomnienie starszego syna. Pograżona w czarnej rozpacz i apatii, nie miała dotąd sił nawet na myślenie o nim czy Michale. Za kilka rubli, które dostała od Natalii, kupiła gazetę. Przeczytała, że między Rosją a Ameryką toczą się ciężkie walki na wschodzie Polski i na Ukrainie. Co z Michałem i Jurkiem? Czy jeśli przeżyli pierwsze walki, to starczy im szczęścia, aby znowu ujść z życiem?

Przespacerowała się jeszcze brzegiem większego stawu, a potem zawróciła w kierunku domu. Pomyślała o Natalii i na jej twarzy pojawił się grymas złości. Doskonale widziała, co się działo. Od gówniary wiecznie śmierdziało papierosami, zarabiali ze Smutnym jakieś pokątne pieniądze i ubzduriała sobie, że jest już dorosła! Przez chwilę Basia się zastanawiała, czy to możliwe, żeby Natka uprawiała z nim seks. Chyba nie, pomyślała strwożona. Przecież ma dopiero szesnaście lat! Sama dziewictwo straciła dopiero na piątym roku studiów. Nie, to nie było możliwe.

Gdy weszła na klatkę i podniosła wózek, żeby wnieść go na półpiętro z windą, wiedziała już co robić. Musiała sobie uciąć nieprzyjemną, acz wyjątkowo szczerą pogawędkę z córką. Kiedy jednak weszła do mieszkania, cała jej pewność siebie rozwiła się niczym poranna mgła. Smutny z Natalką w nerwowym pośpiechu pakowali cały dobytek do dwóch walizek.

- Co tu się dzieje?! – spytała zdziwiona.
- Lepiej byś pomogła! – odwarknęła jej córka.
- Przestań się tak do mnie odzywać! Musimy poważnie porozmawiać!
- Nie mamy czasu, musimy uciekać!
- Co!? Znowu!?

Basia zdążyła się już przyzwyczaić do tego ciasnego lokum, a dzisiejszy spacer wlał jej trochę otuchy do serca. Ta okolica nawet zaczynała się jej podobać i znowu mieli się gdzieś wynosić? Nic z tego!

- Ja się nigdzie nie wybieram.

– Kobieto, przestań marudzić! – krzyknęła Natalia z wściekłością. – Chcesz żyć czy nie?!

– Nie wiem, coście znowu nawyprawiali w tej swojej „pracy” – syknęła Basia. – Ale ja się nigdzie nie ruszam.

Usiadła z Piotrusiem na łóżku, aby podkreślić swoje słowa. Wtedy Natalia, zła jak osa, podeszła do niej i z całej siły uderzyła ją otwartą dłonią w twarz. Smutny spojrzał na nie zdziwiony, ale szybko wrócił do pakowania, nie komentując sytuacji. Basia, choć kompletnie zszokowana, zauważyła, że jej córka w pierwszej chwili również przeraziła się tego, co zrobiła. Ale twarz szybko jej zobojętniała. Bez słowa odwróciła się od matki.

Czarny rozklekotany mercedes toczył się ulicami Butowa. Za kierownicą siedział właściciel, któremu Smutny opłacał się wcześniej, aby mieć spokój na osiedlu. Natalia nie знаła tego rosyjskiego słowa, ale Smutny jej wytłumaczył, co oznacza i szybko się domyśliła, że po polsku faceta przezywano by Mniczem.

Siedziała z tyłu, wyglądając przez uchyloną szybę. Nie chciało jej się patrzeć na siedzącą obok matkę. Z początku przestraszyła się tego, co zrobiła, ale bardzo szybko wszystko sobie zracjonalizowała. Basia od dłuższego czasu w ogóle im nie pomagała. Ona grzała dupę, a ja musiałam pokazywać majtki z misiem różnym zбочeńcom, pomyślała z wściekłością. Chciałaby jej to wygarnąć, ale matka jeszcze bardziej by się oburzyła. Dziewczyna nie mogła pojąć, jak to możliwe, że Basia miała niemal czterdzieści lat, a zdawała się nic nie wiedzieć o życiu. Ona tymczasem już dorosła i poznała tajemnice tego świata. Był bezwzględny, okrutny, nie kłaniał się słabym, a wynagradzał najsilniejszych. Przeżyć można tylko kosztem drugiego człowieka, pomyślała Natalia. Była święcie przekonana, że ma rację.

– Tutaj na pewno nikt was nie znajdzie. Większość ludzi się stąd wyniosła – powiedział Mnich.

Samochód przejechał przez tory, a Smutny zauważył, że szyny skręcają, tworząc potężny krąg.

– To jest jakieś koło? – spytał.

– Tak, ma średnicę dwóch kilometrów.

– Na co to?

– Zbudowali kiedyś, chyba jeszcze w latach dwudziestych albo trzydziestych, żeby testować nowe parowozy i pociągi. A potem przenieśli do środka całą wieś.

– Po chuj? – Smutny oszczędzał słowa.

– Jak to u nas. A bo to się dowiesz? Za władzą nie trafisz. – Mnich uśmiechnął się pod nosem. – Za to do wsi prowadzi tylko ta jedna droga. Możesz ją obserwować z chaty.

Natalia również oglądała okolicę. Sprawiała dziwaczne wrażenie. Wielki krąg z szyn, a w nim kilka uliczek z drewnianymi chatami, chylącymi się ku ziemi.

– To jeszcze Moskwa? – spytała.

– Tak, to jest najlepsze! To Moskwa, a ludzie tu palą drewnem i wodę ciągną ze studni. – Kierowca zarechotał. – Kiedyś była marszrutka, woziła ludzi do metra, na Buninskają. A teraz pizda! Kto nie ma samochodu, a prawie nikt tu nie ma, drałuje na piechotę. Z cudów współczesnej techniki jest prąd.

Mercedes zatrzymał się przed zniszczonym drewnianym domkiem. Deski elewacji pomalowano na zielono, a wypukłe obramowania okien na biało. Mnich wysiadł i otworzył drzwi chaty kluczem, po czym wprowadził wszystkich do środka. Były tam dwa pokoje, kuchnia i niewielka spiżarnia. Cuchnęło stęchlizną i zbutwiałym drewnem. Natalia natychmiast pootwierała wszystkie okna.

– Na ile to chcesz? – spytał Mnich.

– Dwa, góra trzy dni – odparł Smutny.

– Dwa tysiące rubli.

– Zwariowałaś!?

– Chyba ci zależy, co nie? – Mnich skrzywił się w chytrym uśmiechu.

Chłopak westchnął i odliczył mu odpowiednią sumę. Basia rozejrzała się, zrozpaczona, po ich nowym lokum i spiorunowała Natalię wzrokiem. Ta spojrzała na nią z taką wyższością i pogardą, że natychmiast zamknęła się w jednym z pokoi, aby nakarmić Piotrusia.

Mnich został z nimi w kuchni. Ktoś niedawno podjął próbę jej podremontowania. Na wyścielonej folią podłodze stały jeszcze dwa kubły farby, a na niewielkim kredensie leżały wałki, nóż oraz dwie rolki taśmy malarskiej.

– Tu macie drugie wyjście. Aha, czekajcie, studnię wam otworzę.

Smutny z Natalią obserwowali, jak wychodzi kuchennymi drzwiami i mocuje się z kłódką przy klapie zabezpieczającej studnię. To dziewczyna przerwała milczenie:

– Zdradzi nas. Lubi pieniądze.

– Będziemy tu ze dwa dni, potem załatwię nam jakiś transport. Uciekniemy z Moskwy.

– Przecież mówiłeś. Zapłacą za informację. Mnich doprowadzi ich prosto do nas.

Smutny ewidentnie przetrwał to, co powiedziała. Zauważyła, że jest bliski przyznania jej racji. To pocięło jej dumę. Nauczyła się już życia i mogła objaśniać je innym niczym naiwnym, bezradnym psiaćkom. Na zewnątrz Mnich poradził sobie w końcu z kłódką i otworzył klapę. Teraz sprawdzał, czy w studni było wiadro i czy działała korba.

– Myślisz, że mówił komuś o nas? – spytała po chwili.

– Wątpię. Zgarnąłem go prosto z ulicy i zaproponowałem tę chatę. Jego babcia mieszkała tu aż do śmierci – odpowiedział Smutny, wciąż zamyślony.

Skinęła na niego znacząco. Zrozumiał. Chociaż widziała, że początkowo chciał zaprotestować, ostatecznie kiwnął głową. Mnich wracał, zgarnęła więc rolkę taśmy malarskiej z kredensu i stanęła za drzwiami. Gdy wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi, Smutny powalił go ciosem w szczękę, a potem chwycił, przyciskając mu ramiona do boków.

Tamten chciał coś krzyknąć, ale nie zdążył. Natalia zaklepała mu taśmą usta i zaczęła szczelnie owijać głowę. Zaczął wierzgać nogami, ale Smutny sprawnie unieruchomił je swoimi. Natalia nawijała kolejne warstwy aż do czubka głowy. Mnich zaczął się dusić, próbował unieść ręce, aby zerwać taśmę, ale Smutny trzymał mocno.

Wkrótce było po wszystkim. Podnieśli go wspólnie i zamknęli w niewielkiej spizarni. Wcześniej, gdy Basia poszła z Piotrusiem na spacer,

kochali się w mieszkaniu na stole, ale Natalii nie sprawiło to takiej przyjemności, jak poprzedniego dnia w samochodzie Rusłana i potem na plaży.

Teraz znowu poczuła nieznośne mrowienie w podbrzuszu. Zdecydowanym ruchem zsunęła spodnie i majtki. Smutny zmarszczył brwi, ale zanim odmówił, rozpięła mu rozporek i odnalazła członka, który natychmiast nabrzmiął w jej dłoniach. Po oporach Smutnego nie pozostał nawet ślad. Była wniebowzięta. Czowała, że rządzi tym chłopakiem. To było takie wspaniałe!

Posadził ją na kredensie i wszedł w nią brutalnie, a ona omal nie krzyknęła. To, że w pokoju obok jej niczego nie podejrzewająca matka karmiła niemowlę, jeszcze bardziej ją podniecił. Smutny jęczał cicho, pracując mocno biodrami. Natalia sięgnęła na ślepo ręką i delikatnie nacisnęła klamkę, żeby uchylić drzwi do spiżarki. Widziała przez szparę zamordowanego Mnicha. Jego przechyloną na bok głowę w kokonie z taśmy. To ona pozbawiła tego człowieka życia. Miała nad nim władzę absolutną. Wpatrując się w trupa, doznała najwspanialszego orgazmu w życiu.

W środku nocy obudził ją krzyk. Natalia wstała i weszła do kuchni, mrużąc oczy przed światłem. Drzwi do spiżarki były otwarte, a Basia z wyrazem szoku na twarzy patrzyła na zwłoki. Natalia podeszła i zdecydowanym gestem zamknęła drzwi.

– Co, co to takiego? Co to ma znaczyć? – wydukała Basia i objęła się ramionami, drżąc delikatnie.

– Idź spać, mamó.

– Chcesz mi powiedzieć, że o tym wiedziałaś!?

– Przestań krzyczeć, bo ściągniesz nam kogoś na głowę. – Natalia ziewnęła.

W kuchni pojawił się Smutny, zaalarmowany kłótnią. Chłopak był wyraźnie zaspany. Opierał się o framugę, przecierając oczy.

– Co wyście zrobili!? Zamordowaliście człowieka!

– Mamó, nie bądź naiwna – prychnęła Natalia. – Wydałby nas jeszcze tego samego wieczoru i byłoby po nas.

– Jedziemy stąd. Natychmiast! Ty, ja i Piotruś. Z daleka od tego monstrum! – Wskazała głową Smutnego i przeszła do sąsiedniego pomieszczenia.

Natalia poszła za matką w milczeniu, obserwując, jak ta energicznie pakuje swój skromny dobytek. Potem kobieta ubrała się i obudziła Piotrusia. Dziecko zaczęło kwilić delikatnie, gdy zakładała mu ubranka, ale w końcu uspokoiła malca, wkładając go do szelek.

– Na co czekasz? – spytała matka. – Zbieraj się.

– Nigdzie nie jadę.

– Co ty sobie wyobrażasz, co!?! – Basia podeszła do Natalii i złapała ją za rękę. – Jesteś moją córką. W tej chwili jedziemy.

Natalia gwałtownym szarpnięciem wyswobodziła się z uścisku, a potem pchnęła matkę na łóżko. Basia straciła równowagę i upadła plecami na posłanie, a Piotruś rozplakał się. Matka wstała powoli z wyrazem bezbrzeżnego zaskoczenia na twarzy.

– Wynoś się stąd, ty głupia i naiwna babo – wysyczała Natalia. – Nie jestem już twoją córką, rozumiesz? Nie kocham cię! Daj mi w końcu spokój. Daj żyć!

Basia chwyciła plecak i wyszła na zewnątrz. Prawie nic nie widziała, szybko idąc słabo oświetloną uliczką, łzy zalewały jej oczy. Dlatego drgnęła, gdy ktoś złapał ją za rękę. Smutny wcisnął jej zwitek banknotów w dłoń.

– Powinno starczyć na jakiś czas – powiedział, a potem przekrzywił głowę i spojrzał na nią jakoś dziwnie, podając świstek papieru. – To na wypadek, gdybyś potrzebowała pomocy.

Przez sekundę Basia zastanawiała się, czy nie cisnąć mu tymi pieniędzmi w twarz. Ale nie mogła sobie na to pozwolić. Nic nie odpowiedziała. Odwróciła się i ruszyła w kierunku rozjarzonych moskiewskich osiedli.

Michał kręcił się niecierpliwie przy dawnym dyrektorskim gabinecie, z którego teraz Florian zarządzał ich małą społecznością. Nie chciał wchodzić od razu, z marszu. Wolał najpierw trochę ochłonać. Gdy tylko zobaczył grafik na ten dzień, od razu wiedział, że nie podoła wyznaczonemu zadaniu.

Na ścianie przy wejściu codziennie wywieszano rozpiszkę, kto gdzie będzie pracować danego dnia. Połowę poprzedniego na przykład Michał spędził na kuchni, a popołudnie przy świninach. Siłą rzeczy z grafiku można było też wyczytać, z kim danego dnia będzie się pracować, bo wszelkie czynności wykonywano zawsze w parach. Tak więc poprzedni dzień Michał spędził z bratem Albertem oraz siostrą Katarzyną. Ale dzisiaj? Nie, nie mógł na to pozwolić!

W końcu zebrał się w sobie i zapukał do drzwi. Po chwili usłyszał stłumione:

– Proszę!

– Cześć, bracie Florianie – Spróbował uśmiechnąć się jak najszerszej, wchodząc do gabinetu.

– Cześć, siadaj. Co cię sprowadza?

– Grafik – odparł pośpiesznie, sadowiac się na krześle.

– Yhm. – Florian zrobił zatroskaną minę. – A co? Wolałbyś robić dzisiaj co innego?

– Nie, nie – zaprotestował energicznie Michał. – Wszystko w porządku, tylko chodzi o osobę, z którą mam pracować.

– O siostrę Beatę. Moją żonę.

– Właśnie. Słuchaj, powiem wprost. Nie jest przecież tajemnicą, że była przeciwna mojemu wstąpieniu do wspólnoty i tak naprawdę mnie nie cierpi.

– Przesadzasz.

– Nie, proszę, czy naprawdę...

– Poczekaj. – Florian uniósł dłoń. – Jesteśmy wspólnotą, a ty jesteś tu nowy. Beata radzi sobie doskonale w szklarni, a ty nie. Od kogo miałbyś się tego nauczyć?

Michał milczał dłuższą chwilę. Nie miał dobrej odpowiedzi na tak postawione pytanie.

– Słuchaj. – podjął Florian ugodowym tonem. – Przecież znam ją dobrze, bo jest moją żoną, i wiem, jaka potrafi być humorzasta. Ale to dobra osoba. Po prostu daj jej szansę.

– Dobrze – Michał wstał i podszedł do drzwi. – Aha, jeszcze jedno. Wcześniej jakoś nie było okazji. Dziękuję ci bardzo.

– Za co?

– Wtedy podczas głosowania. Za to, że pozwoliłeś nam zostać.

– Daj spokój.

Michał wyszedł z gabinetu i po dwóch minutach mijał już rozległy staw. Słońce świeciło jasno, pogoda tego dnia była przepiękna. Delikatny wiaterek marszczył powierzchnię, rzucając wesołe refleksy na drzewa. Po drodze Michał z uśmiechem oglądał gałęzie, na których z każdą chwilą pojawiało się więcej liści. Wiosna w pełnym rozkwicie.

– Tata, patrz, co ja mam!

W ostatniej chwili odskoczył przed Jurkiem, który zahamował, ostro skręcając, a spod kół roweru prysnęła masa drobnych kamyków.

– Uważaj! – Michał roześmiał się radośnie. – Skąd masz ten rower?

– Od brata Floriana! Teraz ścigam się z kadetem Bartkiem, bo on mnie goni, bo jest z policji, a ja okradłem bank!

Jurek ruszył gwałtownie, a Bartek zaraz przemknął tuż obok. Michał zwalczył w sobie przemożną chęć krzyknienia za synem: „uważaj na rękę!”. Chłopak był coraz starszy i nie można go było ciągle tak niańczyć. Widząc jego uśmiech i to, jak beztrudnie się ostatnio bawił, Michał poczuł dziką radość w sercu. Niestety uczucie to natychmiast znikło, gdy dotarł do szklarni, przed którymi krzątała się Beata.

– Witaj, siostrzo. Będziemy dzisiaj razem pracować.

– Wiem – odburknęła.

Potem oprowadziła go po szklarniach i wytłumaczyła, jak naprawiać drobne pęknięcia bądź ubytki za pomocą folii i taśmy klejącej. Sama zajęła się nawożeniem i podlewaniem krzaków pomidorów i cukinii. W milczeniu pracowali aż do południa, gdy z budynku dobiegł ich stłumiony dźwięk dzwonek. W ten sposób ogłaszano przerwę na drugie śniadanie.

Wkrótce potem jeden z braci – Michał jeszcze nie zapamiętał jego imienia – przyniósł im w koszyku jedzenie. Tego dnia na południową przekąskę przypadały każdemu dwie ciemne bułki ze skrojonym w plasterki jajkiem oraz jabłko. Usiedli i zaczęli jeść również w milczeniu. Michał cieszył się, że nie musi rozmawiać z Beatą. Nie lubił jej, jak sądził,

z wzajemnością. Wiedział, że zostały mu jeszcze dwie godziny pracy w szklarniach, a jeśli uwinie się z naprawami szybciej, to może nawet mniej.

– Co robiłeś przed wojną? – Beata skończyła jeść kanapki i wgrzyła się w jabłko.

– Ja? – Był zaskoczony, że w ogóle się do niego odezwała.

– Nie, mówię do jabłka, wiesz. – Przewróciła teatralnie oczami.

– Sprzedawałem ubezpieczenia.

– Poważnie?

– Może lepiej powiedzieć, że starałem się je sprzedawać, bo szło mi naprawdę do dupy. Wcześniej byłem nauczycielem.

– O! – Wyraźnie się ożywiła. – Czego uczyłeś?

– Historii.

– Gdzie?

– W Katowicach, w gimnazjum przy placu Grunwaldzkim.

– Też byłem nauczycielką. Biologia w Siódmym Liceum Społecznym.

Michał zmarszczył brwi, szukając w pamięci takiej szkoły, a Beata szybko naprowadziła go na właściwy trop:

– W Zabrze.

– Na Gdańskiej?

– Tak. Znałeś tam kogoś?

– Nie, ale po tym, jak straciłem etat w gimnazjum, starałem się tam o robotę. Niestety nie dostałem.

Beata kiwnęła ze zrozumieniem głową i dokończyła jabłko. Oboje spakowali resztki do koszyka i postawili w wejściu do szklarni tak, aby mogła je zabrać osoba odpowiedzialna tego dnia za roznoszenie posiłków.

– Dziękuję – powiedział.

– Za co!?

– Za to, że nie powiedziałaś „nic dziwnego” na to, że nie dostałem pracy u ciebie w liceum.

Wbrew jego przewidywaniom Beata roześmiała się perliście, a Michał uznał, że ma całkiem miły uśmiech i ładne zęby. Po chwili spoważniała i spojrzała mu w oczy.

– Słuchaj, nie chciałbym, żebyś odniósł wrażenie, że jestem przeciwko tobie. Po prostu czasami się martwię o naszą wspólnotę. To wszystko.

– Tak? Pamiętam, jak na mnie patrzyłaś, gdy chłopcy przynieśli Jurkowi komiksy.

– Daj spokój. – Machnęła ręką. – Byłam zła, ale bardziej na Floriana niż na ciebie. Jurek był u nas wczoraj wieczorem. Bardzo inteligentny i fajnie wychowany chłopak.

– Dziękuję.

– Za co? Przecież to zasługa twojej żony.

Michał zamrugał gwałtownie i już miał się poczuć urażony, gdy zrozumiał, że to tylko żart. Zaśmiali się wspólnie, a potem ona powiedziała:

– Przepraszam, to było głupie. W dzisiejszych czasach może różnie być... Co z twoją żoną?

– Basia i Natalia, moja córka, zaginęły pod koniec inwazji. Prawdopodobnie wywieźli je na wschód z Okęcia. Próbowałem je odnaleźć, ale gdy przyjechałem na lotnisko, ludzi już nie było.

– Och, nie. Słyszałam o tym. Okropne. Oczywiście ruscy potem wszystkiemu zaprzeczali. Na pewno jeszcze się odnajdziecie.

Michał tylko kiwnął głową bez przekonania i zabrali się do pracy. W szklarni było rzecz jasna dużo cieplej niż na zewnątrz i Beata zdjęła wkrótce koszulę, pod którą miała tylko cienki podkoszulek na ramiączkach. Michał zezował lekko, obserwując ukradkiem, jak wiąże ciaśniej jasne włosy. Uświadomił sobie, od jak dawna nie miał kobiety, i nagle Beata wydała mu się niezwykle atrakcyjna. Gdy się schyliła, żeby poprawić wąż ogrodowy, ze zdziwieniem zauważył w okolicy jej kości ogonowej świeże siniaki. Szybko odwrócił wzrok, zawstydzony. Nie moja sprawa, pomyślał i wrócił do łatania dziur.

Wieczorem długo nie mógł usnąć. Co było dziwne. Cały dzień uczciwie przepracował w szklarniach, a pobudka była przecież dosyć wcześnie, bo o szóstej rano. W ogóle tutejszy porządek przypominał mu trochę średniowieczne opactwo. Brakuje tylko jutrzni i prymarii, pomyślał z uśmiechem i odwrócił się na drugi bok.

Kiedy w końcu zasnął, śnił o Katowicach sprzed wojny. O problemach, które wtedy wydawały mu się niezwykle ważne i nie do przewyciężenia, a z perspektywy czasu – zupełnie błahe. We śnie siedział w salonie, a promienie wiosennego słońca padały przez żaluzje na ścianę ze zdjęciami Basi, Natalii, Jurka i jego samego. Wakacje w Grecji, pobyt w Jastarni, narty w Karkonoszach. Na każdej fotografii uśmiechnięci i objęci. Szczęśliwa rodzina. Basia usiadła na nim z tym swoim uśmiechem, który zawsze pojawiał się na jej twarzy, kiedy miała ochotę na seks. Michał we śnie tylko przymknął powieki, ale gdy je uniósł, okazało się, że leży już nagi w sypialni, a Basia ujeżdża go namiętnie. Odgarnęła włosy i wtedy spostrzegł, że tak naprawdę to Beata na nim siedzi i wpatruje mu się lubieżnie w oczy.

Obudził się gwałtownie, bardzo podniecony. Z pewnym zażenowaniem sprawdził, czy prześcieradło nie jest mokre, bo przez krótką obawiał się, że doszło do wytrysku. Czuł dziwną suchość w ustach, napił się więc wody, ale to mu wcale nie pomogło. Za otwartym oknem o kratę uderzała lekko ciemna plandeka. Zrobiło mu się duszno i ciasno w pokoju. Postanowił, że musi wyjść i się przewietrzyć.

Ubrał się szybko i zszedł na parter. Przed drzwiami siedział na krześle Robert. Nachylony nad stolikiem, czytał książkę, korzystając z niewielkiej lampki.

– Witaj, bracie Robercie.

– Witaj, bracie Michale.

– Co czytasz?

– Wojenna rzecz. Ale z perspektywy zwykłego żołnierza. Moim zdaniem fajnie napisana.

– *Kto sieje wiatr...* – Michał wziął książkę i doczytał podtytuł: – *Opowieść żołnierza dywizji SS „Totenkopf”*.

– Spuszczają wpierdol ruskim. – Robert się uśmiechnął. – Trochę na czasie.

– No tak. Ale z tego co wiem, to potem ruscy spuścili wpierdol im.

– Racja. – Robert wyraźnie posmutniał.

– Słuchaj, wyjdę na chwilę. Muszę trochę się przewietrzyć.

– To niemożliwe. Dopiero po świcie.

– Co!?! – Michał był zaskoczony, ale też trochę zły. – Znam zasady, nie będę hałasował ani niczym świecił. Zresztą ja nie palę.

– Przykro mi. Takie są zasady.

– Poważnie?

Robert potwierdził skinieniem głowy. Michał stał jeszcze chwilę i nagle ruszył do drzwi, ale Robert szybko się podniósł i zagroził mu drogę.

– Bracie Michale. Nie utrudniaj, proszę. Nie chciałbyś chyba, żebym pomyślał, że podczas głosowania podjąłem złą decyzję?

Michał popatrzył na niego przeciągle, a potem niechętnie kiwnął głową. Wrócił do swojego pokoju, rozebrał się i położył do łóżka. Nie usnął do rana.

Rozdział IV

1.

Drgnął, obudzony cichym pytaniem:

– Panie generale, może kawy?

Frank Edwards potarł gwałtownie oczy. Poczł irytację, naturalną u kogoś wyrwanego z płytkiego snu. Chciał udzielić stewardesie ostrej reprimendy, ale w porę sobie przypomniał, że sam prosił o obudzenie.

– Dziękuję, Susan. Na razie nie – odpowiedział.

Uśmiechnęła się do niego i odeszła w głąb kabiny niewielkiego gulfstreama.

Generał wyjrzał przez okienko. Gdy zasypiał, byli jeszcze nad Atlantykiem, a na zewnątrz panowały egipskie ciemności. Teraz brzask powoli oblewał linię brzegu. Światła było coraz więcej i uliczne latarnie przybrzeżnych miasteczek bledły z każdą chwilą. Frank Edwards od razu rozpoznał zatokę Chesapeake. Wychował się nad nią – w Annapolis, stolicy stanu Maryland, nieopodal potężnego Bay Bridge, zachodniej drogi na półwysep Delmarva.

Samolot znacznie zwolnił i skręcił na północ. Na dole wkrótce roziskrzyły się wody rzeki Potomak, muskane pierwszymi promieniami słońca. Świt wydobywał z mroku kopułę Kapitolu i smukły obelisk pomnika Waszyngtona. Na przeciwległym brzegu widać było dokładnie cmentarz wojskowy w Arlington i rozparty tuż obok pięciokątny gmach. Cel podróży generała.

W potężnej bryle Pentagonu wyróżniał się centralny dziedziniec. W pawilonie pośrodku można było zjeść w przerwie lancz. Kiedyś mieli tam hot dogi, a pracownicy pięciokątnej siedziby Departamentu Obrony

żartowali, że to najbardziej niebezpieczna buda z hot dogami na całym świecie. W okresie zimnej wojny obowiązywało przekonanie, że Związek Radziecki wycelował rakiety właśnie w ten punkt. Rosjanie mieli myśleć, że olbrzymi budynek postawiono właśnie po to, aby chronić budkę otoczoną drzewami, która była najważniejszym miejscem spotkań amerykańskich agentów.

Frank Edwards uświadomił sobie, że w obecnej sytuacji ten żart nie był już wcale śmieszny. Generał leciał na bardzo trudną rozmowę. Powiedzenie, że sytuacja na froncie jest ciężka, byłoby kompletnie nieuprawnionym eufemizmem. Przez ostatnie dwie noce Edwards w akcie rozpacz, przejrzał pamiętniki oraz wszelkie materiały dotyczące najświetniejszych dowódców. Guderian, Patton, Żukow, Napoleon, Hannibal. Ba, ponownie prześledził dokonania Aleksandra Wielkiego i po raz trzeci chyba w życiu przeczytał, wybitną jego zdaniem, Sztukę wojny Sun Zi.

Czy gdzieś popełnił błąd? Czy mógł coś zrobić inaczej? Wciąż gorączkowo rozmyślał gorączkowo, a gulfstream już miękko wylądował. Ponieważ zależało im na czasie, nie skorzystali z bazy lotniczej Andrews; wylądowali na cywilnym lotnisku imienia Ronalda Reagana, skąd było o wiele bliżej do Pentagonu. Kolumna czterech opancerzonych limuzyn dotarła do pięciokątnego gmazyska w niecałe pięć minut.

Generał wraz z obstawą sprawnie przeszedł kontrolę bezpieczeństwa i ruszył w głąb budynku. Zerknął w korytarz, z którego się wchodziło do Sali Bohaterów. Odbywały się w niej uroczystości dekoracyjne, tam też wisiał spis wszystkich żołnierzy odznaczonych Medalem Honoru – najwyższym odznaczeniem wojskowym w Stanach Zjednoczonych, przyznawanym za wyjątkowe akty odwagi, narażanie własnego życia i wykroczenie poza zwykłe obowiązki. Otrzymywali je żołnierze walczący w wojnach o honor, pokój, ropę, złoto czy też podtrzymanie amerykańskiej supremacji na świecie. Dla każdego amerykańskiego żołnierza byli bohaterami kompletnymi. Teraz, jakby pod ciężarem tych wszystkich odznaczeń z przeszłości, generał skurczył się i zwiesił głowę. Czuł, że zawiódł.

Sala konferencyjna w podziemnym centrum dowodzenia już opustoszała. Mimo wczesnej pory prezydent Mike Pence właśnie skończył spotkanie.

Marynarkę powiesił niedbale na fotelu obok i siedział w białej koszuli bez krawata. Wyglądał na bardzo zmęczonego. Gdy tylko zobaczył generała, zamiast zwykłego uśmiechu, na jego twarzy pojawił się wyraz przygnębienia. Ale Edwards zdawał sobie sprawę z tego, że ostatnio on sam też nie wyglądał najlepiej.

– Cześć, Frank. – Prezydent zdobył się jednak na błady uśmiech.

Uściskał gościowi dłoń i wskazał fotel po prawej, kurtuazyjnie zaproponował jeszcze coś do picia i dopiero wtedy powiedział:

– Opowiedz mi trochę o naszej obecnej sytuacji.

Generał Frank Edwards przedstawiał swoje plany lub analizy w tym pomieszczeniu nie raz. Wiedział, jak używać wmontowanych w stół tabletów, dlatego szybko wyświetlił na jednym z ekranów mapę Ukrainy.

– Szliśmy na Żytomierz, tędy. Na północy tereny zielone, bagna. To była najprostsza, jak nam się wydawało, i najrozsądniejsza droga do granicy z Rosją.

– Przez Kijów?

– Tak. Ale akurat tego Rosjanie nieszczególnie bronili. Raczej zasadzili się po drugiej stronie Dniepru.

– Dlaczego natarcie się nie powiodło?

– Jak wiesz, musieliśmy wrócić do starych metod. No i przegapiliśmy dwie dywizje pancerne, czające się na północy.

– Jakim cudem?

– Najprawdopodobniej użyli kamuflażu multispektralnego. Totalna integracja z otoczeniem, a także redukcja promieniowania termalnego.

– Przecież Rosjanie mieli ten projekt w powijkach. – Prezydent zmarszczył brwi.

– Nasz wywiad twierdził, że to nierealne, by mogli wyposażyć w taki kamuflaż aż dwie dywizje. Rzeczywistość to zweryfikowała.

– Co teraz?

– Zepchnęli nas aż tutaj. – Edwards wskazał punkt na mapie. – Na ewakuację czeka blisko czterdzieści tysięcy ludzi, dwieście czołgów i prawie sześćset wozów opancerzonych. Wojska inżynieryjne budują lotnisko, ale to

nie jest prosta sprawa. Poza tym, niestety, nasza przewaga w powietrzu ciągle się zmniejsza.

– Ale dlaczego? Nie rozumiem! – Mike Pence był wściekły.

– Straciliśmy możliwość skutecznej nawigacji. Nie liczy się teraz maszyna z człowiekiem, a człowiek w maszynie.

– Chcesz powiedzieć, że Rosjanie są od nas lepsi w pilotowaniu myśliwców?

Generał zamyślił się głęboko, patrząc uważnie na prezydenta. W końcu udzielił odpowiedzi:

– Tak.

– Co!?

– Nasi piloci przyzwyczajani byli od lat do tych wszystkich nowoczesnych zabawek. W powietrzu są praktycznie obserwatorami. Dodatkowo Rosjanie wszystko sobie przećwiczyli w Syrii i na Ukrainie.

– Zaraz, chwileczkę! – Prezydent energicznie potrząsnął głową. – Przecież my też wikłaliśmy się w różne konflikty zbrojne na całym globie. Za każdym razem, każdy kolejny prezydent był przez was przekonywany, że nie ma dla żołnierzy lepszego treningu niż wojna!

– Tak, ale nasi żołnierze od Wietnamu, toczyli w zasadzie jedną i tę samą bitwę. Walka z partyzantką. Staliśmy się mistrzami w rozbijaniu improwizowanych ładunków wybuchowych. Prowadzeniu patroli i rozbijaniu lokalnych bojówek. Ale wojna konwencjonalna – generał zawiesił na chwilę głos – to już coś zupełnie innego.

– Co sądzisz o broni jądrowej?

Frank Edwards zaniemówił. Tego kompletnie się nie spodziewał. Gdy tylko zorientował się, że prezydent mówi poważnie, poczuł dreszcz.

– Właśnie skończyliśmy dyskusję na ten temat. – Tamten wskazał poodsuwane fotele oraz brudne filiżanki po kawie na stole. – Ale chciałbym poznać twoją opinię.

Generał doskonale zdawał sobie sprawę z zagrożenia, jakie się wiązało z użyciem broni nuklearnej. Tak naprawdę podzielał pogląd ludzi, którzy twierdzili, że ojciec bomby atomowej, Robert Oppenheimer, paradoksalnie powinien zostać laureatem pokojowej nagrody Nobla. Kraje posiadające ten

rodzaj broni trzymały się nawzajem w szachu, nikt nie miał odwagi rozpętać wojny, która mogła doprowadzić do zagłady całego globu.

– Moim zdaniem to nie jest dobry moment na rozważanie takiego rozwiązania – odparł w końcu generał. – Rosjan nie ma w Nowym Jorku.

– A gdy my będziemy pod Moskwą? – spytał Mike Pence, ważąc każde słowo. – Czy Putin wciśnie guzik?

– Nie mam pojęcia.

– Rozumiem. Czyli na razie mamy remis? A jest jakieś wskazanie? Na czyją stronę przechyla się szala?

Frank Edwards spojrział w podłogę i długo się zastanawiał nad odpowiedzią. Myślał, czy aby nie zlągodzić trochę prawdy. W końcu nie zaszkodzi wlać otuchy w serce prezydenta USA. Naprawdę mogło mu się to przydać w ciągu następnych kilku dni. Ale przypomniał sobie akademię w West Point, którą miał zaszczyt ukończyć z wyróżnieniem. Oficerski etos, kodeks honorowy tak krótki, że bez problemu wyryto go na niewielkim kamieniu: „Kadet nie będzie kłamał, oszukiwał, kradł ani tolerował tych, którzy tak czynią”.

– To nie jest remis – powiedział wreszcie. – Przegrywamy.

2.

Porucznik Gurski skrzywił się z niedowierzaniem. Gdy pięć minut wcześniej przestało padać, miał nadzieję, że ta przerwa potrwa trochę dłużej. Jednak teraz znowu poczuł na twarzy krople lekkiej mżawki. I tak od pięciu dni. Poziom rzeki Teterew znacznie się podniósł, a jej wody rozlały szeroko.

Roman wygodniej oparł się plecami o słup podtrzymujący wielki dźwig. Barka amerykańskiej armii w żółwym tempie wiozła na pokładzie potężny betonowy element, mający wkrótce stać się częścią pasa startowego. Rosjanie się popisali strategią i zamknęli pierścień okrążenia, więżąc w terenach rozlewiska ponad dwadzieścia tysięcy amerykańskich żołnierzy. W rozmięknętym błocie utkwilo też blisko sto pięćdziesiąt czołgów,

czterysta wozów opancerzonych i tysiąc humvee. Wszyscy ludzie z całym tym sprzętem musieli zostać ewakuowani drogą powietrzną.

– Romuś, to jest jednak pojebane. – Sierżant Lacević usiadł na pokładzie.
– Po chuj mamy kisać na tej barce? Do czego strzelać? Do krokodyli?

Gurski nie odpowiedział od razu. Ich mała, amerykańsko-polska grupa do zadań specjalnych przez ostatni tydzień nie zrobiła nic specjalnego. Cała ósemka, podzielona na dwa równe zespoły, stała na pokładzie barki.

– Zazwyczaj na wszystko mam jakąś odpowiedź – mruknął smętnie Gurski.

– Zaraz pewnie zaczną napierdalać, co? – Sierżant zadarł głowę, patrząc w grafitowe niebo.

– Pewnie tak. – Roman wzruszył ramionami, a gdy mżawka przeobraziła się w deszcz, dodał: – Ja pierdołę, mam dosyć.

– W pięć dni zapomniałem, co to jest suchość. – Lacević rozwinął i naciągnął na hełm kaptur kurtki. – Muszę częściej myśleć o mojej pierwszej żonie, wtedy sobie przypominam.

– Znasz to? – Porucznik się uśmiechnął. – Laska mówi do typa: „Mam strasznie suche wargi”. A on...

– „Boli cię przy chodzeniu?” – dokończył sierżant. – Tak, znam.

Popatrzyli na brzeg, coraz bliższy cel ich podróży. Teren wykarczowano, więc padający nieustannie deszcz zamienił całą okolicę w posępne bagnisko. Górował nad nim Monaster Przemienienia Pańskiego. Pozbawiony okalających go wcześniej roślin, wyglądał dziwnie nago, wręcz nienaturalnie. Mnisi początkowo protestowali, ale z amerykańską armią nikt nie wygra. Na ogołoconym brzegu z mozołem budowano teraz pas startowy, który najpierw miał bezpiecznie przyjąć transportowce, a potem umożliwić im powrót w powietrze. Koniec zaplanowano na niewielkim wzniesieniu, tuż nad brzegiem rzeki. W ten sposób startujące samoloty zyskiwały szansę nabrania koniecznej prędkości już w powietrzu.

– Ile potrzebują? – spytał Lacević, walcząc z zapalniczką, aby zapalić papierosa.

– Podobno tysiąc metrów.

– A ile mają?

– Osiemset z hakiem. Masz pojęcie, że we wschodniej Polsce czeka w gotowości sto sześćdziesiąt herculesów?

– Trudno mi to sobie wyobrazić. Myślisz, że się uda?

Gurski chciał coś odpowiedzieć, ale gdzieś wysoko na niebie rozległy się nagle głucho grzmoty. Artyleria rosyjska rozpoczęła ostrzał, a amerykańskie miniaturowe rakiety MHTK likwidowały zagrożenie wysoko w powietrzu. Nie widzieli żadnych rozbłysków, bo wszystko działo się ponad skłębionymi, ciemnoszarymi chmurami. Roman się zastanawiał, czy deszcz oraz słaba widoczność nie były czasem ich sprzymierzeńcami. Wszyscy jednak wiedzieli, że to tylko przygrywka. Ze wschodu szła prawdziwa artyleria. Gdy tylko wystarczająco się zbliży, zamieni całe rozlewisko rzeki Teterew w bagnisty cmentarz. Budowa pasa startowego to była istna walka z czasem.

Niecałe sto metrów od nich potężna fontanna wody trysnęła w górę, po chwili barka zakołysała się na falach. Nie wszystkie pociski zostały zdetonowane na niebie przez amerykańskie rakiety. Część z nich spadała do rzeki, a niektóre wybuchały na lądzie, czasami powodując znaczne straty w ludziach.

– Żyjesz? Zadałem ci pytanie – powiedział Lacević, gdy ostrzał ustał na chwilę.

Roman nie odpowiedział, zapatrzony w brzeg, na którym koczowali żołnierze. Po amerykańskiej potędze nie został ślad. Nie było imponującej bazy, nikt nie serwował produktów KFC czy Pizza Hut. Każdy żywił się sam, skromnymi polowymi racjami. Panował chaos, dowództwo nie potrafiło zorganizować nawet porządnej latryny. Wszyscy srali więc po okolicznych krzakach albo wprost do rzeki. Porucznik Gurski uświadomił sobie, że może ten ciągle zacinający deszcz nie był najgorszą opcją. Gdy tylko wyjdzie słońce, smród będzie nie do wytrzymania, pomyślał.

Barka powoli dobijała do brzegu. Nieopodal początku budowanego pasa ustawiono pięciometrową replikę Statuy Wolności. Jeden z plutonów znalazł ją w zbombardowanej restauracji, niegdyś serwującej amerykańskie przysmaki. Figura pochyliła się na błotnistym gruncie niczym Krzywa Wieża w Pizie. Barcę zacumowano i potężny dźwig ożył z jękiem, aby przenieść betonowy element na podstawioną ciężarówkę. Rosjanie znowu rozpoczęli

ostrzał i niebo nad rozlewiskiem wypełniły stłumione grzmoty. Jeden z pocisków przemknął się przez obronę i gipsowa Statua Wolności przestała istnieć. Roman wreszcie udzielił odpowiedzi:

- Wątpię.
- Co? – Jovan zmarszczył brwi.
- Nie uda się.

3.

Co za kurewska pogoda, pomyślał smętnie. Gawriłow patrzył w milczeniu, jak kamerzysta naciąga folię ochronną na sprzęt, a makijażystka pudruje dziennikarce pod parasolem twarz.

– Może panu oficerowi też? – spytała.

– Nie, tak będzie lepiej. – Tamta przyjrzała się uważnie Gawriłowowi i uśmiechnęła do niego zalotnie. – Wygląda bardziej męsko, jak żołnierz.

Odwzajemnił uśmiech i dyskretnie również ją otaksował. Wiedział, że miała na imię Galina i była gwiazdą stacji *Pierwyj kanał*. Zazwyczaj w eleganckiej garsonce, teraz miała na sobie wysokie sznurowane buty, obcisłe dzinsy i kurtkę, ściągniętą w wąskiej talii paskiem. Niezwykle atrakcyjna, z miejsca przypomniała Gawriłowowi dobre czasy w Warszawie, kiedy to mógł w każdej chwili skorzystać z apartamentu i usług tylu kurew, ilu tylko zapragnął. Ale teraz musiał uważać. Jego nowy przełożony, generał Igor Petrow, nie pochwalał takich rzeczy. Twierdził, że rosyjskiemu oficerowi nie wypadało płacić za seks, a uznawał tylko i wyłącznie małżeński. Dla Gawriłowa był po prostu pierdolnięty.

– Możemy zaczynać? – zaszczebotała Galina.

– Jasne.

Prezenterka stanęła obok niego i odwróciła się w stronę kamery. W ostatniej chwili oddała makijażystce parasol i z wdziękiem poprawiła włosy. Kamerzysta pokazał na palcach odliczanie od trzech do jednego, a dziennikarka zaczęła mówić czystym, dźwięcznym głosem:

– Witam wszystkich przed telewizorami. Pierwyj kanał jak zwykle nadaje z linii frontu. Chwała wielkiej Rosji! Jest z nami pułkownik Paweł Aleksandrowicz Gawriłow, słynny bohater, który bronił do ostatniej kropli krwi Leśnej Fortecy. Panie pułkowniku, gdzieś tam, trzydzieści kilometrów za nami, wycofują się Amerykanie, tak?

Gawriłow zdawał sobie sprawę, że tak naprawdę rozlewiska rzeki Teterew trzeba by szukać dokładnie z drugiej strony, ale z tej było lepsze światło. Wiedział też, że każda telewizja powstała tylko po to, żeby rządzić ludzkimi emocjami oraz ogłupiać ich reklamami za ciężkie pieniądze. Nie należało oczekiwać jakiegokolwiek prawdy w tym, co płynęło z ekranu. Dlatego odparł:

– Tak jest. Rozbite wojska tych szubrawców koczują tam teraz jak świnie, po szyć w błocie.

– Wspaniale! – Galina roześmiała się perliście, jakby to był najlepszy żart, jaki usłyszała w życiu. – Czy mamy szansę jeszcze się z nimi rozprawić?

– Amerykanie próbują uciec jak tchórzliwe szczury, nie podejmując walki. – Gawriłow uznał, że porównywanie wroga do zwierząt będzie najlepszym wyborem. – Próbują zbudować lotnisko, ale gdy tylko nasza artyleria dotrze wystarczająco blisko i zainstaluje się tam na dobre, zetrzemy ich w pył.

– Chciałam tylko podkreślić, że ze względu na tajemnicę wojskową nie możemy państwu wyjawić, gdzie przeprowadzamy tę rozmowę.

Gawriłow pokiwał smutno głową, choć tak naprawdę nie miało to żadnego znaczenia, bo Amerykanie doskonale wiedzieli, że obecnie rosyjską artylerię transportowano koleją do Żytomierza, skąd wkrótce rozpocznie ostrzał. Tylko nie mogli nic z tym zrobić. I to jest w tym, kurwa, najpiękniejsze, pomyślał. A powiedział:

– Tak jest. Pamiętajmy, że wróg nie śpi. Na pewno śledzi nasze kanały informacyjne, czyta, co piszemy w internecie, i stara się zdobyć tak dużo informacji, jak to tylko możliwe. Dlatego uważajmy, co robimy i z kim rozmawiamy.

– Dziękuję, to bardzo ważne. – Galina zrobiła tak zatroskaną minę, że pułkownik nie mógł odgadnąć, czy robi sobie z niego jaja czy nie. – Już na zakończenie. Co by pan poradził biednym matkom, martwiącym się o swoich synów na froncie?

– Przede wszystkim chciałem im pogratulować, bo wydały na świat wspaniałych bohaterów, z którymi mogę tu ramię w ramię walczyć. Ale przed nami trudne zadanie. Jak zabraknie czołgów, to użyjemy karabinów. Jak i tych braknie, zostaną jeszcze pistolety. – Widział, że jego słowa robią na dziennikarce duże wrażenie, dlatego śmiało kontynuował: – A jak nie będzie już pistoletów, to bagnety! A jak będzie trzeba, to wydrzemy – zawiesił dramatycznie głos, żeby pomyśleć, co by tu można jeszcze dać po świniach i szczurach – amerykańskim karaluchom serca gołymi rękoma!

– Dziękujemy bardzo za rozmowę – powiedziała wzruszona Galina. – Na razie żegnamy się z państwem. Chwała bohaterom!

– Chwała! – wydarł się Gawriłow i zasalutował sprężyście, zastanawiając się poniewczasie, czy karaluchy aby na pewno mają serca.

Kamerzysta uniósł kciuk na znak, że wszystko się nagrało, i zaczął demontować sprzęt. Galina oddała mu mikrofon, a makijażystka natychmiast rozpostarła nad nią parasol.

– Bardzo panu dziękuję – Dziennikarka wyciągnęła dłoń, którą Gawriłow natychmiast szarmancko ucałował. – Jestem pod wrażeniem, że mogłam poznać takiego bohatera. Gdyby zechciał pan... Sama nie wiem... Jeszcze czymś się ze mną podzielić, to wylatuję dopiero jutro. Zatrzymałam się w hotelu Imperial, pokój numer trzysta siedem.

Skinął lekko głową, z uśmiechem się pożegnał, a potem wsiadł do wojskowej terenówki, która w kilka minut zawiozła go na plac Katedralny, gdzie w budynku sądu urządzono tymczasowe dowództwo armii.

– Poczekaj na mnie – rzucił do kierowcy, a ten skinął głową, gasząc silnik, i wysupłał z kieszeni munduru paczkę papierosów.

Pułkownik wbiegł po szerokich stopniach i zniknął w budynku z ośmioma masywnymi kolumnami od frontu. Po kontroli bezpieczeństwa i otrzymaniu przepustki stanął wreszcie w gabinecie generała Igora Petrowa i zasalutował regulaminowo.

– Panie generale, pułkownik Paweł Gawriłow melduje się na rozkaz.

Chudy mężczyzna podniósł się zza biurka z ciepłym uśmiechem na twarzy, uściśnął Gawriłowowi dłoń i wręczył mu elegancką kopertę.

– Gratuluję. To jest rozkaz pańskiego awansu.

– Panie generale, to dla mnie zaszczyt. – Pułkownik uważniej przyjrzał się dowódcy. Nigdy wcześniej nie miał okazji z nim rozmawiać.

– Gdyby nie pan, zaskoczenie pod Żytomierzem nie byłoby tak wielkie.

Gawriłow tylko zwiesił skromnie głowę, ale nie mógł się z tym nie zgodzić. To właśnie on przypomniał sobie, że za czasów KUBO mieli specjalną sekcję, która nie tylko szabrowała wyposażenie polskich fabryk, ale również przejmowała technologie rozwijane przed wojną w kraju nad Wisłą. Jedną z nich był zaawansowany, chwalony na całym świecie kamuflaż multispektralny. Dzięki Gawriłowowi szybko odkopano odpowiednią dokumentację, co pozwoliło rosyjskim dywizjom pozostać niemal niewidocznymi do ostatniego momentu. Właśnie za to otrzymał awans na pułkownika.

– Wiem, że dostał pan z rana gwiazdki – powiedział Petrow. – Powinienem teraz nalać wódki do szklanek, ale brzydzę się tymi krasnoarmijnymi zwyczajami. A pan? Pije pan alkohol?

– Raz w życiu spróbowałem wina. – Gawriłow spuścił wstydliwie oczy. Słyszał już wiele o generale.

– Naprawdę? Tamten zdumiał się wyraźnie. – To tak jak ja, tylko w moim wypadku było to piwo.

Pułkownik uraczył go nieszczerym uśmiechem współczucia. Jak ten skurwiel się uchował w ich armii? Gawriłow, który nie stronił od mocnych trunków, amfetaminy, kokainy i wszelkich innych używek, nie potrafił zrozumieć jego fenomenu.

– Mówcie: jak sytuacja? – zachęcił generał.

Pułkownik skłonił się grzecznie i przedstawił Petrowowi ostatnie meldunki, używając oklepanych formułek i okrągłych zdań, które można by podsumować krótkim „wszystko w porządku”.

– A co myślicie w ogóle? Wygramy?

– Oczywiście! Ku chwale ojczyzny! – ryknął Gawriłow, na co generał skrzywił się nieznacznie i wrócił za biurko.

– Wygramy z USA? Supermocarstwem, które ma lepszy sprzęt od naszego i wydaje na wojsko dziesięć razy więcej niż my?

– Ale ostatnio ten ich sprzęt jest gównem warty, prawda?

Gawriłow był wyjątkowo zadowolony ze swej odpowiedzi, ale zmarmotniał, gdy zobaczył, że generał potrząsa przecząco głową.

– Nie wydaje mi się, aby to było takie proste. Pan wie, co spotkało mojego poprzednika?

Cała Rosja wiedziała, co się stało z Sorokinem, który nie wierzył w zwycięstwo cara Władimira I, ale nowy pułkownik musiał się zastanowić, w jakim kierunku tak naprawdę zmierzała ta rozmowa.

Czy on mnie sprawdza? Czy ten zasrany Petrow myśli, że jestem szpiegiem, i chce, bym coś palnął? A może po prostu doskonale wie, że żaden ze mnie bohater z Leśnej Fortecy tylko zwykły dekwownik?

– Wiem.

– Jesteście wolni. – Generał założył okulary i zaczął przeglądać dokumenty leżące na biurku.

Kwadrans później pułkownik Gawriłow wysiadł z wojskowej terenówki na obrzeżach cmentarza polowego. Rozbicie amerykańskiej armii pod Żytomierzem było niewątpliwym sukcesem, ale i tak pochłonęło niemal trzy tysiące ofiar po rosyjskiej stronie.

Na wąskich alejkach między mogiłami wrócił w myślach do tego, co powiedział generał. Czyżby wątpił w zwycięstwo? To znaczy, sam Gawriłow od dawna nie wierzył, że Rosjanom uda się wygrać tę wojnę, bo wkrótce będą mieli przeciwko sobie cały świat. Ale żeby jeden z głównodowodzących generałów również? No i przede wszystkim po co miałby się z tym odsłaniać przed pułkownikiem, który do wczoraj był lejtnantem?

Takie rozważania przerwał mu widok mogiły ze znajomym nazwiskiem, wypisanym na tabliczce przyklepionej do prawosławnego krzyża. „Aleksandr Siergiejewicz Kozłow. 1993–2018. Wieczna pamięć”. Gawriłow wyciągnął spod bluzy munduru półlitrową butelkę wódki. Odkręcił ją i upił

łyk, a potem wylał trochę na mogiłę. Usiadł obok i sącył powoli alkohol, rozmyślając o swoim wiernym druhu.

Poznał się z Kozłowem zaraz na początku swojej kariery oficerskiej, gdy tylko mianowano go lejtnantem. Razem zajmowali Ukrainę, o którą teraz tak zaciekle biją się Amerykanie, potem walczyli w Polsce, w kulminacyjnym momencie podchodząc od południa pod Warszawę. Następnie służba w KUBO i niesławne zesłanie Kozłowa do podziemi, gdzie torturowano go okrutnie przez wiele godzin. *Praporszczyk* – wtedy lejtnant – nie pękł i nic nie powiedział swoim oprawcom, co do tej pory budziło w Gawriłowie bezbrzeżne zdumienie. Po wszystkim musieli mu wstawić nowe zęby, które biedak i tak wybił podczas tej nonsensownej obrony Leśnej Kurwy.

Pułkownik wylał resztkę wódki na grób, mówiąc:

– Trzymaj się, brachu. Jak Bóg da, po wojnie wygrzebię cię stąd i pochowam jak trzeba, w Wołgogradzie.

Wstał i odrzucił na bok butelkę, która rozbiła się o jeden z krzyży. Obaj wiedzieli, że takim bohaterom wszyscy będą patrzeć na ręce. Dlatego pod Żytomierzem walczyli dzielnie jak nigdy. I co to, kurwa, dało, pomyślał smętnie Gawriłow. Dzielność zawsze prowadzi do tego samego: do gryzienia piachu. Zerknął na zegarek i powlókł się na skraj cmentarza. Wsiadł do terenówki, a kierowca uruchomił silnik i spytał:

– Teraz dokąd?

– Gdzie tu można coś słodkiego kupić? Rozumiesz, do picia.

– Czy ja wiem... – Kierowca podrapał się po zarośniętym policzku. – Chłopaki z ósmej kompanii mają wszystko, nawet konsole do gier i trampoliny. To chyba coś takiego też będą mieli?

– To jedziemy najpierw do nich, a potem do hotelu Imperial.

Pułkownik Gawriłow uznał co prawda wcześniej, że może lepiej odpuścić sobie ten temat, ale zmienił zdanie. Kiedy będzie miał następną okazję wyruchać gwiazdę telewizji?

Maciej Nawrot patrzył w okno. Nie odpowiadał. Po prostu nie wiedział co.

– Musisz być naprawdę bez serca. Po tym wszystkim, co ci powiedziałam?

– To nie tak. – Westchnął ciężko. – Tobie wydaje się to takie proste, ale ja już tego nie chcę.

– Czego nie chcesz?

– Zabijania.

Odwrócił się od okna i popatrzył na nią uważnie. Siedziała w fotelu, gołe nogi wyciągnęła na pufie, a ramiona skrzyżowała na piersi. Miała na sobie tylko koszulkę na ramiączkach i krótkie szorty, więc mógł bez przeszkód podziwiać jej zgrabne ciało. Właściwie od początku tej znajomości zastanawiał się, dlaczego Danuta z nim została. Oczywiście, dał jej schronienie i jedzenie. Ale potem? Nie więził jej przecież, w każdej chwili mogła odejść. Na co jej sześćdziesięciopięcioletni były lekarz?

– Naprawdę? – Uchwyciła jego taksujące spojrzenie i wszystko zrozumiała w lot. – Myślisz, że jestem tu, bo zależy mi na dachu nad głową? Według ciebie jestem taką ofiarą losu, że sobie nie poradzę?

Właśnie to tak cholernie w niej cenił. Intelkt. Niesamowite, jakim byłem durniem przez całe życie, pomyślał. Trzy żony, każda ładniejsza od poprzedniej. Każdej mi zazdrościli i gratulowali. Uśmiechnął się do siebie, dostrzegłszy jeszcze jeden mały absurd tego świata. Jak można chwalić męża za wygląd żony? Jakby nawet to było zasługą mężczyzny.

– Powiedziałam coś śmiesznego?

– Wręcz przeciwnie.

Dopiero teraz zrozumiał, jak przyjemny może być związek z kobietą, która jest inteligentna i naprawdę ma coś do powiedzenia. Całe życie brał je wszystkie za idiotki, bo takimi się otaczał. A może nie? Może było zupełnie odwrotnie? Może to teraz robił z siebie durnia, bo ta kobieta sprytnie go wykorzystywała? Nie była klasyczną piękną, ale miała ładną figurę i przeszło dwadzieścia lat mniej niż on. No i Boże drogi, jakąż fantazję w łóżku!

– Zenon przez ostatni rok był dla mnie źródłem niewyobrażalnego wprost cierpienia. – Łzy napłynęły jej do oczu. – Ale ty nie masz zamiaru czegokolwiek z tym zrobić. Nawet nie chcesz, żebym ja coś zrobiła.

Od ostatniego razu Nawrot zainstalował w drzwiach do pokoju Zenona dwa dodatkowe masywne zamki i nie rozstawał się z kluczami. Zapowiedział również Danucie, że przed podaniem posiłku sparaliżowanemu mężczyźnie będzie próbował każdej potrawy, na wypadek gdyby chciała go otruć. Początkowo zakładał, że będzie to bluff, bo się autentycznie bał, co też ta kobieta może wymyślić. Przecież mogła uznać, że w takim razie po prostu otruje ich obu. W końcu zdecydował jednak, że naprawdę będzie próbował jedzenia. A jeśli Danuta chciałaby go zamordować, to trudno. Nic takiego się dotąd nie stało. Wydawało mu się, że go polubiła. On ją też. I to bardzo.

– Co mam zrobić? – jęknął. – Otworzyć drzwi i patrzeć, jak będziesz mordować kalekę?

– Jakoś wcześniej mordowanie ci nie przeszkadzało.

Pobladł gwałtownie. Do tego też się jej przyznał. Być może popełnił błąd, ale musiał to z siebie wyrzucić. Oczywiście przemilczał fakt, że większość zamordowanych wcale nie chciała na niego napaść, a po prostu posiadała coś, co go zainteresowało. Jak choćby agregat prądotwórczy, z którego korzystał do dziś.

– Przepraszam – powiedziała Danuta. – Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało.

– Przypomnę ci tylko, że od wczoraj wiele się zmieniło.

Lekarz sięgnął do komody i włączył radio zasilane bateriami. Z głośnika popłynął stanowczy męski głos:

– Obywatele Rzeczypospolitej Polskiej! Polki i Polacy! Choć wojna trwa, z terytorium naszego kraju pozbyliśmy się dzięki pomocy armii Stanów Zjednoczonych rosyjskiego okupanta. Tworzy się Tymczasowy Rząd Rzeczypospolitej Polskiej. Wkrótce reaktywowane zostaną służby, a pierwsze potrzeby zaspokojone. Zostańcie w domach. Tam jest najbezpieczniej. Czekać na dalsze instrukcje.

Komunikat ten puszczano w kółko na wszystkich częstotliwościach.

– I co, boisz się policji? Zanim ją odtworzą, minie pół roku albo i lepiej. Poza tym jakby chcieli wsadzać za każde morderstwo, to po tym, co się tu działo, zabrakłoby im obywateli.

– Moja odpowiedź brzmi: nie.

– Dobrze, nie będziemy już ciągnąć tego tematu. – Wstała i pocałowała Nawrota w usta. – Co na kolację? Ryż z warzywami pana zadowoli?

– Jasne.

Danuta zeszła na parter, a Nawrot podążył za nią. Odpaliła kuchenkę gazową i nastawiła wodę. On załadował zmywarę i sięgnął po kanister. Musiał dolać paliwa do agregatu, jeśli chciał go uruchomić. Stał jednak na chwilę przy kuchennym blacie i zamyślił się głęboko. Może to faktycznie byłoby najlepsze rozwiązanie? Co mam z nim zrobić? Zmieniać mu codziennie pieluchy i czekać, aż go zabiorą? Ile czasu minie, zanim otworzą szpitale i zapewnią w nich jakąkolwiek opiekę? Zresztą znał ten system od podszewki. Pewnie uznają, że Zenon to jego problem. Poczuł, jak Danuta obejmuje go w pasie, a jej jędrne piersi rozplaszczają się na jego plecach.

– Kocham cię – wymruczała mu prosto do ucha. – Nieważne, jaką decyzję podejmiesz, po prostu cię kocham.

Odwrócił się i pocałował ją namiętnie w usta. Nie wiedział, czy go nie okłamuje. Ale jeśli nie była szczerą, to nie chciał o tym wiedzieć. Przez ostatni tydzień był chyba najszczęśliwszy w całym swoim życiu.

– Ja ciebie też – odpowiedział.

Danuta drgnęła, dostrzegłszy coś ponad jego ramieniem. Odwrócił się i aż otworzył ze zdziwienia usta. Żarówki nad okapem płonęły jasnym światłem. Gdy po ostatnim ataku Amerykanów znów zabrakło zasilania, powyłaczał wszystkie urządzenia oraz powyciągał wtyczki. Ale widocznie nie pamiętał o oświetleniu nad kuchnią.

– Jezu Chryste – wyszeptał. – Włączyli prąd!

Spojrzał na Danutę, a ona się uśmiechnęła i znowu go pocałowała, potem wyjęła mu z ręki kanister i przesunęła ją na swoje krocze. Od razu poczuł, że mu staje. Ta kobieta działa na mnie lepiej niż viagra przed wojną, pomyślał.

– Czy pan doktor zbada mnie po kolacji? – spytała z błyskiem w oku.

Po raz kolejny pomyślał o tym, że gdyby nie Zenon, wszystko faktycznie byłoby prostsze. Musiał go usunąć. Przypomniawszy sobie naraz dziwne hałasy, które słyszał, gdy wyszedł w nocy się wysikać. Brzmiały, jakby ktoś chodził po pokoju kaleki. Ale to nie było możliwe. Neurochirurg przestał już faszerować go sterydami, bo nie zauważył żadnych postępów. A przecież na

wszelki wypadek codziennie przeprowadzał badania, wbijając mu igły w łydki. Czy Zenon mógł być na tyle twardy, żeby go oszukiwać? Nawrot musiał to sprawdzić, zanim weźmie się do rzeczy. Tak, koniecznie.

– Dobrze – powiedział w końcu. – Zrobię to.

Danuta popatrzyła na niego, zdziwiona, a po chwili twarz rozjaśnił jej szeroki uśmiech. Wsunęła sobie jego dłoń pod bluzkę i powiedziała cicho:

– Czeka cię dzisiaj najwspanialszy wieczór w życiu.

Uwierzył.

Zenon porobił przysiady i przećwiczył walkę z cieniem, częstując seriami bokerskich ciosów nieistniejącego przeciwnika. Gdy skończył, zgarnął z podłogi prześcieradło, które miało tłumić odgłosy jego kroków, wytrzepał je, założył na materac, a potem wyciągnął się wygodnie w łóżku. Przez ostatni tydzień doszedł do świetnej, jego skromnym zdaniem, formy. To znaczy, w porównaniu z tym, jak się prezentował jeszcze dziesięć dni wcześniej, gdy wyglądało na to, że do końca życia nie zrobi ani jednego kroku.

Tego dnia podjął decyzję, że zrobi to podczas kolacji. Rzuci się temu zasranemu konowałowi do gardła, a potem zajmie się swoją ukochaną siostrunią. Trochę mu było szkoda neurochirurga. Mimo wszystko to on go tu przytargał i to pewnie dzięki jego sterydom obrzęk ustąpił tak szybko. Dlatego Zenon nie chciał go zabijać. Postanowił, że go obezwładni i po prostu ograbi ze wszystkiego, co ma wartość i odjedzie jego samochodem w swoją stronę.

Potężny śmigłowiec znowu przeleciał nad domem, wprawiając w epileptyczny chybot korony pobliskich drzew. Zenon słyszał takie maszyny od pięciu dni. Był przekonany, że Amerykanie urządzili w sąsiedztwie jakąś bazę. Zamierzał się tam dostać za wszelką cenę.

Usłyszał odgłos przekręcania klucza w zamku. Potem w drugim i trzecim. Drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł Nawrot z tacą.

– Obiad. Jak samopoczucie dzisiaj?

– Tak samo. – Zenon koncertowo grał rolę sparaliżowanego człowieka w depresji. – Nic się nie zmieniło.

– Zaraz zobaczymy.

Lekarz odstawił tacę na stolik, a potem odwinął kołdrę, odsłaniając nogi Zenona. Ten był na to przygotowany. Nauczył się już radzić sobie z bólem, jaki powodowała igła w łydce. Tak po prawdzie to wydawał mu się coraz słabszy. Nawrot nań uważnie i z zaskoczenia wbił igłę pod paznokieć dużego palca Zenona. Ten wciągnął gwałtownie powietrze i stłumił wrzask, ale lekarz już wiedział. Sięgnął do kieszeni, Zenon wyskoczył jednak z łóżka i się na niego rzucił.

Tamten uchylił się zręcznie i uniknął powalenia. Wybiegł na korytarz i chciał zatrzasnąć za sobą drzwi, ale Zenon zablokował je stopą. Lekarz zbiegł po schodach, a on rzucił się w pogoń i dopadł go na środku salonu. Tak mu się przynajmniej zdawało, bo był tam po raz pierwszy, a rozglądać się nie miał teraz czasu. Obrócił lekarza na plecy i kilkakrotnie uderzył jego głową o parkiet. Na wypolerowane klepki trysnęła krew.

Nagle usłyszał zduszone warknięcie i kątem oka wyłapał ruch. Masywny pitbull, który swego czasu pilnował Zenona nad rzeką, rozpędzał się teraz z sąsiedniego pokoju, szczerząc kły. W tym samym momencie Danuta chwyciła Marczaka od tyłu, dusząc go przedramieniem.

– Zostaw go, ty skurwysynu! – wrzasnęła.

Tyson skoczył i być może nie zdążył zareagować, a być może po prostu nie dbał o to, które z nich tak naprawdę atakuje jego pana. Był w niebezpieczeństwie, tylko to się liczyło. Potężne szczęki zamknęły się na obojczyku Danuty, która poleciała razem z psem na bok i zatrzymała się dopiero na kuchennych szafkach.

Zenon wstał i przez chwilę przyglądał się z uśmiechem, jak muskularne zwierzę targa po kuchni krzyczącą Danutą niczym szmacianą kukłą. Pies szarpał ją za kark, dopóki nie znieruchomiała. Wtedy uśmiech mężczyzny zgasł, bo Tyson, warcząc, rzucił się w jego kierunku. Zaledwie kilka sekund zajęło Marczakowi zamknięcie od zewnątrz drzwi wejściowych, które natychmiast zatrzęsyły się od wściekłych uderzeń psiego cielska. Uświadomił sobie, że jest w samym podkoszulku i majtkach.

Wszedł do otwartego garażu ostrożnie, sprawdzając, czy nie ma swobodnego przejścia do domu. Nie było. Znalazł za to wysokie, sznurowane buty, roboczy kombinezon oraz puchowy bezrękawnik, które jako tako

pasowały. Niestety nigdzie nie widział kluczyków do pikapa. Prawdopodobnie Nawrot miał je przy sobie. W garażu zgromadził na szczęście zapasy jedzenia, które Zenon spakował do płóciennej torby.

Zanim odszedł, zajrzał jeszcze przez okno do salonu. Nawrot leżał na podłodze w aureoli z krwi. Na pewno nie żyje, żaden stary dziad by tego nie przeżył, pomyślał Marczak. Potem przeszedł wzdłuż ściany i zajrzał do kuchni. Danuta też leżała w ciemnej kałuży, a Tyson siedział obok, pilnując swojej zdobyczy. Zenon wyobraził sobie, co się stanie, gdy pies po kilku dniach zgłodnieje. Szeroko się uśmiechnął. Nie mógłby sobie wymarzyć lepszego końca dla swojej siostry.

W ciemnym mokrym wykrocie śmierdziało stęchlizną. Ale poza tym była idealną kryjówką. Wład na szybko ściął kilka gałęzi i zamaskował jamę. We trzech zajmowali niemal całą, ale dzięki temu było im też cieplej. Choć zmierzchało, nie robiło się jeszcze zimno. Byli jednak tak wycieńczeni, przede wszystkim z głodu, że nawet dziesięć stopni na plusie odczuwali niczym arktyczny mróz.

– *Czto ty diełajesz?* – syknął Wład, gdy Rodion sięgnął do gałęzi, żeby je rozsunać.

– Będę rzygać.

– Puszczaj tutaj. Za duże ryzyko, mogą być patroli.

Tamten zrobił minę, jakby chciał zaprotestować, ale przeszyty stalowym spojrzeniem Włada, zrezygnował. Usłyszeli stłumione charczenie i w jamie, oprócz stęchlizny, pojawiła się nowa drażniąca woń. Z zewnątrz dobiegł łoskot startującego śmigłowca, a po chwili kolejnego, tym razem podchodzącego do lądowania.

Starszy sierżant Wład oparł się wygodniej plecami, kładąc na udach swojego kałasznikowa tak, aby w sekundę zebrać się do strzału. Był kompletnie wypruty, ale i tak radził sobie o niebo lepiej od swoich dwóch towarzyszy. Jako zastępca dowódcy pododdziału rozpoznawczego specnazu, brał udział w wielu misjach na całym świecie. Doskonale pamiętał palące słońce gór Kandaharu i ciężki, równikowy klimat Afryki Środkowej. W samej Rosji oglądał z bliska najsłynniejsze akcje, takie jak atak

w Budionnowsku czy zamachy w teatrze na Dubrowce i w szkole w Biesłanie. Nigdy nie brali jeńców. Miał pięćdziesiąt cztery lata i od dawna był na emeryturze, ale armia potrzebowała teraz wyjadaczy jego pokroju. „Ojczyzna wzywa”, usłyszał w słuchawce telefonu i zgodził się niemal od razu. Mimo że osiadł na stałe w Gruzji i w zasadzie niczego już mu nie brakowało. Poza tym jednym – adrenaliną.

No, to masz teraz tę swoją adrenalinę, ty głupi stary dziadu, pomyślał. Szyderczo się wyszczerzył i pogładził gęstą siwą brodę, upodabiającą go do Świętego Mikołaja. Ich pododdział został rozbity zaraz na początku amerykańskiej ofensywy. Dalej było błąkanie się po lasach, pieczenie wiewiórek nad ogniskiem i śmierć kolejnych towarzyszy. Dwaj szeregowi, którzy z nim zostali, Makar i Rodion, nie należeli do specnaz. Zwykła piechota, mięso armatnie. Wład nauczył ich kilku rzeczy przez ostatnie dziesięć dni, myśląc, że przydadzą się do czegoś w kluczowym momencie. Srogo się jednak zawiódł.

Tak jak teraz, kiedy ten zasrany Rodion nie zdołał utrzymać cennych kalorii w żołądku. Pieprzona ciota. Wład od pewnego czasu zabraniał im palić ogień, więc żywili się surowym mięsem króliczym albo rybami. Jemu to nie przeszkadzało, grunt, żeby było świeże. Kiedyś w Czadzie, gdy ponad tydzień ukrywali się przed partyzantką w grocie nad jeziorem, jedli gnijące mięso antylopy i nikt się nie porzygał. Tak, z tych tutaj nic już nie będzie, pomyślał zrezygnowany.

– Zdrzemnijcie się, chłopcy. Przyda wam się regeneracja przed jutrem – powiedział, ale część jego słów zagłuszył kolejny przelatujący nisko śmigłowiec.

Wład długo leżał z zamkniętymi oczami, a gdy je otworzył, zorientował się, że na zewnątrz jest niemal zupełnie ciemno. Nadstawił uszu. Makar i Rodion oddychali równo, zmorzeni głębokim snem. Wład nie mógł ryzykować, że następnego dnia coś spierdolią. Wyciągnął bagnet i płynnym ruchem poderżnął gardło Makarowi. Ten wytrzeszczył oczy i zaczął charczeć, krztusząc się własną krwią, co zbudziło Rodiona, ale starszy sierżant nie dał mu czasu na jakąkolwiek reakcję. Przeciągnął ostrzem również po jego szyi.

Gdy obaj szeregowi ucichli, a Wład poczuł pod ramieniem ciepłą krew, zaczął się zastanawiać, czy nie wyciągnąć ich na zewnątrz, ale porzucił ten pomysł. Ciała mogły zwabić dziką zwierzynę, a ta z kolei ściągnąć uwagę amerykańskich zwiadowców. Lepiej, żeby przynajmniej zostały w ukryciu. Poza tym na razie byli cieplejsi niż wykrot. Starszy sierżant przekręcił się na bok i zamknął oczy. Potrzebował dużo snu przed następnym dniem. Ważnym dniem.

4.

Natalia była wściekła. Chyba jeszcze nigdy wcześniej nie czuła takiego gniewu. Dosłownie wszystko w niej buzowało. Po rozstaniu z Basią jeszcze przez dwa dni mieszkali ze Smutnym w podłych, tanich motelach, dopóki nie zorganizował podróży koleją transsyberyjską do Irkucka. Pomimo tego, że na razie Rosjanie wygrywali wojnę, dużo ludzi wyjeżdżało z Moskwy na wschód. Smutny poświęcił niemal wszystkie oszczędności, by zdobyć bilety.

To był pierwszy z czynników, które tak bardzo ją rozwścieczyły. Wydał wspólne pieniądze. Zarobili je razem, w dodatku to Natalia wykonywała najgorszą robotę. Ale Smutny nawet nie zapytał. Zupełnie jakby uznawał za naturalne, że to on może wszystkim rozporządzać.

Wagon – *płackartnyj*, bez przedziałów – zakołysał się na zakręcie, a potężny wąż na łóżku nad nią przestał chrapać. Niestety zaledwie na kilka sekund. Od trzech nocy Natalia nie zmrużyła przez niego oka, drzemała jedynie trochę w ciągu dnia. To też psuło jej samopoczucie. Wręcz kipiała w środku. Nagle przed oczami stanęło jej rodzinne mieszkanie w Katowicach. I tata, który do nadąsanej Basi mawiał: „Co to za czajnik?”. Mama odpowiadała wtedy, że nie rozumie, a on z uśmiechem wyjaśniał: „Przecież widzę, że wszystko w tobie buzuje. O co chodzi?”. Potem przypomniawszy sobie Jurka. Tak długo już ich nie wspominała! Jakby umarli. Wtuliła policzek w poduszkę, po drugim popłynęły łzy. Bardzo by chciała, żeby teraz to jej ktoś okazał zainteresowanie. I po prostu spytał, co się dzieje, dlaczego wszystko w niej buzuje.

Obróciła głowę, wytarła twarz w poduszkę. Nie chciała, żeby Smutny zobaczył łzy. Nie mogła okazywać słabości, nie teraz. Z nową siłą uderzyło najgorsze, co się stało w Moskwie. Zamordowanie Rusłana, a potem Mnicha. Podniecenie, jakie czuła na widok martwych. Na te wspomnienia żołądek podszedł jej do gardła. Jeśli tak to ma wyglądać, to już nigdy nie będę uprawiała seksu, pomyślała. Nie chcę, poradzę sobie bez tego. Będę zimna i okrutna dla całego świata. Taka sama, jak świat dla mnie. Zemszczę się.

Odwróciła się i spojrzała na sąsiednie łóżko. W wagonie był już ciemno, dlatego Smutny korzystał z niewielkiej lampki. Czytał jeden z komiksów, które kupił na dworcu. O amerykańskiej Lidze Sprawiedliwości, ale w ukraińskim przekładzie. Rosyjskie wydania były dwa razy droższe, więc Smutny kupił te, wyjaśniając Natalii, że oba języki niewiele się od siebie różnią. Ale czy może ja też bym coś chciała, to nie zapytał, pomyślała z wściekłością.

– Nie śpisz? – Zauważył, że Natalia się mu przygląda.

Nie odpowiedziała. Nie rozmawiała z nim od Irkucka, ale on i tak nie uznał za stosowane zapytać jej, czy wszystko w porządku. Choć przecież musiał wiedzieć, co się z nią dzieje. Jeszcze w Moskwie zapowiedział, że wysiądą w Irkucku, on zrobi porządek ze swoimi dawnymi wrogami i będą żyli sobie bez przeszkód w jego starym mieszkaniu. Gdy pociąg zatrzymał się na irkuckim dworcu, Natalia zdziwiła się widokiem za oknem. Na peronie, wśród podróżnych, spacerowali jak gdyby nigdy nic chińscy żołnierze. W ogóle nie było widać rosyjskich mundurów, a żaden z Rosjan nie wydawał się tym zdziwiony.

Wtedy się zorientowała, że Smutny wygląda przez okno ze strachem. Ale nie przed Chińczykami w mundurach. Patrzył na zakazane mordy dwóch drabów, którzy lustrowali tłum, jak gdyby kogoś szukali. Natalia domyśliła się, że ktoś musiał znaleźć jego nazwisko na liście pasażerów. A Smutny ubłagał konduktorę, by za to, co im zostało, wystawiła bilety na dalszą podróż. Stchórzył. To było takie żałosne.

– Co zrobimy w Chabarowsku? – spytała w końcu.

– Coś wymyślę. – Smutny uśmiechnął się bez troski.

– To znaczy?

– Chabarowsk leży przy granicy z Chinami. Tam właśnie pojedziemy. To duży kraj, na pewno znajdziemy jakąś pracę.

– Znasz chiński?

– Nie, ale się nauczę. Spokojnie.

Natalia omal nie parsknęła śmiechem. Przed wojną miała w Katowicach koleżankę, której starsza siostra studiowała sinologię. Opowiadała, że w Chinach używa się wielu różnych dialektów, a pismo składa się z kilkudziesięciu tysięcy znaków. I ciągle powstają nowe.

– A półtora miliarda Chińczyków? – spytała.

– Co?

– Myślisz, że oni nie szukają pracy?

– Po prostu zostaw to mnie, dobra? – warknął zniecierpliwiony. – Wszystko załatwię.

Gównu załatwisz, pomyślała Natalia i odwróciła się do ściany. Omal się znowu nie rozpląkała, tym razem z tęsknoty za mamą i przez to, jak ją potraktowała. Chciałaby cofnąć swoją decyzję. Powiedzieć Basi, jak bardzo ją kocha, wziąć za rękę i razem z Piotrusiem zabrać do Polski, choćby na piechotę. Po to, żeby znaleźć Michała z Jurkiem, a potem wrócić do starego mieszkania na Załężu. Wiedziała jednak, że to niemożliwe. I nie mogła uwierzyć, że jeszcze niedawno była tak bardzo zakochana w Smutnym. W takiej nędznej, tchórzliwej kreaturze?

Minął kwadrans, nim usłyszała, jak Smutny gasi lampkę. Ciemności w wagonie rozpraszała już tylko jedna – pasażera czytającego coś dwa rzędy dalej. Smutny wślizgnął się Natalii pod kołdrę i po chwili poczuła jego sztywny członek między pośladkami.

– Tazsa – wyszeptał jej do ucha. – Chodź tu do mnie.

– Spierdalaj – wycedziła przez zęby tak, że zesztwniał na całym ciele.

– Co, nie podoba ci się? – sapnął ze złością. – Jaram cię tylko wtedy, gdy kogoś zajebię?

Odwróciła się gwałtownie, podkurczyła nogi i zepchnęła go z łóżka. Zaskoczony, gruchnął niezgrabnie na podłogę.

– Lepiej miej oczy otwarte – powiedziała z nienawiścią. – Bo jak mi się w nocy zachce, to ja mogę zajebać ciebie!

Zawinęła się w kołdrę i znów obróciła do ściany. Tym razem ze złośliwym uśmiechem. Mimo półmroku dostrzegła na twarzy Smutnego grymas strachu. Dobrze, niech się boi, pomyślała. Tak właśnie ma być. Cały świat będzie cierpiał. Tak jak cierpię ja.

Coś w niej pękło. Głęboko w środku. Po prostu się zapadło i w miejscu, gdzie kiedyś było serce, ziała teraz pustka. Utrata Michała i Jurka była potworna, ale spowodowana wydarzeniami, na które zwykły szary człowiek nie miał żadnego wpływu. Rozłąka z Natalią bolała po stokroć mocniej. Dziewczyna sama podjęła taką decyzję. Jak ona mogła mi to zrobić, po raz tysięczny spytała samą siebie Basia. Jak to się mogło stać? Gdzie popełniłam błąd?

Przycupnęła na murku nieopodal Burger Kinga. Wcześniej nakarmiła Piotrusia, a teraz odwinęła z papieru kanapkę z fast foodu. Przeżuwała powoli. Za pieniądze, które zostawił jej Smutny, wynajmowała lichą kwaterę na moskiewskim Goljanowie. Rano się jej skończyły. Starowince, u której się zatrzymała, było wyraźnie żal matki z malutkim dzieckiem, ale sama też nie należała do najbogatszych, a na pokój miała już kolejnych chętnych. Dała jej na drogę dwie bułki z żółtym serem. Basia zjadła je na śniadanie.

Przypomniała sobie Butowo – jak spędzała całe dni bez sił w łóżku, myśląc, że życie jest dla niej zbyt okrutne i gorzej być nie może. Jakże się myliła. Teraz wylądowała na ulicy z niemowlakiem i z kilkudziesięcioma rublami w kieszeni. A burger, który właśnie kończyła jeść, kosztował trzysta pięćdziesiąt! Wojna jednak mocno się dawała we znaki rosyjskiemu imperium i ceny pomału, ale systematycznie szły w górę. Dziwny jest ten świat, pomyślała Basia. Gdzieś tam na Ukrainie Rosjanie walczą z Amerykanami, a tutaj w Moskwie Burger King pełen jest ludzi i nikogo to nie zdumiewa.

Zostało jej ostatnie rozwiązanie. Długo się przed nim wzbraniała. Bała się. Nie wiedziała, co może ją czekać. Ale po prostu nie miała wyjścia. Wstała i z Piotrusiem na rękach zaczęła zaczepiać ludzi nieopodal wejścia do stacji metra Szczołkowskaja. Część ją ignorowała. Inni wzruszali ramionami, rzucając krótkie *nie znaju*. Niektórzy brali ją za żebraczkę i powstrzymywali

gestem, gdy tylko się zbliżała. Czują narastającą panikę. Przypomniała sobie upiorny widok z warszawskiego getta, gdzie obłąkana kobieta chodziła ze zmarłym dzieckiem na ręku. Czy ją też coś takiego czeka? Ogarnął ją strach tak potworny, że omal nie zwymiotowała. Uspokoila się z trudem, świadoma tego, że nie może zmarnować jedzenia, które tyle kosztowało.

Stała przy ścianie i zapłakała. Na nikim nie zrobiło to wrażenia. Kątem oka zauważyła, że obok ktoś sika. Ubrany w dres, niski i szczupły facet beknął głośno, gdy skończył, a potem się odwrócił. Miał ogorzałą twarz, pokrytą drobnymi tatuażami. Z kieszeni obszernej bluzy wyciągnął puszkę piwa, otworzył ją i zapalił papierosa. Podszedł do Basi z zaciekawieniem, pociągnął z puszki i spytał:

– *Poczemu ty płaczesz?*

Otarła łzy. Gdy zadała mu to samo pytanie, co innym, zmienił się na twarzy. Zaciągnął się dymem i zmierzył Basię uważnym spojrzeniem.

– *Znaju.* – Jego wzrok spoczął na chwilę na dziecku. – Rekin jest przy parku Gorkiego. Metro Oktiabrskaja. Ale na twoim miejscu bym tam nie szedł.

– Muszę – odparła cicho. – Nie mam wyjścia.

Podziękowała mu skinieniem głowy i zeszła na stację. Gdy kupiła jednorazowy bilet, w kieszeni zostały jej cztery ruble.

Michał szedł korytarzem, dźwigając dwa kubły z farbą. Uśmiechał się szeroko, myśląc o czekającym go dniu. Dopiero gdy pokonał zakręt, poskromił radość, witając się skinieniem głowy z Florianem.

– Cześć.

– No cześć. – Tamten klepnął go po przyjacielsku w ramię. – Co, będziecie malować?

– Po czym poznałeś? – Michał mrugnął do niego.

– Widzisz, już nie narzekasz, że musisz pracować z Beatą, co?

– Jakoś mi przeszło.

– Z każdym można się dogadać. Pamiętaj, brat Florian prawdę ci powie.

– Nie schlebiaj sobie.

Obaj się roześmiali i Florian pobiegł na górę, a Michał wszedł do przestronnej sali gimnastycznej. Dawniej były tam wydzielone stajnie oraz wozownia, ale gdy budynek adaptowano na technikum, połączono je, poszerzając nieznacznie fasadę. Pomieszczenie jeszcze do niedawna było zapuszczone, a ściany pokrywał grzyb, ale przez ostatni tydzień wszystko się zmieniło. Gładkie gipsowe powierzchnie, zagruntowane dzień wcześniej, już czekały na malowanie.

– Cześć.

Michał się odwrócił, gdy tylko usłyszał dźwięczny głos Beaty. To dlatego tak gwałtownie stłumił wesołość przy Florianie. Pomimo trudnego początku, przez ostatnie dni bardzo się z nią zbliżyli. A może raczej on do niej – tak naprawdę wciąż nie wiedział, co sobie myślała. Ale odnowienie sali gimnastycznej to był ich wspólny pomysł. Dzięki temu nawet w czasie wieczornego zaciemniania, dzieciaki będą miały gdzie się bawić i grać w piłkę.

– Zaczynamy?

– Tak jest!

Michał roześmiał się i na dobry początek pocałował ją w policzek. Pachniała jak zwykle czymś lekko miętowym ze świeżą cytrusową nutą. Blond włosy związała w koński ogon, a jej szare oczy rzucały wesołe iskry.

Osadzili wałki na długich, rozsuwanych trzonkach, następnie wymieszali dokładnie farbę. Zaczęli od sufitu. Pokrycie całego pierwszą warstwą zajęło im przeszło dwie godziny. Potem usiedli na parkiecie przykrytym folią i zjedli drugie śniadanie. Michał wciąż zerkał na nią ukradkiem. Choć spocona i bez makijażu, niezwykle go pociągała. Tego dnia miała na sobie czarną koszulkę na ramiączkach, a gdy siedziała ze skrzyżowanymi nogami, mógł bez przeszkód podziwiać jej piersi, rysujące się pod wilgotną, obcisłą bawełną.

– Słuchaj. – Długo się wahał się, czy poruszyć ten temat, ale w końcu uznał, że nie ma już sensu zwlekać. – Nie gniewaj się, ale zauważyłem, że na plecach masz dziwne ślady, jakby siniaki. Czy... Czy wszystko w porządku?

Beata wstała bez słowa, nerwowo obciągając koszulkę. Uwadze Michała nie uszło, że w ten sposób mimowolnie jeszcze bardziej wyeksponowała

biust.

– Przepraszam – powiedział.

– Lepiej zajmijmy się ścianami.

Ruszyła do kubłów z farbą, ale on złapał ją delikatnie za rękę.

– Poczekaj. Jeśli nie chcesz o tym rozmawiać, to nie. Tylko błagam, nie obrażaj się na mnie.

– Nie obrażam się.

Skrzyżowała ramiona, a w jej oczach po chwili pojawiły się łzy. Próbowwała się opanować, ale nic z tego nie wyszło. Rozplakała się jak dziecko, a Michał objął ją i trzymał mocno, dopóki się nie uspokoiła. Wtedy wierzchem dłoni otarł jej łzy z policzków i pod wpływem nagłego impulsu ją pocałował. Drgnęła, zaskoczona, i przez sekundę był pewien, że ją straci. Ale oddała pocałunek i poczuł jej miętowy, ciepły język w swoich ustach. Potem znowu usiedli na podłodze, a Beata powiedziała:

– Florian bardzo chce mieć dziecko. Niestety nic z tego nie wychodzi. Czasami... Po prostu daje mi karę.

– Karę!? – Michał zmarszczył brwi. – Co on, kurwa...

– Michał, proszę cię – przerwała mu. – Mówię ci to w absolutnym zaufaniu. Nikt się nie może o tym dowiedzieć. Obiecuj mi.

– W porządku – odparł po krótkim namyśle. – Ale wiesz, że nie musisz tego znosić tylko dlatego, że jesteś jego żoną?

– Nie jesteśmy małżeństwem.

– Co?

– Poznałam go, zanim założył tę wspólnotę. Mam dach nad głową i cieszę się szacunkiem innych. Uwierz mi, że podczas rosyjskiej inwazji swoje przeszłam. Teraz jak na głowę nie kapie, to dla mnie już jest euforia.

– Możemy odejść. Nadają komunikaty, zaraz wszystko będzie normalnie.

– Michał. – Popatrzyła na niego jak na naiwne dziecko. Smutno. – Wiesz, dlaczego z początku byłam przeciwna temu, żebyście tu zostali?

– No?

– Bo znam się na ludziach. Widziałam, że jesteś dobrym człowiekiem, który dba o syna. Nie chciałam, żebyś tu został. Bo stąd nikt jeszcze nie wyszedł.

– O czym ty mówisz?

– Dobrze wiesz. W nocy nie ma spacerów, w dzień pilnują całego terenu. Na pewno to zauważyłeś.

– To prawda – przyznał niechętnie. – Ale zawsze można spróbować.

– I dokąd pójść? Wierzysz tym komunikatom? Najpierw przetoczyła się jedna armia, a potem druga. Co będzie dalej? Amerykanie przegrywają.

Skinął powoli głową. Wszystkie wiadomości, które do nich docierały, faktycznie nie brzmiały optymistycznie, a pochodziły przecież z zachodnich źródeł, które pewnie i tak starały się choć trochę przypudrować niewygodne fakty. W rzeczywistości mogło być o wiele gorzej. Michał wzdrygnął się na samą myśl o powrocie Rosjan i nękającego ludzi Krajowego Urzędu Bezpieczeństwa Obywatelskiego.

– Dlaczego tu zostałeś? – spytała.

– Bo miałem dosyć tułaczki – powiedział zgodnie z prawdą. – Szukałem bezpiecznej przystani, miejsca, w którym mógłbym wreszcie normalnie żyć.

– Otóż to.

– Pomyśl o tym. Sądzę, że udałoby nam się uciec.

– Jesteś kochany. – Beata uśmiechnęła się łagodnie. – Bardzo cię lubię. Ale wiesz, że „to” między nami nie jest możliwe?

– Wiem – westchnął. Nagle zrobiło mu się ciężko na sercu. – Pójdę przepłukać narzędzia.

Powoli i metodycznie mył wałki, pędzle i wiaderka, stojąc na tyłach pałacu, gdzie podłączono szlauch. Był zrezygnowany. Z jednej strony miał za sobą namiętny pocałunek z kobietą, która mu się podobała. Od czasu rozstania z Basią aż do tej pory Michała poruszyła jakkolwiek jedynie Danuta. Ale z nią to było coś innego. Jakaś zwierzęca, instynktowna chuć, podszyta długim wyposzczeniem. Beata była ciepła, kobieca i przy tym bardzo zmysłowa, w oczach większości mężczyzn pewnie jednak niewarta uwagi.

Kończył już oczyszczać narzędzia i aż podskoczył, gdy rozległy się strzały. Co prawda lekko przytłumione, ale całkiem dobrze słyszalne. Zaniepokojony, zaczął przechodzącego obok Roberta:

– Słyszałeś? Co to takiego?

Ten uśmiechnął się szeroko.

– Kadeci ćwiczą. Mieli tydzień na sucho, a teraz znowu dają czadu. Wiesz, szkoda amunicji, żeby codziennie strzelali, bo na razie to i tak Panu Bogu w okno!

– Jurek też tam jest?

– Pewnie.

Robert spokojnie odszedł, a Michał pospiesznie złożył narzędzia i wiadra na uboczu, żeby za bardzo nie zawadzały, po czym pomaszerował szeroką parkową aleją w stronę, z której dobiegały strzały. Chłopcy stali w szeregu i strzelali do celów przed wałem usypanym pod ogrodzeniem. Michał przywykł do kabur przy ich pasach, bo nigdy nie widział w nich broni. Dlatego też, gdy któregoś razu Jurek wrócił z taką samą, wcale się tym nie przejął. Właściwie to ostatnio prawie w ogóle nie poświęcał mu uwagi. W głowie miał tylko blond grzywkę Beaty i jej roześmiane oczy.

Gdy podszedł do towarzyszącego dzieciom Floriana, ten rzucił donośnie:

– Kadeci, wstrzymać ogień!

– Jurek, proszę w tej chwili do mnie! – krzyknął zaraz po nim Michał i nawet nie zarejestrował jego pytania, co takiego się stało, zszokowany reakcją własnego syna na komendę. Chłopak z wprawą starego wygi wyciągnął magazynek, sprawdził komorę, oddał tak zwany suchy strzał i schował pistolet.

– Nie życzę sobie, aby mój syn strzelał – wycedził Michał. – Zrozumiano?!

– Ależ oczywiście, żaden problem. – Florian wzruszył ramionami.

– Tata, ale ja chcę strzelać!

– Na razie jesteś moim synem i to ja decyduję, co możesz, a czego nie możesz!

– Bracie Florianie, czy to znaczy, że nie będę już kadetem? – spytał Jurek ze łzami w oczach.

– Hej, kolego, jak możesz tak mówić? – Florian klęknął i złapał go krzepiąco za ramiona. – Zawsze będziesz kadetem. Tylko po prostu bez pistoletu.

Delikatnie rozpiął mu pas z kaburą, sprawiając, że łyzy na dobre pociekły po policzkach, a chłopak odwrócił się do ojca i wychrypiął z dziką wściekłością:

– Nienawidzę cię!

Było grubo po drugiej w nocy, ale Michał ciągle nie mógł usnąć. Leżał w ciemnym pokoju, słuchając łopocącej na wietrze plandeki za oknem. Jurek do końca dnia nie odezwał się do niego ani słowem. Nigdy wcześniej nie pokazał po sobie takiej złości. Początkowo Michał próbował z nim porozmawiać, wytłumaczyć, że dosyć już tego całego strzelania i zabijania, ale chłopiec zamknął się w sobie. Postanowił więc dać mu trochę czasu.

Drgnął gwałtownie, bo – zatopiony w myślach – zauważył ją dopiero, gdy stanęła na środku pokoju. Była kompletnie naga, a rozpuszczone włosy spływały jej swobodnie na ramiona. Wślizgnęła się pod kołdrę, nim zdążył zaprotestować. Zresztą po co miałby? Zerknął tylko na Jurka. Chłopiec spał z szeroko rozłożonymi ramionami i otwartą buzią, w beztroskiej, dziecięcej pozycji. Każdy dorosły po nocy w takim ułożeniu wstałby z potwornym bólem kręgosłupa i wszystkich kończyn.

Zaczęli się całować, Beata ściągnęła mu bokserki i niecierpliwie zajęła jego męskością. Po krótkiej chwili zsunęła się pod kołdrę i poczuł tam jej usta. Jęknął cicho i przymknął oczy, poddając się pieszczotom. Potem ona uklękła, okryta szczelnie kołdrą, i usiadła na nim. Zaczęli ciężko pracować biodrami, szukać zapamiętałe przyjemności. Michał chciał coś napomknąć o prezerwatywie, ale uświadomił sobie, że i tak żadnej nie ma. Co mogę zrobić? Iść i poprosić Floriana? Przegnał tę absurdalną myśl, ale nie odmówił sobie czegoś na kształt szyderczego i tryumfalnego zarazem uśmiechu.

Było mu tak dobrze, że nim Beata skończyła, jęcząc przez dłoń zakrywającą usta, dwa razy musiał zwalniać, z trudem powstrzymując się przed wytryskiem. Podziękowała mu mokrym, namiętym pocałunkiem, po czym znowu zniknęła pod kołdrę. Tym razem już się nie powstrzymał.

Leżeli potem wtuleni w siebie i długo uspokajali oddechy. W końcu to ona przerwała milczenie:

– Dobrze.

– Co?

- Ucieknę z wami. Chcesz?
- Bardzo – powiedział Michał i ją pocałował.

5.

Przewidywali, że Rosjanie będą pilnować terenu. Ale tego się nie spodziewali: choć dwadzieścia parę kilometrów pokonali w miarę szybko i sprawnie, przez ostatnią godzinę zrobili ledwie dwa. Gdy tylko usłyszeli kolejny śmigłowiec, kapitan Parker, prowadzący kolumnę, uniósł pięść i wszyscy przywarli do drzew. Specjalna, podwójna membrana kombinezonów nightwalker sprawiała, że byli niemal niewidoczni dla termowizyjnych kamer, ale gdy maszyny przelatywały nad głową, mimo wszystko lepiej było pozostać nieruchomym.

Helikopter odleciał, a Parker dał sygnał do podjęcia marszu. Roman Gurski pomyślał, że chyba jednak jakaś wyższa siła życzyła sobie wygranej Amerykanów. Co prawda deszcz nie padał już non stop, jednak ciemna podstawa chmur ciągle wisiała nisko nad lasem. Między innymi dlatego Rosjanom jeszcze nie udało się rozgromić Amerykanów, wciąż czekających na ewakuację nad rozlewiskiem rzeki Teterew. Optyka rosyjskich satelitów niewiele mogła zarejestrować przez gęste chmury. Prawdopodobnie kwestią kilku godzin było uruchomienie polowego lądowiska dla amerykańskich transportowców.

Roman cieszył się, że w końcu wysłano ich na akcję. Na chłopaków zawsze wyjątkowo źle wpływało bezczynne siedzenie na dupach, a chronienie barki transportowej – zajęcie tyleż niebezpieczne, co bezsensowne – tym bardziej nie podnosiło morale. Teraz cała szóstka przedzierała się przez ciemny las w kierunku Żytomierza w towarzystwie kapitana Parkera, sierżanta Garcii i szeregowego Fullera, który w ostatniej chwili dołączył do grupy.

Prowadzący zachwiał się nagle i runął w dół, a idący za nim kapral Seget próbował go złapać, ale skutek był taki, że obaj zniknęli pozostałym z oczu. Kolejni żołnierze zatrzymali się gwałtownie, tylko Roman szybko przedostał

się na początek kolumny. Zrzucił kaptur i ściągnął noktowizor. Gdy jego oczy przyzwyczyły się do ciemności, zrozumiał, co się stało. Parker i Seget stoczyli się po stromym zboczu na brzeg rzeki. Zarośnięty nagły spadek był praktycznie niewidoczny w noktowizyjnej zieleni. Roman wytłumaczył krótko reszcie, co się stało, i po chwili wszyscy byli przy podnoszących się Parkerze i Segecie.

– Wszystko w porządku? – spytał Roman.

– Tak. – Kapitan kiwnął głową.

– U mnie też git – sapnął Seget. – Tylko ubranko mam w strzępach.

Roman założył na chwilę noktowizor i zlustrował ich kombinezony. Niestety sturlali się przez cierniste krzaki.

– Weź mój – powiedział Roman.

– Nie ma na to czasu – wtrącił się kapitan Parker. – Bierz terminal. Wiesz, jak go użyć. Pamiętaj, że najpierw piszesz wszystko, „wyślij” klikasz na koniec, żeby transmisja trwała jak najkrócej.

– Wiem. – Roman wziął od niego urządzenie. – A co z wami?

– Przyczaimy się nad rzeką. Zrobimy osłonę z pałatek.

Gurski skinął głową w milczeniu. Prowizoryczny daszek z dwóch pałatek był starym i wypróbowanym sposobem na oszukanie termowizji. Pałatki należało rozciągnąć tak, by między nimi mogło swobodnie przepływać powietrze. To działało, ale tylko stacjonarnie, bo przemieszczanie się z takim baldachimem w terenie graniczyłoby z cudem.

– Najwyżej nas stamtąd odbierzecie – dodał Parker.

– A jeśli... – zaczął z powątpiewaniem Roman, ale kapitan przerwał mu ze złością.

– Kurwa! To, że na kombinezonie nie ma szarży, nie znaczy, że nie obowiązuje!

– Tak jest!

Roman poderwał ludzi, którzy zaraz założyli z powrotem noktowizory oraz kaptury i opuścili Segeta z Parkerem. Musieli jeszcze trzy razy się zatrzymać, nim dotarli do granic Żytomierza. Tam grupa znowu się podzieliła. Sierżant Garcia i szeregowy Fuller skierowali się nad rzekę, a Polacy ostrożnie podeszli na skraj lasu.

– Romuś, coś mi tu śmierdzi – porucznik usłyszał stłumiony głos swojego sierżanta.

Szybko się zorientował, że to uwaga słuszna, i to w dwojnasób. Po pierwsze, w okolicy faktycznie unosił się swąd spalenizny. Po drugie, mimo tego, że praktycznie już wyszli z lasu, nie widzieli świateł w oknach budynków, latarni ulicznych czy reflektorów samochodów. Nic, kompletna ciemność. Czyżby Rosjanie wprowadzili tak ściśle przestrzegane zaciemnienie? Nie, to niemożliwe. Bo niby po co? Przecież absolutnie panowali w powietrzu, a wojska amerykańskie, pozbawione były GPS-u, a tym samym inteligentnych, kierowanych pocisków.

– Janik i Boski, wy z prawej – powiedział Gurski. – Wójcik i Jovan, my podejmiemy od lewej.

Po kilku minutach dotarli do zabudowań. Musieli tylko raz się zatrzymać i poczekać w wysokiej trawie, aż nad ich głowami przeleci kolejny śmigłowiec. Smród spalenizny i cierpki, słodkawy odór były tu jeszcze silniejsze. Roman zdjął na chwilę kaptur, noktowizor oraz jedną rękawicę i potarł dłonią ścianę domu czarną jak smoła. Na palcach została mu gruba warstwa sadzy.

– Co do kurwy nędzy – mruknął w zamyśleniu. – Nasze wojska bombardowały Żytomierz? Poprowadził chłopaków dalej. Przemykali w milczeniu pod ścianami zburzonych i wypalonych domów. Widok był potworny. Żywcem wyjęty z filmu o świecie po wojnie jądrowej. Poszczerbione i niemal kompletnie wypalone mury, na ulicach poskręcane, zwęglone ludzkie szczątki.

Kiedy usłyszeli następny śmigłowiec, Roman nakazał gestami schronić się w piwnicy zniszczonego budynku. Pościągali sprzęt, Lacević zapalił małą latarkę.

– Panie poruczniku, co tu się odjebało? – spytał lekko zszokowany Wójcik.

– Bomba atomowa pierdolnęła czy jak? – dodał kapral Janik.

Zanim im odpowiedział, Roman klęknął i wydobył spod kombinezonu dwa dokumenty, które rozłożył na resztkach wypalonej posadzki. Sierżant momentalnie skierował tam światło.

– To sztabówka tego obszaru. Mamy zlokalizować składaną gdzieś tutaj artylerię, która może posłać do nieba całe nasze zgrupowanie, jeszcze zanim wszyscy zapakują się do herculesów. Jediną szansą, by to cholerstwo rozwalić, jest przekazanie naszej artylerii jego współrzędnych. Musimy to zrobić po bożemu, na podstawie mapy.

– Dobra, ale to mieliśmy już na odprawie. – Plutonowy Bosak się zniecierpliwił. – Na chuj, za przeproszeniem, pan porucznik jeszcze raz to mówi?

– Rusz banią, Boski – mruknął Jovan. – Mamy się orientować po domach, ulicach i tym podobnym gównie. Jeśli tego nie będzie, to jesteśmy w dupie.

– Jasna pizda... – Plutonowy trwożliwie zrobił znak krzyża. – Rozjebali całe miasto, żebyśmy nie określili współrzędnych?

– Całe może nie, ale dużą część na pewno. – Roman schował dokumenty pod kombinezon i wstał. – Dobra. Tak czy siak, znajdziemy tę pierdoloną artylerię.

Jovan zgasił latarkę i wszyscy z powrotem nałożyli noktowizory.

W tym samym momencie sierżant Garcia i szeregowy Fuller pozbywali się swojego sprzętu. W pomieszczeniu było chłodno i wilgotno. Delikatny wiatr pogwizdywał cicho na odłamkach szyb, sterczących z okiennych ram.

– Jesteś pewien, że to tutaj? – odezwał się szeregowy. – Może jednak gdzie indziej?

– To jedyny ośrodek sportów wodnych na tym odcinku rzeki – odparł Garcia. – Lepiej się postaraj, żeby coś tu sklecić.

Fuller omiatał światłem małej latarki zagracony warsztat i przylegający do niego magazyn. Szeregowego przydzielono do misji ze względu na jego doświadczenie z cywilna. Staruszek Michaela Fullera miał podobny ośrodek, tyle że w słonecznym Miami, więc ten od dziecka miał do czynienia ze wszystkim, co pływa, i spędził długie godziny przy silnikach motorówek. Ponieważ ewakuacja drogą powietrzną była niemożliwa, w grę wchodziły tylko dwie opcje.

Pierwszą był powrót w taki sam sposób, w jaki dotarli na miejsce, czyli na piechotę. Tym razem byłoby jednak trudniej, bo po rozpoczęciu bombardowania Rosjanie się zorientują, że ktoś ich namierzył, i pewnie zaczną poszukiwania. A przecież amerykańskie wojsko już wcześniej musiało przeprowadzić kilka ryzykowanych i niebezpiecznych akcji, żeby odwrócić ich uwagę i umożliwić ekipie Parkera przeniknięcie za linie nieprzyjaciela. Dlatego wywiad uznał, że najlepiej będzie wracać rzeką Teterew, którą Rosjanie dotąd najwyraźniej nie bardzo się interesowali.

– Kurwa, nic tu nie ma – jęknął Fuller. – Kajaki, rowery wodne. Nie mają żadnej motorówki?

W końcu wypatrzył pod stertą wiosł szarą plandekę. Gdy ją odsłonił i ściągnęli, zobaczyli jaskrawozielony skuter wodny. Szeregowy odkręcił kilka śrub, zdjął osłonę i zajął się oględzinami silnika.

– Mam zapasowy akumulator – powiedział w końcu. – To może się udać. Ale za chuja nie zmieścimy na tym dziewięciu osób. Trzy na upartego.

Fuller odwrócił się, słysząc pomruk szurania po betonowej posadzce. Sierżant Garcia, stękając z wysiłku, wyciągał coś z kąta pomieszczenia. Gdy światło latarki padło na ciągnięty przedmiot, szeregowy parsknął i powiedział:

– Chyba sobie, kurwa, żartujesz.

– A masz jakiś lepszy pomysł?

Montującym potężne działa niezbędne było światło. Ale poosłaniane reflektory ustawiano tak sprytnie, aby padało tylko tam, gdzie go potrzebowali. Roman wątpił, by dało się ich wypatrzeć z powietrza. Tak naprawdę nawet z tej odległości miał problem z rozróżnieniem poszczególnych rodzajów rosyjskiego uzbrojenia.

– Za jakieś cztery godziny będą gotowi – wyszeptał sierżant Lacević, który podobnie jak jego dowódca obserwował prace przez noktowizor.

Może mieć rację, pomyślał Gurski. Ukryli się w ruinach cerkwi. Dwie z trzech kopuł zwały się na pogruchotane ściany. Mosiężne poszycie dodatkowo chroniło ich przed obiektywami termowizyjnych kamer

rosyjskich śmigłowców. Roman odłożył noktowizor i dał znak Jowanowi. Nakryli się pałatką, zapalili latarkę i rozłożyli mapę.

– Widzisz gdzieś coś, na podstawie czego ustalimy, gdzie dokładnie jest artyleria? – spytał Roman.

– Tutaj jest zakręt rzeki. – Jovan wskazał punkt na mapie. – Pięćdziesiąty stopień północny, prawie dwudziesty dziewiąty wschodni.

– I chuj z tego. Przecież stąd go nie widzimy.

Sierżant się zasepił. Najwyraźniej na tak celny argument nie mógł znaleźć odpowiedzi. Dopiero po dłuższej chwili powiedział:

– Widziałeś ten wąwóz na południu, wzdłuż rumowiska?

– Tak.

– Popatrz tutaj. Tory kolejowe. Ruscy musieli jakoś dowieźć to swoje żelastwo. Jeśli uznamy, że właśnie tędy, to mamy pi razy oko współrzędne.

– Pi razy dupa nas nie interesuje. Prosimy o konkretne miejsce, żeby mogli wprowadzić współrzędne do swoich komputerów balistycznych.

Jovan pokiwał smętnie głową, ale po chwili jego twarz rozjaśnił uśmiech.

– Co znowu? Zeszczaleś się? – spytał porucznik.

– Bardzo nieładnie tak mówić. Kurwa, Romuś, mieliśmy wskazać dokładny punkt, żeby uniknąć hekatombcy cywilów. Ale teraz?

To prawda, pomyślał Gurski. Ci pieprzeni ruscy, chcąc się zabezpieczyć, sami uknęli bicz na swoją dupę. Teraz wystarczy przybliżona lokalizacja. Amerykańska artyleria może tutaj młócić do woli.

– Ich propaganda to wykorzysta.

– Cały świat wie, że oni od zawsze kłamali i będą kłamać. Poza tym co nam szkodzi zrobić kilka fotek?

– Zgoda.

Roman schował mapy, a sierżant zgasił latarkę i zwinął pałatkę. Padły krótkie rozkazy, Boski, Wójcik i Janik wypełzli z ruin prawosławnej świątyni, aby zdobyć jak najwięcej dowodów, że to Rosjanie rozprawili się tak krwawo z mieszkańcami południowej części Żytomierza.

W tym czasie porucznik Gurski przyszykował i wysłał do dowództwa zgrabny komunikat, wyjaśniający sytuację. Potem całą piątką spotkali się w umówionym miejscu nad brzegiem rzeki. Po kilku minutach czekania,

usłyszeli dźwięk silnika, niosący się nad wodą. Roman rozkazał ludziom ściągnąć i schować kombinezony chroniące przed termowizją. Już ich nie potrzebowali. Musieli się tylko stamtąd wydostać.

Weszli do wody i popłynęli w kierunku źródła dźwięku, popędzani przez sierżanta Garcję:

– Szybciej! No już, kurwa!

Raczej się nie spodziewali, że będzie siedział z szeregowym Fullerem na skuterze wodnym, za którym kołysał się na wodzie podłużny żółty kształt.

– To jakiś żart? – spytał Gurski, doholowując plutonowego Bosaka.

– Nie, panie poruczniku, to transport – odparł Garcia. – Jeśli ma pan jakiś inny, to może na niego poczekać.

Pięciu polskich żołnierzy wgramoliło się nie bez trudu na ogromnego banana, jakim w sezonie wożono wczasowiczów w każdym zakątku świata. Złapali się mocno uchwytów, a Fuller zwiększył obroty i skuter pociągnął ich w górę rzeki. Gdy przepłynęli pod jednym z mostów, nagle na nabrzeżu zapaliły się reflektory terenówki. Roman zdążył tylko dostrzec sylwetki czterech żołnierzy, przeładowujących karabiny. To koniec, pomyślał. Nie mamy szans na reakcję.

Huk strzałów odbił się od drugiego brzegu, a czwórka Rosjan padła na ziemię. Przed samochodem pojawili się znikąd kapitan Parker i kapral Seget.

– Tutaj! – ryknął ten ostatni.

Parker krótką serią zgasił światła auta, a Fuller z gracją ominął konary, wystające przy brzegu z wody, i nieomal wyjechał skuterem na plażę. Kapitan nie skomentował ani samej maszyny, ani nawet banana. Po prostu wskoczył na dmuchańca, chichocząc pod nosem. Gdy tylko Seget zajął ostatnie miejsce, Fuller wyprowadził ich na środek rzeki.

– Ale te gałęzie toś elegancko ominął – krzyknął mu do ucha sierżant Garcia.

– To jest, kurwa, nic. Jak robiłem w parasailingu na Florydzie, musiałem tak płynnie ruszać, żeby para emerytów w uprzęży nie nasrała mi ze strachu na głowę.

Roman obejrzał się przez ramię na trzy helikoptery, omiatające snopami światła rzekę i jej brzegi. Rosjanie z terenówki zdążyli dać znać o nas,

pomyślał. Banan nie miał szans ze śmigłowcem, nawet holowany przez szeregowego Fullera. Nagle na niebie błysnęło pomarańczowo, a jedna z maszyn zawirowała i gwałtownie opadła. Usłyszeli potężny grzmot, powierzchnię rzeki przebiegła pojedyncza zmarszczka.

Amerykańscy artylerzyści wyliczyli wreszcie co trzeba i wklepali do komputerów. Pierwsze pociski spadały już na Rosjan składających swoje zabawki. Roman zauważył, że kolejny zdmuchnął jeszcze jeden helikopter.

– Fuller, cała pierdolona naprzód!

Szeregowy pochylił się nad kierownicą i otworzył przepustnicę tak gwałtownie, że siedzący na końcu Seget omal nie zleciał do wody. Skuter omijał przeszkody, a banan podskakiwał dziko na falach. Gdyby to był lipiec w Hiszpanii, byłoby całkiem zabawnie, pomyślał Gurski, próbując się na nim utrzymać.

Potężne dudnienie artylerii zagłuszyło ostrzegawczy szum. Fuller w ostatniej chwili zobaczył wznoszący się na trzy metry stopień wodny. Odruchowo skręcił, wyrzucając w górę fontannę wody. Szarpnięty ostro banan obrócił się wokół własnej osi, a masa siedmiu żołnierzy zrobiła swoje. I oni, i ci ze skutera wpadli do lodowatej wody.

6.

Kolejny potężny transportowy helikopter dźwignął się z ziemi, wzniesając tumany kurzu. Zenon spędził cały dzień w ukryciu, obserwując ruch na niewielkim amerykańskim posterunku. Niezbyt pilnie strzeżonym, bo i po co? Linia frontu przebiegała kilkaset kilometrów na wschód, a Polskę uznawano już za terytorium odbite.

Nie znał się zbytnio na wojskowości, ale na podstawie tego, co zobaczył, domyślał się, po co zorganizowano to niewielkie lądowisko. Niektóre z masywnych dwuwirnikowców tylko tankowały, ale to chyba nie było główne zadanie posterunku. W jego centrum stały blaszane hangary, gdzie roje mechaników uwijały się przy maszynach. Z tego, co Marczak zdążył

zauważyć, transportowe śmigłowce przywoziły części do innych, właśnie naprawianych.

Postanowił, że jeśli w przeciągu godziny żaden nie nadleci, to zdrzemnie się pod drzewem i zaczeka do rana. Oparty o pień, zaczął rozmyślać nad planem. Wiedział, że ma on więcej wad niż zalet, ale na razie nie zdołał wymyślić nic lepszego. Za żadne skarby nie zostałyby w Polsce. Nie wierzył już w to, że kiedykolwiek będzie tu tak, jak przed wojną. Okres rosyjskiej okupacji wraz z KUBO, trzymającym wszystkich za gardło stalową dłonią, pozbawił go złudzeń. Byle stąd wypierdolić, myślał gorączkowo. Byle do cywilizacji. Widział, że po zostawieniu części i uzupełnieniu paliwa helikoptery wracają na zachód. Nie interesowało go, czy po lądowaniu w którejś z amerykańskich baz zostanie aresztowany czy nie. Po prostu nie miał zamiaru zostać w kraju nad Wisłą. Był zdeterminowany.

Dlatego gdy pół godziny później koła potężnego chinooka dotknęły ziemi, przyszykował się do biegu. Każdy rozładunek przebiegał według tego samego schematu. Zenon miał dwie opcje. Mógł dostać się do maszyny albo po tankowaniu, albo wtedy, gdy wirniki pracowały już pełną mocą i piloci zamykali tylny właz. Wybrał to pierwsze rozwiązanie.

Żołnierze wyładowali niewielkie metalowe kontenery z częściami, a potem, korzystając z wózka widłowego, wywieźli z wnętrza maszyny potężny wirnik. Po kwadransie puste kontenery wróciły na swoje miejsce, a jeden z żołnierzy odłączył wąż paliwowy. To był ten moment. Za każdym razem osoba obsługująca tankowanie wchodziła na koniec do śmigłowca, prawdopodobnie po podpis pilota.

Zenon wyszedł pomiędzy drzew i pewnym, ale niespiesznym krokiem zbliżył się do helikoptera. Zaczekał przy rampie, aż żołnierz tankujący maszynę opuści ją przednim wejściem, wkradł się do środka i ukrył za jednym z kontenerów. Niecierpliwie nasłuchiwał, kiedy ociążale z początku i z mozołem zaczął się obracać wirniki. Po chwili rampa ruszyła w górę. Marczak obserwował to z rosnącą nadzieją.

Nagle na unoszący się element wskoczył mężczyzna w mundurze, zielonej chuście na głowie i z karabinem w rękach. Przysiadł przy burcie i rozejrzał się po ładowni. Rampa się domknęła i Zenon usłyszał cichy wizg

rygli. Pilot zwiększył moc, maszyna uniosła się w górę, od razu skręcając gwałtownie. Intruz z kałasznikowem musiał się złapać rozwieszonych wewnątrz sieci, aby nie stracić równowagi.

Po dwóch minutach ruszył pewnie do kokpitu, a Zenon skulił się w swojej kryjówce. Mimo to zdołał zauważyć trójkolorową flagę Rosji na ramieniu tamtego oraz jego gęstą siwą brodę. Wiedziony ciekawością, wychylił się nieco zza kontenera. Zobaczył, jak Rosjanin strzela do pilota po prawej i celuje w drugiego.

– *Wostok! Ponimajesz?! East, motherfucker! East!*

7.

Patrzyła tępo w okno. Niebo nad horyzontem szarzało. Ciemność ustępowała powoli przed słońcem, ukrytym jeszcze za widnokretem.

Natalia usłyszała, że za dwie godziny będą w Chabarowsku, ale nie odwróciła wzroku od monotonnego krajobrazu. Nie chciało jej się nawet patrzeć na Smutnego. Od pewnego czasu zastanawiała się całkiem na serio, czy by się od niego nie odłączyć. Tylko co wtedy miałyby robić? W Moskwie dużo się nauczyła. Wiedziała, na czym głównie zależy mężczyznom. Ale żeby naprawdę oddawać im się za pieniądze? Przypomniała sobie, jak obleśni byli niektórzy odwiedzający okolice Dworca Białoruskiego. Nie, nie potrafiłaby.

Szyba rozsypała się nagle na tysiąc kawałków, a cały wagon, uniesiony jakąś potworną siłą, przechylił się, zatańczył epileptycznie na torach, w końcu pojechał bezwładnie bokiem. Wszyscy pasażerowie pospadali z łóżek, a gdy sufit stał się podłogą, Natalia straciła przytomność.

Powoli odzyskiwała świadomość, próbując wyswobodzić się z dziwnego, sztucznego snu. Twarz okrywał jej jakiś materiał. Gdy go dotknęła ręką, uświadomiła sobie, że to prześcieradło. Ściągnęła je i się rozejrzała. Wnętrze wagonu tonęło w mroku, ale nawet w nikłym świetle przedświt dostrzegła, że konstrukcja została mocno wypaczona. W jednym miejscu fragment

z pustą ramą okna wcisnęło głęboko do środka, w innym za to ziała dziura, przez którą można było swobodnie wyrzeć na zewnątrz.

Ze wszystkich stron dobiegały jęki ludzi błagających o pomoc. Natalia usiadła ostrożnie, jak się okazało, na ścianie i podkurczyła nogi. Dokładnie skontrolowała swoje ciało. Mogła zginać nogi i ręce, wyglądało na to, że właściwie nic się jej nie stało. Nie mogła odnaleźć wśród porzrzucanych ubrań swojej kurtki, dlatego założyła pierwszą lepszą, która w miarę na nią pasowała.

Gdy wyszła na zewnątrz, zobaczyła istne pobojuwisko. Wagony leżały porzrzucane, niczym zabawki ciśnięte przez niesforne dziecko, znudzone zabawą. Jeden płonął. Po polu muskanym już promieniami wschodzącego słońca krążyło wielu pasażerów, którzy tak jak ona nie ucierpieli fizycznie, ale nie mogli się jeszcze otrząsnąć z szoku. Natalię otrzeźwił widok Smutnego, leżącego twarzą do ziemi. Podbiegła do niego, klękła i odwróciła go na plecy. Na jego czole widniał wielki siniejący guz, a twarz była nienaturalnie blada.

– Obudź się! Słyszysz mnie?!

Już nie myślała o tym, że mogłaby go porzucić i sama o siebie zadbać. Bała się. Nie chciała być bez nikogo. Poczowała narastającą histerię, szybko przechodzącą w panikę. Zaczęła nim potrząsać, ale ktoś ją mocno odepchnął.

– Zostaw!

Nieznajomy mężczyzna przyklękł obok Smutnego, wcisnął mu palce do ust, potem zaczął uciskać mostek. Nagle przestał i powiedział:

– Wdmuchuj powietrze w usta! Mocno!

Przywarła wargami do ust Smutnego, podczas gdy tamten bacznie go obserwował.

– Mocniej!

Zrobiła, jak kazał, a pierś Smutnego nieznacznie się uniosła.

– Dobrze! Jeszcze raz!

Natalia odetchnęła głęboko i dmuchnęła, aż zakręciło jej się w głowie. Nieznajomy podjął rytmiczny masaż, a gdy zrobił przerwę, Smutny otworzył oczy, gwałtownie wciągając powietrze. Tamten obrócił go na bok, na podkuloną nogę, i nakazał dziewczynie przy nim zostać, a sam podbiegł do

następnej nieprzytomnej osoby. Natalia uświadomiła sobie, że kolejni pasażerowie otrząsali się z początkowego ośpienia i próbowali pomagać rannym.

Nagły terkot broni maszynowej wzbudził okrzyki przerażenia. Nieznajomy padł z twarzą zalaną krwią. Jakaś kobieta osunęła się na ziemię, poszarpana pociskami z broni maszynowej. Natalia zrozumiała, że to nie była zwykła katastrofa kolejowa. Musieli uciekać. Pociągnęła Smutnego w górę, a ten podniósł się ociężale na nogi, czepiając się jej ramienia.

Poszli niezgrabnie w kierunku torów i przeczołgali się pod wagonem na drugą stronę, zostawiając za sobą kanonadę i krzyki rannych. Smutny radził sobie coraz lepiej. Wskazał palcem obszar porośnięty drzewami, gdzie było najmniej ludzi.

– Tam! Szybko!

Skręcili w tamtym kierunku, ale nagle Smutny chwycił Natalię za rękę i przykleknął pod osłoną wysokich krzaków.

– Poczekaj! – powiedział. – Popatrz!

Zerknęła na wagony towarowe, które doczepiono na końcu składu. Choć też wypadły z torów, nie były tak bardzo zniszczone jak pasażerskie. Jeden z nich miał jednak rozprutą burtę. Ze środka wysypały się setki złotych sztabek.

– Uciekajmy – wydyszała błagalnie Natalia.

– Złoto!

– Na cholere nam teraz złoto?!

– Zawsze się przydaje. – Smutny wzruszył ramionami. – Taki jest ten świat.

Zobaczyli, jak ktoś przeczołguje się pod wagonem, zabiera kilka sztabek i wciska je do plecaka. Pojedynczy strzał odróżnił się od kanonady po drugiej stronie, mężczyzna padł martwy na ziemię, a z dachu wagonu ześlizgnęło się trzech żołnierzy w kamizelkach kuloodpornych i hełmach. Rozejrzeli się z bronią gotową do strzału. Z tej odległości Smutny i Natalia doskonale widzieli ich twarze.

– Chińczycy – wyszeptał chłopak.

Chwyciła go za rękę i pociągnęła do drzew. Po chwili oboje biegli, dysząc z wysiłku. Chcieli jak najszybciej oddalić się od wykolejonego pociągu.

Mimo że było już po jedenastej wieczorem, brzegiem Moskwy spacerowało jeszcze sporo osób. Nikt nawet nie zerknął w kierunku matki z kwilącym dzieckiem na ręku. Piotruś znowu był głodny. Basię ssało niesamowicie w żołądku, nie jadła od dziesięciu godzin. Na szczęście ciągle miała pokarm, nakarmiła więc chłopca i wkrótce zasnął głębokim, spokojnym snem.

Robiło się coraz zimniej. Wilgotne języki chłodu, przywiewane znad rzeki, wciskały się Basi pod ubranie. Postanowiła spróbować kolejny raz. A co potem? Nie miała pojęcia. Najwyżej pójdę do jakiegoś ośrodka pomocy, uznała. Tu też muszą mieć takie miejsca. Chyba nie pozwolą matce z dzieckiem umrzeć z głodu? To było naiwne myślenie. Choć na Moskwę nie spadały bomby, to jednak trwała wojna. Nawet po drodze tutaj Basia widziała wiele kobiet z małymi dziećmi, zebrzących na stacjach metra.

Szła powoli między drzewami, aż dotarła do drewnianego budynku. Była już wcześniej w Rekinie. Musiała przyznać, że nigdy nie widziała takich zakazanych mord. Wydawało jej się, że im głębiej wchodziła, tym były straszniejsze – każda kolejna gorsza od poprzedniej. Jakby ci przy drzwiach mieli na koncie tylko kilka zabójstw, a ci przy barze wielokrotnie więcej. Wszyscy patrzyli na nią groźnie i z pogardą, ale nikt nie powiedział słowa. Najwyraźniej matka z niemowlęciem nawet w tych bezlitosnych człekopodobnych istotach budziła jakieś ludzkie odruchy.

Trzykrotnie pytała barmana o Lokomotywę. Ten za każdym razem z kamienną twarzą odpowiadał, że nie zna nikogo takiego. A podczas ostatniej próby, zamiast nieprzyjaznego tonu, użył po prostu warknięcia. Był niesłychanie szerokim w ramionach mężczyzną z monstrialnymi wprost bicepsami. Do tej groźnej postury i twarzy kompletnie nie pasowały okrągłe okulary, wypisz wymaluj takie, jakie nosił Harry Potter.

- Kobieto, rozumiesz ty rosyjski? – wychrypiął, gdy tylko się zbliżyła.
- Bardzo pana proszę, ja muszę z nim porozmawiać.

– W tej knajpie nie ma dżentelmenów. Ale po raz ostatni udzielę ci dobrej rady. Idź w swoją stronę.

– Ale ja muszę...

– Posłuchaj mnie, ty cichodajko pierdolona. – Basia skuliła się pod wpływem jego głosu. – Wypierdalaj stąd, póki możesz chodzić.

Objęła mocniej Piotrusia i już miała rzeczywiście wyjść i nigdy więcej nie wrócić, ale coś jej nie pozwoliło. Może to i lepiej, pomyślała. Niech mnie tu zatłuką albo obiją, przynajmniej będą musieli mnie zawieźć do lekarza! Zaraz uświadomiła sobie, że prędzej wrzuciliby ją do rzeki, ale postanowiła nie dawać za wygraną. Zbyt była bierna ostatnimi czasy.

– Muszę porozmawiać z Lokomotywą! – krzyknęła na cały lokal. – Teraz, natychmiast! Albo ci rozpierdolę ten bar na kawałki! Skurwysynu ty!

W knajpie zapadła kompletna cisza. Barman zdębiał, a okrągłe okulary zsunęły mu się na czubek nosa. Piotruś zaczął kwilić cichutko, ale Basia uspokoiła go zaraz kołysaniem. Wiedziała, że wygląda śmiesznie. Matka z niemowlakiem, grożąca barmanowi w knajpie pełnej oprychów.

– To ja – usłyszała za sobą.

Odwróciła się i zobaczyła mężczyznę swojego wzrostu. Miał na sobie kolorową bluzę od dresu; jego poorana krostami twarz sprawiała wrażenie niezdrowej i wyczerpanej. Zlustrował Basię uważnie i spytał:

– Głodna?

– Tak, bardzo. – Uznała, że nie ma co unosić się dumą. Nie wiedziała, kiedy nadarzy się następna okazja, żeby coś zjeść.

– A ty co tak ścinasz? – warknął Lokomotywa do barmana. – Żyjesz?

– Nooo tak. – Tamten chyba sam nie był zadowolony ze swojej odpowiedzi.

– To się bryknij po solankę i trochę chleba dla pani. Bystro!

Barman tylko skinął głową, a lokal momentalnie wypełnił gwar. Jak w scenie z westernu, kiedy wszyscy natychmiast wracają do swoich zajęć, jak gdyby nic się nie wydarzyło. Lokomotywa zaprosił Basię do swojego stolika. Kiedy usiedli, zaproponował jej papierosa, ale odmówiła gestem.

– Dobra. To co to za temat, że trzeba się drzeć na całe gardło? – spytał i zapalił.

– Jestem od Smutnego.

Przez chwilę wyglądał, jakby miał się zakrztusić dymem, w końcu jednak jego twarz rozluźniła się i wypuścił parę eleganckich kóleczek, które się rozplynęły dopiero tuż przed Basią. Barman postawił na stoliku sporą miskę zupy oraz talerzyk z trzema grubymi pajdami chleba.

– Jedz – rzucił Lokomotywa.

Basia nie potrzebowała zachęty. Ułożyła Piotrusia na lewym przedramieniu i zaczęła jeść zupę, co jakiś czas zakąszając chlebem.

– Wiesz, gdzie on teraz jest?

– Nie – odpowiedziała z pełnymi ustami. – Rozstaliśmy się w takim drewnianym domu. W wiosce w środku koła z torów.

– Nowokurjanowo. – Lokomotywa kiwnął głową. – Znaleźliśmy jego ślad. Zamordował tam Mnicha.

– Co? – Udała zaskoczenie. – Nie wiedziałam.

– Chyba wielu rzeczy jeszcze nie wiesz. Na przykład tego, że szukam Smutnego, żeby mu poderznąć gardło. Temu jebanemu psu – wycedził Lokomotywa.

Basia zastygła z łyżką w ręce. Poczowała, jak kęs chleba rośnie jej w ustach.

– On cię tu wysłał po śmierć.

– Mogę chociaż zjeść zupę? – To było absurdalne pytanie, ale nic więcej nie przyszło jej do głowy. Była już potwornie zmęczona.

– Skąd go w ogóle znasz?

– Zabrał mi córkę.

Lokomotywa się zamyślił, nie spuszczał z Basi wzroku. Ona podniosła miskę do ust i wypija resztkę zupy. Potem ostatnią kromką wytarła naczynie do sucha.

– Chcesz jeszcze?

– Jak umierać, to z pełnym żołądkiem.

Roześmiał się i skinął głową na barmana, potem pierwszy raz spojrzął na nią z sympatią.

– Niebrzydka jesteś. Kiedyś miałem dziewczynę z takimi kręconymi włosami. Była ekstra w łóżku. Chcesz dorobić?

– Jak? – spytała ostrożnie.

– Chcesz zarobić czy nie?! – W jego głosie nie było śladu sympatii.

Basia poczuła, że się zaraz rozpłaczę. Na stole wylądowała kolejna miska zupy z porcją chleba. Spojrzała na śpiącego Piotrusia, na jego miękkie, opuszczone powieki i różowe, niemowlęce usteczka. Nie będę płakać, pomyślała i sięgnęła po łyżkę. A potem odpowiedziała:

– Chcę.

Zastanawiał się, od ilu dni już tu są i czy kiedykolwiek mu się to znudzi. W końcu uznał, że gdy zapanuje pokój, a ciepła woda znowu stanie się dobrem powszechnie dostępnym, wtedy – być może po jakichś trzech miesiącach – przestanie czerpać taką radość z gorącego prysznica. Na razie Michał rozkoszował się wodą spływającą po ciele. Kiedyś ulżyłby sobie przy okazji, ale już tego nie potrzebował. Uśmiechnął się na myśl o Beacie i jej zalotnym uśmiechu.

Zakręcił wodę i zaczął się wycierać, nucąc pod nosem. Czuł się jak w podstawówce. Gdy człowiekowi podobała się jakaś dziewczyna i czekał na lekcje z myślą, że będzie mógł na nią nieśmiało zerkać. Czy to możliwe, żeby był zakochany? Wybuchnął głośnym śmiechem, gdy zdał sobie sprawę, że melodia, którą sobie nucił, to motyw z Czterech pancernych.

W sam raz na zakochanie, pomyślał, ubierając się. Wszystko już ustalili. Mieli uciec za dwa dni. Obliczyli, że wtedy księżyc będzie w nowiu. Michał nie bardzo wierzył, żeby ktokolwiek ich gonił, ale z jakiegoś powodu Beata miała odmienne zdanie. Na razie postanowił, że nie będzie nic mówił Jurkowi. Nie chciał, żeby się przed kimś się wygadał.

Zgarnął ręcznik i wyszedł na zewnątrz, gdzie natknął się na Floriana, który ze zmarszczonym czołem popatrzył na niego tak przenikliwie, że przez chwilę Michał się zastanawiał, czy ten aby nie czytał w jego myślach.

– Bracie Michale, wszyscy na ciebie czekają.

– Co? Nie rozumiem.

– Wszyscy czekamy nad jeziorem. Przecież dzisiaj urodziny Jurka!

Florian pognął schodami w górę, a Michał za nim, choć nie tak sprężystym krokiem. Czuł się, jakby ktoś przyładował mu młotem w głowę. Jak? Jakim, kurwa, cudem mógł o tym zapomnieć? Łatwo znalazł właściwą

odpowiedź. Cudem Beaty. Przez ostatnie kilka dni poświęcał jej mnóstwo czasu, myśli i nie tylko. Po prostu zapomniał, że jego syn kończy osiem lat.

Wyszedł na zewnątrz i od razu skierował się nad staw. Kompletnie oszołomiony, zobaczył, że nad brzegiem zgromadzili się wszyscy członkowie wspólnoty. Tak naprawdę to byłby najlepszy czas na ucieczkę, pomyślał ponuro, widząc nawet tych, którzy tego dnia pełnili wartę.

Do gałęzi uwiązano kolorowe baloniki, litery na rozciągniętym między drzewami sznurku układały się w wielobarwny napis „Sto lat dla kadeta Jurka!”. Kilka stołów wyniesionych z budynku i dodatkowe, ułożone na oponach blaty, okrywały białe obrusy. Brat Robert uwijał się przy grillu, przerzucając małe okrągłe hamburgery.

Michał dojrzał Jurka w spiczastej kolorowej czapce między dziećmi, ale ten rzucił mu niechętnie spojrzenie i od razu się odwrócił, przeniósł więc wzrok na duży tort pośrodku jednego ze stołów. Czarny pistolet na szczycie został tak zręcznie wykonany, że niemal się nie różnił od prawdziwego. Ustawiony na rękojeści, jakby gotowy do strzału, otoczony był bezami i dekoracjami z kremu.

– Bracie Michale, mam nadzieję, że nie będziesz się gniewać – powiedział Florian. – Szanujemy twoją decyzję w kwestii używania broni przez Jurka, ale takie słodkości chyba mu nie zaszkodzą?

Michał zwalczył pokusę, żeby z całej siły dać mu w mordę. Skurwysyn wiedział, że Jurek ma urodziny, a mimo to nic nie powiedział do ostatniej chwili! Jasne, pretensje do obcego faceta, że nie przypomniał mu o urodzinach jego własnego syna, były żałosne, ale Michał miał pewność, że tamten specjalnie tak to rozegrał. I jeszcze ten tort z pistoletem! Stojąca za Florianem Beata pokręciła ze smutkiem głową, jakby się domyśliła, z czym się zmagał Michał. A on mimowolnie zauważył, że bardzo jej ładnie z zaczesanymi na lewo włosami, związanymi w kucyk opadający na ramię.

– Dobra, odpalamy! – Florian zapalił świeczkę w kształcie ósemki i przytknął płomyk do lontu wystającego z lufy. Po chwili buchnęły z niej iskry i wszyscy zaintonowali zgodnie:

– Sto lat, sto lat, niech żyje, żyje nam! Jeszcze raz, jeszcze raz, niech żyje, żyje nam! Niech żyje nam! A kto? Jurek!

Fontanna tortowa się wypaliła, a Jurek stanął przy stole, szykując się do zdmuchnięcia świeczki.

– Synek, pomyśl sobie jakieś życzenie! – krzyknął Michał.

Chłopiec odwrócił się do niego i spojrzał mu prosto w oczy. Przez krótką chwilę Michał bał się tego spojrzenia. Czuł, że zaraz wydarzy się coś złego, ale zaraz zwyzywał się w duchu od gamoni i przywołał na twarz szeroki uśmiech. Jurek zdmuchnął płomyk, wywołując gromkie oklaski.

– Drogi kadecie Jurku! – zawołał z emfazą Florian. – Normalnie, ponieważ skończyłeś już osiem lat, otrzymałbyś własną broń, na początku rzecz jasna zamkniętą w naszym magazynie. Ale znamy opinię twojego taty w tym temacie.

Jak na komendę wszyscy popatrzyli na Michała. Oskarżycielskie spojrzenia tylko spotęgowały żal, który sam miał do siebie. Jedynym przychylnym było to Beaty. Widział, że mu współczuła, i absolutnie uwielbiał ją za to milczące wsparcie, okazane w takiej chwili. Ale najbardziej zabołał go wyraz twarzy syna.

– Ale nie rozmawiajmy o przeszłości – kontynuował Florian. – Przygotowaliśmy dla ciebie dzisiaj masę niespodzianek i prezentów. Każdy dał coś od siebie w odruchu serca, ze względu na uczucia, którymi cię darzymy, bo jesteś wspaniałym chłopcem.

Florian uśmiechnął się złośliwie do Michała, a ten poczuł narastającą panikę.

– Myślę jednak, że najpierw to twój drogi tato powinien ci wręczyć prezent. Na pewno przyszykował coś ekstra!

Absolutnie wszyscy wpatrywali się w Michała w niemym oczekiwaniu. Florian dopiął swego, a on musiał pogodzić się z porażką. Zwiesił głowę i, patrząc smutno na Jurka, powiedział:

– Synek, przepraszam cię, ale na śmierć zapomniałem. Jednak obiecuję ci, że będziesz mógł mnie poprosić, o co tylko chcesz.

Z kilku piersi wyrwał się jęk zawodu, a niektórzy skrzywili się z niesmakiem.

– Tata, chcę mieć pistolet – powiedział Jurek.

Florian pokiwał smutno głową, udając zdziwienie. Michał wiedział, że powinien się zgodzić, choćby dlatego, że to sprawiłoby chłopcu radość w urodziny. Ale nie taka była rola rodzica. Jasne, dał dupy jako ojciec, ale wcześniej podjął decyzję i musiał zachować konsekwencję. Poza tym nie chciał, by po tym wszystkim jego syn uczył się zabijania. Dlatego powiedział:

– Nie.

– Nie? – Do oczu Jurka napłynęły łzy. – To poczekaj, aż wszystkim powiem! Co, ty myślisz, że nie wiem, co robicie z siostrą Beatą pod kołdrą? Ja wcale nie śpię, wiesz? I wiem, jak to się nazywa. Robicie tam seks!

Zapadła taka cisza, że nieomal było słychać, jak marszczy się powierzchnia stawu. Bracia i siostry starali się za wszelką cenę nie patrzeć na Floriana. Ten wypuścił wolno powietrze z płuc i nagle odwrócił się do Beaty. To nie było lekkie uderzenie, to nie był policzek czy szturchnięcie. To był cios pięścią. W ciszy wyraźnie zabrzmiało chrupnięcie nosa, a kobieta poleciała nieprzytomna do tyłu. Michał rzucił się na tamtego, ale kilku mężczyzn natychmiast go powstrzymało i obaliło na ziemię, wykręcając ręce.

– Zwiążcie tego skurwysyna! – ryknął Florian.

Jurek wybuchnął płaczem i chciał uciekać, ale od razu pochwyciły go silne ramiona brata Alberta. Ktoś butem przycisnął głowę Michała do ziemi, ten poczuł piach w ustach. Nic nie widział, słyszał tylko rozpaczliwy krzyk syna:

– Tata, przepraszam! Ja nie chciałem! Tata!

Rozdział V

1.

Narodom łatwo przypinać łątki, niemal każdy jakąś ma. Bardziej albo mniej sprawiedliwą. Ale stereotypy nie biorą się znikąd, powstają zazwyczaj na skutek pewnych działań czy to całych państw, czy ich mieszkańców i mieswiają w sobie ziarno prawdy. Niektóre nacje rzeczywiście coś wyróżnia. Jakaś dziedzina, w której nie mają sobie równych.

Temu akurat narodowi niewątpliwie nie można było odmówić pracowitości. Ale tym, co go naprawdę odróżniało, było mistrzostwo w kopiowaniu. Nie tylko samochodów, elektroniki użytkowej czy innych sprzętów i wynalazków. W Chinach skopiowano Paryż, londyński most Tower, austriackie wioski, a w południowej części, w Dafen, masowo powielano dzieła wielkich malarzy. Van Gogh, Rembrandt, Klimt, Monet czy Picasso. Wszystko w przystępnej cenie kilku euro. Podobno kopistom płacono od metra kwadratowego niczym malarzom pokojowym.

W 1997 roku skończył się niemal stuletni okres dzierżawy i Wielka Brytania musiała zwrócić Chińczykom Hongkong. Ale oni nie chcieli czekać tak długo. Problem rozwiązali na swój sposób: po prostu skopiowali „pachnący port”. Tuż obok, w niewielkim, trzydziestotysięcznym rybackim mieście Shenzhen utworzono w 1980 roku specjalną strefę ekonomiczną. W ciągu czterdziestu lat rozrosło się w jeden z największych portów świata, a liczba mieszkańców przekroczyła dwanaście milionów. Ba, w całym regionie, zwanym Deltą Rzeki Perłowej, żyło przeszło sto milionów ludzi.

Cóż to za piekielny mariaż kapitalizmu z komunizmem, zastanawiał się dyrektor CIA Charles Peterson, gdy wjeżdżał z prezydentem na sto czternaste piętro Pingan International Finance Centre. Wysiedli z windy w otoczeniu

agentów Secret Service, a Mike Pence przystanął na korytarzu i, spoglądając na panoramę za szybą, powiedział:

– Dobry Boże, popatrz na to.

Dyrektor zatrzymał się obok. W dole ciągnął się las wieżowców, zajmujących chyba całą dostępną przestrzeń, dalej zatoka, zamknięta pięciokilometrowym mostem. Wreszcie cienie wieżowców Hongkongu i reda olbrzymiego portu Shenzhen z setkami potężnych kontenerowców.

– Postawili Nowy Jork w trzydzieści lat – powiedział prezydent.

– No, czterdzieści – poprawił dyrektor.

– Poważnie? – parsknął tamten. – Aha, jak tak, to w takim razie w porządku.

– Zgoda. Tempo mają imponujące.

– Tylko oni mogli tak szybko zapanować nad rosyjskim wirusem, co?

– Grunt, żebyśmy się z nimi dogadali.

– Drogo nas to będzie kosztować. – Prezydent westchnął. – Chodźmy.

Charles Peterson kiwnął głową i poszedł za nim. Wyjątkowo zgodzali się w tej kwestii.

Agenci ochrony zostali na zewnątrz, a oni weszli do obszernej sali konferencyjnej z jeszcze bardziej spektakularnym widokiem niż ten, który mogli podziwiać z korytarza.

Xi Jinping, przywódca Chińskiej Republiki Ludowej, uśmiechnął się nieznacznie i wstał, zapinając elegancką marynarkę. Oprócz niego w pomieszczeniu była jeszcze tłumaczka, drobna Chinka o pociągłej twarzy i sztucznym uśmiechu, zaczął jednak po angielsku:

– Panowie. Kawa, herbata?

– Dziękujemy bardzo – odparł Mike Pence.

Chińczyk wskazał im miejsca i odezwał się tym razem po chińsku, a tłumaczka przełożyła:

– Dziękuję za spotkanie.

– Ależ to my dziękujemy. – Dyrektor CIA skłonił uprzejmie głowę.

– Cieszę się, że udało się panom dotrzeć do Shenzhen.

Amerykański prezydent uśmiechnął się półgębkiem. Długo walczyli, aby do spotkania doszło na neutralnej ziemi. W Europie albo w innym azjatyckim

państwie. Chińczycy byli jednak nieugięci. W końcu Amerykanie zaproponowali Hongkong, argumentując, że przecież jest już terytorium Państwa Środka, ale odpowiedź była negatywna. Musieli się zgodzić na Shenzhen, nie mogli dłużej zwlekać.

Można by pomyśleć, że przywódcy państw, zwłaszcza takich jak USA czy Chiny, toczyli zakulisowe wojny i porozumiewali się jedynie za pośrednictwem dyplomatycznych sztabów. Nic bardziej mylnego. Mike Pence i Xi Jinping dyskutowali na różne tematy przez telefon niemal każdego tygodnia. Po rozpoczęciu wojny z Rosją kontakt ten jeszcze się wzmógł – rozmawiali praktycznie codziennie. Amerykanin wiedział, że Xi Jinping dobrze znał angielski, ale czasami zdarzały mu się potknięcia, więc wolał korzystać z pomocy tłumaczki. Poza tym kobieta zapewne była świetnie przeszkoloną agentką.

– Panie przewodniczący. – Prezydent się uśmiechnął. – Myślę, że doskonale pan wie, dlaczego zabiegaliśmy o to spotkanie.

– Nie mam pojęcia. – Xi Jinping zrobił zatroskaną minę.

– Chcieliśmy pana, pański naród, całe Chiny, prosić o pomoc.

– Zawsze, ale to zawsze – dla podkreślenia swoich słów przewodniczący położył dwa razy dłoń na blacie stołu – jesteśmy gotowi pomóc naszym amerykańskim przyjaciołom.

– Dotarły do nas sygnały, że pańskie służby poradziły sobie z rosyjskim wirusem, paraliżującym satelity – powiedział dyrektor CIA. – Od razu wiedzieliśmy, że tylko tacy utalentowani i pracowici ludzie jak Chińczycy będą do tego zdolni.

– Dziękuję za miłe słowa pod adresem moich rodaków. Sygnały, powiada pan...

Xi Jinping poprawił krawat i zapatrzył się w sufit. Po rosyjskiej inwazji na Europę Wschodnią, chińskie oddziały skorzystały z okazji i przekroczyły granicę. Początkowo działały na ichnią modłę, używając sprzętu bez oznaczeń oraz mundurów bez dystynkcji i zaprzeczając wszystkiemu, ale w miarę rozwoju całej awantury zarzuciły tę dziecinadę. Po tym, jak rosyjski wirus powyłączał satelity, armia Państwa Środka napotkała podobne problemy, co Amerykanie. Na szczęście należały już do przeszłości. Chiński

przywódca uśmiechnął się nieznacznie na myśl o ostatnich postępach. Choćby takich jak przechwycenie rosyjskiego pociągu, wywożącego na wschód ponad sto ton złota. A złoto było w cenie. W wyniku akcji trwającej nieco ponad godzinę chiński skarbiec wzbogacił się o piętnaście miliardów dolarów. Mała rzecz, a cieszy.

– Rozumiem, że chodzi wam o pomoc w ponownym uruchomieniu satelitów?

– Jest pan bardzo domyślny. – Mike Pence włożył gigantyczny wysiłek w to, aby jego słowa nie zostały odczytane ironicznie.

– Po pierwsze, żadnych pozwów.

– Jakich pozwów? – Dyrektor CIA się zdziwił.

– Tych wszystkich idiotyzmów od waszych firm, że niby coś tam kopiujemy.

Mike Pence i Charles Peterson wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Co jakiś czas amerykańscy producenci, zirytowani tym, że ktoś sprzedaje dokładne kopie ich urządzeń, faktycznie składali międzynarodowe pozwy. W pewnym sensie sami byli sobie winni, bo chętnie korzystali z chińskiej siły roboczej. Z drugiej strony kto by się im dziwił.

– Panie przewodniczący – zaczął ostrożnie prezydent. – Nie możemy zabronić prywatnym firmom zachowań zgodnych z prawem. Jesteśmy demokratycznym krajem.

– Chińska Republika Ludowa także.

Przywódca USA nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

– Założmy – odezwał się po chwili krępującego milczenia – że zgadzamy się na „po pierwsze”. Ile jest tych warunków?

– Tylko dwa – odparł, wyraźnie zadowolony, Xi Jinping.

– Słucham.

– Po wojnie wschodnia część Rosji będzie należeć do nas. Myślę o granicy na rzece Ob.

Amerykańskiemu prezydentowi niewiele to mówiło, dlatego zerknął na dyrektora CIA, który aż rozdziawił usta ze zdziwienia.

– Ależ... To przecież dwie trzecie Rosji!

– Mniej więcej.

– To nierealne – skwitował Mike Pence.

Przewodniczący Komunistycznej Partii Chin był na to przygotowany. Jego doradcy przyszykowali dla niego płomienną przemowę. O bogatej historii Chin, o tym, jak pod panowaniem każdej kolejnej dynastii przesuwają się granice. Wreszcie o wojnach opiumowych, w wyniku których Państwo Środka straciło część terytorium na rzecz Rosji. W skrócie: miał przekonywać Amerykanów, że po pierwsze tereny te po prostu się Chińczykom należały, a po drugie Rosjanie i tak nie mieli wystarczająco dużo rąk do pracy i ziemia leżała odłogiem. Zamiast wygłaszać całą tyradę, Xi Jinping powiedział tylko:

– Oto siedzą przede mną ślepcy i targują się o swoje oczy.

2.

Puszka kopnięta przez Parkera zatoczyła łuk w powietrzu i spadła z brzdękiem na betonową posadzkę. Roman zwalczył w sobie chęć zwrócenia mu uwagi, że taki hałas może przyciągnąć Rosjan. Rozumiał wściekłość i rozgoryczenie Amerykanina.

– Ja pierdołę, po prostu nie wierzę. – Ten krążył niespokojnie po niewielkim magazynie, w którym się schronili. – Te chuże z wywiadu naprawdę nie mogły sprawdzić, że na rzece są stopnie?

Gurski musiał mu w duchu przyznać rację. Taki wywiad był gównem wart. Po tym, jak wpadli do wody, szczęśliwie dotarli do brzegu, ale plutonowy Bosak mało co się nie utopił, bo nigdy nie posiadał przydatnej umiejętności pływania. Roman zerknął na siedzącego w kącie, wciąż lekko wystraszonego chłopaka. Kompletnie przemoczonego do tego i wymęczonego, jak wszyscy zresztą. Rosjanie musieli być wściekli, bo całą noc nad rzeką krążyły śmigłowce i długo niosło się szczekanie psów obławy. Paradoksalnie przymusowa kąpiel i wyjście na brzeg w przypadkowym miejscu spowodowały, że nosy owczarków nie zdołały ich wywąchać.

Amerykańskie dowództwo od dłuższego czasu podejrzewało, że rosyjskie służby znalazły sposób na szybkie namierzanie ich terminali taktycznych

podczas wysyłania wiadomości. Dlatego dostali polecenie, by wymiana ograniczyła się do trzech komunikatów. W przeciwnym razie Rosjanie mogli ustalić ich dokładną pozycję. Pierwszą wiadomością było przekazanie lokalizacji rosyjskiej artylerii. To zadanie zakończyło się sukcesem. Ciągłe było widać słupy dymu unoszące się z miejsc, gdzie przeciwnik próbował rozstawić swoje działa. Drugi poszedł meldunek o kłopotach i niemożności ewakuacji rzeką. Potem poprosili o wsparcie i dalsze instrukcje.

Do podjęcia przez helikopter została godzina. Kłopot polegał na tym, że to dowództwo wskazało punkt. Wiszący most dla pieszych – solidna konstrukcja przerzucona nad rzeką Teterew między dwoma strzelistymi pylonami – znajdował się niecałe trzysta metrów na wschód od miejsca, w którym się ukrywali. Z daleka wyglądał prawie jak miniatura słynnego Golden Gate z San Francisco. Najgorsze było to, że nie mogli nic w planie zmienić, bo wyczerpali już limit komunikacji, i po prostu musieli się tam pojawić o czasie. Roman po raz kolejny wyjrzał przez pozbawione szyby okno. Może i był w tym sens, bo pylony miały dobre czterdzieści metrów wysokości. Tylko że podczas wspinaczki byłiby kompletnie odsłonięci.

Do kryjówki wrócili Seget z Wójcikiem, których Roman wysłał wcześniej na zwiad, aby przyjrżeli się sytuacji z bliska.

– No i co? – Kapitan Parker bardzo się niecierpliwił.

– Słabo to wygląda – odparł lekko zdyszany Seget.

– Ruscy obstawili oba brzegi – uzupełnił Wójcik. – Siedzą w krzaczorach i gapią się na most. To pułapka.

– Kurwa, jakim cudem?!

– Musieli przechwycić nasze wiadomości – powiedział Gurski.

– Co? – Parker pokręcił głową z niedowierzaniem. – Przecież to jest wielopiętrowe, zaawansowane szyfrowanie.

– To co? Myślisz, że są w zмовie z naszym dowództwem? Dodaj dwa do dwóch.

Kapitan zaczął chodzić niespokojnie w kółko. Trawił wszystko przez chwilę, w końcu pokiwał niechętnie głową. Musiał przyznać rację Gurskiemu. Potarł dłońmi twarz i spytał Segeta:

– Damy radę się przebić?

– Tylko na północnym brzegu naliczyliśmy ze dwa plutony. Nawet jakbyśmy się jakimś cudem przedarli, to nas zdejmą, jak tylko wyjdziemy na most.

– Zajebicie – westchnął Parker i zwrócił się do swojego sierżanta: – Kurwa, czy ja mam *déjà vu*?

– Fakt – odparł Garcia. – We wpierdalaniu nas w szambo nasi dowódcy są mistrzami. Wtedy chłopaki nas wyciągnęły, ale teraz same dały się wrobić.

Ten i ów nawet się roześmiał, ale nastroje były raczej niewesołe. Kapitan odciągnął Gurskiego na bok i zapytał szeptem:

– Masz jakieś pomysły?

– Darować sobie most, bo to będzie rzeźnia. Ale pokażę ci coś innego.

Roman podszedł do okna i wskazał ręką na zachód. Rzeka skręcała tam lekko, a nad wodą górował mniej więcej piętnastometrowa skarpa.

– Widzisz tę skałę w kształcie głowy?

Parker zmrużył oczy, wpatrując się uważnie w kamienistą ścianę. W końcu dostrzegł, że na samym szczycie jeden z głazów z ich perspektywy faktycznie przypominał nieco głowę o kanciastym profilu z wystającym orlim nosem.

– Widzę.

– Zadekujemy się tam na górze. Helikopter pewnie i tak będzie przelatywał nad rzeką, tak? Chyba się tu po nas, kurwa, nie teleportują?

– Jasne – mruknął kapitan.

– Jebniemy im flarę, zauważą nas i podejmą stamtąd. Nawet lepiej, bo na zachodzie jest przecież mniej ruskich.

– *Let's move out!*

Dwadzieścia minut później stali na brzegu rzeki i czekali na meldunek Segeta i Wójcika, którzy po raz kolejny przecierali szlak. Gdy w końcu wrócili, Roman od razu rozpoznał po ich minach, że coś było nie tak.

– Jak mi znowu powiecie, że pułapka, to nie uwierzę.

– Panie poruczniku, na górze jest jakiś park czy coś. Ruscy tam sobie urządzili minibazę. Normalnie namioty, kuchnia...

– Pranie gaci i temu podobne – dokończył Wójcik.

– Ilu? – spytał Parker.

– Dwie kompanie.

– Ja pierdolę! – syknął Gurski. – To jest, kurwa, jakieś fatum.

– Dobra, nie ma czasu. – Kapitan zerknął na zegarek. – Wpierdaliśmy się do rzeki i wspinamy na skałki. Zostawcie karabiny, hełmy i kamizelki, będzie lżej. Bierzemy tylko osobiste żelazo i kilka flar.

– Trochę ryzykownie... – Roman podrapał się po zarośniętym policzku. – Będziemy do odstrzelenia nawet z procy.

– Masz lepszy pomysł, to się nie krępuj. Dam ci dwie minuty.

Całe uzbrojenie złożyli na brzegu rzeki i zamaskowali gałęziami. Potem weszli do wody i podpłynęli do skarpy. Tym razem to Seget i Wójcik holowali próbującego utrzymać się na powierzchni plutonowego Bosaka. Roman prowadził wspinaczkę i od razu spostrzegł, że będzie o wiele trudniej, niż im się wydawało. Gdy był w połowie drogi, Garcia, ostatni z grupy, dopiero znalazł chwyt i podciągnął się z wody. Wtedy usłyszeli łoskot nadlatującego helikoptera.

Gurski wiedział, że musi jak najszybciej odpalić flarę, ale nie mógł tego zrobić, uczepony ściany. Zwiększył tempo. Dwukrotnie omal nie spadł, gdy palce ześlizgnęły się z porośniętego mchem kamienia. Amerykańska maszyna była niecałe sto metrów od nich, gdy Roman złapał się orlego nosa i w końcu przesadził kamienną głowę na szczycie skarpy. Wyszarpnął zza paska pistolet sygnałowy i pociągnął za spust. Flara przeleciała dosłownie kilka metrów przed kabiną śmigłowca. Pilot obrócił głowę i spojrzał w stronę Romana, a ten zamachał energicznie ramionami. Zdziwienie na twarzy tamtego zmieniło się momentalnie w przerażenie. Gurski pojął, że pilot patrzy na coś za jego plecami.

Odwrócił się i zobaczył kilkudziesięciu rosyjskich żołnierzy. Śmigłowiec musiał ich zaniepokoić; postanowili sprawdzić, co się dzieje, i już unosili broń. Nie było na co czekać. Gurski zepchnął z powrotem za krawędź Parkera, który właśnie się wdrapał na górę, i skoczył za nim, a pociski z kałasznikowów przecięły powietrze. Po drodze na dół kolejno strącał do wody pozostałych z oddziału.

– *What the fuck!?* – Pierwszy wynurzył się Parker. – Pojebało cię!?

– Ruscy są na górze!

Maszyna zatoczyła łuk nad rzeką i wracała, ale przy moście ożyły stanowiska ogniowe. Zajebicie, pomyślał Gurski. Tamci rozjebią śmigłowiec, a ci tutaj zaraz wystrzelają nas z góry jak kaczki. Zobaczył, że człowiek wychylony przez otwarte drzwi helikoptera pokazuje, aby skryli się pod wodą.

– Nurkować! Wszyscy, ale już! – ryknął Roman, choć wcale nie wiedział, dlaczego. Uznał jednak, że ci ze śmigłowca widzą więcej niż on.

– Panie poruczniku, ja się boję! – zajęczał plutonowy Bosak.

Gurski chwycił go za szyję i po prostu wciągnął pod wodę. Cała dziewiątka, młócąc wodę rękoma i nogami, zanurkowała w kierunku dna. Poprzez warstwę wody, tłumiącą odgłosy z zewnątrz, doleciał do nich basowy, ponury grzmot. Roman natychmiast zorientował się, że to hałas nadlatujących myśliwców. Zaraz potem rozległy się bardziej już powszednie odgłosy wybuchów. Do rzeki powpadały setki skalnych odłamków i szczątków ludzkich. Osiadły na dnie, wzbijając obłoki mułu.

Po minucie wynurzyli się na powierzchnię, łapiąc chciwie powietrze. Po górnej części skarpy oraz malowniczym głazie w kształcie głowy nie było śladu. Na wschodzie drzewa po obu stronach rzeki płonęły. Most dla pieszych legł w rzece, a w niebo sterczały tylko powyginane, stalowe kikuty.

Śmigłowiec zawisł niecały metr nad wodą, marszcząc jej powierzchnię. Dwóch żołnierzy za pomocą drabinki sznurowej i wsięgnika zapakowało sprawnie całą przemoczoną dziewiątkę na pokład. Pilot natychmiast poderwał maszynę i skierował na zachód. Drugi odwrócił się i rzucił do nowych pasażerów z uśmiechem.

– Znowu panujemy w powietrzu, a ruscy mogą nam robić pałę! – Roześmiał się. – Piłka w grze!

3.

Popłoch. Tak w skrócie można by określić sytuację w rosyjskiej armii, odkąd Amerykanie odzyskali GPS. Wojsko pod pewnymi względami wcale

się nie różni od jakiegokolwiek innej organizacji czy firmy. Jeśli wszystko idzie dobrze, to wszyscy są z siebie zadowoleni i poklepują się po plecach. Ale jak wyniki słabe, to rozpoczyna się masowe szukanie winnych.

Nikt już nie myślał o utrzymywaniu pozycji w Żytomierzu ani tym bardziej pościgu za amerykańską armią. Zresztą ta wstrzymała ewakuację. Błyskawiczne odbudowanie przewagi w powietrzu owocowało powstawaniem nowych baz, wysuniętych daleko na wschód. Niewielkie, ale niezwykle skuteczne oddziały US Army zaczęły zadawać stamtąd dotkliwie straty imperialnemu kolosowi.

Pułkownik Paweł Gawriłow siedział w jednym z pomieszczeń kijowskiego lotniska w Boryspolu. Całe wojsko szykowano do pospiesznego odwrotu na rosyjską ziemię. Nikt nie czekał, aż padną Żytomierz, Winnica i Humań. Jakby tego było mało, Amerykanie zdążyli już rozmieścić swoje jednostki na południowych terytoriach Rosji. Podobno Putin wpadł w szal na wieść, że jedna z samodzielnych batalionowych grup bojowych wpadła w poważne tarapaty. Walki toczyły się w okolicach Woroneża, a cała sprawa była dość prestiżowa. Chodziło o niezwykle zaprawioną w bojach, elitarną wręcz jednostkę, którą swego czasu z wielką pompą nazwano batalionem imienia cara Władimira I.

Do pomieszczenia wpadł major Wdowienko, chudy oficer o wyjątkowo długich kończynach. Ze względu na ciemną, zakaukaską urodę oraz nazwisko nazwano go kiedyś Czarną Wdową, co z czasem niecierpiąca komplikacji żołnierska brać uprościła do swojskiego Pajaka.

– Kurwa, ale młyn – wymamrotał. – Starego wzięli podobno w takie obroty, że mało nie osrał tych swoich lampasów.

– Zawsze tak jest – westchnął Gawriłow. „Starym” nazywano dowódcę, generała Igora Petrowa.

– Wzywają go do Moskwy.

– To grubo. Zworują go tam, a nam przyślą nowego mędrca.

– Podobno odmówił.

– Jak to, kurwa, odmówił? – Gawriłow zmarszczył się na twarzy. – Carowi odmówił?

– Że niby tu musi gasić pożary. Panie pułkowniku, przyszedł rozkaz, ma pan przesłuchać szpiega.

– Jakiego znowu szpiega? I dlaczego ja?

– Wywiadowcy się już ewakuowali, a pan podobno ma jakieś doświadczenia z Polski. – Major wzruszył ramionami.

– Taaak. Te pedały to pierwsze do węszenia nam po gaciach, ale jak trzeba spierdalać, to są już w Rosji, co nie?

Pająk zeszywniał wyraźnie, słysząc, jak Gawriłow opisał Główny Zarząd Wywiadowczy rosyjskiej armii.

– Wyluzuj. – Tamten machnął ręką. – Wszyscy jesteśmy trupami. Teraz amerykańce przetrzebią nas co do jednego. Co z tym szpiegiem?

– W Winnicy wylądował amerykański śmigłowiec. Nasi go nie zestrzelili, bo na pokładzie był też ktoś mówiący po rosyjsku. Ze specnazu.

– I dlatego ich nie zestrzelili? – zdziwił się Gawriłow.

– Ten komandos, Wład, zna jakąś grubą rybę, która akurat jest Winnicy, walczyli razem w Afganistanie. Poleciał szybkim transportem do Moskwy. To bohater, jak pan. Uchował się na terytorium wroga.

Pułkownik Gawriłow spojrzał na Pajaka uważniej. Nie był pewien, czy ten sobie z niego żartował czy nie. Sam współczuł temu całemu Władowi ze specnazu. Choć nie powinien, bo gość był durniem i idiotą, jeśli na własną rękę nawiał na wschód. Z miejsca oskarżą go o szpiegostwo i nieważne, kogo znał. Mógłby nawet swego czasu oddać nerkę córce Władimira Władimirowicza, a i tak czekałaby go śmierć.

– No ale to kogo mam przesłuchać, skoro wysłali go do Moskwy?

– W śmigłowcu oprócz amerykańskiego pilota był jeszcze jakiś Polak. Pan podobno zna polski?

– Znam. Gdzie go trzymają?

– Jest w siódemce.

Pułkownik tylko skinął głową. Ostatnio dezercje stały się tak powszechne, że obok karczeru zorganizowano piętnaście pokoi przesłuchań dla schwytanych maruderów. Codziennie rozstrzeliwano od trzydziestu do pięćdziesięciu. Ale to i tak nie odstraszało niektórych żołnierzy. Co za różnica zginąć od rosyjskiej czy amerykańskiej kuli?

Pająk wyszedł, Gawriłow zaraz po nim, założywszy czapkę. Na schodach natknął się na Petrowa w otoczeniu kilku generałów. Mieli posępne twarze i strach w oczach. Pułkownik wiedział, że car rozpałił każdemu pod jajami potężne ognisko. Generał Petrow dał znak, że dołączy do nich później i podszedł do Gawriłowa.

– Jest niezła dupa z tym twoim Żytomierzem.

– Jakim moim? – Ten udawał, że nie rozumie.

– Przestań mnie wkurwiać! – Takie słownictwo w ustach Petrowa to była nowość. – Chodzi o zbombardowanie tej dzielnicy.

Pułkownik zamarkował miną, że dopiero teraz do niego dotarło, o co chodzi. Na fali dotychczasowych sukcesów sam przeforsował tamten plan. Wiedzieli, że Amerykanie będą chcieli za wszelką cenę ustalić położenie ich artylerii, dlatego Gawriłow wymyślił, jak im to utrudnić.

– Przecież ustaliliśmy, że jakby co zwalimy wszystko na Amerykanów.

– Gówno! Jankesi porobili zdjęcia. Światowa opinia publiczna wie, że my to zrobiliśmy.

– Jebać opinię publiczną! Poza tym to byli Ukraińcy, chuj im w dupę! Kto by się tym przejmował?

– Car Władimir I – wysyczał generał. – Mówi ci to coś?

– On się przejmuje światową opinią publiczną i Ukraińcami?! – Gawriłow się roześmiał. – Od kiedy!?

– Odkąd mam chujowe notowania i potrzeba tylko pretekstu, żeby mnie pochować żywcem! – Pułkownik milczał, wiedział, że Petrow ma rację. – Posłuchaj mnie, na razie jakoś się wykpiłem. Ale jak w końcu będę musiał pojechać na Kreml, to ty razem ze mną! Jak mnie odwałą, to ciebie też!

Wściekły dowódca ruszył korytarzem, a Gawriłow wyszedł na zewnątrz i poszedł w kierunku karczeru. Niedobrze, pomyślał. Mimo wszystko wciąż miał nadzieję, że może jakoś przeżyje tę całą wojnę. W końcu Amerykanie to nie dzikusy i jak już pokonają Rosję, to nie będą mordować wszystkich jak popadnie. Kurwa, znowu wpierdzieliłem się na minę! Zaczął się zastanawiać, kiedy popełnił błąd, ale szybko uznał, że to bezcelowe. Robił to samo, co zawsze. Próbował przeżyć.

Nacisnął klamkę drzwi z czarną siódemką, koślawo wymalowaną na białej powierzchni. Wszedł do środka i oniemiał. Nie widział go od dłuższego czasu, w dodatku ostatnie tygodnie musiały dać mu się we znaki, a chłopcy, którzy go aresztowali, też sobie nie żalowali, bo gębę miał mocno posiniaczoną. Ale tę bliznę Gawriłow poznałby wszędzie.

– Kurwa, nie wierzę. Zenon Marczak.

Przykuty kajdankami do stołu podniósł głowę i na jego obrzmiałych wargach pojawiło się coś na kształt uśmiechu.

– Ja pierdolę. To ci dopiero spotkanie.

– No. – Gawriłow usiadł na krześle. – Dobrze widzieć bratnią duszę.

– Bratnią duszę?

– Wiesz, o co mi chodzi. Obaj jesteśmy kanaliami.

– Prawda – westchnął Zenon. – Na szczęście jednej kanalii zaraz będzie mniej.

– Nie poznaję kolegi. Poddajesz się? Ty?

– Jestem zmęczony tym całym gównem.

Pułkownik przypomniał sobie pierwsze spotkanie z Zenonem Marczakiem. Dał się mu zwieść opowieściami o złocie, którego nigdy nie zobaczył. Ale nadal wierzył, że tamten mówił wtedy szczerze. Niestety jego siostra sprzątnęła mu złoto sprzed nosa.

– A właśnie. Jak tam twoja siostrunia? – Poczęstował go papierosem.

– Zajebałem. – Zenon z błogością zaciągnął się dymem.

– I co? Jesteś teraz zadowolony?

– Właśnie nie bardzo. Wyjaram szluga, a potem wyjmij tego makarowa z kabury i pierdolnij mi w łeb. Wiesz, przez wzgląd na stare czasy.

– Mam trochę kasy w Polsce. – Pułkownik patrzył uważnie na Marczaka.

– Ja też. Ale chyba tam teraz nie polecimy, co?

– Teraz nie... Ale po wojnie?

– Wojna jeszcze chwilę potrwa.

– Niekoniecznie. – Gawriłow uśmiechnął się przebiegle.

– Kurwa, stary – wychrypiał Zenon. – Jesteś naprawdę inteligentnym skurwielem. Na swój sposób nawet cię lubię. Ale jeśli chcesz mi powiedzieć, że wiesz, jak zakończyć szybko tę wojnę, to chyba cię po prostu pojebało.

– Chcesz się założyć?

4.

Na niebie nie było ani jednej chmury, słońce świeciło pełnym blaskiem. Pomimo tego wcale nie było ciepło. Natalia oceniała temperaturę powietrza na jakieś pięć stopni. Większość śniegu już stopniała, ale w zagłębieniach oraz zacienionych miejscach ciągle widniały białe połacie, kontrastujące z resztą otoczenia. Cieszyła się, że tak jak wczoraj nie było wiatru. Gdy dwa dni wcześniej oddalili się od zaatakowanego pociągu, znaleźli tory biegnące na północ. Smutny stwierdził, że to odnoga prowadząca do Komsomolska nad Amurem. Mówił też, że to jedno z większych miast Kraju Chabarowskiego.

Dlatego wskoczyli do turlającego się bez pośpiechu pociągu towarowego. Ukryli się w wagonie przewożącym bydło. Myśleli, że będą jechać nie więcej niż dziesięć godzin, ale bardzo się pomylili. Pociąg często stawał bez widocznego powodu i czekali godzinami, aż znów ruszy. Smutny doił krowy i pił ciepłe mleko wprost z ich wymion. Natalia się brzydziła i początkowo odmawiała, ale głód w końcu zrobił swoje. Nie przewidzieli tego, że gdy podróż się przeciągnie, ktoś w końcu przyjdzie napoić zwierzęta i dosypać im karmy. Pracownik kolei wszczął alarm i zaraz przybiegło dwóch strażników z psem. Jej darowali, ale Smutnego pobili ciężko pałkami.

Zerknęła na niego. Włókł się teraz obok, powłócząc nogami. Przez strażników na nowo otworzyła mu się rana na czole. Natalia widziała, że chłopak obficie się pocił, prawdopodobnie trawiony gorączką. Szli na północ wzdłuż torów z nadzieją, że może znowu uda im się załapać na jakiś pociąg.

Natalia była strasznie głodna. Współczuła Smutnemu, który z powodu rany musiał na pewno odczuwać głód jeszcze dotkliwiej. Gdy wyszli na niewielkie wzniesienie, zobaczyli daleko po prawej wstęgę wody, meandrującą wśród wzgórz.

– Odpocznijmy trochę – powiedział Smutny.

Zeszli na bok i usiedli u podnóża. Wybrał zacienione miejsce, ona wręcz przeciwnie – wystawiła twarz do słońca, rozkoszując się ciepłem. Siedzieli tak dobre dziesięć minut w milczeniu, zanim się odezwała:

– To ta sama rzeka co w Irkucku?

– Nie. – Smutny się roześmiał. – Tam była Angara. Tu jest Amur.

– Pamiętasz, jak poznaliśmy się w szpitalu?

– Jakże mógłbym zapomnieć. – Spojrzał na nią uważnie.

– No co?

– Wtedy wydawałaś mi się nastolatką. A teraz... Minęło niewiele czasu, ale wyglądasz jak kobieta.

Zamyśliła się, patrząc na wijącą się w oddali rzekę. Po chwili Smutny rzucił:

– Irkuck jest ponad trzy tysiące kilometrów stąd.

– Daleko.

– Tak.

– Z jednej strony w każdym kraju są jakieś odległości i różnice krajobrazu. Jednak u was wszystko jest takie wielkie, przytłaczające. Jak ta rzeka, która miejscami przypomina jezioro.

Tym razem to on nie skomentował. Zapatrzył się w tym samym kierunku, co Natalia, i przerwał milczenie dopiero po kilku minutach.

– Przepraszam.

– Za co? – Odwróciła się do niego, zaskoczona.

– Nie wszystko wyszło tak, jak chciałem. Powinienem wymyślić coś lepszego. Zająć się tobą, twoją mamą, bratem... Wszystko się spierdoliło. Wiesz, w Irkucku. Chciałem wysiąść, ale zobaczyłem, że mnie szukają. Stchórzyłem.

Natalia nie spodziewała się tego po nim. Przez ostatnie dni była na niego wściekła i pewnie w innej sytuacji zostawiłaby tego chłopaka bez chwili wahania. Ale teraz to szczere wyznanie sprawiło, że jej serce stopiło się niczym wosk. Ogarnęła ją fala uczuć.

– Ale nie myśl, że przestraszyłem się, że coś mi zrobią. – Roześmiał się krótko. – To akurat mam w dupie. Ojciec napierdalał mnie pasem, odkąd skończyłem trzy lata. Bałem się, że skrzywdzą cię. Że to się skończy. Że

już nie będę cię miał. Przecież wiem, że gdyby nie wojna i cała ta pojebana sytuacja, już byś mnie zostawiła. Prawda?

– Prawda – powiedziała cicho i otarła łzy z kącików oczu. Potem wstała, pomogła mu się podnieść i pocałowała go delikatnie w usta. – Chodźmy dalej, póki jest jasno.

Zgodził się z nią w milczeniu.

Po dwóch godzinach dotarli do kilku zabudowań. Przy torach stała tam przekrzywiona tabliczka z napisem „309 km”.

– To jakieś oznaczenie? – spytała Natalia.

– Tak, odległości od Chabarowska. A zarazem nazwa miejscowości.

– Co?

– Kiedyś tu nic nie było. Tylko kolejne kilometry i małe posterunki, gdzie lokomotywy uzupełniały wodę i węgiel. Przecież widzisz, że nie ma tu trakcji elektrycznej.

Natalia dopiero teraz to dostrzegła. Po chwili zauważyła jeszcze, że przy drodze stoi starszy mężczyzna w grubej kurtce w kolorową kratę i czapce uszance. Opierał się o rower i przyglądał im z zaciekawieniem.

– Szczęść Boże – zagaił starszy jegomość. – Dokąd to idziecie?

– Do Komsomolska nad Amurem – odpowiedział Smutny.

– Tak na piechotę? To jeszcze ładny kawałek. A po cóż to, jeśli można spytać?

Natalia pomyślała, że to faktycznie dobre pytanie. Właściwie to oboje tego nie wiedzieli, dlatego nic nie odpowiedzieli.

– Jesteście z pociągu?

– Tak – odparł niechętnie Smutny. – Ale nas wyrzucili, bo jechaliśmy na gapę.

– Aaa, to my nie o tym samym chyba mówimy. Ja mówię o tym pociągu, co to go kitajce zbombardowały. Podobno szukają pasażerów. A jak znajdą...

– Tu starszy pan przejechał palcem po szyi. – Idźcie nad Amur. Tam flisacy spławiają drewno, może ktoś was weźmie. Rzeką zawsze szybciej.

Smutny skinął głową w niedbałym podziękowaniu, ale i tak ruszyli dalej wzdłuż torów. Po półgodzinie odszedł na bok, zataczając się, i klapnął ciężko na ziemię.

- Dalej nie dam rady.
 - Musimy spróbować – powiedziała Natalia. – Choćby nad tę rzekę, może faktycznie ci flisacy...
 - Daj spokój – wysapał. – Ten dziadek pierdolił. Zaraz po zimie rzeka ma najniższy poziom. Poza tym Amur płynie na północ, do Morza Ochockiego. Na chuj ktoś miałby spławiać drewno tam, gdzie jest go potąd?!
 - Dlaczego tak powiedział?
 - Pewnie za informację o ludziach z pociągu ze złotem jest nagroda. Zaraz zadzwoni do kogo trzeba, a Chińczycy będą nas szukać nad rzeką.
 - W takim razie chodźmy w drugą stronę, na zachód.
 - Tam nic nie ma – zaprotestował Smutny.
 - Wstawaj!
 - Dobra, ale daj mi chociaż pół godzinki, zdrzemnę się.
 - Nie! – Natalia była przekonana, że jeśli nie ruszy go zaraz z miejsca, to przyjdzie im nocować przy torach. A jeśli chłopak dobrze się wszystkiego domyślał, byłoby to dla nich bardzo niebezpieczne. – Idziemy! Teraz!
- W końcu wstał niechętnie i powlekli się noga za nogą na zachód, porzucając tory.

Już myślała, że się zgubiła, ale w końcu u wylotu ulicy dostrzegła mężczyznę w kurtce i z karabinem w ręku. Na cokole. Pomnik Michaiła Kałasznikowa. Uśmiechnęła się smutno, przypominając sobie swojego Michała, który opowiadał jej swego czasu o radzieckim konstruktorze broni. W każdym normalnym, kapitalistycznym kraju autor tak udanej konstrukcji jak karabin AK-47 byłby milionerem. W Związku Radzieckim był jedynie doktorem nauk technicznych, mieszkającym jak zwykli ludzie w dwupokojowym mieszkaniu. Ironią losu prawdziwe pieniądze zobaczył dopiero w XXI wieku, już po osiemdziesiątce, kiedy to otrzymał trzydzieści procent udziałów w niemieckiej spółce w zamian za prawo umieszczania jego nazwiska na butelkach wódki i zegarkach. Konstruktor karabinu do walki z zachodnim kapitalizmem, uratowany od nędzy przez takiż kapitał. Historia ludzkości w pigułce.

Przez te dwa dni poznała trochę najbliższą okolicę, ale dzisiaj wypuściła się na zakupy wyjątkowo daleko. Wszystko przez to, że Lokomotywa, zanim wyszedł z rana, polecił jej, żeby się przygotowała, bo wieczorem będzie „mała imprezka dla znajomych”. Basia kupiła więc masę produktów, a nawet grubą książkę z przepisami, w której jednym z najobszerniejszych rozdziałów był ten o przystawkach. Gorączkowo się zastanawiała, co takiego powinna zrobić. Czy powinna ugotować zupę? Czy Lokomotywa będzie chciał, żeby podawała potrawy kolejno czy wolałby urządzić szwedzki stół? Zaczął paraliżować ją strach, że nie podoła trudnemu zadaniu. W duchu kilkakrotnie nazwała się histeryczką, ale nie pomogło. Nie chciała stracić tego, co udało jej się zdobyć.

Od pomnika Kałasznikowa droga była prosta. Basia minęła gigantyczny biurowiec ze szkła i stali, architekturą nawiązujący do socrealistycznych pałaców, których przedstawiciel swego czasu dotarł nawet na warszawski plac Defilad, i w końcu doszła do swojego bloku. Dwunastopiętrowy budynek, pomalowany na seledynowy kolor, wieńczyły wściekle czerwone pagodowe nadbudówki na wzór chiński.

Postawny ochroniarz ze złotym zegarkiem na ręku przywitał ją w holu spojrzeniem takim jak zawsze. Z mieszaniną pogardy i nienawiści. Basia nie wątpiła, że był typem człowieka, na którym wrażenie robią tylko siła, pieniądze i władza. Zresztą w Moskwie takie postawy były na porządku dziennym, zwłaszcza w Twerskim Rejonie. Może powinna poprosić Lokomotywę o jakieś pieniądze na ubrania? Faktycznie wyglądała jak obdartus, ale szybko odrzuciła ten pomysł. Nie, to byłoby za dużo, prosić o coś takiego.

Wjechała na dziesiąte piętro i otworzyła drzwi kluczem. Zostawiła zakupy w kuchni, a potem obudziła Piotrusia, wyciągnęła z nosidełka i nakarmiła. Pochodziła z nim, aż mu się odbiło, a potem ułożyła go w kojcu ustawionym w jej małym pokoju. Mieszkanie składało się z dwóch sypialni, przestronnego salonu oraz kuchni, łazienki z wydzieloną toaletą. Dodatkowo przy kuchni znajdował się mikroskopijny pokój z umywalką i sedesem, zaprojektowany specjalnie dla takich jak ona. Dla służby.

Rozpakowała zakupy i od razu zabrała się za sprzątanie. Gdy tu przyszła, mieszkanie było bardzo zapuszczone, ale przez dwa dni wypucowała je na wysoki połysk. Po pierwsze chciała udowodnić, że wykonuje swoją pracę naprawdę dobrze. Po drugie podczas mycia i czyszczenia wyłączała się i nie musiała myśleć o swojej sytuacji. Kiedy Lokomotywa ją tu przyprowadził, Basia była przerażona. Wystrój mieszkania – łóżka w kształcie serc, czerwone ściany, czarne lakierowane szafy oraz lustra na sufitach – upewnił ją w przekonaniu, że trafiła do burdelu, w którym przyjdzie jej kupczyć własnym ciałem.

Na szczęście okazało się, że to po prostu mieszkanie Lokomotywy, a ona ma być jego gosposią. Wrócił, gdy skończyła sprzątać, i od razu skierował swoje kroki do lodówki. Ułamał sobie kawałek kiełbasy, po czym spytał:

– Na chuj nam tyle żarcia?

– Przecież prosiłeś, żebym wieczorem przygotowała przyjęcie.

– Ty? Żarcie przywiozą z knajpy. – Skrzywił się z wyższością. – Z ciebie to jednak prosta baba ze wsi.

Basia już miała zapytać, czy on aby na pewno wychował się w Moskwie, ale w porę ugryzła się w język.

– Po prostu ogarnij chałupę i wyszoruj kibel.

– Już posprzątane.

Lokomotywa zrobił groźną minę, potem rozejrzał się po wypucowanej kuchni. Dla pewności sprawdził jeszcze pozostałe pomieszczenia, a że wynik inspekcji był pomyślny, rzucił:

– Dobra jest. Może być. Ja idę teraz do siebie, pierdolnę w poduchę. O szóstej będzie koryto, nakryj jakoś ładnie. *Rebiata* wpadną o siódmej.

– Oczywiście.

Basia włożyła bardzo dużo wysiłku w to, by przywiezione potrawy elegancko prezentowały się na półmiskach. Lokomotywa zamówił wiele przystawek, aby mieli czym przekąsać wódkę, której z kolei kupił cały karton. Dlatego spodziewała się, że będzie więcej gości, ale przyszło tylko trzech. Każdy z twarzą, która dawałaby im pierwszeństwo wyboru miejsc przy barze w Rekinie.

Po godzinie wszyscy byli już mocno pijani i Basia wycofała się do swojego pokoiku. Piotruś spał głęboko, a ona oglądała wiadomości w rosyjskiej telewizji. Niemal całe wydanie było o wojnie na Ukrainie. Spikerka podawała informacje w taki sposób, by zwykłemu widzowi mogło się wydawać, że Rosja przechodzi jedynie przejściowe kłopoty i zaraz znowu będzie zwyciężać „amerykańskich faszystów”. Jednak Basia w to nie wierzyła.

Za ścianą impreza weszła w nowe stadium. Zamiast pijackich przyśpiewek rozległy się głośne groźby i wyzwiska. Któryś z biesiadników chyba rąbnął z hukiem na podłogę, co wywołało z kolei gromki śmiech i ostudziło awanturnicze zapędy. Basia ogarnęła wzrokiem swoje skromne lokum. To dziwne, pomyślała, ale odkąd jestem w Rosji, to tak naprawdę moje najlepsze mieszkanie. Kąt u oprycha, który chciałby poderżnąć gardło chłopakowi mojej córki.

Na wspomnienie Natalii znowu poczuła ukłucie bólu w sercu. Miała nadzieję, że córka żyje i ma się dobrze. Gdyby mogła się z nią zobaczyć, wszystko by jej wybaczyła i padłyby sobie w objęcia. Była pewna, że to ten cały Smutny namówił dziewczynę do zabójstwa Mnicha. Natalia nigdy nie zrobiłaby czegoś takiego z własnej woli.

Zbudziło ją delikatne kwilenie Piotrusia. Musiała przysnąć. Nakarmiła chłopca, ukołysała do snu i wyszła z pokoju. Gości już nie było. W salonie zostało jednak istne pobojuwisko oraz sam gospodarz, pochrapujący na kanapie. Basia powynosiła naczynia do kuchni, opróżniła je z resztek jedzenia i powstawiła do zmywarki.

Po kwadransie doprowadziła salon do jako takiego porządku, a gdy przecierała szklany stół, Lokomotywa ocknął się gwałtownie i usiadł.

- Kurwa, co jest? Która?
- Za piętnaście trzecia – odparła, zerkając na zegar wiszący na ścianie.
- Ja pierdolę, ale mnie suszy. Wódka gdzie?

Basia przyniosła mu butelkę z kuchni. Ostatnią, więc można było łatwo policzyć, że średnio wypili dobrze ponad litr wódki na głowę. Lokomotywa podniósł się i wyciągnął z przeszklonego kredensu dwa kieliszki.

– Napijesz się ze mną.
– Dziękuję.
– Nie wkurwiał mnie! – warknął i polał wódkę.
– Naprawdę nie mogę, przecież karmię dziecko! – zaprotestowała.
– *Nu, da...* – Lokomotywa jakby trochę wytrzeźwiał. – Zdrowie dziecka!
– ryknął na całe gardło i opróżnił oba kieliszki. – Moi kumple. Wiesz kto to był?

– Nie.

– Jak panna w burdelu nie chciała obstawiać pizdy, w sensie była oporna, to ruchali ją w kilku i napierdalali do nieprzytomności. A ja razem z nimi.

– Tak. Po co mi o tym mówisz?

– Nie wiem. – Lokomotywa wzruszył ramionami i strącił oba kieliszki na podłogę. Chwycił butelkę i zaczął pić prosto z gwinta. – Jebać ten cały świat! W telewizji będą ci puszczać seriale, w kinie chujowe komedie o miłości, a prawda jest okrutna. Życie jest przejebane, a na końcu zdychasz!

– Nie wszędzie tak jest. Nie cały świat i nie wszyscy ludzie – zaprotestowała, ale jakoś bez przekonania.

– To co cię ostatnio dobrego spotkało? – Lokomotywa roześmiał się zimno. – Pomyśl. Jesteś inteligenta i no, ten... Widać, że masz klasę. Ale pracujesz za żarcie u takiego ścierwa jak ja! Uważasz, że to uczciwe?

– Nie powiedziałam, że świat jest uczciwy. Uważam tylko, że nie jest jednoznacznie zły ani dobry. I tak, spotkało mnie coś dobrego.

– Co takiego? – spytał szczerze zdziwiony.

– Dałeś mi szansę na przeżycie. Zrobiłeś dobry uczynek.

– Wypierdalaj. Nie chcę słuchać takiego gówna.

– Nie wiem, co robiłeś wcześniej – ciągnęła uparcie – ale w moim wypadku zachowałeś się jak dobry człowiek.

– Wypierdalaj!

Basia wstała posłusznie i zamknęła się w swoim pokoju. Wyszła, gdy usłyszała, że Lokomotywa zwałił się ciężko na łóżko w swojej sypialni. Uprzątnęła potłuczone kieliszki, pogasiła światła, wróciła do siebie i zawinęła się w kołdrę. Myślała o tym, co powiedział. Z poziomu obywatelki Unii Europejskiej nagle cofnęła się o kilka dekad i faktycznie pracowała

u kogoś za kąt do spania i jedzenie. A mimo to była zadowolona, żeby nie powiedzieć szczęśliwa. Jak to się wszystko szybko może zmieniać. Przytuliła mocniej Piotrusia do siebie i wspomniała drugiego syna. Trzy dni temu Jurek skończył osiem lat. Mam nadzieję, że obaj z Michałem żyją i wszystko u nich w porządku, pomyślała i zasnęła.

Nauczył się już rozpoznawać pory dnia nawet przy zachmurzonym niebie. Z rana kolory były zimne, a cienie krat na betonowej krzywiźnie ściany dość wyraźne. W ciągu dnia kontury jeszcze się wyostrzały, ale po południu i wieczorem miękły, a światło szarzało.

Beata spała mocno, przytulona do jego ramienia, chrapiąc donośnie. Michał mógł się jedynie domyślać, że mocne uderzenie Floriana przestawiło jej przegrodę nosową. Kobieta mówiła przez nos i nawet w ciągu dnia miała ciężki, świszczący oddech.

Po raz chyba setny rozejrzał się po ich więzieniu. Nie miał pojęcia, do czego mogło służyć przed wojną. Kilka metrów głębokości, jakieś cztery średnicy. Na górze otwór zamknięty masywną żelazną kratą. Bez szansy ucieczki. Był wściekły na samego siebie i swój popieprzony los. Na wszelkiej maści skurwysynów, którym zachciało się władzy i wojny. Na tych wiecznie nadętych kutasów, którzy ubrani w garnitury, opowiadają pierdoły w telewizji, przekonani o swoich racjach. Tysiące ludzi oddało już życie za to całe smętne pierdolenie. A on? Stracił żonę, córkę i syna. Który raz był gdzieś więziony? Który to raz czuł kompletną bezsilność wobec tego, co się wokół niego działo? Przecież sam chciałeś zostać, wypomniał mu jakiś wewnętrzny głos.

– Skąd mogłem wiedzieć? – wyszeptał Michał i zwiesił głowę.

– Co? – spytała Beata, wybudzona ze snu.

– Nie, nic. Do siebie gadam.

– Mogłeś wiedzieć. Wystarczyło mnie posłuchać. – Powietrze jej zaświszczało w nosie.

– Przecież słuchałem. Mieliśmy uciec. Co, już nie pamiętasz?

– Powiedz tak szczerze. Nie wierzyłeś mi?

– Czy ja wiem? – Zamyślił się. – Na pewno nigdy bym nie przypuszczał, że jest tu takie miejsce. I że oni tu są.

– Ja też nie – odparła cicho, usilnie nie spuszczać z niego wzroku. – Obowiązująca wersja była taka, że odeszli dobrowolnie.

Może to i lepiej, że ma złamany nos, pomyślał. Przynajmniej nie czuje tego potwornego fetoru. Gdy już go związali, Robert – ten sam, który wcześniej tak wspaniale pomógł Jurkowi – wstrzyknął coś Michałowi w ramię i ten stracił przytomność. Obudził się dopiero w ponurym lochu razem z Beatą. Widok sześciu trupów w kącie go przeraził. Ale Beata, gdy się ocknęła, dostała prawdziwej hysterii. Rozpoznała martwych ludzi po ubraniach. Wszyscy żyli wcześniej we wspólnocie i żadne z nich nie chciało się podporządkować woli Floriana.

– A mimo to twierdziłaś, że nie będą chcieli nas wypuścić – powiedział Michał. – Dlaczego?

– Nie mam pojęcia. Nazwij to kobiecą intuicją.

Obrócił ją delikatnie, by oparła się o beton plecami. Od dwóch dni Beata starała się siedzieć tak, aby nie widzieć gnijących ciał. Michał wstał i od razu zakręciło mu się w głowie. Musiał przytrzymać się ściany, by nie upaść. Nie jadł nic od dwóch dni, a do picia mieli tylko trochę deszczówki, której nałapali w pustą puszkę po piwie, wrzuconą tu pewnie jeszcze przed wojną. W dodatku wyżej śmierdziało chyba gorzej niż przy dnie. Zastanawiał się, dlaczego nie ma much. Może było dla nich jeszcze za zimno albo zwłoki zakonserwowały się jakoś w tym betonowym bunkrze. Popatrzył na wzdęte, zielonkawe ciała. Nie wyglądały mu na jakoś wyjątkowo dobrze zachowane.

Po raz kolejny zbadał gładkie betonowe ściany. Nie widział absolutnie żadnych szans, by się po nich wspiąć. Dostrzegł delikatne wyźłobienia, przyjrzał się im z bliska. Na drobnych nierównościach pozostały ciemne ślady. Poczul jak wstrząsa nim dreszcz. Ktoś musiał w straceńczym odruchu próbować jednak wspinaczki, czepiając się gładkiej powierzchni paznokciami. Czy oni też tak skończą?

Zauważył ruch pod krawędzią ściany. Ciemno umaszczony szczur z białym pyskiem. Widzieli go już wcześniej. Przebiegł szybko przez oświetloną część dna i zniknął pod ciałami. Michałowi coś zaświtało.

– Słuchaj, przyszło mi do głowy...

– Tak?

– Tych ludzi chyba nie zesłano tu naraz, prawda?

– Nie, dlaczego?

– Wątpię, żeby umarli, kładąc się na trupach poprzedników – powiedział po dłuższej chwili namysłu.

– Nie rozumiem. – Spojrzała w bok, starając się jednak za bardzo nie odwracać.

– Ktoś ich musiał tak ułożyć, rozumiesz? Wydaje mi się, że w ten sposób chcieli coś ukryć.

– Ukryć? Ale co?

– Ten szczur wlaźł tam nie po raz pierwszy. A potem godzinami nie wychodzi! – Michał nakręcał się coraz bardziej. – Musi mieć jakieś wyjście!

– Błagam cię, nie każ mi ich ruszać – powiedziała głucho.

Klęknął przy niej, ujął delikatnie za ramiona i odwrócił ją plecami do ciała. Pocałował ją delikatnie w usta, a potem przeszedł do najgorszej części ich więzienia. Z początku myślał, że poradzi sobie bez problemu. W końcu nie takie rzeczy widział podczas tej wojny. Chwycił pierwsze zwłoki, ale te rozerwały się w połowie. Cierpki, słodkawy fetor uderzył w niego gwałtownie. Michał zgiął się wpół i z wymiotował.

– Wszystko w porządku? – spytała Beata, zaniepokojona.

– Tak, jasne.

Teraz się cieszył, że od dwóch dni nic nie jadł. Przewalał kolejne trupy z zamkniętymi oczami. Czuł tylko potworny smród, słyszał klekot kości i trzask rwanych ścięgien. Ściskając cienkie niczym tyczki kończyny, nie miał już żadnych wątpliwości. Każda z tych osób umarła z głodu. Puścił ostatnie ciało i wtedy usłyszał, że Beata wymiotuje. Najwyraźniej zruszone ciała śmierdziały tak bardzo, że poczuła to nawet przez złamany nos. Otworzył oczy i spojrzał w dół.

– I co? – spytała, wycierając usta. – Jest jakieś przejście?

Było. Michał miał je przed sobą. Otwór odpływowy wielkości pięści.

Chmury oraz bezksiężycowa noc zrobiły swoje. Nie było prawie nic widać. Co najwyżej gdzieś daleko na ciemnym granacie jeszcze ciemniejszy kreślił linię horyzontu. Całe szczęście, że Parker zrobił taką awanturę, pomyślał Gurski. W ciągu dnia bylibyśmy tutaj jak cele na strzelnicy. Pogranicze ukraińsko-rosyjskie w tym miejscu było bezkresną równiną.

Gdy kapitan dowiedział się, że ich transport się opóźni, wymógł na dowódcy, by pozwolił im zabrać się globemasterem, przewożącym elementy mobilnego obozu dalej na wschód, w okolice Wołgogradu. Pilot co prawda trochę grymasił, ale w końcu łaskawie zszedł na sześć tysięcy metrów, żeby mogli bezpiecznie wyskoczyć.

Na dwóch tysiącach Gurski odpalił swój noktowizor i zobaczył dwie postacie po prawej. Kilometr niżej otworzył czaszę spadochronu i, korzystając ze wskazań GPS-u, wylądował miękko w zaplanowanym miejscu. Desant odbył się bez przeszkód i wkrótce cała ósemka ruszył na północny wschód.

W bazie zameldowali się o wschodzie słońca. Przywitał ich kapitan Clarks. Łysy jak kolano, wysoki dowódca kompanii wyglądał na wesołka i potwierdził to wrażenie, rzucając na powitanie kilka żartów.

– Chłopaki, my tu musimy trochę potyrać. Wiem, że w nocy macie robotę, tak więc odsapnijcie trochę. – Odwrócił się i krzyknął: – Sierzancie Bird, pokażcie gościom, gdzie mogą się glebnać!

– Bez przesady, mieliśmy dwa dni pauzy – odparł Parker i zerknął na Gurskiego. – Chyba pomożemy trochę chłopakom?

– No jasne!

Złożyli ekwipunek w jednym z obozowych kontenerów i zabrali się do roboty. Roman był w szoku, gdy się dowiedział, że cały obóz zrzucono tu na spadochronach ledwie wczoraj. Na miejscu działała już kuchnia i stały kwatery dla żołnierzy, a teraz budowano ogrodzenie. Jakby tego było mało, cały taki obóz mieścił się do jednego C-17. Poręcznie spakowane kontenery lądowały na spadochronach w promieniu pięciu metrów od wskazanych punktów.

Zewnętrzne ogrodzenie stawiano z koszy hesco. Była to niezwykle pomysłowa i zarazem prosta konstrukcja. Druciane prostopadłościanny z materiałowym poszyciem mogło rozłożyć dwóch żołnierzy. Następnie operator minikoparki, w tym wypadku sierżant Lacević, wypełniał je piachem. Do zachodu słońca zdążyli ułożyć z nich dwie warstwy, tworząc solidną zaporę wysokości niemal trzech metrów. Ludzie Clarksa wykańczali dzieło, montując na szczycie drut kolczasty.

W taki sposób w niecały dzień powstał dobrze chroniony obóz dla dwóch kompanii, czyli około trzystu żołnierzy. Dzięki takiej mobilności Amerykanie stopniowo wdzierali się coraz głębiej na rosyjskie terytorium. Szybko wyciągnęli wnioski z porażki pod Żytomierzem. Dowódcy uznali, że nie potrzebują stuprocentowej kontroli nad zajmowanym obszarem i wielkich, zmechanizowanych ofensyw. Wyprawiając się z takich obozów, niewielkie oddziały w ciągu trzech dni wyrzuciły w południowej Rosji sporo szkód. Wyłączyły trzy elektrownie, zablokowały kilkanaście ważnych szlaków kolejowych oraz niezliczoną ilość dróg. Żadna armia nie poradzi sobie bez logistyki. Żołnierz może strzelać, ale zjeść, napić się i wysrać musi. Imperialnej armii pozostało jedno wyjście. Wycofywanie się. Ciągła ucieczka.

Parker, Garcia oraz porucznik Gurski ze swoją ekipą zjedli po pracy sutą kolację i zdążyli jeszcze złapać kilka godzin snu. Zadowoleni i wypoczęci, opuścili obóz piętnaście minut po północy. Ostrożny marsz do wyznaczonego celu w pełnej noktowizji zajął im trzy godziny.

Garcia wyciągnął z plecaka drona, rozłożył mu śmigła i posłał w powietrze. Urządzenie wróciło po kwadransie i wylądowało u stóp sierżanta. Ten podpiął je do terminala taktycznego i po chwili już wszyscy, ukryci w krzakach, oglądali zarejestrowany materiał. Domostwo na nagraniu otaczało liche ogrodzenie z żerdzi, które lata świetności miało za sobą. Budynek był dosyć duży, ale zbudowany z drewna; jedna ściana przechylała się niebezpiecznie na bok.

- Nie wygląda zbyt imponująco – mruknął Garcia.
- Pamiętaj, co mówili na odprawie. Podobno ruscy nieźle kamuflują takie miejsca – odparł kapitan.

– Tako rzeczce wywiad, który chciał, żebyśmy przepłynęli pod prąd po stopniach wodnych.

– Sierzancie, przywołuję was do porządku – powiedział z uśmiechem Parker.

– Tak jest.

Amerykańskie służby specjalne twierdziły, że wzdłuż ukraińsko-rosyjskiej granicy rozmieszczono dziewięć węzłów łączności. Grupa kapitana Parkera otrzymała rozkaz sprawdzenia jednej z prawdopodobnych lokalizacji. Zadanie na miejscu było proste: zneutralizować. Czytaj: obsługę wziąć do niewoli lub zlikwidować, a wszystkie sprzęty unieszkodliwić.

– Jest pies. – Gurski wskazał na wyświetlaczu owczarka niemieckiego, leżącego pod budą. – Podejdźmy od zawietrznej.

Założyli noktowizory i podkradli się, korzystając z osłony rzadkiego zagajnika, na niecałe dwieście metrów od sfatygowanego ogrodzenia.

– Wójcik, zneutralizujcie psa.

Kapral Wójcik, który jeszcze w Polsce został przeszkolony na snajpera, skrzywił się lekko, ale chcąc nie chcąc ściągnął karabin wyborowy z pleców. Gdy ostatnio miał broń tego typu przy policzku, mierzył do rannego rosyjskiego generała. Bez mrugnięcia okiem zabiłby jeszcze dziesięciu takich. Ale psa?

– Panie poruczniku – zaczął ostrożnie, kalibrując celownik. – A może inaczej zdejmemy tego psa?

– Niby jak?

– Mam środki nasenne w apteczce, można nafaszerować jakieś żarcie – podpowiedział Janik, ich ratownik medyczny.

Roman westchnął i streścił rozmowę Parkerowi. Ten myślał chwilę, ale powiedział:

– Niby jak mu to podrzucimy? Narobi hałasu i ruscy się zorientują.

– A co, jak to normalna chałupa? – podsunął Garcia.

– Sierzancie. – Kapitan się skrzywił. – Takie rozważania to sobie w dupę wsadźcie podczas misji. Też nie chcę mordować zwierzaka, ale jak trzeba, to trzeba.

– Dorzucę – oznajmił tamten. – Przecież grałem w bejsbol. Mogłem nawet trafić do MLB.

– Poważnie? – Gurski był pod wrażeniem, ale Parker przesunął z rozpaczą dłoń po twarzy.

– Błagam... Tylko nie twoje sportowe historie. Ostatnio twierdziłeś, że mogłeś grać w NBA.

Zupełnie niezrażony, Garcia sięgnął do plecaka i wyjął zafoliowany MRE, w teorii posiłek gotowy do spożycia, choć większość amerykańskich żołnierzy rozszyfrowała ten skrót jako *Meat Refused by Ethiopians*, czyli „mięso odrzucone przez Etiopczyków”.

– Proszę bardzo. – Rozerwał zębami opakowanie. – Pizza gotowa do walki.

Kapral Janik pokruszył tabletki, a sierżant zgniótł kawałek pizzy z nasennym dodatkiem w poręczną kulę.

– No, to pokaż, co potrafisz, byku. – Kapitan się uśmiechnął.

Sierżant wziął fachowy zamach i wysokim łukiem posłał kulę z ciasta na podwórko przy drewnianym domu. Pies usłyszał hałas i zerwał się na cztery łapy, kręcąc głową. Wyczuł jedzenie i ruszył w jego kierunku. Niestety, gdy był już metr od celu, skończył się łańcuch przytwierdzony do budy.

– Przynajmniej próbowaliśmy – powiedział z zawodem w głosie Parker.

Wójcik ułożył się do strzału. Milczeli. Długo mierzył, a pozostali obserwowali w odcieniach zieleni psa merdającego ogonem. Wreszcie rozległ się cichy trzask. Pies podskoczył raptownie i się odwrócił, zdezorientowany, ale nie upadł.

– Widać, że dawno nie strzelałeś – odezwał się Gurski. – Chybiłeś.

– Wręcz przeciwnie. – Wójcik pozbierał się sprawnie i założył karabin na plecy.

Owczarek niemiecki podszedł tymczasem bez najmniejszego problemu do pizzy, położył się na brzuchu i zaczął ją pałaszować, przytrzymując łapami.

– A to skurwiel – mruknął z uznaniem Garcia. – Przestrzeliłeś łańcuch!

– Nadawałbym się do NBA?

– Jak cholera!

Pies po przekąsce zaczął kręcić się po podwórku jak pijany, w końcu padł. Wtedy podkradli się bez pośpiechu do ogrodzenia i bez trudu przeleźli przez dziury. Dla pewności zwiążali psu łapy i ułożyli go w budzie. Potem Parker z Garcia, Segetem i Wójcikiem zaczaili się pod oknami od frontu, a Gurski, Janik, Boski i Lacević zajęli pozycje przy tylnym wejściu.

Jovan odczekał kilkanaście sekund, a potem stłukł kolbą szybę w oknie i wrzucił do środka granat hukowo-błyskowy. Zaraz potem za sprawą ludzi Parkera nastąpiły dwie kolejne eksplozje i wszyscy naraz wpadli do środka, błyskając latarkami podczepionymi do swoich karabinów.

– US Army! – ryknął Parker.

Światła latarek wydobyły z mroku skuloną na podłodze postać. Zobaczyli pomarszczoną, zmęczoną życiem twarz siedemdziesięciolatka.

Zdezorientowany błyskiem i hukami granatów, zaczynał się niezgrabnie podnosić.

– *Keep it down, motherfucker! On your knees!* – krzyknął sierżant Garcia.

– *Na koleni! Ruki za głowę!* – dołączył się Seget.

Wojskowe buty zadudniły na drewnianych stopniach. Gurski ze swoimi ludźmi zaczęli sprawdzać pomieszczenia na piętrze, nawołując się wzajemnie.

Staruszek w końcu pojął, czego się od niego oczekuje, i klęknął z wysiłkiem, składając ręce na karku. Seget zauważył, że cały przy tym dygotał, a na podłodze została ciemna plama. Huragan decybeli i oślepiający błysk magnezu na każdym robił wrażenie, a zwłaszcza na kimś w podeszłym wieku.

Reszta ekipy zeszła na dół i porucznik zameldował:

– Na górze czysto!

Lacević po kilku krokach poślizgnął się na czymś i wyrznął bokiem w lodówkę z taką siłą, że sprzęt runął z hukiem na podłogę.

– Kurwa, jest tu jakieś światło?! – warknął Parker.

– Swiet – powiedział Seget i szturchnął staruszka w pierś lufą karabinu.

Tamten pokiwał nerwowo głową i wstał chwiejnie, trzymając teraz ręce wysoko w górze. Podszedł do ściany i przekręcił włącznik. Światło zalało pomieszczenie i wszyscy zmrużyli oczy, wyłączając latarki. Pokój okazał się

sporym salonem połączonym z kuchnią. Stół leżał na boku, najpewniej w wyniku eksplozji granatu, i dlatego Jovan poślizgnął się na rozlanym mleku.

– Ale węzeł łączności – prychnął Garcia.

– Dobra, dobra, trzepiemy wszystko równo! Szukamy zamaskowanej aparatury, wejścia, czegokolwiek! – rozkazał Parker.

Rozbiegli się po domu, metodycznie sprawdzając podejrzane miejsca. Odsuwali od ścian meble, otwierali szafki i wyciągali szuflady, a zawartość wyrzucali na podłogę. Staruszek wyciągnął do Parkera trzęsące się ręce.

– *Izwinite, ja... Mne nado... Drugs!*

– Czego on chce? – Kapitan zmarszczył brwi.

– Chyba coś przyćpać – zachichotał Boski.

– Zamknij się, durniu – zganił go kapral Seget. – On chce leki. *Spokojno, primumaj lekarstwa.*

Gospodarz podszedł do jednej z ocalałych jeszcze szuflad, wyciągnął kilka tabletek, zażył i popił wodą. Potem usiadł na krześle i obserwował ze łzami w oczach, jak żołnierze urządzają regularny kipisz, wywracając jego dom do góry nogami. Po kwadransie zebrali się w salonie.

– I co? – spytał Parker.

– Gówno – odparł smętnie Gurski. – Zdaje się, że nie ma tu i nigdy nie było żadnego stanowiska dowodzenia czy węzła łączności.

Seget stanął przy kredensie i zobaczył plik ulotek leżących na stole. Na zdjęciu była dziesięcioletnia na oko, uśmiechnięta dziewczynka. Pod spodem wydrukowano informację o tym, że zaginęła w marcu 2016 roku oraz numer kontaktowy do jej rodziców. Starszy pan zobaczył, że kapral przygląda się ulotkom, i powiedział:

– *Moja wnuczka.*

– Co on mówi? – spytał Garcia.

– Że to jego wnuczka. Patrzcie, zaginęła dwa lata temu.

– Dobra, spadamy stąd. Ale postawcie mu chociaż lodówkę z powrotem.

Lacević z Wójcikiem i Garcia postawili ją z powrotem na nóżkach. Podczas tej operacji otworzyła się i wszyscy mogli zobaczyć, że była wprost

wypełniona jedzeniem. Soki, jogurty, zapas mięsa, kiełbas oraz mleka i innych produktów. Parker i Gurski wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Spytaj go, na chuj mu tyle żarcia – odezwał się kapitan.

Seget przetłumaczył, ale starszy pan rozłożył bezradnie ręce, więc Parker poprosił kaprała o zapytanie, czy ktoś tu jeszcze mieszka. Gospodarzowi znowu zaczęły trząść się ręce, ale zaprzeczył energicznie:

– *Ja! Tolka ja!*

– Dobra, przepierdalamy ten kwadrat jeszcze raz! – zdecydował Parker.

Seget został w salonie z gospodarzem, a pozostali znowu rozeszli się po domu. Gurski powtórnie przeszukiwał ciasną spiżarnię. Pozdejmował nawet część słoików i poodsuwał półki od ściany. Niestety nic za nimi nie znalazł poza brudem i pajęczynami. Usłyszał z sąsiedniego pomieszczenia:

– Romuś, pozwól no tu na momencik.

Przeszedł więc do całkiem nieźle wyposażonej łazienki. Rozejrzał się bacznie, ale niczego ciekawego nie zauważył.

– No?

– Popatrz na umywalkę, brodzik i wannę.

Roman zmarszczył brwi i przypatrywał się dłuższą chwilę tym urządzeniom, aż w końcu zrozumiał. Brodzik, sedes oraz umywalkę znaczyły kamieniste zacieki. Wanna natomiast była lekko zakurzona i wyglądała, jakby nigdy nikt jej nie używał.

– Nie zauważyłeś tego wcześniej? – Gurski zaczął żartować z kolegi. – Trochę chujowo, sierzancie.

– Dawaj!

Obaj złapali wannę i spróbowali poruszyć. Najpierw na boki, w końcu pociągnęli do siebie. Przesunęła się bezszelestnie razem z kafelkową zabudową i odsłoniła betonowe stopnie, prowadzące w dół.

Roman zawołał Parkera, a ten zerknął na znalezisko i zaraz poszedł do salonu, żeby z Segetem przepytać gospodarza. Tamten jednak konsekwentnie twierdził, że o niczym nie wie i tak naprawdę mieszka tu od niedawna.

– Dostyc tego pierdolenia – zdecydował Jovan i włączył latarkę przymocowaną do karabinu. – Romuś, piszesz się na podziemną trasę turystyczną?

– Z tobą zawsze.

Zeszli powoli na dół. Pierwsze, co Roman poczuł, to intensywny, charakterystyczny smród moczu. Oświetlili wąski korytarz, wzdłuż którego ciągnęły się grube wiązki kabli; była nawet strzałka z napisem „Выход”. Dalej korytarz się rozdzielał. rozległej sali. Na ścianach zobaczyli tam szeregi przycisków i lampek poopisywane cyrylicą. Sprzęt był mocno zakurzony i sprawiał wrażenie technologii z przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych.

– Co to, kurwa, jest? – Sierżant Lacević oświetlał kolejne korytarze, zwracając w głąb lufę karabinu.

Nagle rzuciła się na niego niewielka kudłata postać. Wrzasnął z przerażenia, a Gurski momentalnie położył palec na spuście.

– Nie strzelaj! – krzyknął tamten, choć było już za późno.

W tym samym momencie jednak ktoś podbił lufę karabinu Romana i pociski skrzesały iskry na suficie, rykoszetując z jękiem.

– Nie strzelaj! – ryknął znowu sierżant.

Porucznik zabezpieczył karabin i skierował go na kolegę. Promień latarki oświetlił postać uczepioną Jovana. Niesamowicie brudną, z kołtunem na głowie i w zafajdanej piżamie. Około sześćioletnią dziewczynkę.

– Ona... – Lacević zamilkł na chwilę. – Ona się tylko przytula.

6.

Przygnębiający widok. Przypomniał generałowi Edwardsowi wykłady w akademii na temat drugiej wojny światowej. Historyk wojskowości opowiadał z przekąsem, że kiedy szła Armia Czerwona, znikwały nawet liście z drzew i płonęły rzeki. Frank swego czasu uznał ten opis za grubą przesadę. Ale nie teraz.

Lotnisko w Boryspolu zostało kompletnie zniszczone. Budynki wyleciały w powietrze, a cały pas startowy przeorano tak, aby jego odbudowa zajęła długie tygodnie. Na zachodzie w niebo były potężne słupy czarnego dymu. Podobno było je widać z Żytomierza, a przecież miasta dzieliło ponad sto

kilometrów. Kijów został kilkakrotnie zbombardowany. Pożoga, śmierć i zniszczenie. Był to akt wyjątkowego tchórzostwa. Rosyjskie samoloty startowały z lotniska położonego ledwie trzydzieści kilometrów od ukraińskiej stolicy, zrzucały na nią bomby i odlatywały na rosyjskie terytorium.

– Skurwysyny – usłyszał głos pułkownika Rogersa. – Mogli zostawić te bomby na walkę z nami, co?

– Mogli.

– Podjął pan już decyzję?

– Tak. To bez sensu. Zwijamy się stąd.

Początkowo mieli w planach założenie nowej bazy pod Kijowem, ale stan lotniska był tak zły, że się po prostu nie opłacało. Generał w ogóle był zszokowany kosztami tej wojny. Dwa dni wcześniej dostał rozliczenie. Okazało się, że astronomiczny koszt amunicji i utraconych myśliwców to ledwie jedna piąta wydatków. Potem były sumy pochłaniane przez wojska inżynieryjne, które ciągle musiały coś szykować, odbudowywać, stawiać, naprawiać. Megatony wylanego betonu, no i rzecz jasna gigaletry zużytej benzyny i ropy. Silniki strawiły niemal połowę wykorzystanych dotąd funduszy.

– Czy ta wojna w ogóle może się zwrócić? – powiedział generał ni to do siebie, ni do pułkownika. – Jak tak dalej pójdzie, będzie trzeba zająć Wenezuelę.

– W Czeczenii też mają trochę ropy. – Rogers westchnął. – Jestem pewien, że nasz kochany kongres już o tym pomyślał.

– Opuuszczamy tutaj, globemastery mają zasięg prawie pięciu tysięcy kilometrów z pełnym ładunkiem. Będziemy latać ze Lwowa. Przerzucimy tam jeszcze dwie dywizje z Niemiec.

– Tak jest. A Charków?

Edwards się zamyślił. Z rana otrzymali meldunek, że Rosjanie wycofywali się w takim pośpiechu, że zarówno miasto, jak i lotnisko ocalały.

– Urządzimy tam punkt serwisowy. Niech inżynieria zacznie budowę bazy.

– Jest jeszcze coś. Gdy w nocy zajęliśmy lotnisko, w jednym z pomieszczeń czekał na nas Polak.

– Polak? Jak to czekał? – Generał zmarszczył brwi.

– Siedział przy stoliku, popijał whisky i palił papierosa. No... Czekał na nas. – Wyraz twarzy przełożonego sprawił, że pułkownik dokończył bardzo szybko: – Z wiadomością dla pana od generała Igora Petrowa.

– Tego Petrowa?

– Zdaje się, że tak.

Trzy godziny później obaj siedzieli już w generalskim gabinecie lwowskiej bazy. Dwóch żandarmów wprowadziło szczupłego mężczyznę, ewidentnie po przejściach. Generał przyjrzał mu się uważnie. Wzrok przykuwała przede wszystkim paskudna blizna na prawym policzku.

Żandarm zdjął mu kajdanki, drugi położył na blacie biurka pendrive'a. Edwards wskazał mężczyźnie krzesło, wziął nośnik do ręki i gestem odprawił żandarmów.

– Generał Frank Edwards. Jak mogę panu pomóc?

– Zenon Marczak. Ja jestem tylko posłańcem. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli odtworzy pan to nagranie.

– Zna pan jego treść?

– Oczywiście.

Pułkownik Rogers wziął pendrive'a od generała i wcisnął go w wejście telewizora, wiszącego na ścianie. Wybrał jedyny plik i na ekranie pojawił się generał Igor Petrow w galowym mundurze, siedzący za biurkiem na tle rosyjskiej flagi.

– Dzień dobry – zaczął, patrząc w kamerę. – Mam nadzieję, że zgodnie z moim życzeniem to nagranie trafiło do rąk generała Franka Edwardsa. Walczymy po przeciwnych stronach, ale obaj jesteśmy żołnierzami. Dla mnie i, jak miemam, dla pana najważniejsze nie jest wykonywanie rozkazów, ale służba narodowi, gdyż taką właśnie składaliśmy przysięgę. Nie jestem zdrajcą. Wręcz przeciwnie. Chcę jak najszybciej skończyć to szaleństwo. Proszę mnie zrozumieć, popełniam teraz świętokradztwo. Łamię tajemnicę wojskową, ale muszę... – Generałowi na ekranie na chwilę załamał się głos,

a ktoś spoza kadru podał mu kartkę. Wyraźnie trzęsła się w rękach Petrowa, gdy ten kontynuował: – Rozkaz specjalny numer zero pięć, zero dziewięć, zero osiem łamane na dwa tysiące osiemnaście. Zaminować oraz przygotować do zniszczenia ostrzałem artyleryjskim w razie przedarcia się wroga na mniej niż sto kilometrów od zabudowań następujące miasta: Niżny Nowogród, Jekaterynburg, Czelabińsk, Kazań, Wołgograd, Petersburg, Rostów nad Donem. Moskwa.

Petrow odłożył kartkę i znowu spojrzał prosto w oko kamery.

– To blisko dwadzieścia pięć milionów ludzi, moich rodaków. Dwadzieścia procent rosyjskiej populacji. Za to, co teraz powiem, grozi kara śmierci. Car Władimir I jest szaleńcem. Na pewno pan generał będzie się zastanawiać, czy taki rozkaz rzeczywiście istnieje. Zapewniam pana, że tak. – Przesunął się nieco, a obok niego usiadł mężczyzna w mundurze pułkownika.

– To jest pułkownik Paweł Gawriłow. Nasz wojenny bohater. Jutro mianuję go dowódcą południowego garnizonu w Moskwie. Głównym zadaniem podległych mu wojsk będzie obrona miasta. Jak pan zapewne wie, generale Edwards, jeden z naszych samodzielnych batalionów został okrążony przez pańskie wojska pod Woroneżem.

Edwards porozumiał się spojrzeniem ze swoim pułkownikiem. Doskonale znali sytuację. To była batalion imienia samego Władimira Władimirowicza. Już od ponad tygodnia nie mogli złamać jej oporu. Sfrustrowany kolejnymi stratami, generał Edwards wydał wreszcie rozkaz, aby zaprzestać ataków. Rosjanie byli okrążeni, pozbawieni łączności, dostaw żywności i amunicji. Jedyne, co mieli, to woda ze stawu. Co prawda pojawiły się już sugestie wywiadu, by zatruć zbiornik, ale generał nie wyraził na to zgody.

– By nasz plan się powiódł – ciągnął Petrow – musicie, panowie, uniemożliwić dowódcy batalionu, pułkownikowi Siemionowi Pawłowiczowi Klimowowi, jakikolwiek kontakt z dowództwem. Samodzielny batalion musi pozostać w okrążeniu. Najtrudniejszym zadaniem panów będzie wszakże wyekspediowanie kopii tego batalionu na południową flankę Moskwy. Żołnierze i sprzęt muszą wyglądać dokładnie jak nasze wojsko. Biorąc pod uwagę straty batalionu, oddział powinien liczyć mniej więcej pięciuset żołnierzy i dysponować piętnastoma czołgami, około czterdziestoma wozami

opancerzonymi i siedemdziesiątką samochodów terenowych. Macie na to dwa dni. Zbliżając się do Moskwy, wywołajcie południowy garnizon. Hasło to „Klimow znowu nadaje, psubraty. Wyrwaliśmy się z piekła”. Wierzę, że moja propozycja zostanie potraktowana poważnie.

Petrow zamilkł na dłuższą chwilę, ale przed końcem nagrania dodał jeszcze:

– Moje życie również jest na szali, tak samo jak życie moich rodaków. Skończmy z tym bezsensownym mordowaniem. Gdy Moskwa padnie, wojna będzie skończona. Ludzie znowu zajmą się pracą i swoimi rodzinami. Po tylu latach wojowania w końcu to pojąłem. Życie jest najcenniejsze. Gdy ktoś mówi, że winno się je poświęcić w imię idei, po prostu bredzi.

Rogers wstał, by wyłączyć telewizor. Potem sięgnął po słuchawkę:

– Zabrać go.

Dwóch żandarmów weszło do gabinetu, założyło Polakowi kajdanki i wyprowadziło go bez słowa. Generał Edwards patrzył ciągle w czarny ekran. W końcu powiedział:

– Co ty na to?

– Jestem w szoku.

– Ja też.

Zamyślił się. Ataku na Moskwę nigdy nie brali pod uwagę. Oblężenie dwunastomilionowej metropolii po pierwsze wymagałoby niesamowitego wysiłku, po drugie oznaczało olbrzymie straty, a po trzecie byłoby po prostu szaleństwem. Ale gdyby dostać się tam tylnymi drzwiami i opanować Kreml?

– Wiesz, jak to działa. Jeśli padnie Moskwa i usuniemy cara, to kapitulacja będzie w zasięgu ręki. Oczywiście gdybyśmy oblegali miasto miesiącami, to zdążyłby uciec, ale tak... – Generał Edwards zapatrzył się w sufit. – Nastraszymy ich najpierw trochę, bombardując kilka istotnych punktów. Ale ciągle będą myśleć, że są bezpieczni, a nasze wojska daleko.

– Panie generale – Rogers wreszcie się odezwał. – Ludzi mamy pod dostatkiem. Ale skąd my, kurwa, weźmiemy rosyjskie maszyny? Na polu walki przecież wszystko rozpierdalamy, a załogi, które się poddają, można policzyć na palcach jednej ręki.

– Słownictwo, chłopcze.

- Przepraszam.
- Muszę pogadać z prezydentem. Natychmiast!
- Tak jest.

Rogers otworzył drzwi, ale przystanął w progu. Odwrócił się i spytał:

- A co z tym Polakiem? Wysłać do Lwowa czy do Rammstein?
- Skąd, jak najdalej! To musi być tajemnica. *Guantanamo Bay*.

7.

Spędzili noc pod drzewem, ogrzewając się nawzajem. Nad ranem Natalii tak bardzo szczykały zęby, że się bała, czy ich sobie nie powybijają. Chyba jeszcze nigdy nie było jej tak zimno. Oczywiście, w Irkucku były siarczyste mrozy, ale tam zawsze miała na sobie grubą odzież, a noce spędzała pod dachem. Dopiero poranne słońce sprawiło, że przestała się trząść.

Smutny znosił trudy wędrówki jeszcze gorzej. Rana na czole nie dokuczała mu wprawdzie już tak bardzo, a i pamiątki po spotkaniu ze strażnikami kolei nie bolały pewnie jak wcześniej. Natalia widziała jednak, że chłopaka nie napędza już jeden z ważniejszych dla ludzi motorów. Po prostu stracił nadzieję. Był pewien, że za kilka dni umrą z głodu lub pragnienia.

Cienką strużkę dymu na niebie zauważyli koło południa. Godzinę później nie było już po niej śladu, ale wytrwale szli w tym samym kierunku. To była ich, to znaczy jej, Natalii, ostatnia nadzieja. Dziewczyna wiedziała, że jeśli tam nikt ich nie przyjmie, niczym nie poczęstuje, to wytrzymają jeszcze góra dwa dni. W nocy słyszeli śmigłowiec krążący za ich plecami, gdzieś nad Amurem. Najwidoczniej Smutny miał rację, starszek z rowerem dał znać komu trzeba i teraz chińskie wojsko szukało świadków zbrodniczego ataku na cywilny pociąg.

Do niewielkiego zbocza dotarli kompletnie wyczerpani. Smutny położył się po prostu na ziemi, ciężko dysząc, Natalia usiadła obok. Na sporym wypłaszczeniu w dole widziała niewielki murowany budynek. Ściany nie były otynkowane, a spadzisty blaszany dach pokrywała gruba warstwa mchu.

Z jednej strony sterczał w niebo pordzewiały przekrzywiony komin. To pewnie z niego dobywał się dym, który widzieli wcześniej.

Na lewo od skromnego domu stała nieduża cysterna na metalowym stelażu i ciągnął się długi, wysypany żwirem pas. Widać było, że ktoś dbał o ten wąski kawałek terenu. Regularnie wyrywał zielsko i wybierał co większe kamienie. Pierwsze, co przyszło Natalii do głowy na ten widok, to lotnisko. Tylko na co komu lądować na takim pustkowiu? I czym? Z oddali dobiegł monotony, terkotliwy dźwięk. Szturchnęła leżącego chłopaka w ramię.

– Smutny, popatrz na to.

Podniósł się na łokciu i zerknął w dół zbocza. W kierunku cysterny toczył się traktor z blaszaną bańką na przyczepie. Wiekowa maszyna wyglądała tak, jakby właśnie pokonywała ostatnie metry, jednak jakoś dowlokła się do celu. Silnik umilkł, drzwi się otworzyły i z kabiny wyskoczył kierowca.

– O, ja pierdołę – powiedziała Natalia.

Człowiek ten nosił chałat oraz czarny kapelusz, a jego twarz – dziewczyna nie miała wątpliwości – zdobiły malownicze pejsy, broda i przyciemniane okulary. Ewidentnie był Żydem. Podłączył bańkę do cysterny, a potem zniknął w domu.

– Chodź, poprosimy go o coś do jedzenia.

– To nie jest dobry pomysł – mruknął Smutny.

– Dlaczego?

– Tazsa, rusz głową. Co to w ogóle za miejsce? Ortodoks ma sobie pośrodku niczego chatkę z podręczną cysterną paliwa albo jakichś chemikaliów. Cokolwiek to może być, na pewno nie jest legalne.

– Rób, co chcesz. Ja nie mam zamiaru zdechnąć z głodu!

– Poczekaj!

Natalia zerwała się na nogi i zbiegła po zboczu. Smutny ruszył za nią, ale nie mógł nadążyć. Pierwsza dotarła do budynku i bez wahania pchnęła drzwi. Żyd odwrócił się gwałtownie od kuchni i spojrzał, zdziwiony, na dziewczynę.

– Dzień dobry – powiedziała.

– Dzień dobry, panienko. – Przeniósł wzrok na chłopaka, który właśnie stanął za nią.

– Chcieliśmy prosić o pomoc. Trochę wody i chleba, jeśli macie. Tylko tyle. Nic więcej nie chcemy.

– Ależ proszę bardzo, wejdźcie i siadajcie. Tyle człowiek dla drugiego człowieka zawsze może zrobić.

Natalia rzuciła tryumfalne spojrzenie Smutnemu i przekroczyła próg, a gospodarz błyskawicznie wyciągnął spod stołu strzelbę.

– Nie! – krzyknął Smutny i rzucił się, żeby osłonić dziewczynę.

Huknęło straszliwie w małym wnętrzu, z obu luf buchnął dym, a podwójny ładunek śrutu rozorał prawą stronę klatki piersiowej chłopaka. Żyd złamał broń i wyrzucił łuski, żeby wsunąć kolejne naboje, ale Natalia była już przy nim. Zszokowany siłą i determinacją nastolatki, pozwolił sobie wyrwać strzelbę.

Pierwsze uderzenie kolbą w twarz posłało go na szafki, drugie na kolana, a po trzecim zwałił się bezwładnie na ziemię. Chciałam tylko trochę chleba i wody, powtarzała sobie Natalia, tłukąc go zapamiętałe po głowie. Dlaczego świat musi być taki kurewski? Jeszcze wczoraj, po wyznaniu Smutnego, myślała, że wszystko się jakoś ułoży. Snuła nawet fantastyczne wizje o tym, że ktoś ich przygarnie i doczekają końca wojny, pracując gdzieś spokojnie na roli.

Teraz nie miała już złudzeń. Jej serce przepełniała znajoma gorycz i nienawiść. Utwierdziła się w przekonaniu, że jej pierwsza ocena świata była jak najbardziej sprawiedliwa. Uderzała metodycznie kolbą aż do momentu, gdy ta huknęła w deski podłogi.

Basia obudziła się wystraszona i odruchowo zerknęła na zegarek. Było grubo po dziesiątej! Natychmiast odrzuciła kołdrę, by sprawdzić, czy Piotruś oddycha. Przeraziła się, że coś mu się mogło stać, bo jeszcze nigdy nie dał jej tak długo pospać, ale oddychał spokojnie i równo. Najwyraźniej osiągnął już ten etap, że przerwy między karmieniem mogły być dłuższe.

Wstała ostrożnie, aby go nie obudzić, i wyszła na korytarz. Idąc do salonu, zobaczyła, że drzwi do sypialni Lokomotywy są otwarte, ale nie ma go w łóżku. Poczowała dziwny niepokój na widok opróżnionej, niedomkniętej szafy. W salonie znalazła na stoliku kartkę. A pod spodem plik banknotów.

Czytała powoli, odręczna rosyjskie litery zawsze sprawiały jej większą trudność niż maszynowe.

Warja!

Weź te pieniądze, na pewno przydadzą się Tobie i małemu. W nocy dostałem wiadomość. Niestety nie mogłem Was zabrać ze sobą. Musicie natychmiast uciekać z Moskwy. Ja jestem zły, ale Ty nie. Jesteś dobrą kobietą. Sam nie wiem, po co to piszę. Może przeżyjesz.

Zamiast podpisu koślawy rysunek lokomotywy. Gdy Basia starała się cokolwiek zrozumieć z tej krótkiej notatki, usłyszała łomotanie do drzwi.

– Natychmiast schodzić na dół! Wszyscy do piwnicy!

Pobiegła otworzyć drzwi i zobaczyła ochroniarza z dołu, który walił już do sąsiadów. Na jej widok krzyknął:

– Szybko na dół! Zaraz mają nadlecieć!

– Kto?

Nie odpowiedział, tylko pomaszerował dalej korytarzem. Wtedy usłyszała powolne, przeciągłe wycie. Zamknęła drzwi i podeszła do okna. Do pierwszej syreny dołączały kolejne, aż świdrujący dźwięk poniósł się po całej metropolii. Piotruś zaczął głośno płakać. Basia pobiegła do niego i przystawiła go do piersi.

Dopiero potem spakowała najpotrzebniejsze rzeczy do torby i dopełniła ją jedzeniem z lodówki. Syreny cały czas potępieńczo wyły, gdy ubrała się i wsadzała Piotrusia do nosidełka na szelkach. Windy już nie działały, dlatego zeszła schodami, wyprzedzając starszych i schorowanych ludzi, a młodszych i silniejszych puszczając przodem.

Przy wejściu do piwnicy stał znajomy ochroniarz. Skrzywił się z niechęcią, ale przywołał Basię gestem. Ze szczytu schodów widziała stłoczonych na dole ludzi.

– No już, kobieto! Na co czekasz!?! – warknął ochroniarz.

Przypomniały jej się Katowice i wielodniowe czekanie w piwnicy, aż bomba spadnie na budynek i pogrzebie ich żywcem. Nie, nigdy więcej, pomyślała i odwróciła się do wyjścia.

Na zewnątrz panował kompletny chaos. Ulice były zakorkowane, a syrenom wtórowały przeraźliwe samochodowe klaksony. Część ludzi z pewnością miała jakiś cel i tam pospiesznie zmierzali. Inni też biegli, ale ich stężale, zszokowane twarze świadczyły o tym, że nie mają pojęcia dokąd.

Basia zaliczała się do tej drugiej grupy. Nie wiedziała, dokąd pójść, dlatego po prostu ruszyła ulicą w kierunku Kałasznikowa. To tamtędy przez ostatnie trzy dni chodziła do sklepu. Gdy dotarła do głównej ulicy, usłyszała świst mrozący krew w żyłach. Bił na głowę wycie syren. Narastał z każdą sekundą, aż urwał się nagle, a narożnik jednego z biurowców wybuchł, wyrzucając w powietrze chmurę pyłu i gruz.

Nic mu nie sprawiało takiej radości jak dawniej. Nawet jazda na rowerze po parkowych alejkach i zabawa z innymi chłopakami. Pierwszej nocy w ogóle nie spał. Trząśł się, płakał, i wciąż na nowo przeżywał to, co zrobił. Nie miał pojęcia, dokąd zabrali tatę i siostrę Beatę. To były najgorsze urodziny w jego życiu i był pewien, że już nigdy gorszych mieć nie będzie. Brat Florian próbował go pocieszać. Na drugi dzień zrobili nowy tort, ale Jurek zjadł raptem parę kęsów. Każde jedzenie smakowało, jakby było ze zmielonych pudełek. Po prostu nie miał apetytu.

Zsiadł z roweru, oparł go o drzewo i usiadł na ławce. Kreśląc patykami na piasku esy-floresy, myślał o bracie Florianie. Tak go na początku lubił, a teraz już sam nie wiedział, czy powinien czy nie. Po co to wtedy mówił? Dlaczego powiedział o ojcu i siostrze Beacie? Znał przecież odpowiedź. Był na niego zły, bo ten nie chciał mu dać pistoletu. Wszyscy koledzy mogli strzelać do woli, tylko nie on.

Bartek zahamował obok gwałtownie, wzbijając tumany kurzu. Rzucił niedbale rower na ziemię i usiadł obok Jurka.

– Co robisz?

– Nic – mruknął ten w odpowiedzi. – Idź sobie. Nie chce mi się bawić.

– Yhm. Słuchaj, współczuję ci z powodu taty.

– Dzięki.

– Wiesz co? Mój tata też ci współczuje.

– No i co z tego? – Jurek poczuł, jak wzbiera w nim gniew. Nie chciał z nikim o tym rozmawiać.

– Mój tata mówi, że chyba wie, gdzie on jest.

– No co ty!?

Jurek się ożywił, ale zaraz spochmurniał. W swoje urodziny otrzymał cenną życiową lekcję. Nauczył się, że nigdy nie wiadomo, komu można ufać, a komu nie. Już wiedział, że nie każdy może być jego kolegą. Niektórzy udają. Cały czas miał poczucie, że to brat Florian w jakiś dziwny, magiczny sposób zmusił go do tego, by powiedział to, co powiedział.

– Chcesz wiedzieć?

– Może być. – Teraz Jurek też udawał. Że nie do końca go ta sprawa interesuje. – To niby gdzie?

– Ja nie wiem, ale mój tata może ci narysować mapę. Tylko za żadne skarby nie możesz nikomu powiedzieć, że dostałeś ją ode mnie. Dasz słowo?

– Jasne, daję słowo. Ale dlaczego?

– Tata nie chciał powiedzieć, ale myślę, że się boi.

– Czego?

– Brata Floriana – odparł poważnym tonem Bartek. – Ty jesteś tu krótko. Ale wiesz co? Tu wszyscy się go boją.

Wieczorem w swoim pokoju Jurek długo wpatrywał się w mapę. Była to strona z jakiegoś atlasu z zaznaczonymi ulicami. Naiwnie wierzył, że da sobie radę z odnalezieniem tego miejsca. Przecież umiał czytać, a domach ciągle wisiły tabliczki z nazwami. Poza tym przed wojną często bawił się telefonem taty i czasami włączał mapę, na przykład jak jechali samochodem. Uznał, że najtrudniejszy będzie moment, kiedy trzeba będzie porzucić ulicę i wejść do lasu. Tam, gdzie na mapie widniał znak X.

Położył się do łóżka i zgasił światło. Z początku się bał, że może usnąć, ale był tak podniecony, że wcale nie chciało mu się spać. Czekał bardzo długo, wciąż od nowa licząc do stu, aż w końcu wstał i włączył lampkę. Ubierając się, powtarzał w głowie plan.

Z pokoju wymknął się na korytarz, potem zejście schodami tak, że wartownik przy drzwiach na pewno go nie zauważy. Przemknął do sali

gimnastycznej, gdzie jest dziura po wentylatorze w oknie. Kraty na zewnątrz osłaniały szyby, ale nie otwór po wiatraku. Dorosły nigdy by się tamtędy nie przecisnął, ale on da radę.

Wziął do ręki plecak z jedzeniem. Oszczędzał przez cały dzień, a wieczorem zwinął jeszcze trochę z kuchni. Pomyślał, że po tych kilku dniach tata będzie bardzo głodny. Jurek nie lubił siostry Beaty, bo uważał, że ona też była winna. Przecież tata miał już żonę, jego mamę. Ale mimo wszystko pewnie da jej trochę jedzenia. W końcu trzeba się dzielić z innymi. Tak zawsze mówili rodzice.

Odwrócił się gwałtownie, gdy do pokoju wpadło światło z korytarza. W drzwiach stał uśmiechnięty brat Florian.

– Cześć, Jurek, wybierasz się gdzieś? Nie za późno trochę?

Chłopiec sięgnął do plecaka i wyciągnął pistolet. Uniósł broń oburącz i wymierzył we Floriana.

– Uuu, poważna sprawa. – Florian podniósł ręce i usiadł spokojnie na łóżku. – Powiem ci, że sprytnie zwędziłeś jedzenie z kuchni. Dobrze tego pilnujemy i niejednemu dorosłemu by się nie udało. Ale z tym pistoletem to totalne zaskoczenie. Mówiłem ci już, że wybijasz się ponad innych kadetów?

– Co to znaczy?

– Że jesteś lepszy. W ćwiczeniach też strzelałeś najlepiej. Masz talent, chłopie. – Florian się uśmiechnął. – Mogę opuścić ręce?

Jurek skinął powoli głową, a on opuścił ramiona i kontynuował przyjaźnie:

– To jak, powiesz mi, dokąd się wybierasz?

– Po tatę.

– Ach, tak... Ale wiesz, że on jest już dawno za granicą?

– Co? – Jurek potrząsnął głową z niedowierzaniem.

– Właśnie tak. Twój tata postanowił, że będzie teraz żył z moją żoną. Ty i ja zostaliśmy przez nich porzuceni. Zdradzeni.

Chłopiec poczuł, że w oczach wzbierają mu łzy. Czy to możliwe? Czy brat Florian mówił prawdę? Jurek wiedział, że tata był na niego zły. Ale czy mógłby go zostawić? Chyba nie. Z drugiej strony przed wojną nieraz mówił

do Natalii, że jak coś jej się nie podoba, to może się wyprowadzić i żyć po swojemu.

– To niemożliwe! – krzyknął. – Nie wierzę ci!

– No już. – Florian podniósł się z miejsca. – Daj ten pistolet i kładź się spać.

– Nie ruszaj się! Bo strzełę.

– Naprawdę? – Mężczyzna się uśmiechnął. – Zabiłeś kiedyś człowieka?

Wiesz, co to znaczy?

– Nie. – Głos Jurka zabrzmiał cicho i słabo.

Brat Florian wyciągnął do chłopca rękę. Wtedy ten przypomniał sobie wydarzenia z zeszłego roku. Gdy rosyjski żołnierz chciał do nich strzelać w lesie, a tata zabił Rosjanina. Zrobił to, żeby ratować Jurka. A teraz on musiał uratować tatę. Nacisnął spust.

Rozdział VI

1.

Nigdy wcześniej nie był w Egipcie. Pałac Abdeen zrobił na Charlesie Petersonie duże wrażenie, choć psuli je nieco turyści z aparatami, ustawieni w kolejce przed wejściem. Zabytkowa siedziba prezydenta Egiptu była jednocześnie dość popularnym muzeum.

Prawdziwa niespodzianka czekała na dyrektora CIA w sali konferencyjnej. Przy długim dębowym stole, oprócz prezydenta Abd al-Fattah as-Sisiego, siedziało trzydziestu mężczyzn w generalskich mundurach.

Wszyscy wstali na jego powitanie. Musiał z każdym wymienić uścisk dłoni. Odpowiadali mu uśmiechem, recytując swoje wieloczłonowe imiona i nazwiska. Jedynym człowiekiem w garniturze po stronie egipskiej był sam prezydent, czekający u szczytu stołu, ale również on miał wojskową przeszłość. Peterson wiedział, że wybieranie na ten urząd członków armii praktykowano w tym kraju od dawna.

Gdy wszyscy w końcu usiedli, prezydent as-Sisi powiedział:

– Cieszę się, że możemy pana u nas gościć, dyrektorze Peterson. Rozumiem, że wypowiada się pan w imieniu rządu i prezydenta Stanów Zjednoczonych?

– Oczywiście. Zgodnie z przedstawionymi dokumentami.

– Przyznam, że wasza oferta jest dość nietypowa.

– Panie prezydencie, tak to już czasami bywa. Od lat jesteście naszym sojusznikiem, a uznaliśmy, że z czymś takim najlepiej zwrócić się do przyjaciół. – Dyrektor CIA pochylił z szacunkiem głowę.

– Tak, tak. Oczywiście cieszymy się, że możemy być przyjaciółmi tak szacownego kraju jak Stany Zjednoczone. – As-Sisi się zamyślił. – Proście

więc nas o dwadzieścia czołgów, pięćdziesiąt transporterów opancerzonych i sto terenówek?

– Jedyne warunki są takie, by były one rosyjskiej produkcji.

– Zawsze myślałem, że Ameryka nie ma problemów z uzbrojeniem.

Po tej wypowiedzi prezydenta jego trzydziestu generałów jakby się przebudziło. Szeptali między sobą, ale żaden nie odezwał się głośniej.

– Prowadzimy wojnę z Rosją i potrzebujemy ich sprzętu do testów – powiedział dyrektor CIA. – W zamian oferujemy odpowiednią liczbę naszych Abramsów trzeciej generacji, Strykerów i Humvee.

Doradcy ponownie zaszemrali. Trochę donośniej i może nawet z jakimś podziwem. Dłuto i młotek za udar z kompletem wiertel. Przepaść technologiczna.

– Wie pan, jakie pytanie ciśnie mi się na usta? – spytał prezydent.

– Gdzie jest haczyk?

– Właśnie. Chciałem w imieniu mojego narodu oraz całej Afryki stanowczo podkreślić, że nie życzymy sobie twardych amerykańskich wpływów w naszym regionie. Współpraca: tak. Sterowanie: nigdy.

Peterson uśmiechnął się ze zrozumieniem. Od dawna miał wyrobione zdanie na temat Afryki. Był to kontynent, który na swoje nieszczęście, został spisany na straty przez resztę świata. Współczesna historia od początku nie układała się dla tubylców zbyt dobrze. Dżentelmeni w europejskich gabinetach ignorowali podziały między plemionami i wytyczali granice nieomal tam, gdzie popiół z ich cygar spadł na mapę. Ten grzech założycielski ciągnął się do dzisiaj, a w afrykańskich państwach co i rusz wybuchały konflikty. Reszta świata wpłacała regularnie środki na organizacje wysyłające tam pomoc charytatywną. W ten sposób wszyscy kupowali sobie czyste sumienie, a w Afryce nic się nie zmieniało.

– Gwarantuję, że amerykański rząd nie ma zamiaru ingerować w wasze sprawy.

– Wróćmy do sprzętu. O jakich liczbach mówimy?

– Jeden do jednego. Dwadzieścia rosyjskich czołgów za dwadzieścia naszych.

Najbliżsi doradcy szepnęli prezydentowi kilka słów po arabsku, a ten spojrział na dyrektora CIA twardo i powiedział:

– Jeden do dwóch. Dajemy dwadzieścia rosyjskich T-72 za czterdzieści amerykańskich Abramsów.

– Zgoda – odparł tamten bez wahania.

Na sali podniósł się rumor, kilku doradców wstało i pokrzykiwało nerwowo, pryskając śliną. Inni kręcili głową z niedowierzaniem, a prezydent Egiptu skrzywił się z niesmakiem.

– Jak to tak? Bez targowania?

– Myślę, że nie ma takiej potrzeby. Stany Zjednoczone doskonale wiedzą, kiedy ich pozycja negocjacyjna jest słabsza. Moim zadaniem jest zawarcie tej transakcji, niezależnie od kosztów.

– W takim razie nie ma mowy.

– Dobrze, chwileczkę. – Dyrektor CIA uniósł uspokajająco rękę. – Nasze uzbrojenie jest nowocześniejsze, proponuję więc dziesięć naszych za dwadzieścia rosyjskich czołgów.

– Co takiego?! – prezydent Egiptu udał święte oburzenie, ale jego oczy tryskały radością. – Toż to zniewaga naszego całego narodu! Dwadzieścia za piętnaście. To wszystko, na co możemy pozwolić!

– Tak?! – Peterson walnął w stół otwartą dłonią. – W takim razie dziękuję za zaproszenie! Proszę mnie nie odprowadzać, sam trafię do wyjścia.

Zerwał się na równe nogi i ruszył do drzwi, ale drogę zagrodziło mu piętnastu generałów, nakłaniając gestami, po angielsku i po arabsku zapewne też, aby wrócił na miejsce. Charles Peterson usiadł, ale aż jęknął w duchu, gdy usłyszał, jak egipski przywódca zapowiada posiłek z racji tego, że negocjacje potrwają z pewnością do późnej nocy. Tylko po to, by po długich bojach doszli do pierwotnej rozsądnej propozycji. Co kraj, to obyczaj.

Uznał, że na dzisiaj wystarczy. Na początku wlał w siebie dwa jasne piwa, potem wypił pięćset gram wódki, a teraz kończył, sącząc mocne ciemne. Artiom Szujski odstawił butelkę na blat, wykonany z kolorowej płyty pilśniowej i podziękował Miszy. Nie zapłacił, bo tego dnia nie miał

pieniędzy, ale właściciel baru znał Artioma i wiedział, że zawsze oddaje długi, gdy tylko dostanie emeryturę.

Szujski pchnął drewniane drzwi i wyszedł na zewnątrz, mrużąc oczy w jasnym słońcu, oślepiającym wręcz po ciemności, jaka panowała wewnątrz lokalu. Używane przez okolicznych mieszkańców określenie „bar” było trochę na wyrost, bo tyczyło się po prostu nieco większej budy, postawionej obok przystani promowej na wschodnim brzegu rzeki Ob. Było to jednak jedyne miejsce w promieniu pięćdziesięciu kilometrów, gdzie dało się napić w spokoju. Nawet w domu Artiom musiałby słuchać gadania Wiktorii Borysowny.

Ruszył piaszczystym brzegiem, myśląc o swojej małżonce, która zapewne znowu zrobi mu awanturę. Że też jej się to nie nudziło? Artiom pił codziennie od ponad czterdziestu lat. A ile byli ze sobą? Gdy uświadomił sobie, że przeszło pięćdziesiąt, aż się zatrzymał na chwilę, zaskoczony. Kiedy te wszystkie lata zdążyły minąć? Musiał uczciwie przed samym sobą przyznać, że awantury o picie robiła mu zaledwie od lat dziesięciu, zaniepokojona stanem jego zdrowia. Tyle że Artioma w jakiś sposób – był o tym przekonany – alkohol konserwował. Wielu przyjaciół oraz znajomych jak i członków rodziny już pochował przez tę truciznę. Jednak on nigdy nie tankował do upadłego, tak jak jego kumple. Wolał się utrzymywać przez większą część dnia na lekkim rauszu.

W połowie drogi przystanął na chwilę przy zwałonym konarze. Tak zrobił, żeby popatrzeć na przeciwległy brzeg. Ob nie miał w tym miejscu nawet pięciuset metrów szerokości. Dlatego doskonale widać było okazały, murowany dom pokryty elegancką dachówką. Stał na niewielkiej skarpie na zachodnim brzegu. Gustowna willa należała do rodzonego brata Artioma, Piotra. Tamten brzeg zawsze radził sobie lepiej od wschodniego. Jedyna w okolicy przeprawa mogła obsłużyć raptem trzy samochody osobowe albo dwie niewielkie furgonetki naraz. Ale to nie jedyna przyczyna powodzenia starszego brata. Piotr po prostu był mądrzejszy i miał, jak to mawiają, smykałkę do interesów. Od trzydziestu lat ze sobą nie rozmawiali. Najpierw Artiom zazdrościł bratu każdego sukcesu i tego pięknego domu. Potem go znienawidził. A teraz? Chyba nic nie czuł. Miał prawie osiemdziesiąt lat

i śmiało mógł powiedzieć, że już go to wszystko jebie. Jednak za każdym razem, wracając z Saint Tropez – bo taką nazwę nosiła buda nad rzeką – przystawał na chwilę i patrzył na willę na zachodnim brzegu Obu.

Po chwili wspiał się po niewielkiej skarpie i wyszedł na asfaltową drogę, usianą dziurami. Przystanął ze zdziwieniem, widząc na poboczu wojskowe samochody. Terenówka i ciężarówka, obie z chińskimi symbolami wymalowanymi na drzwiach. Zauważył, że kilku żołnierzy stawia między drogą a brzegiem rzeki jakąś solidną konstrukcję.

Podszedł bliżej, upewniając się, czy to aby wypity alkohol nie płata mu figli. Ale nie, żołnierze naprawdę mieli chińskie flagi na rękawach. Uśmiechnęli się do podchodzącego staruszka życzliwie, nie przerywając ciężkiej pracy. Ten zadarł głowę i popatrzył na tablicę, montowaną do metalowego stelaża osadzonego w betonie. Duże czarne znaki na białym tle nic mu rzecz jasna nie powiedziały, bo były chińskie.

– A cóż to chłopcy tu robicie? – spytał bez większej nadziei, że któryś mówi po rosyjsku.

– Stawiamy tablicę informacyjną – odparł wesoło jeden nie najgorszą ruszczyzną.

– Gdzie żeś się tak chłopie po naszymu nauczył gaworzyć?

– Pracowałem osiem lat we Władywostoku, proszę pana.

Skończyli montować pierwszą blachę i wyciągnęli z ciężarówki kolejną, żeby przykręcić poniżej tej z chińskimi znakami. Szujski z racji wieku oraz tego, że choć powinien, nigdy nie nauczył się nosić okularów, wzrok miał bardzo słaby. Ale litery takiej wielkości mógł przeczytać nawet on.

– Co? Granica jakiego państwa?

Żołnierze popatrzyli po sobie niepewnie, pewnie się zastanawiając, czy w ogóle warto mu udzielać odpowiedzi. W końcu ten władający rosyjskim powiedział:

– Granica Chin.

– To jakiś żart? – Artiom roześmiał się. – Przecie tu Rosja, synkowie.

Tamci bez słowa wrócili do pracy. Popatrzył jeszcze raz na ich mundury, na wojskowe pojazdy i przestał się śmiać.

– Zaraz – mruknął. – To tu będą Chiny, a po drugiej stronie rzeki Rosja?

– Nie do końca. – Chińczyk podrapał się w głowę, przekrzywiając hełm.
– Kiedy wojna się skończy i wygrają Amerykanie, to tam będą Stany Zjednoczone.

Szujski kompletnie zbaraniał, a potem chciał się znowu roześmiać, ale coś mu dziwnie ścisnęło gardło.

Ostatni raz tak żwawo brakujące trzy kilometry do domu pokonał chyba jeszcze jako dwudziestolatek. Wparował do środka jak burza, a Wiktorja Borysowna podniosła się gwałtownie z fotela i zaatakowała z wściekłością.

– No proszę! A któż to w końcu wraca! Nasz moczymorda utracony! Człowieku, ty masz przecież prawie osiemdziesiąt lat! Ostatni raz ci wybaczam! Zobaczysz, wyprowadzę się do siostry, do Ufy i...

Urwała nagle, widząc jak zaspany Artiom wyciąga z szafy walizkę i rzuca ją na łóżko. Uniosła dumnie głowę, spojrzała wyniośle na męża i powiedziała:

– Dobrze, skoro tego właśnie chcesz, to proszę bardzo. Wiedz tylko, że siostra od dawna mnie namawia, żebym zostawiła cię tutaj samego i zamieszkała u niej. Jeśli myślisz, że wrócę po tygodniu, to srogo się mylisz. Zastanów się lepiej...

Wiktorja Borysowna znowu przerwała w pół zdania, widząc, jak Artiom pakuje do walizki swoje rzeczy. Do oczu napłynęły jej łzy; rzuciła się do męża.

– Co ty robisz!?! Artiom, nie wygłupiaj się. Przecież ja się po prostu martwię o ciebie. – W ogóle nie reagował, rozplakała się więc na dobre i zaczęła krzyżeć: – Masz kogoś, tak?! To Anna?! Wiedziałam, po prostu wiedziałam! Coś tak czułam. Moja intuicja nigdy mnie nie myli. Wiedziałam kiedyś jej rower oparty o tę cholerną budę przy promie!

Szujski domknął walizkę i spojrzał na żonę, jakby dopiero teraz zrozumiał, co mówi. Usiadł na łóżku, otarł spocone czoło wierzchem dłoni i powiedział:

– Kobieto, co ty znowu pierdolisz? Pakuj się, idziemy do Piotra.

– W imię ojca i syna. – Wiktorja przeżegnała się z trwogą. – Do twojego brata?

– A kogo innego?

- Co się stało?
- Chcesz mieszkać w Chinach czy w Ameryce?

Kobieta otworzyła usta tak szeroko, że gdyby miał lepszy wzrok, mógłby obejrzeć jej migdałki.

- No co ty, Artiom. Tu, u nas, w Januszkowie. Gdzie nam będzie lepiej?
- A ja wolę w USA. Pakuj się!

2.

Miał związane ręce i klęczał na podłodze. Nie podnosił wzroku. Bardzo rozsądnie. Wokół niego stało siedmiu mężczyzn z długą bronią, a każdy z nich załatwiłby sprawę w najprostszy sposób. Cały magazynek w starego. Tu i teraz. Ale musieli czekać na decyzję kapitana Parkera, który wyszedł, połączyć się z dowództwem.

Roman patrzył nerwowo na swoich kolegów. Otrzymał zadanie zapanowania nad pozostałymi żołnierzami, ale zastanawiał się, czy sprosta. Zresztą, Boże drogi, sam najchętniej rozwaliliby tego zboczeńca. Na łóżku siedziały trzy dziewczyny, a najstarsza, właściwie młoda kobieta, trzymała na rękach dziecko, które wcześniej przywarło do Jovana. Wciąż ssało zajadle kciuk, zdeformowany od nieustannego trzymania w ustach. Wszystkie były potwornie brudne, a ich blada cera i światłowstręt świadczyły o tym, że długo nie wychodziły z piwnicy.

Okazało się, że ulotki, których znaleźli całą stertę, nie dotyczyły jednej poszukiwanej dziewczynki, a trzech. Żenia zaginęła w listopadzie 2016 roku, miała wtedy osiem lat. Tatianę, wówczas dziesięciolatkę, widziano po raz ostatni, gdy wychodziła z domu do szkoły trzeciego października 2014 roku. Najstarszej, Ludmiły, szukano od 2011 roku. Dziwił olbrzymi rozrzut miast, z których pochodziły. Omsk, Samara, Perm. Nie było żadnej ulotki z informacją o sześciolatce. To było w tym wszystkim najgorsze. Mała siedziała na kolanach najstarszej Ludmiły i prawdopodobnie urodziła się już w niewoli.

Urządzenia znalezione w piwnicy potwierdzały, że faktycznie kiedyś znajdował się tutaj węzeł łączności, ale były to tylko puste skorupy po dawnych instalacjach, wypatroszone nawet z przewodów. Związany starzec nie chciał wiele mówić, ale podejrzewali, że albo odkrył zakamuflowane zejście pod ziemię już po kupnie domu, albo wybrał właśnie ten dom ze względu na jego tajemnicę, które świetnie odpowiadała jego ponurym potrzebom

Do środka wrócił Parker. Po przygnębieniu i skrajnym zdenerwowaniu, które malowały się na jego twarzy, Roman poznał, jaka była decyzja. To się nie spodoba chłopakom, pomyślał.

– Dobra, zaraz będzie ewakuacja, przyszykujcie się. – Głos kapitana drżał z emocji.

– A co z nimi? – Garcia wskazał ręką dziewczynki na łóżku i związanego na podłodze.

– Odpowiedź dowództwa jest jednoznacznie negatywna. Misja wykonana, mamy wracać do bazy.

– To jakiś pierdolony żart?

– Sierzancie, nie przeginajcie.

– To rozwalmy chociaż tego skurwysyna!

– A one zdechną tu z głodu! – Parker też podniósł głos. – Miasta, z których pochodzą, są ponad tysiąc kilometrów stąd! Co? Mam, kurwa, zadzwonić na policję?! „Dzień dobry, oddział do zadań specjalnych, chcielibyśmy zgłosić przestępstwo. Aha, jakby co, to jesteśmy z US Army”. Tak mam im powiedzieć?

Siedzące na łóżku dziewczynki nawet nie drgnęły. Prawdopodobnie nie rozumiały ani słowa, ale czuły, że ta cała awantura dotyczy właśnie ich. Wiedziały, że właśnie ważą się ich losy. Jeśli żołnierze odejdą, one wrócą do piwnicy. Pojmował to także związany mężczyzna, bo lekko uniósł głowę, a jego wargi ułożyły się w coś na kształt uśmiechu. Seget szarpnął go w górę za gardło i warknął:

– Coś cię śmieszy, skurwysynu?!

– Spokój! – Gurski natychmiast odciągnął kaprała, a stary upadł z powrotem na kolana, krztusząc się i charcząc.

– Kurwa, Dave. Poważnie? – Sierżant Garcia porzucił formalny ton i wyraźnie odwoływał się do ich wieloletniej znajomości. – Zostawimy je w tym gównie?

– A co mam zrobić?! Taki dostałem rozkaz. Nie moja wina, że świat jest taki popierdolony. Że ktoś rucha dziewczynki w piwnicy. To jest wojna! – Parker tracił panowanie. – I jakbyś nie wiedział, ta wojna to też nie moja wina. Chcesz zbawić pierdolony świat, to zapisz się do krisznowców czy chuj wie czego. Mnie, kurwa, o sens nie pytaj!

– Całego świata nie da się zbawić. – Sierżant z kolei mówił powoli i łagodnie. – Ale może zrobimy dla odmiany na tej wojnie coś innego niż zabijanie i rozpierdalanie budynków. Co?

Ludmiła się poruszyła, wstała powoli, podeszła z dzieckiem na rękach do Parkera. Postawiła je na podłodze i pchnęła delikatnie do niego, ale ono z powrotem przywarło do matki.

– Proszu was, wozmitie chotjaby jejo. Jej szest' liet.

– Ona mówi, żeby zabrać chociaż małą. Że ma sześć lat – wyjaśnił cicho kapral Seget.

Parker odwrócił się do okna, ale Roman widział jego twarz w brudnym lustrze, wiszącym w kącie. Po policzkach kapitana spływały łzy. Gdy się zorientował, że Gurski to dostrzegł, zerwał z głowy hełm i roztrzaskał nim lustro, a zaraz potem szybę w oknie. I kolejną, i następną, aż wytłukł wszystkie w pomieszczeniu. Przerażone dziewczynki zbiły się w ciasną gromadę. Nikt nie śmiał się odezwać. Cisza potrwiała minutę, może dwie, nim z zewnątrz doleciał wzmagający się łoskot śmigłowca. Gdy maszyna lądowała przed domem, wtłoczyła przez okna zimne powietrze i kurz.

– Zabierzcie je do śmigłowca – polecił Parker.

– Dave, to jest bardzo dobra decyzja. – Sierżant klepnął go po ramieniu.

– Pierdol się.

Wyszli na zewnątrz, prowadząc między sobą wystraszone dziewczynki. Gdy jednak zaczęli się pakować na pokład black hawk'a, jeden z pilotów odpiął pasy, przeszedł do tyłu i ryknął, przekrzykując hałas wirnika:

– Co jest, do chuja!? To statek powietrzny wojsk Stanów Zjednoczonych! Tylko żołnierze!

– Będzie pan musiał o tym porozmawiać z kapitanem! – odkrzyknął Gurski.

– A gdzie on jest?!

W odpowiedzi porucznik tylko wskazał budynek, w którym właśnie zgasło światło. Po chwili w ciemnych oknach błysnął strzał, a zaraz po nim dwa następne. Pilot zmarszczył brwi, tymczasem Parker, zanim zameldował się w maszynie, poszedł jeszcze do budy po owczarka.

Gdy kapitan ułożył psa w śmigłowcu i wreszcie sam zajął miejsce, pilot jeszcze się zastanawiał, czy nie zaprotestować. Gurski widział, że się wahał – przynajmniej dopóty, dopóki jego spojrzenie nie padło na twarz Parkera, który definitywnie nie przejawiał ochoty na jakąkolwiek konwersację. Lotnik jeszcze raz popatrzył na brudne, śmierdzące dziewczynki oraz spętanego psa, zrezygnowany, machnął ręką i wrócił na swój fotel.

– Ja pierdolę, ja jebię, a chuj z tym wszystkim. Zawsze, kurwa, problemy z tymi specjalsami – mamrotał, zapinając pasy. Zerknął na siedzącego obok kolegę i warknął: – Co się, kurwa, patrzysz? *Spin that shit!*

Drugi pilot zwiększył obroty silnika i black hawk się uniósł.

Wieczorem następnego dnia siedmiu żołnierzy siedziało jak na szpilkach w kącie jednego z namiotów lwowskiej bazy. Lacević, Boski i Seget grali w tysiąca, ale żaden nie skupiał się na grze. Lacević nie zameldował czterdziestu, a Seget zapomniał, że jego karo miało bicie, bo przecież wcześniej wołał osiemdziesiąt. Po prostu wykonywali mechaniczne ruchy, ale myślami byli gdzie indziej.

Janik po raz setny sprawdził właśnie stan plecaka i czy aby na pewno ma w nim wszystko, co niezbędne do ratowania życia. Po raz setny stwierdził, że wszystko się zgadza. Poukładał więc wszystko starannie na tych samych miejscach. Wójcik czyścił karabin snajperski z taką zaciekłością, że Roman zwątpił, czy broń jeszcze kiedyś wystrzeli. Ale najbardziej zdenerwowany był rzecz jasna sierżant Garcia. Zeżarł dawno wszystkie swoje orzeszki, a teraz tak pracował nogą, że linoleum pod jego butem przetało się na wylot.

Gdy do namiotu w końcu wszedł Parker, wszyscy skoczyli na równe nogi i ciasno go otoczyli. Nie spieszył się ani trochę, więc Garcia,

zniecierpliwiony, odezwał się pierwszy:

– Przestań, ty fiucie. To nie Oskary.

– Dostałem naganę z wpisem do akt za niewykonanie rozkazu. Do tego dwa lata więzienia.

– Co za syf – jęknął sierżant. – Jak Edwards mógł to zrobić?

– Ze względu na przebieg służby oraz fakt, że trwa wojna, te dwa lata są w zawieszeniu.

– Ekspresowy wyrok – mruknął, nie kryjąc zadowolenia, Gurski.

– Generał Edwards pomógł. – Parker wzruszył ramionami. – Potem uścisnął mi dłoń i pogratulował ludzkiej decyzji. Tak więc wygląda na to, że jeszcze się trochę ze mną pomęczycie.

Zaczęli się nawzajem przekrzykiwać i poklepywać oraz ścisnąć Parkera. W całym tym podnieceniu nikt nie zwrócił uwagi na jego strój. Pierwszym, który coś zauważył, był sierżant Lacević. Wypatrzył trójkolorową flagę, dwugłowego orła oraz nazwisko wypisane cyrylicą.

– Ej, kurwa. A co to jest?

Zamarli, gdy w końcu zauważyli, że Parker ma na sobie rosyjski mundur.

– Nowe zadanie.

3.

Jeden z punktów obserwacyjnych południowego garnizonu moskiewskiej obrony mieścił się w wysokim bloku zaraz przy stacji metra Ulica Akademika Jangiela. Z mieszkania na ostatnim, dwudziestym trzecim piętrze wyproszono w ekspresowym tempie lokatorów. Pułkownik Paweł Gawriłow siedział na kanapie, sącząc prosto z butelki amerykański burbon. Pozostali oficerowie, obsługujący radiostację i śledzący rozwój wydarzeń na ekranach i sztabowych mapach, nie protestowali. Głównie z tego powodu, że ochoczo dzielił się z nimi okazałym zapasem trunków. A poza tym był dowódcą.

Poprzedniego wieczoru do Moskwy dotarła wiadomość o tym, że samodzielny batalion imienia cara Władimira I wyrwała się z okrążenia pod Woroneżem i w szybkim tempie zmierzała do Moskwy. Do tej pory jednak

ani pułkownik, ani generał Petrow nie wiedzieli, czy to prawdziwa formacja pułkownika Siemiona Klimowa czy też amerykańska mistyfikacja. Oczywiście Petrow niezwłocznie udał się do Moskwy, by przekonywać Władimira Putina, że bohaterowie spod Woroneża powinni w glorii i chwale wjechać aż na plac Czerwony, gdzie następnego dnia będą mogli spotkać się z mieszkańcami Moskwy, by wlać trochę otuchy w ich serca.

Gawriłow wiedział, że plan stoi na bardzo cieniutkich nogach, a że w dodatku grzęzną w bagnie. Generał nie cieszył się zaufaniem cara z powodu ostatnich porażek. Bomby, okresowo spadające na Moskwę, również nie poprawiały rokowań ani samopoczucia rosyjskiego władcy. Sam dowódca również nie był przekonany do planu, ale sfałszowany rozkaz zaminowania rosyjskich miast zrobił na nim piorunujące wrażenie i skłonił do działania. Gawriłow nie wątpił, że ktoś taki jak Petrow naprawdę przejął się możliwą hekatombą rodaków. Oczywiście powiedział generałowi, że rozkaz ten udało mu się przechwycić cudem, bo był przeznaczony dla wąskiej grupy jednostek specjalnych i komórek wojskowego wywiadu. Wielką niewiadomą ciągle pozostawali jednak Amerykanie. Czy Zenon dostarczył wiadomość? Czy tamci połknęli haczyk? Czy ta główniana wojna wreszcie się skończy i Gawriłow będzie mógł wrócić do Polski po pieniądze?

Radio zaskrzeczało, jeden z południowych posterunków poprosił zbliżający się oddział o identyfikację. Pułkownik nachylił się do głośników, oczekując w napięciu odpowiedzi.

– Klimow znowu nadaje, psubraty! – Chrapliwy głos. Rosyjski, bez akcentu. – Wyrwaliśmy się z piekła.

W odpowiedzi w eterze zmieszały się entuzjastyczne głosy operatorów z pozostałych posterunków, którzy usłyszeli meldunek. Wszyscy gratulowali pułkownikowi Klimowowi.

– Którędy jadą? – spytał Gawriłow.

– Zjeżdżają z M2 na Autostradę Warszawską.

Chwycił lornetkę i opuścił prowizoryczny sztab. Pobiegł klatką schodową w górę i wypadł na dach. Podszedł do krawędzi, rozejrzał się ostrożnie i wyciągnął telefon. Było to bezpieczne urządzenie, które łączyło się tylko z drugim takim samym aparatem.

- Mów – odezwał się w słuchawce Petrow.
- Wygląda na to, że wszystko idzie zgodnie z planem. Padło hasło.
- Dzięki Bogu.
- Jak sytuacja na Kremlu?
- Nie za dobrze. Car chyba mi nie ufa. W każdej chwili mogą mnie zgarnąć.
- Masz tam kogoś do pomocy?
- Pozwól, że sam będę się o to martwił. – Generał był bardzo ostrożny. – Jeśli Amerykanie zaatakują pałac, zrobimy wszystko, by im to ułatwić. Pilnuj, żeby dotarli tu bez przeszkód.
- Tak jest.

Pułkownik rozłączył się i podniósł lornetkę do twarzy. Z tego miejsca doskonale widział grupę czołgów i transporterów opancerzonych, przecinających potężne skrzyżowanie autostrady M2 z MKAD, czyli obwodnicą Moskwy. Pierwsze czołgi miały czerwony napis z nazwą rosyjskiej stolicy. Osmolone, noszące ślady ciężkich potyczek. Również transportery opancerzone wyglądały na sterane i podniszczone. Wielu spośród żołnierzy, jadących na wierzchu, miało opatrunki. Batalion wyglądał jakby naprawdę wyrwał się z wielodniowego okrążenia. To jest zbyt autentyczne, pomyślał Gawriłow, nerwowo przełykając ślinę. A co, jeśli to prawdziwy Carski? Tylko skąd znalazłyby hasło? Nagle pułkownika nawiedziła straszna myśl; ugięły się pod nim nogi. Przecież ktoś mógł przechwycić meldunek. W taki wypadku to mistyfikacja w mistyfikacji, mająca zaprowadzić Gawriłowa i Petrova na śmierć.

Realizm zrobił na Gurskim podobne wrażenie jak na pułkowniku Gawriłowie. Porucznik siedział teraz w jednym z transporterów opancerzonych. Ich mała, ośmioosobowa grupa jechała z przodu, zaraz za czterema czołgami. Mieli sfatygowane mundury, a zarośnięte twarze pokrywał brud, podrasowany z wprawą pędzelkami charakterystek.

Amerykanie podeszli do sprawy bardzo poważnie i z rozmachem. Jeszcze zanim przetrzucili sprzęt z Egiptu, zwrócili się o pomoc także do najważniejszych przedstawicieli prężnie działającego amerykańskiego

przemysłu rozrywkowego – do Hollywood. Sztab ludzi pracujących przy takich produkcjach jak *Kompania braci* czy *Szeregowiec Ryan* stanął na wysokości zadania. Cały batalion wyglądał, jakby przez ostatnie dziesięć dni rzeczywiście brał udział w wyczerpujących walkach. Mundury postarzone i poniszczone fachowo przez kostiumologów, czółgi odpowiednio usmolone, transportery poobijane, a niektóre pancerne burty dosłownie ostrzelane. Nawet szyk pojazdów został ustawiony przez jednego z reżyserów, a aktorzy pokazali żołnierzom jak iść, zataczając się ze zmęczenia i rzucając wkoło otępiełe spojrzenia.

Największych problemów przysporzyło zebranie żołnierzy, mówiących wystarczająco dobrze po rosyjsku. W całej armii, liczącej niemal pół miliona ludzi, znalazło się raptem kilkunastu takich delikwentów, a ich znajomość języka i tak pozostawiała wiele do życzenia. Obok kierowcy siedział szeregowy Bradley, na sobie miał jednak mundur pułkownika, bo wcielał się w samego Siemiona Klimowa. W wieku pięciu lat wyjechał z ojcem na placówkę dyplomatyczną do Moskwy i spędził tam następne czternaście lat. Eksperti uznali, że to właśnie Bradley mówi po rosyjsku najlepiej i bez jakiegokolwiek słyszalnego akcentu.

– Zbliżacie się do posterunku numer dziewiętnaście. Zidentyfikujcie się – zatrzeszczał w radiu znudzony głos operatora. Przecież wszyscy doskonale wiedzieli, że to batalion wjeżdża do centrum Moskwy.

– Samodzielna grupa batalionowa imienia cara Władimira I. Dowódca: pułkownik Klimow – powiedział Bradley do mikrofonu.

– Klimow, ty skurwysynu! – zaskrzeczało radio jakimś innym głosem. – Wiesz, kto mówi?! Major Darenko, pamiętasz mnie jeszcze?

Bradley ze strachem obejrzał się na kapitana Parkera. Ewidentnie nie wiedział, co zrobić.

– Powiedz, że pamiętasz – rzucił tamten.

– Jak mógłbym zapomnieć? – powiedział szeregowy do mikrofonu.

– No, ja myślę! – Rosjanin po drugiej stronie się roześmiał. – Jak będziecie przejeżdżać przez nasz posterunek, wyjdę do ciebie. Chyba parę słów ze starym kumplem zamienisz, co?

Szeregowy patrzył pytająco, a Parker intensywnie myślał. Nie zdołali znaleźć nikogo władającego rosyjskim, kto byłby choć trochę podobny do pułkownika Klimowa. Nie bawili się nawet w powierzchowną charakteryzację, bo Rosjanin, jak wynikało z przekazanych zdjęć, był dużym, zwalistym chłopem, a Bradley miał metr pięćdziesiąt w kapeluszu i muskuły księgowego. Mimo to kapitan skinął w końcu głową.

– Jasne – powiedział chłopak. – Bez odbioru.

Słyszający tę rozmowę Gawriłow zerwał się z miejsca jak oparzony i znowu wybiegł na dach. Zobaczył przez lornetkę, że szpica batalionu mijała właśnie dom handlowy Aerobus. Dziewiętnasty posterunek urządzono na skrzyżowaniu Autostrady Warszawskiej z Trzecią Obwodnicą. Te miejsca dzieliło jakieś osiem kilometrów. Dzień wcześniej wszystkie główne ciągi komunikacyjne opanowało rosyjskie wojsko i wstrzymało na tych arteriach cywilny ruch. Gawriłow oszacował, że kolumna dotrze do posterunku w ciągu dziesięciu minut.

Wrócił do środka i zjechał windą na sam dół. Potem odebrał, a właściwie wyszarpał jednemu z kierowców kluczyki do wojskowej terenówki. Wrzucił na tylne siedzenie kamizelkę kuloodporną, kałasznikowa i kilkanaście magazynków oraz trzy granaty. Zatrzaskał drzwi i ruszył gwałtownie.

Gonitwa za batalionem Autostradą Warszawską nie wchodziła w grę, bo wzbudziłoby niepotrzebne zainteresowanie. Ponieważ główne ulice zamknięto dla ruchu, moskwianie musieli korzystać z bocznych ulic, co powodowało gigantyczne korki. Oczywiście wojskowe pojazdy miały pierwszeństwo, ale od wprowadzenia tych ograniczeń mieszkańcy rosyjskiej stolicy, gdy tylko taki widzieli, specjalnie utrudniali mu przejazd. Na nic się zdawały apele, że przecież armia broni Moskwy. Korki w mieście były od zawsze utrapieniem, więc gdy sytuacja jeszcze się pogorszyła, kierowcy naprawdę się wściekli.

Dlatego prowadzony przez pułkownika tigr przeciął autostradę i ruszył na wschód. Szybko dotarł do końca ulicy, skąd można było skrócić w prawo lub lewo. Gawriłow wybrał trzecie rozwiązanie. Pojechał wprost na ścianę lasu, lawirując między drzewami. Silnik ryczał i rzeził, wszystkie cztery koła

buksowały w grząskim piachu, ale ostatecznie pokonał strome zbocze. Pułkownik przymknął oczy, gdy potężne orurowanie zderzaka rozwaliło druciane ogrodzenie i auto wyskoczyło na tory.

Osuwało się na bok i trzęsło niemiłosiernie, jadąc po kolejowych podkładach. Gawriłow nie miał pojęcia, ile kilometrów będzie musiał pokonać w taki sposób, bo w końcu nie codziennie jeździ się autem po torach, ale obstawiał, że o cztery albo pięć więcej niż Autostradą Warszawską. Prędkościomierz wskazywał sześćdziesiątkę. Pułkownik docisnął pedał gazu i przyspieszył do osiemdziesiątki. Kierownica wpadała w takie wibracje, że ledwo udawało mu się ją utrzymać, pomimo tego, że obie dłonie zaciskał na kole z całej siły.

Po chwili minął po prawej stronie Aerobus, a zaraz potem Centrum Szkoleniowo-Produkcyjne moskiewskiego metra. I wtedy zobaczył pociąg, nadjeżdżający z przeciwka. Maszynista uruchomił syrenę, a Gawriłow wcisnął do oporu pedał hamulca. Podskakującym na podkładach kolejowych oponom brakowało jednak przyczepności i samochód nie zwalniał tak szybko, jak powinien. Pułkownik zakręcił kierownicą w lewo, koła podbiło na szynach i terenówka wyleciała na moment w powietrze, obróciła się na tłuczniu kolejowego nasypu. Tył pojazdu zatrzymał się gwałtownie na betonowym ogrodzeniu, a Gawriłow uderzył potylicą w zagłówek tak mocno, że na chwilę go zamroczyło.

Gdy tylko pociąg przejechał, pułkownik wprowadził tigra z powrotem na tory i pognął dalej. Gdy przejeżdżał pod Autostradą Warszawską w okolicy centrum handlowego Goodzone, zobaczył na górze samochody zamykające kolumnę. Zacisnął zęby i jeszcze przyspieszył. Po kilku minutach przejechał pod estakadą Trzeciej Obwodnicy, skręcił w lewo i popędził wzdłuż wiaduktu, by po chwili zahamować z piskiem opon pod salonem Volvo.

Wysiadł, otworzył tylne drzwi i założył kamizelkę kuloodporną. Początkowo planował, że sprawę załatwi po cichu, powołując się na swój stopień i jakieś tajne rozkazy. Ale nie miał tyle czasu. Batalion lada chwila miał tam nadciągnąć i wszystko mogło się wydać. Przeładował kałasznikowa, powpychał do kieszeni bojówek zapasowe magazynki oraz zawiesił granaty

przy kamizelce. Potem wszedł do salonu samochodowego i z marszu rozwalił dwóch wartowników.

Żołnierze na posterunku wpadli w popłoch. Było to jedynie stanowisko łączności, więc obsada nie była specjalnie imponująca. Gawriłow zauważył, że radiostację zainstalowano na antresoli, na którą prowadziły przeszklone schody. Wymierzył dokładnie do ludzi przy urządzeniach. Obaj padli martwi, ale w tym samym momencie poszła seria z części serwisowej salonu.

Pułkownik schował się za terenowym volvo, kule strzaskały szyby samochodu i podziurawiły karoserię. Kątem oka dostrzegł, że ktoś wbiega po schodach, więc posłał granat na szczyt. Potężny wybuch odrzucił biegnącego i zniszczył wejście na antresolę. Gawriłow uśmiechnął się do siebie. Przynajmniej przez jakiś czas nikt nie zaalarmuje innych posterunków.

– Zabić go! To zdrajca!

Posłuszni rozkazowi, żołnierze opuścili bezpieczną część serwisową, i to był błąd. Gawriłow rozłożył się wygodnie na podłodze i korzystając z prześwietu potężnego volvo, walił celnie po nogach, a potem zdejmował po kolei leżących strzałami w głowę.

Dopiero gdy się podniósł i oparł karabin na masce, zrozumiał, że byli jedynie przynętą. Po prawej stronie salonu stał wypucowany ciągnik siodłowy. Ktoś wspiął się na jego dach, a z niego przeskoczył wprost na antresolę. Oficer, niechybnie dowódca posterunku, major Darenko. Pułkownik zasypał antresolę gradem pocisków, ale tamten był już przy radiostacji i sięgał po mikrofon. Jeszcze nie wszystko stracone, pomyślał Gawriłow. Wie tylko tyle, że ktoś zaatakował posterunek. Wybiegł z salonu i wskoczył do terenówki. Miał szczerą nadzieję, że nadciągający batalion jest złożony z Amerykanów. Bo jeśli nie, właśnie mijały jego ostatnie chwile na tym łez padole.

Wszyscy w transporterze drgnęli, gdy usłyszeli wrzask z radia:

– Tu posterunek dziewiętnaście! Atak, zostaliśmy zaatakowani! Potrzebujemy pomocy! Natychmiast!

Pomiędzy amerykańskimi jednostkami, udającymi rosyjski batalion, zakazano kontaktu radiowego, ale dopuszczono komunikację tekstową za

pośrednictwem własnych urządzeń. Sierżant Garcia, który obsługiwał terminal taktyczny, powiedział:

– Panie kapitanie, załogi czołgów meldują o rosyjskiej terenówce.

Parker wyjrzał przez wizjer. Akurat żeby zobaczyć, jak rosyjski tigr manewruje wściekle między czołgami szpicy i hamuje przed ich transporterem.

– Zdejmować skurwiela? – spytał z góry Seget, który siedział przy działku.

– To może być ten cały Darenko – szepnął szeregowy Bradley. – Jak zobaczy, że nie jestem ich pułkownikiem, to dupa zbita.

Z terenówki wyskoczył jednak Gawriłow. Amerykański kapitan z miejsca rozpoznał oficera z nagrania rosyjskiego generała, które oglądał, gdy generał Edwards objaśniał mu plan.

– Nie! – krzyknął do Segeta. – Daj mu znak, żeby wszedł do naszego transportera.

Po blachach zadudniły kroki i po chwili Rosjanin wślizgnął się do środka. Na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi, gdy zamiast Klimowa, zobaczył w mundurze pułkownika kurdupłowatego chudzielca.

– Cała naprzód! Ile fabryka dała! – Krzyknął po angielsku.

Parker dał znak Garcii, a ten wprowadził rozkaz do terminalu taktycznego. Czołgi na przedzie plunęły kłębami ciemnych spalin. Po kilku minutach cała kolumna pędziła dobre sześćdziesiąt kilometrów na godzinę.

– Ile do Kremla? – spytał Rosjanina.

– Jakies trzy kilometry – odparł tamten.

Parker szybko obliczył, że potrzebują raptem kilku minut. Zerknął na mapę i wskazał punkt na rzece.

– Ten most jest zaminowany?

– Wszystkie są zaminowane.

– Możemy coś zrobić, żeby nam nie wybuchł pod jajami?

Rosjanin zamiast odpowiedzi wyciągnął telefon i wybrał numer. Gdy uzyskał połączenie, powiedział coś pospiesznie do słuchawki.

– Wszystko powoli się sypie. Zapierdalamy, ale boję się, że Most Niemcowa wysadzą razem z nami.

Pułkownik Potem długo słuchał, wreszcie rozłączył się i schował telefon.

– Postara się zgromadzić wszystkich ważniaków w Pałacu Senackim.

– A most? – dopytywał Parker.

– Trzeba się modlić.

Po tej ponurej odpowiedzi kto mógł, próbował wypatrzeć coś przez wąskie wizjery transportera. Czołgi przed nimi pokonały już kanał i wjechały na Wyspę Błotną; w oddali zamajaczyły charakterystyczne kopuły Soboru Wasyla Błogosławionego.

Gdy szpica batalionu pokonała most Niemcowa i znaleźli się na północnym brzegu rzeki Moskwy, kapitan stwierdził, że nie ma już sensu bawić się w ciszę radiową. Sięgnął po gruszkę i ryknął do mikrofonu:

– Atak!

Czołgi na przedzie zjechały na dół, orząc gąsienicami zabytkową kostkę brukową. Ustawiły odpowiednio lufy i wystrzeliły. Basztą Konstantino-Jeleninską wstrząsnęły trzy potężne eksplozje i budowla legła w gruzach. Czołgi strzelały dalej, poszerzając wyrwę w kremlowskim murze. Nagle ich palbę zagłuszył potworny huk, a terenówki zamykające kolumnę porwała bezlitosna fala uderzeniowa. Most Niemcowa wyleciał w powietrze.

4.

Barry Loggins wypił resztkę kawy z termosu. Teoretycznie maszyna leciała na autopilocie i mógł się zdrzemnąć, ale nie lubił tego robić. Tak mu zostało z armii. Za spanie podczas lotu z miejsca wywalono by go ze służby. Autopilot mógł się zerwać, maszyna mogła wpakować się w komin powietrzny albo turbulencje. Możliwości było bardzo dużo. Zakręcił termos i schował go do plecaka, leżącego za przednim fotelem.

Był strasznie zmęczony. Jego jednosilnikowy turystyczny mooney miał zasięg dwóch i pół tysiąca kilometrów. To sporo, ale Barry i tak musiał zrobić już dwa międzylądowania w celu uzupełnienia paliwa. Po starcie z Afganistanu najpierw wylądował między Omskiem a Nowosybirskiem, a potem sto mil na północ od Bajkału. Cieszył się, że zaraz będzie lądował

u Lewiego, gdzie zawsze robił sobie przerwę, podczas której łapał kilka godzin drzemki.

Uśmiechnął się do swoich myśli. Na początku bardzo się bał tej całej wojny Rosji z USA. Martwił się, że przewożenie towaru stanie się nierealne. A teraz? Jeszcze kilka tygodni wcześniej mógł pomarzyć o czymś takim jak autopilot. Zazwyczaj latał kilkadziesiąt metrów nad ziemią. Wznosił się razem z terenem i opadał natychmiast, gdy zbocza przechodziły w równiny. Ale po wybuchu tej awantury nikt nie zawracał już sobie nim głowy. Barry odbierał przesyłkę z Afganistanu, ustawiał maszynę na kursie i pułapie i mógł popijać kawkę, dopóki pogada nie wymagała od niego chwycenia za wolant.

Z tym Lewim to zresztą też niezła akcja, pomyślał. Mieszka na tym pustkowiu od tylu lat. Z czego on żył, zanim zacząłem u niego tankować? Był bratem Eliasza, obaj wychowali się nieopodal Birobidżanu. Ich rodzice przenieśli się tam pod przymusem jeszcze w latach trzydziestych, gdy Józef Stalin utworzył Żydowski Obwód Autonomiczny.

Po latach Lewi przeniósł się dalej na północ, ale został w Rosji, a jego braciszek wyemigrował do USA. Najpierw mieszkał w Brownsville na Brooklynie, następnie przeniósł się do Fort Myers na Florydzie. Właśnie tam się poznali z Barrym w 1990 roku. Loggins opuścił wtedy szeregi US Air Force, ale szybko znalazł nowe zatrudnienie. Przerzucał kokainę z Belize do Stanów. Rzecz jasna sporo potrafił, nie każdy umiałby latać metr nad wodą, niemal muskając kołami spienione fale. Ale przede wszystkim miał szczęście. Praktycznie przez całe życie udawało mu się zawsze wykaraskać z wszelkich problemów. Nie był wierzący, ale za każdym razem odnosił wrażenie, że ktoś nad nim czuwa. Był przekonany, że to właśnie dzięki temu nigdy nie wpadł. Swoją drugą karierę zakończył w 1998 roku z zamiarem życia z tego, co odłożył przez lata.

Założenie sprawdzało się przez ponad piętnaście lat. Gdyby ktoś powiedział mu wcześniej, że da radę w tak krótkim czasie przepierdzielić pięćdziesiąt milionów, to by mu nie uwierzył. A jednak. Wystawne życie w Miami oraz częste wizyty w Las Vegas zrobiły swoje. Nie miał nic lepszego do roboty, zwrócił się więc do starego kumpla, Eliasza. Okazało się,

że Żyd ciągle robi w interesie, ale już na innej trasie. Tak rozpoczął się nowy rozdział w życiu emerytowanego pilota Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych Barry'ego Logginsa.

Wyłączył autopilota i obniżył lot, zwyczajowo zataczając koło, żeby poobserwować okolicę niewielkiego domku Lewiego. W promieniu kilkunastu kilometrów nie zauważył niczego podejrzanego. Wylądował delikatnie i zmniejszywszy ciąg, podjechał prosto pod cysternę z paliwem. Wysiadł z samolotu i naciągnął kurtkę, chuchnął w dłonie. Pomimo czystego nieba temperatura nie przekraczała dziesięciu stopni. Sięgnął po wąż, ale zatrzymał dłoń w połowie drogi. A to co takiego? Pompę blokowała masywna żelazna kłódka. Czyżby Lewi miał jakieś kłopoty? Może ktoś chciał buchnąć paliwo i stąd to dodatkowe zabezpieczenie?

Barry poszedł do murowanego domku. Pierwsze, co zobaczył w środku, to duża plama krwi pod stołem. Po zaschniętej posoce łąziły leniwie zielone muchy. Na jednym z dwóch łóżek w części sypialnej po lewej stronie leżał wymizerowany chłopak. Jego klatkę piersiową pokrywał prowizoryczny, zakrwawiony opatrunek. Ranny ciężko oddychał i Loggins nie wróżył mu długiego życia. Na krześle między łóżkami siedziała dziewczyna z ciemnymi włosami sięgającymi do ramion. W zasadzie nastolatka, na pewno nie dałby jej dwudziestu lat. Ciężka dubeltówka wyglądała w jej rękach kuriozalnie. Znał tę broń, należała do Lewiego. Barry nie wątpił, że krew pod stołem również była jego.

– Dzień dobry – powiedziała dziewczyna po rosyjsku.

– *I don't speak russian* – odparł zgodnie z prawdą. Nigdy nie zdołał się nauczyć tego gówna. Zwłaszcza ich literki uważał za wyjątkowo pojebane.

– To nic. Ja mówię po angielsku. Chciałby pan zatankować samolot?

– Jeśli nie sprawi to pani kłopotu, to jak najbardziej.

– Bardzo pan kulturalny.

– Młode damy zawsze robiły na mnie duże wrażenie. Zwłaszcza wspierane przez dwa naboje kalibru dwanaście.

– Przejdźmy do rzeczy. Zatankuje pan swój samolot pod warunkiem, że nas pan zabierze ze sobą.

– Obawiam się, że to niemożliwe. – Loggins potrząsnął głową.

– Rozumiem pańską decyzję. Do widzenia.

Nie ruszył się. Nie wiedział, co tu się tak naprawdę wydarzyło. Mógł jedynie przypuszczać, że Lewi postrzelił chłopaka ze swojej dubeltówki. Barry chciałby wierzyć, że dziewczyna nie zrobi użytku z broni. Ale po pierwsze plama krwi pod stołem działała na wyobraźnię. A po drugie w oczach nastolatki było coś twardego, co kazało mu uznać, że naciśnięcie spustu wcale nie przekracza jej możliwości.

– Nie wiesz, z kim masz do czynienia. – Postanowił uderzyć w kasandryczną nutę. – W samolocie jest dwieście kilo heroiny. Orientujesz się, kto handluje takim towarem?

– Tak. Dlatego właśnie zsikałam się w majtki. Bo przecież zaraz wpadną tu twoi wytatuowani kołesie i rozszarpią mnie na strzępy.

Uśmiechnął się mimowolnie. Spodobała mu się ta dziewczyna. Na pewno nie brakowało jej odwagi. W sumie było mu wszystko jedno. Wierzył, że przetrwa i tę awanturę. Przecież zawsze miał szczęście.

– On też? – Wskazał rannego chłopaka.

– Oczywiście.

– Ile razem ważycie?

– Ja pięćdziesiąt, on jakieś osiemdziesiąt z hakiem. Nie więcej jak sto trzydzieści kilogramów.

Szybko przełożył to sobie na funty. Po zatankowaniu do pełna margines zostanie niewielki, ale mimo wszystko zmieszczą się w bezpiecznych widełkach.

– Umowa stoi. Tylko ja lecę w konkretne miejsce i tego akurat nie mogę zmienić.

– Dokąd?

– Na Alaskę.

– Pasuje mi.

Barry kiwnął głową, ściągnął kurtkę i ułożył się na wolnym łożku.

– Pilnuj, żeby nam paliwa nie ukradli.

– Co robisz? – Dziewczyna skierowała na niego lufy.

– Ty będziesz pilotować samolot? Muszę złapać kilka godzin snu.

– Nie boisz się, że mi palec drgnie?

– Jestem szczęściarzem – odparł i odwrócił się do ściany. Po minucie zapadł w sen, a po dwóch zaczął chrapać.

5.

Pierwsze czołgi przejechały przez wyrwę w kremlofskim murze i zaczęły posyłać pociski w kierunku budynków. Gdy tylko transporterzy opancerzone również pokonały mur, na stalowych burtach zajęczały kule obrońców Kremla.

Parker nakazał Rosjaninowi, aby został w pojeździe, co tamten przyjął z widoczną ulgą. Potem kapitan wyskoczył na zewnątrz, aby zorientować się w sytuacji. Na szczęście wysadzenie mostu Niemcowa niewiele ich kosztowało. Kapitanowi kamień spadł z serca, gdy zauważył pułkownika Rogersa, kryjącego się za jednym z tigrów. Podbiegł do niego i krzyknął:

– Mają być w Pałacu Senackim!

– Rozwinąć ugrupowanie wokół pałacu! – ryknął pułkownik do radia. – W resztę napierdalać! Uważajcie na sobory!

Generał Franka Edwardsa polecił oszczędzać w miarę możliwości wszelkie obiekty sakralne na terenie Kremla. Twierdził, że miejscowa ludność zawsze źle znosi niszczenie tego typu budynków.

Czołgi zryły kremlofski park gąsienicami. Ustawiły się półkolem przed Pałacem Senackim, zasypując gradem pocisków Arsenał i Pałac Państwowy. Rosyjscy żołnierze kryli się także w zabudowaniach soborów, ale czołgiści trzymali się rozkazów.

Na teren Kremla wjechały już niemal wszystkie transporterzy, ale żołnierze nie kwapili się do opuszczania zasypywanych gradem pocisków wozów. Pułkownik Rogers porzucił bezpieczne schronienie i podbiegł do jednego z nich. Wskoczył na górę i otworzył klapę wśród krzesanych pociskami iskier.

– No już, kurwa! – wrzasnął. – Trzeci i czwarty pluton z czołgami! Trzymajcie w ogniu te jebane kościoły! Czy tam sobory!

– Proponuję neutralne określenie! – darł się z tyłu Parker. Osłaniał swojego dowódcę, grzejąc po oknach Pałacu Senackiego. – Świątynie!

Pułkownik zachichotał, pokazał uniesiony kciuk i popędził do następnego pojazdu. Gdy ludzie zobaczyli, że sam pułkownik biega między transporterami i wydaje rozkazy, zasypywany gradem kul, ruszyło ich sumienie. Zaczęli wysypywać się z wozów. Część zgodnie z rozkazem przywarła do czołgów i korzystając z osłony, wzięła na celowniki sobory. Kapitan Parker razem z polską ekipą dotarli, osłaniając się wzajemnie, na plac Senacki i zaczęli ostrzeliwać zza drzew front pałacu.

Wymiana ognia nie ustawała. Pociski rozrywały korę drzew, orały bez litości ziemię. Rogers nadzorował akcję niemal z pierwszej linii. Rozparty na ziemi tuż obok niego, Garcia grzał z kałasznikowa po oknach pałacu. Aby nie wzbudzać podejrzeń i uniknąć przedwczesnego zdemaskowania, cały oddział został uzbrojony w regularne rosyjskie wyposażenie.

– I jak wam się strzela, sierżancie?! – krzyknął pułkownik.

– Może być! – sapnął Garcia, wbijając nowy magazynek. – Ale wołę nasze M4!

– Nie bluźnij! Kałach to legenda! Możesz nim wykopać schronienie, zamieszać zupę, utopić go w rzece, a i tak będzie strzelał!

Gurski też pracowicie ostrzeliwał stanowiska ogniowe w oknach. Ten Rogers jednak ma jaja, pomyślał. Mógłby siedzieć sobie w transporterze i wydawać rozkazy. Zamiast tego stał pod nieprzyjacielskim ogniem i dyskutował o broni, jakby to były wykłady na akademii.

– Kapitanie Parker! – wydarł się pułkownik. – Co myślicie o drzwiach frontowych!?

– Zaminowane i silnie bronione!

– Jest szansa, że zaraz za nimi stoją nasi decydenci?!

– Nikła!

– Bridgens! Zróbcie tu jakieś przejście!

Przy pułkowniku zaraz pojawił się rosły kapral, który nic nie robiąc sobie z bijących wokół niego pocisków, przyklęknął z granatnikiem na ramieniu. Odbezpieczył, wycelował i ryknął:

– *Rocket!*

Rozległ się suchy trzask, ziemia zatrzęsła się, a podmuch poderwał za żołnierzem chmurę liści i kurzu. Granat przeciwpancerny zmienił drzwi wraz ze znaczną częścią ściany w kupę drzazg i gruzu.

– *Nice shot!* – pochwalił Rogers. – Jebnijcie im jeszcze ze dwa, bo czasem w salonie nie słyszać pukania!

Bridgens załadował nowy pocisk, który posłał do celu. Po trzecim trafieniu pułkownik wpiął nowy magazynek do kałasznikowa i krzyknął:

– Za mną!

Poprowadził pod wyłom dwa plutony prawą stroną, a kapitan Parker ruszył z podobną liczbą ludzi lewą. Pierwsi, których posłali na wyłożone dywanami korytarze, padli, dosięgnięci pociskami obrońców. Amerykanie odpowiedzieli ogniem i metr po metrze wdzierali się w głąb budynku.

Metodycznie sprawdzali mijane pomieszczenia. W jednym z gabinetów trzy kobiety w cywilnych strojach dostały się pod puszczoną na ślepo serię i zginęły z uniesionymi rękoma. Gdy Parker to zobaczył, wściekł się i szarpnął winowajcę za kamizelkę.

– Kurwa, żołnierzu! To siedziba prezydenta, są tu też cywile. Normalni ludzie!

– Mam nadstawiać łeb za ruskich!? Taki chuj!

Szeregowy się wyszarpnął, ale kapitan zapamiętał jego nazwisko do raportu. Sam poszedł do przodu. Zajął z Garcia pozycje po obu stronach podwójnych drzwi i na znak otworzyli je kopniakami. Weszli z bronią gotową do strzału. Dwie przerażone kobiety stały z rękami w górze.

– Spokojnie. Zostańcie tu – powiedział Parker, dodając gesty, aby ułatwić im zrozumienie.

W tym samym momencie spod biurka wychylił się rosyjski żołnierz. Garcia strzelił mu prosto w twarz, ale tamten również zdążył posłać kulę. Kapitan Parker zwałił się na ziemię, a z jego szyi trysnęła krew.

– *Medic!* – ryknął Garcia i klęknął przy swoim dowódcy.

Po kilkunastu sekundach do sali wpadł kapral Janik i już w biegu zaczął wyszarpywać z paczki opatrunek, który natychmiast przyłożył do rany kapitana, który dławił się i rzeził. Z jego ust wypływały strużki krwi. Porucznik Gurski oparł się o framugę.

– Romuś, kurwa! Tu się dzieje! Jesteś potrzebny! – z głębi korytarza rozległ się krzyk Lacevicia, zagłuszany kanonadą.

– Janik, poskładajcie go do kupy! – polecił Roman i pobiegł z odsieczą.

Jovana z Segetem i Wójcikiem przyszpilił ogień ze spiralnych schodów prowadzących w górę. Gurski zboczył z najprostszej ścieżki, wywalił jedne, drugie drzwi i z impetem wypadł na korytarz z sąsiedniego pomieszczenia. Zanim strzelcy z góry zdążyli się zorientować, co się dzieje, dopadł do schodów i wrzucił na górę dwa granaty. Po marmurowych stopniach osunęły się zwłoki, rozciągając krwawe smugi.

– Atak!

Gurski poprowadził swoich ludzi. Wyważyli kolejne drzwi, potężne, dwuskrzydłowe. Za nimi tłoczyło się kilkudziesięciu mężczyzn. Wśród tych w garniturach, Roman rozpoznał znanego mu z telewizji Dmitrija Miedwiediewa. Zawsze szczupły i mikry premier Rosji wydawał się teraz jeszcze mniejszy. Twarz miał bladą, podkrążone oczy, a ręce trzymał w górze.

– Generał Igor Petrow? – rzucił szorstko porucznik.

Z tłumu wystąpił mężczyzna w oficerskim mundurze. W tym samym momencie do sali wszedł Rogers. Rosyjski mundur Amerykanina był osmolony i poszarpany, a z rękawa kapała krew. Pułkownik podchwycił spojrzenie Gurskiego i mruknął lekceważąco:

– To nic takiego. Przeszło przez miękkie. – Potem zwrócił się do Petrowa: – Panie generale, proszę opuścić ręce.

Rosjanin spełnił prośbę, a pułkownik wyprężył się i zasalutował regulaminowo. Tamten odpowiedział tym samym.

– Poddajecie się? – spytał Amerykanin.

– Tak – odparł cicho generał.

– Proszę wydać rozkaz swoim ludziom.

– Niestety mamy pewne problemy z łącznością.

Roman się domyślił, że te „problemy” zostały wywołane przez samego generała, by obrona Kremla była jeszcze bardziej chaotyczna i atak Amerykanów mógł przebiec jak najsprawniej.

– Proszę za mną – powiedział Rogers.

Petrow skinął głową i obaj wyszli z sali, a porucznik Gurski stanął w drzwiach, przypatrując się całej scenie. Pułkownik zdecydował, że skoro Rosjanin jest w zwykłym mundurze, jemu nie wypada paradować w pełnym ekwipunku. Dlatego rzucił kałasznikowa na schody, zerwał kamizelkę i zdjął hełm.

Wyszli razem na środek dziedzińca, gdzie ciągle trwała ostra wymiana ognia. Amerykański pułkownik wziął od podoficera radio i rzucił do mikrofonu:

– Wstrzymać ogień!

Najpierw umilkły amerykańskie czołgi i działka osadzone na transporterach opancerzonych. Potem fala okrzyków popłynęła od dowódców kompanii przez plutony i drużyny i amerykański ostrzał ustał. Wtedy generał wziął podsunęty megafon i zaczął mówić, a jego głos niósł się między zabudowaniami Kremla:

– Żołnierze! Tu wasz dowódca, generał Igor Nikołajewicz Petrow! Wstrzymajcie ogień. To koniec! Walka skończona! Nie ma sensu dłużej się bronić! Powtarzam: wstrzymajcie ogień! To koniec bitwy!

Generał zwiesił głowę i oddał megafon. Strzały ze strony rosyjskiej padały coraz rzadziej, aż w końcu umilkły. Wrota Soboru Zaśnięcia Matki Bożej, poszatowane kulami, otworzyły się i na zewnątrz wyszedł pierwszy Rosjanin. Gdy rozładował kałasznikowa i rzucił go na ziemię, rozległy się nieśmiałe wiwaty. Po chwili z setek amerykańskich gardeł pod niebo wzniósł się triumfalny, zwycięski okrzyk. Kreml został zdobyty.

Roman uśmiechnął się pod nosem, ale od razu spoważniał, gdy zobaczył Garcie, siedzącego na schodach. Sierżant międlł w rękach paczkę orzeszków. Nie jadł ich, nawet nie otworzył, tylko patrzył tępo w przestrzeń. Jego mundur był cały zakrwawiony. Gurski odszukał wzrokiem kaprala Janika. Posłał mu pytające spojrzenie, a w odpowiedzi otrzymał ponure potrząśnięcie głową. Kapitan Parker nie żył.

Porucznik wyłuskał z tłumu Jovana, a potem Boskiego. Zaniepokoił się brakiem Segeta i Wójcika. Podszedł do swojego sierżanta.

– Gdzie chłopaki?

– Eee... – Lacević podrapał się po szyi. – Ten, no. Chwilowo ich nie ma.

- Kurwa, człowieku! Ranni? Żyją?!
- A nie, tak to wszystko w porządku. Nawet niedraśnięci.
- Mów!

Sierżant milczał jednak, a Roman zauważył, że plutonowy Bosak zadziera głowę. Podążył wzrokiem za jego spojrzeniem i zobaczył dwóch żołnierzy wspinających się schodami na kopułę Pałacu Senackiego. Gdy dotarli do masztu, ściągnęli rosyjskie barwy, a po chwili na szczycie załopotała biało-czerwona flaga.

- Amerykanie się wkurwią. – Roman się uśmiechnął.
- No. Ale chwilę powisi – mruknął Lacević.
- Boski?
- Słucham, panie poruczniku.
- Cyknijcie parę fotek. Dla potomności.
- Tak jest!

6.

Leżeli przytuleni pod betonową ścianą. Od czterech dni nie spadła ani kropla deszczu, od niemal dwóch nic nie pili. Wcześniej też niewiele. Ile, dwieście mililitrów na głowę? Słońce na górze prażyło, a w ich lochu robiło się duszno.

Pomimo tego Michał praktycznie w ogóle się nie poci. Skóra miał suchą jak pergamin. Uświadomił sobie, że ostatni raz sikał zeszłego ranka. Wtedy też spróbowali eksperymentu, poprzedzonego długą dyskusją. Oboje nieraz czytali o wypadkach, gdy odwodnieni i odcięci od świata ludzie – na przykład zasypani w kopalni – ratowali się, pijąc własny mocz. Nasikali więc do puszki i się tym podzielili. Jednak teraz miał wrażenie, że od tamtego momentu odwodnienie ich organizmów znacznie przyspieszyło. W nocy zaczął go męczyć silny ból w dole pleców, który nie przeszedł aż do tej pory. Michał obawiał się, że to nerki.

– Jak się czujesz? – Zdziwił się brzmieniem własnego głosu, chrapliwym i obcym.

Odpowiedziała mu cisza. Leżał tak jeszcze kilka minut. Chciałby usłyszeć głos Beaty, ale zastanawiał się, czy chodzi mu o potwierdzenie, że wszystko w porządku, czy raczej o to, by nie musieć się odwracać; unikać wysiłku.

Odczekał jeszcze chwilę, ale w końcu się odwrócił i uniósł głowę. Podłoga usunęła mu się spod nóg niekontrolowanym wirem. W uszach momentalnie zadudniło, a serce przyspieszyło gwałtownie, jakby dopiero co przebiegł maraton.

– Beata.

Chwycił ją za ramię i przekręcił na plecy. Spostrzegł, że pod oczami ma brzydką opuchliznę, również język wydał mu się o wiele większy niż normalnie. Michał przeraził się, że kobieta może już nie żyć. Choć kosztowało go to potwornie dużo, uniósł się na klęczki i zaczął nią potrząsać.

– Obudź się! Słyszysz!?

W jej oczach błysnęły białka, a ciało zaczęło się po chwili trząść. Przestraszony, podłożył jej dłoń pod głowę, by nie zrobiła sobie krzywdy, i przytrzymał Beatę, dopóki się nie uspokoiła. Potem wyciągnął obolałe palce spod jej potylicy i przytknął ucho do ust. Oddychała. Ale zrozumiał, że to długo nie potrwa. A on? Ile jeszcze pożyje? Dziesięć? Piętnaście godzin? Może dobę, na pewno nie dłużej.

Kilka szczurów wdrapało się na nieprzytomną kobietę. Michał wierzgnął, wymierzając im kilka kopniaków.

– Won! Ale już!

Od tego nagłego ruchu pociemniało mu w oczach, ale zwierzęta rozpierzchły się i wpełzły pod stos trupów. Po tym, jak Michał odkrył niewielki odpływ, ułożył ciała z powrotem w tym samym miejscu. Z czasem szczurów pojawiło się więcej. Krążyły pod ścianami, co jakiś czas niespodziewanie przystając i wpatrując się umierających. Poprzedniego wieczoru z zewnątrz sączyło się nikłe światło księżyca w pierwszej kwadrze. Michał obudził się w środku nocy i omal nie krzyknął. Widok był upiorny. W mroku przy dnie lśniło kilkanaście par oczu. Wszystkie bez wyjątku skierowane na nich. Szczury zachowywały się, jakby wiedziały, że ich kres jest bliski. Czekwały.

Michał przesunął się w bok. Położył się na plecach i wystawił twarz na wpadające przez kraty promienie słońca. Chyba zasnął. A może tylko mu się zdawało? W każdym razie gdy się obudził, na lewo od trupów, ujrzał jakieś cienie. Z początku myślał, że to szczury, ale mroczne kształty były zbyt duże. Po chwili rozróżnił sylwetki, a nawet twarze. Strach ścisnął mu trzewia, gdy sobie uświadomił, że patrzy na Basię z dziećmi. Halucynacje, pomyślał z rozpaczą. Końcowe stadium odwodnienia.

Lecz gdy jego rodzina się zbliżyła, zaskoczyła go jej realność. Basia uśmiechnęła się do niego ciepło, wyglądała wspaniale. Jej ładną i zdrową twarz otaczała burza loków. Zupełnie jak wtedy, gdy przed wojną mieszkali w Katowicach. Gdy byli po prostu szczęśliwi, choć nie mieli o tym pojęcia. Przytulała jego dzieci. Córka miała porządnie upięte włosy, jasną bluzkę i ciemne dżinsy, a syn koszulę w kratę i sztruksowe spodnie. Wszyscy patrzyli na Michała z miłością.

Stwierdził, że już nie żyje. Oto po śmierci przyszło mu znowu spotkać się ze swoją rodziną. Poczuł, jak łzy szczęścia spływają mu po policzkach. A może nie? Chyba nie mógł już nic czuć, skoro nie żył. Tylko w takim razie skąd tu Jurek? Przyjrzał się uśmiechniętemu chłopcu. Czy Florian zrobił mu krzywdę? Czy jego też spotkało coś złego? Dopiero teraz dostrzegł, że Natalia trzyma coś za plecami.

– Co tam masz, córciu? – jego głos brzmiał nienaturalnie w betonowym lochu.

– Prezent.

Wyciągnęła zza pleców ogromną dubeltówkę i przystawiła ją do głowy brata.

– Nie! – krzyknął Michał, ale dziewczyna nacisnęła spust i Jur z odstrzeloną głową poleciał na stertę trupów w kącie. Basia uśmiechnęła się promiennie, po czym uklękła i wsadziła sobie lufy do ust. Jej ciało, targnięte wystrzałem, osunęło się na zwłoki syna.

– Już niedługo, tatusiu. Ten koszmar wreszcie się skończy – powiedziała Natalia wesoło. Potem złamała strzelbę, wyrzuciła łuski i załadowała nowe naboje. Przystawiła sobie lufy do szyi i górna część jej głowy zniknęła w krwawej chmurze. Dziewczyna nie przewróciła się jednak. Obserwował

bezsilnie, jak córka, pozbawiona połowa twarzy, celuje do niego i naciska spust.

Poczuł ból, ale nie tak straszny, jakiego się spodziewał. Bardziej jak uszczyknięcie w policzek. Skrzywił się i podniósł rękę do twarzy. Krzyknął i uniósł się na łokciu, gdy jego dłoń trafiła na krótką sierść i długi łysy ogon. Szczur, który go ugryzł, czmychnął natychmiast z przestraczem, a Michał zdał sobie sprawę, że to wszystko były jednak halucynacje. Nie na długo, pomyślał. Jeszcze kilka godzin i będzie po mnie.

Nagle usłyszał metaliczny zgrzyt. Uniósł głowę. Zobaczył, że krata się odsuwa, wpuszczając do wnętrza więcej światła. Ktoś świecił do wnętrza lochu latarką. Po chwili na dół opuszczono długą, metalową drabinę. Jakaś ciemna postać zeszła na dół i nachyliła się nad Michałem.

– Halo! Proszę pana!

Latarka świeciła mu prosto w twarz. Udało się, jesteśmy uratowani, powtarzał sobie z ulgą. Ale tylko dopóty, dopóki nie zobaczył, jak jest ubrany jego wybawiciel. Michał zaczął się śmiać jak szaleniec. Kolejne halucynacje, to znowu odwodniony mózg płata mi figle, pomyślał. Człowiek z latarką miał na sobie granatowy mundur z napisem „Policja” na piersi. To nie było możliwe. Michał nie widywał takich od początku wojny. A niegdyś, z powodu służby brata, znał je aż za dobrze.

Jego histeryczny śmiech nie ustawał. Dosłownie pokładał się i płakał, to znów chichotał jak małe dziecko. Nawet wtedy, gdy wyciągnęli go już na górę. Trochę się uspokoił po ułożeniu na noszach i podłączeniu kroplówki. Ale tylko do czasu, aż zobaczył polski radiowóz. Z kolei gdy się zorientował, że pakują go do ambulansu amerykańskiej armii, śmiech przeszedł w zupełnie niekontrolowany rechot.

Umilkł dopiero na widok Jurka. Chłopiec wspiął się do karetki, usiadł na noszach ojca i podkulił nogi, bo obok zaraz wjechały nosze z Beatą.

– Tata, dlaczego się tak dziwnie śmiejesz? – spytał. – Strasznie chudy jesteś, wiesz?

– Synek, to naprawdę ty?

– No... Ja. A niby kto? – Jurek nagle się rozplakał. – Tata, przepraszam! Ja nie chciałem wtedy tego powiedzieć.

- Wiem, synek. Wiem... – Michał przytulił go i zaczął głaskać po głowie.
- Nie martw się, wszystko będzie dobrze.
- Nie gniewasz się? Nie jesteś na mnie zły?
- Na ciebie? Nigdy.

Wieści szybko obiegały miasto. Gromady ludzi ciągnęły ulicami w jednym kierunku. Basia szła z nimi. Lokomotywa zostawił jej tyle pieniędzy, że przez ostatnie dwa dni niczego ani jej, ani Piotrusiowi nie brakowało. Bomby spadały sporadycznie, więc po pierwszym szoku wróciła nawet do mieszkania. Co prawda w mieście wyłączono prąd i wodę, żyło im się tam jednak w miarę wygodnie.

Wyszła tylko po to, by kupić trochę jedzenia, drożającego dosłownie w oczach. Poprzedniego dnia odnotowała trzy różne ceny chleba w tym samym miejscu. Teraz jednak, słuchając ulicznych plotek i przewidywań nieznanym, pozwoliła się porwać tłumowi. Oszukiwała się, że spacer dobrze jej zrobi, choć z drugiej strony dobrze wiedziała, że to może być niebezpieczne dla niej i dla dziecka. Ciekawość jednak była silniejsza. W końcu jak często można oglądać na własne oczy takie historyczne chwile?

Tłum wypełniał szczelnie zabytkową ulicę Twerską. Zarówno chodnik, jak i osiom pasów, normalnie przeznaczonych dla samochodów. Wszyscy szli w jedną stronę, na plac Maneżowy. Ludzie nie przepychali się, nie tłoczyli, nie przekrzykiwali. Po prostu szli. Tłum zaszeptał i zafalował, gdy mijał pomnik Jurija Dołgorukiego, wielkiego księcia kijowskiego i założyciela Moskwy. Widać było stamtąd dwie kremłowskie baszty. Ta po lewej była złamana wpół i płonęła, a słup dymu bił wysoko w niebo.

– Boże przenajświętszy – Starszy mężczyzna, idący obok Basi, się przeżegnał. – Przecież to Baszta Nikolska...

Rzeka ludzi gęstniała tym bardziej, im bliżej było do płonącej wieży. Ścisły tłum wypełniał wszystkie drogi na plac Czerwony, które blokowali żołnierze. Część stała z karabinami w rękach, niektórzy siedzieli przy broni pomontowanej na transporterach.

Basia ze zdziwieniem spostrzegła, że między rosyjskimi wojskowymi byli też amerykańscy. Dopiero potem dotarło do niej, że nawet ci

w rosyjskich mundurach mają wokół szyi chusty z gwieździstym sztandarem. Nagle jakby ktoś ich do prądu podłączył. Transportery plunęły spalinami i ustawiły się na nowych pozycjach. Najwyraźniej spłynęły nowe rozkazy. Usunęli większość pojazdów z centralnej części placu, a już po chwili do uszu zgromadzonych dotarł łoskot nadlatujących śmigłowców.

Zdziwieni ludzie wskazywali sobie nawzajem niebo nad Kremlen zasnute teraz dymem. Między czarnymi wstęgami coraz wyraźniej rysowały się kształty nadlatujących maszyn. Dziesiątek. W końcu hałas był nie do wytrzymania. Basia naciągnęła Piotrusowi mocniej na uszy czapkę i dodatkowo schowała malca pod kurtkę, aby huk mniej mu dokuczał. Najpierw wylądowały duże dwuśmigłowe transportowce; z nich zaczęły wysypywać się dziesiątki żołnierzy. Potem mniejsze helikoptery usiadły w środku, a nad placem wciąż krążyły smukłe i zwrotne śmigłowce bojowe. Basia zauważyła, że z jednej maszyny wysiadł poważny mężczyzna w galowym mundurze. Szedł sztywno wyprostowany, z kilkoma innymi oficerami otoczony przez oddział komandosów. Cała grupa zniknęła w wyrwie w kremlowskim murze.

Helikoptery kolejno wyłączały silniki i hałas stawał się bardziej znośny. Teraz dało się więcej usłyszeć. Basia pomyślała początkowo, że się przesłyszała, ale nie, chwili później znowu doleciały ją polskie słowa. Zaczęła uważniej przyglądać się stojącym na placu żołnierzom i wyciągać słuch. Dostrzegła osobną grupkę siedzących pod Mauzoleum Lenina. Teraz wyraźnie słyszała, że rozmawiali po polsku. To było tym dziwniejsze, że mieli na sobie rosyjskie mundury, a jednak brakowało im chust z flagą Stanów Zjednoczonych.

Gdy go wśród nich zauważyła, doznała prawdziwego szoku. Przez chwilę myślała, że się przewróci i musiała chwycić się mężczyzny stojącego obok. Ten odruchowo ją podtrzymał.

– *Czto ty? Wsio w pariadke?*

Puściła jego ramię i na nogach jak z waty przepchnęła się między ludźmi stłoczonymi na obrzeżach placu. Z początku żołnierze jej nie zauważyli, ale po chwili wycelowali w nią karabiny, a któryś krzyknął:

– *Stop! Step back! Now!*

Nie zważała na te groźby, szła dalej, choć działka na transporterze obróciły się w jej kierunku. Amerykanie zagrozili jej drogę, ktoś szarpnął Basię za kurtkę. Piotruś rozplakał się głośno, a oni spojrzeli po sobie, lekko wystraszeni.

– Roman! Roman! – krzyknęła.

Zobaczył ją. Z początku nie dowierzał. Był w takim samym szoku jak ona. W końcu podbiegł, odpychając Amerykanów, i poprowadził ją za linię wartowników. Patrzył jej w oczy, wciąż nie wierząc, a ona się rozplakała.

– Muszę wyglądać strasznie, prawda?

– Że też takie rzeczy ci w tym momencie...

Nie skończył, w jego oczach również pojawiły się łzy. Przytulił ją mocno, ale szybko wyswobodziła się z jego objęć z przeproszającym uśmiechem.

– Uważaj, bo go zgnieciesz.

Dopiero teraz zauważył, że miała ze sobą dziecko. Odsunął się z obawą, przyjrzał malcowi. Ten patrzył na niego czarnymi oczami, wpychając sobie do buzi całą piąstkę.

– Czy to jest? – Romanowi głos uwiązł w gardle.

– Tak, to twój syn. – Basia uśmiechnęła się. – Chcesz go potrzymać?

Basia podała mu Piotrusia, a Roman niezgrabnie wziął niemowlę na rękę. Kobieta zaczęła go instruować, poprawiając chwyt:

– Tutaj. Tak, żeby miał oparcie pod pleckami.

– Jak ma na imię?

– Piotruś.

Na twarzy dziecka w pierwszej chwili pojawił się grymas i wyglądało na to, że malec się zaraz rozplacze. Ale potem rozpogodził się i zajrzał Romanowi wesoło w oczy. Mężczyzna odwzajemnił to spojrzenie z czułością.

– Romuś! Chodź! Rogers chce z nami pogadać!

Odwrócił się z dzieckiem na rękę. Basia pamiętała tego wysokiego blondyna, który go wzywał. Był jakimś zastępcą Romana i nie pochodził z Polski tylko ze Słowacji albo Chorwacji. Roman oddał jej dziecko i zawołał:

– Seget! Do mnie!

Natychmiast podbiegł do nich kapral i zsalutował.

– Zajmiecie się panią. Macie jej pilnować jak oka w głowie, jasne?

– Tak jest!

– Poczekaj na mnie z chłopakami – zwrócił się znowu do Basi Górski. – Powinienem niedługo być z powrotem.

– Romek, chciałam cię o coś prosić – wyszeptała pospiesznie. Wiedziała, że równie dobrze może wrócić zaraz albo nie wrócić w ogóle. – Wyślij mnie do Katowic. Błagam cię.

– Co?

– Muszę odnaleźć Michała i Jurka. Śnili mi się zeszłej nocy. Zrozum.

– Nie. Mowy nie ma – powiedział ostro. – Dopiero cię odzyskałem i mam znowu stracić? A mój syn?

– Mam błagać na kolanach? Tego chcesz?

– Poczekaj na mnie – powiedział z naciskiem, odwrócił się i pobiegł do blondyna.

Basia pozwoliła kapralowi zaprowadzić się do polskiej ekipy, patrząc z żalem, jak Roman z zastępcą znika w wyrwie kremłowskiego muru.

7.

Gurski i Jovan szli po błotnistej brei, czyli tym, co zostało z trawnika rozjechanego przez czołgowe gąsienice. Część dziedzińca uprzątnięto już z gruzów, równocześnie trwało rozbijanie rosyjskich żołnierzy, których tymczasowo stłoczono w jednym narożniku kremłowskich obwarowań. Siedzieli tam z rękoma na karkach, pilnowani przez marines.

Pożary metodycznie dogaszała moskiewska straż pożarna, której zastępy zjawily się zaraz po kapitulacji. Roman zerknął na kopułę Pałacu Senackiego – flaga została już zamieniona na amerykańską *Stars and Stripes*, ale chłopaki nie dali za wygraną i na ścianie pałacu wymalowali wielki napis. Czarne, dwumetrowe litery głosiły: „1610–2018 Jak będzie trzeba, znowu wpadniemy!”

Nieopodal pałacu zgromadzono kilkadziesiąt kamer. Były chyba wszystkie rosyjskie telewizje i silna reprezentacja zachodnich, przywieziona śmigłowcami razem z generałem Edwardsem. Wszystkie obiektywy celowały w prowizoryczną mównicę z mikrofonem, obok której kręcił się blady i zdenerwowany Dmitrij Miedwiediew. Premier Rosji raz po raz odczytywał słowa z kartki, mrużąc do siebie. Najwyraźniej uczył się przemówienia.

Pułkownik Rogers rozmawiał z generałem, więc Roman z Jovanem taktownie stanęli z boku, czekając aż skończą rozmawiać. Amerykański dowódca patrzył z pochmurną miną na budynki soborów. Elewacje oraz kopuły były upstrzone dziurami po kulach. W niektórych wypadkach ciężko było nawet rozpoznać, jaki miały wcześniej kolor.

– Jak pan rozumie słowo „oszczędzić”, pułkowniku?

– Nie nasza wina. Iwany pochowały się w środku – jęknął Rogers. – Ale niech pan popatrzy na inne budynki, generale. W kościoły nie trafił ani jeden pocisk czołgowy. Naprawdę się staraliśmy.

– To są sobory!

– Tak jest!

Generał odwrócił się i zauważył Romana i Lacevicia. Przywołał ich gestem.

– Panowie. Pułkownik chciałby, abyście dołączyli do jego ekipy, która ma zejść do podziemi. Co wy na to?

– Jakich podziemi?

– Pod Kremlem jest tajne centrum dowodzenia – wyjaśnił Rogers. – Prawdopodobnie w tych pomieszczeniach ukrywa się car.

– To dla nas kluczowe – dorzucił generał. – Nie możemy pozwolić, żeby Putin wychynął gdzieś po kapitulacji. Ciągłe cieszy się dużą popularnością. Ludzie pójdą za nim, a nie premierem Miedwiediewem.

– Mamy go zlikwidować? – spytał Roman.

– Armia amerykańska nie morduje. – Generał zmarszczył brwi, a Gurski omal nie wybuchnął śmiechem. – Car Władimir I jest nam potrzebny żywy.

– Pomyślałem, że należy wam się udział w tej zabawie – wtrącił pułkownik. – W końcu to wasz kraj ten skurwiel rozjechał czołgami.

– Może pan na mnie liczyć – powiedział Roman. – Sierżancie?

– *Sir, yes sir!*

Najpierw zaprowadzono ich do śmigłowca, w którym mogli zmienić mundury i uzbrojenie na amerykańskie. Gurski zdziwił się, gdy zobaczył, że sierżant Lacević nie oddał makarowa i schował go pod kamizelkę.

– Co ty robisz?

– Pamiątka. – Jovan mrugnął do niego.

Do śmigłowca wpadł pułkownik Rogers i spytał:

– Gotowi?

Roman poprosił gestem o cierpliwość i dopiął swoją kamizelkę. Myślał o Basi. Bez problemu mógłby jej powiedzieć, że nie dał rady załatwić transportu. W końcu to byłoby wiarygodne. Tym sposobem, jak tylko skończy zadanie, miałby ją dla siebie. Ją i syna, o którym do tej pory nic nie wiedział. Ale to nie byłoby *fair*. Wstydziłby się do końca życia. Wiedział, że Amerykanie założyli bazę w Pyrzowicach. Mieli tam lotnisko i szpital wojskowy, do którego trafiali żołnierze ewakuowani z frontu. Musiał spróbować.

– Panie pułkowniku?

– Tak?

– Chciałbym, aby ktoś zabrał się najbliższym transportem do Katowic.

– Jest ranny?

– Nie.

– W takim razie nie rozumiem. – Rogers się skrzywił. – To któryś z pańskich ludzi?

– Nie, chodzi o kobietę.

– Cywil? Wykluczone.

– Jasne. Tak czy inaczej, dziękuję.

– Poczekaj – westchnął pułkownik. – Kto to taki?

– Kobieta z malutkim dzieckiem. Moim synem.

– Kurwa, człowieku! Trzeba było od razu mówić, że chodzi o rodzinę.

Gdzie ona jest?

– Z moimi ludźmi, pod Mauzoleum Lenina.

– Załatwię.

Rogers klepnął Gurskiego w ramię i wyskoczył ze śmigłowca. Lacević stał z rozdziawionymi ustami.

– Kurwa, to ty masz syna?

– Długa historia.

Gdy byli już gotowi, wrócili na teren Kremla i weszli do Pałacu Senackiego. Grupa liczyła dwadzieścia osób. Rogers wytłumaczył im, że podzielą się na pary i przeszukają podziemny kompleks. Generał Petrow skontaktował się już z ludźmi pracującymi na dole i przekazał wieść o kapitulacji. Ochrona tajnego centrum dowodzenia poinformowała ponoć, że złoży broń, ale tego nie mogli być do końca pewni.

Przy stalowych drzwiach windy pułkownik powiedział jeszcze:

– Każdego żołnierza przeszukujemy, krępiemy zaciskiem i odstawiamy do windy, gdzie wartę będą pełnić dwie osoby. Rozumiecie? Pracowników cywilnych również trzeba przeszukać, ale im nie krępiemy rąk. Takie są postanowienia między Edwardsem a Petrowem. – Wziął od podoficera walizkę i wyciągnął ze środka przedmioty przypominające piloty do telewizora. Rozdał po jednym każdej dwójce.

– Ogólnie szukamy tego skurwysyna, co to się obwołał carem. Ale Petrow twierdzi, że Putin może mieć sobowtórów. Te urządzenia sprawdzą DNA potencjalnego Władimira Władimirowicza. To jest proste jak ruchanie, czyli akurat dla was. Przytykacie do delikwenta i wciskacie guzik. Igła pobiera krew, szybka analiza i macie wynik. Czerwone światełko oznacza, że trzeba szukać dalej, a zielone, że mamy cara.

– Bez jaj – mruknął Roman. – Porównanie DNA robi się w laboratorium i musi trwać minimum kilka dni.

– Uwierz mi, że US Army ma takie zabawki, o jakich się ludziom jeszcze nie śniło.

– To może podzielcie się nimi. Dla dobra tych ludzi – powiedział z przekąsem Lacević.

– Udam, że tego nie słyszałem.

Zjechali windą w dwóch turach. Para wartowników została przy drzwiach, a reszta żołnierzy rozproszyła się po podziemnym kompleksie. Gurski ramię w ramię z Jovanem sprawdzał kolejne pomieszczenia.

Właściwie był trochę zawiedziony. Spodziewał się nowoczesnych wnętrz à la *Star Trek*. Zamiast tego oglądał sraczkowate ściany, szarą wykładzinę i tandetne biurowe meble.

Przez pół godziny nie wystrzelili ani jednego pocisku i nie musieli nawet podnieść głosu. Wystarczyło, że ludzie spojrzeli na ich pełen ryzsztunek i w lufy karabinów. Do tej pory odstawili do windy dziewięciu żołnierzy i z tuzin pracowników cywilnych. Za kolejnym zakrętem spotkali się z pułkownikiem Rogersem i jego żołnierzem do pary.

– Namierzyliśmy centrum dowodzenia.

– Kurwa – jęknął Lacević. – Ja chciałem to zobaczyć. I co, jest jak w NASA?

– Szereg komputerów i płaskich ekranów oraz dużo tabletów. Wygląda to jak trochę większy pokój mojego nastoletniego syna.

Poszli szerokim korytarzem we czwórkę, sprawdzając kolejne pomieszczenia. W końcu trafili na niewielki pokój biurowy z dwoma rosyjskimi flagami w kącie. Zza biurka podniósł się Władimir Putin. Nie wyglądał tak zdrowo, jak w telewizji, nawet garnitur na nim wisiał. Car skinął głową i powiedział po angielsku:

– Gra skończona. – Wykrzywił się ponuro. – Gratuluję zwycięzcom.

Porucznik Gurski podszedł do rosyjskiego przywódcy i bez uprzedzenia wbił mu w dłoń igłę testera. Tamten cofnął rękę, sycząc z bólu, i rozmasował śródrezcze. Na urządzeniu zapaliła się czerwona lampka.

– Niezła ściema, gościu – mruknął pułkownik Rogers.

Roman z Jovanem przeszukali sobowtóra, a potem wypchnęli na korytarz.

– Jak śmiecie?! Jestem carem Rosji i żądam...

– Zamknij ryj – powiedział bez złości Gurski. – Idź do windy. Chyba, że wolisz kulę w łeb.

Udający Putina mężczyzna nie podjął dyskusji i powlókł się korytarzem. Czterech żołnierzy ruszyło dalej, ale wkrótce musieli się rozdzielić, bo korytarz się rozgałęział.

Po kilku minutach Roman ze swoim sierżantem wpadł do kolejnego pomieszczenia i kompletnie zbaraniał. Na piętrowych pryczach siedziało

czterech Putinów. Jeden w dresie, dwóch w dżinsach i koszulach, a ostatni w garniturze. Sprawdzili ich kolejno, ale urządzenie zaświeciło cztery razy na czerwona lampką. Przeszukali wszystkich i puścili korytarzem w kierunku windy.

W następnym pokoju, który okazał się być serwerownią, spotkali dwóch pracowników cywilnych. Młodego bruneta i starszego mężczyznę z siwą czupryną i wąsem. Tych także przeszukali i odesłali. Roman obserwował jak obaj odchodzą w stronę windy. Zauważył, że starszy pan, ubrany w szare spodnie i ciemny sweter, kołysze się na boki. Jak chuligan szukający zaczepki. Gurski zmarszczył brwi i krzyknął:

– Ej ty, zaczekaj!

Mężczyzna odwrócił się i ze zdziwieniem powiedział:

– *Ja nie ponimaju.*

Gurski dogonił go, chwycił za ramię i zaciągnął z powrotem do serwerowni. Jovan zamknął z nim drzwi, choć nic z tego nie rozumiał.

– Romuś, co ty wyprawiasz?

Zamiast odpowiedzieć, Roman wbił urządzenie w dłoń starszego pana. Ten wyszarpnął mu rękę ze strachem, ale na próżno. Zapaliła się zielona lampka.

– Och, ty skurwysynu!

Sierżant Lacević błyskawicznie zdarł mężczyźnie siwą perukę, a potem bezlitośnie oderwał sztuczne wąsy. Władimir Władimirowicz Putin, car Rosji, padł na kolana.

– Błagam was! Wszystko skończone. Przecież to już koniec! Ja... Ja się poddam! – Uniósł ręce w obronnym geście. – Konwencja haska! Trzeba przestrzegać międzynarodowych zasad!

– Jakbyś ty ich kiedykolwiek przestrzegał, śmieciu pierdolony – wycedził Roman.

A potem zrozumiał. Władimir Putin bardziej niż czegokolwiek bał się właśnie śmierci. To zdziwiło Gurskiego. Wyobrażał sobie, że car będzie dumnym przywódcą, który w obliczu nieuniknionej porażki raczej wybierze samobójstwo niż upokorzenie międzynarodowego procesu. Mylił się.

W rzeczywistości Rosją władał zakompleksiony tchórz. Tylko tacy muszą zawsze udowadniać swoją siłę i pragną władzy nad światem.

– Romuś, co robisz? – syknął Jovan, widząc karabin porucznika wycelowany w głowę jeńca. – Przemyśl to.

Gurski na całe życie zapamiętał początek wojny. Hekatombę i ogrom cierpienia zwykłych ludzi. Łzy i krew wylane na Ukrainie, w Polsce i w krajach bałtyckich. Dodał do rachunku nowe ofiary, które pochłonęła amerykańska interwencja. Władimira Putina otaczały tylko lęk, cierpienie, koszmar, udręka, śmierć i morze trupów. Przemyślał to. Strzelił.

– Kurwa! – wyszeptał Lacević. – Romuś, szybko. Rogers na pewno słyszał wystrzał.

Kolbą karabinu zaczął utraćć dysze systemu przeciwpożarowego na suficie, a Roman od razu zrozumiał jego intencje i wywalił cały magazynek w serwery. Z masywnych szaf posypały się iskry, które zaraz zamieniły się w zarzewia pożaru. Gdy wybiegli na korytarz, w całym kompleksie rozległ się alarm przeciwpożarowy. Rozpylacze natychmiast zrosiły korytarz, ale w serwerowni system nie zadziałał, jak powinien.

Chciwy ogień szybko trawił plastikowe obudowy i grube wiązki kabli.

Gdy pułkownik Rogers przybiegł na miejsce, korytarz wypełniał już gęsty, czarny dym.

– Co tu się stało?!

– Jakiś skurwiel schował się w serwerowni – wyjaśnił spokojnie Roman.

– Zaczął do nas napierdalać – dodał Lacević. – Więc odpowiedzieliśmy ogniem.

Pułkownik miał dość rozsądku, żeby nawet nie próbować zaglądać za rozgrzane drzwi. Wydał krótki rozkaz:

– Spierdalamy!

Pobiegli najkrótszą drogą do windy. Mimo alarmu pożarowego dźwig działał, gdyż była to jedyna droga ewakuacji. Wszyscy bez problemu wydostali się na zewnątrz. Moskiewscy strażacy chcieli od razu zjechać na dół, ale pułkownik na to nie pozwolił. Czujniki wskazywały zbyt duże zadymienie i postanowiono, że strażacy zjadą dopiero wtedy, gdy wentylacja pozbędzie się szkodliwych oparów.

Roman i jego sierżant nie mieli już nic do roboty na Kremlu. Plac Czerwony na jakiś czas przemienił się w ruchliwe lądowisko dla śmigłowców. Po przebierańcach za to nie było już śladu. Teraz żołnierze mieli na sobie wyłącznie amerykańskie mundury. Nawet Wójcik, Seget, Janik i Boski, którzy nadal okupowali fragment pod Mauzoleum Lenina.

– A wy co? Poszliście na basen? – zagadnął kapral Seget na powitanie.

– Gdzie Basia? – spytał z marszu Roman, rozglądając się niespokojnie.

– Ta kobieta z dzieckiem? Zabrali ją na pokład chinooka. Z rannymi – wyjaśnił Boski.

Porucznik tylko pokiwał smutno głową, jakby właśnie tego się spodziewał. Spojrzał na tłumy ludzi wokół placu. Byli przygnębieni wieściami o kapitulacji, ale chyba jednak w większości – na swój sposób – nawet zadowoleni. W końcu Moskwa prawie wcale nie ucierpiała. Na pewno bez porównania mniej niż duma Rosjan. Ale czy dumą można się najeść? Czy zwróci komuś życie? Zapatrzył się na matkę z niemowlakiem na rękach. Po chwili dołączył do niej mężczyzna, uśmiechnął się i ucałował ją oraz dziecko.

– Romuś, wszystko w porządku? – spytał sierżant Lacević.

– Tak. Zbierajcie graty. Zaraz będą nowe rozkazy.

8.

Samolot zatoczył łuk, a siedząca z tyłu Natalia mogła podziwiać majestatyczne granatowe wody, połyskujące w blasku nisko zawieszono słońca.

– Nathalie, popatrz. – Barry wymawiał jej imię z amerykańskim akcentem. – Morze Beringa. Piękne, co?

W odpowiedzi skinęła głową i mruknęła coś pod nosem. Martwiła się o Smutnego. Chłopak gasł w oczach. Miała nadzieję, że przetrwa lot na Alaskę, a tam znajdzie się dla niego jakaś pomoc. Pilot ostrzegł ją, że odbiorca towaru będzie na nich czekał już na lotnisku. Powiedział, że ci ludzie różnie mogą zareagować na jej obecność, ale lepiej, żeby nie robiła

sobie zbyt wielkich nadziei na przeżycie. Przynajmniej był szczery, pomyślała. Ale się nie bała. W razie czego chciała zrobić użytek z dubeltówki i kilkunastu naboí, które jej zostały.

Barry skręcił w kierunku lądu i zaczął schodzenie. Wyrównał tak nisko, że starczyłoby wyciągnąć rękę, żeby dotknąć grzyw na grzbietach niewielkich fal. Tak jej się przynajmniej wydawało.

– Trzymaj się. Tu nie jest tak równo jak u Lewiego – powiedział Loggins.
– No, i zasłoń okna z tyłu. Lepiej, żeby nikt was nie widział.

Natalia zaciągnęła zasłonki na sznurkach. Potem złapała się uchwytu, a drugą ręką objęła Smutnego. Samolot mocno uderzył kołami o ziemię, zatrząsł się na nierównościach. W końcu zwolnił i zatrzymał się obok niewielkiej cysterny, przylegającej do białego kontenera z blachy. Przez otwarte drzwi wyszedł mężczyzna z długą, ciemną brodą i uniósł dłoń na powitanie.

– Tylko bez numerów – Natalia wcisnęła lufy strzelby w bok pilota. – Pamiętaj, że równie dobrze mogło to być twoje ostatnie lądowanie.

– Zachowaj takie teksty na później. Jeszcze ci się przydadzą.

Barry wysiadł z samolotu i zatrzasnął za sobą drzwi. Natalia słyszała, jak wymienia z brodaczem zwykłe uprzejmości, a ten odpowiada mu łamaną angielszczyzną. Samolot zakołysał się delikatnie, gdy pilot podpiął wąż. Po chwili usłyszała szum pompowanego paliwa.

– Gdzie jesteśmy?

Natalia nachyliła się natychmiast nad Smutnym. To były pierwsze słowa, jakie wypowiedział od postrzału. Pocałowała go delikatnie w spękane usta i powiedziała:

– W drodze. Już niedługo wszystko będzie w porządku.

– Pić...

Odkręciła butelkę z wodą i przytknęła mu do ust. Pił łapczywie, tak że większość wody ściekała mu po brodzie i policzkach. Jego oczy odzyskały trochę blasku i Smutny potoczył wzrokiem po wnętrzu.

– To samolot?

– Tak.

– Gdzie jesteśmy?

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała zgodnie z prawdą. – Lecieliśmy na wschód. Najpierw długo było morze, a teraz jest ląd, ale to tylko taki szerszy pas. Chyba półwysep.

– Kamczatka – wyszeptał. – Dokąd lecimy?

– Na Alaskę.

– Co on wiezie? Haszysz, heroinę?

– Heroinę. Skąd wiesz?

– Na dalekim wschodzie jest więcej takich punktów tankowania, niż się komukolwiek wydaje. Cały towar leci z Afganistanu do cywilizowanego świata. Wiesz, ilu jest policjantów w Kraju Kamczackim?

– No?

– Pewnie ze dwa tysiące. – Smutny przymknął oczy i się uśmiechnął. – A to obszar wielkości Hiszpanii. Daj mi jeszcze wody... Ten pilot, kto to jest? Przyjaciół Żyda?

– Chyba tak.

– Nie ufaj mu. Pamiętaj, że nikomu nie można ufać.

– Wiem.

– Gdyby mi się nie udało... Mam wujka na Florydzie. Nigdy go nie widziałem, ale podobno robi interesy z mafią.

– Przestań tak mówić! – syknęła. – Nie wolno ci tak myśleć. Na pewno się uda. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

– Znam jego adres. Ty też musisz zapamiętać. Adam Volkovich, Delray Beach, Miramar Drive dwa-osiem-siedem-sześć. Zapamiętasz?

– Nie chcę. Sam mnie zabierzesz do wujka.

– Posłuchaj mnie. – Smutny uniósł się trochę i gwałtownie zakasłał.

– Leż.

– Delray Beach, Miramar Drive dwa-osiem-siedem-sześć. Delray Beach, Miramar Drive dwa-osiem-siedem-sześć... – głos chłopaka słabł coraz bardziej. W końcu Natalia zorientowała się, że Smutny znowu zasnął.

Paliwo przestało płynąć. Usłyszała, jak Barry żegna się z brodaczem, i po chwili wszedł do kabiny. Uruchomił silnik i poprowadził samolot na początek pasa. Rozpędził go po wertepach, a gdy Natalii wydawało się, że

zaraz wpadną do wody, oderwał płynnie od ziemi i skierował w lewo. Zachodzące słońce zostawili za plecami.

– Następny przystanek: Alaska – powiedział Barry.

Ze snu wyrwał ją piskliwy, przerywany dźwięk. Przestraszona tym, że przysnęła, ścisnęła mocniej palce na strzelbie i mimowolnie przydusiła spust. Na szczęście broń była zabezpieczona. Za oknem panowała ciemność, a gęsty deszcz chłostał szyby.

– Co się dzieje?

– Jesteśmy w dupie – odparł pilot bez cienia paniki w głosie. – Oto, co się dzieje.

– Zginiemy?

– Może. Popełniłem błąd, nie powinienem was zabierać. Przez całą drogę wiało nam w pysk i poszło więcej paliwa niż normalnie. Gdybyśmy ważyli mniej, może by się udało. Ale tak...

Barry Loggins po raz pierwszy w życiu doznał przykrego uczucia, że nadprzyrodzona siła, czuwająca nad nim od zawsze, przebywa akurat gdzieś indziej.

– Zabraknie nam paliwa?

– Już zabrakło, panienko. Teraz po prostu szybujemy.

– Spadniemy do morza?! – Natalia poczuła, że ogarnia ją panika.

– Może się dotelepiemy. Wcześniej zwiększyłem pułap. Do brzegu mamy z dziesięć mil, jesteśmy na sześciu tysiącach stóp. Tak czy inaczej to będzie bardzo, bardzo twarde lądowanie.

Natalii nic nie mówiły wyliczenia pilota, dlatego siedziała w milczeniu. Poza tym czuła, że żołądek podchodzi jej do gardła.

– Aha, jeszcze jedno. Jakbyś mogła na czas awaryjnego lądowania schować tę strzelbę, to byłbym bardzo wdzięczny.

Dziewczyna posłusznie wcisnęła strzelbę między fotele. Jedną ręką objęła Smutnego, drugą zapała się w siedzenie przed sobą. Czekwała. W świetle reflektorów samolotu widziała już spienione morze, a chwilę później dojrzała fale młócące wściekle o brzeg. Dalej rozciągało się trawiaste wybrzeże. Koła

maszyny dotknęły ziemi i Barry zaczął hamować. Natalia pomyślała, że chyba im się uda, i wtedy zobaczyli przed sobą potężny głaz.

– Nie! – krzyknęła, a potem wszystko zagłuszył huk rozrywanego kadłuba.

Szpitala to specyficzne miejsca. Zazwyczaj – niezależnie od szerokości geograficznej – mieszczą się tam strach, ból i zapach środków dezynfekujących. Raczej rzadko się zdarza, żeby ktoś przywieziony do szpitala krzyknął: „Nareszcie, jak dobrze, że tu trafiłem!” Ale tak to już jest, że na wojnie reguły życia codziennego czasami całkiem się odwracają.

Oczywiście w Camp Pyrzowice US Army Hospital było wielu cierpiących i rannych. Zwłaszcza wśród przywiezionych z pola walki. Ale spora część cywili, zajmujących tu łóżka, była dosyć zadowolona. Po pierwsze otrzymywali porządną opiekę medyczną po długich miesiącach rosyjskiej okupacji. Po drugie wieści o końcu wojny dotarły do wszystkich, wiedzieli więc, że kres tego szaleństwa jest już bardzo bliski.

Amerykanie stworzyli szpital przy udziale wielu katowickich lekarzy, którzy z chęcią zaoferowali pomoc, ale postawili jeden warunek. To nie mogła być placówka tylko i wyłącznie dla amerykańskich żołnierzy. Dowódcy łatwo przystali na tę propozycję. Naprawdę chcieli pomóc obywatelom kraju tak okrutnie doświadczonemu przez wojnę, a poza tym zmagali się z kadrowymi brakami.

Michał niewątpliwie należał do tych zadowolonych pacjentów. Mimo to starał się nie okazywać wesołości. Leżał w przestronnej sali z siedmioma żołnierzami, zwiezionymi z pola walki. Trzech z nich było w bardzo ciężkim stanie, pozostali również mieli poważne rany. Ze swoim skrajnym odwodnieniem i niedożywieniem był przy nich niczym człowiek z rozciętą nogą przy kimś po amputacji. Początkowo próbowano oddzielać cywili od wojskowych, ale szybko okazało się to zbyt kłopotliwe. Czego innego Amerykanie przestrzegali za to z uporem maniaka. Rozdzielania płci. Michała zawsze śmieszył amerykański purytyzm. Jak pokazywać wojnę i flaki na ekranie, to proszę bardzo, niech oglądają najmłodsi. Ale nie daj

Boże cycki gdzieś w rogu kadru, to już specjalna komisja musi film prześwietlić. Dlatego widywał się z Beatą tylko popołudniami.

Do sali wkroczył wiecznie uśmiechnięty doktor Strzelecki.

– Jak się dzisiaj czujemy? – spytał.

– Bardzo dobrze – odparł Michał.

– Wie pan, że jutro mają otworzyć kolejowy w Katowicach?

– Naprawdę?! Tak szybko? Myślałem, że na południu Katowic same gruzy.

– Ten budynek szczęśliwie przetrwał. No i było łatwiej, bo Rosjanie leczyli tam swoich.

– Czyli co, jutro mnie przeniosą?

– Pana? – Doktor się roześmiał. – Nie, dla pana mam inne wieści. Pan już wychodzi.

– Naprawdę?

– Proszę na razie się nie przemęczać, ale to łóżko potrzebne jest ciężej chorym.

Lekarz musiał lecieć dalej, więc Michał tylko podziękował mu serdecznie za opiekę. Lubił Strzeleckiego, bo zawsze miał dla każdego dobre słowo, no i pozwalał przychodzić Jurkowi, co było niezwykle ważne.

Zaraz po tym, jak znalazł się w szpitalu, chłopiec opowiedział ojcu, co się wydarzyło. Tamtej nocy nacisnął spust i kula trafiła Floriana w ramię. Mężczyzna od tego nie umarł, ale strzał zaalarmował pozostałych członków społeczności. Zaczęła się dyskusja, czy powinno się ukarać Jurka czy też pozwolić mu opuścić wspólnotę. Wtedy na miejscu zjawiała się policja w asyście amerykańskiej żandarmerii wojskowej, która objeżdżała zajęte tereny, robiąc swego rodzaju spis powszechny. Dowiadywali się, gdzie kto mieszka i czy nie potrzebuje pomocy. Państwo polskie powoli się odradzało i stopniowo uruchamiało kolejne służby i organy administracji. Jurek opowiedział całą historię i w ten sposób uratował ojca oraz Beatę. Z betonowej studni trafili do szpitala w Pyrzowicach, gdzie mogli bezpiecznie wrócić do zdrowia.

Mały bohater właśnie wbiegł do sali i Michał musiał go szybko upomnieć, przykładając palec do ust.

- Synek, nie biegaj, tyle razy prosiłem. Przecież tu śpią chorzy.
- *Sorry*, tata. Doktor mówi, że wychodzisz. To prawda?
- No. Cieszysz się?
- No. Ale wiesz co? Siostra Beata też wychodzi!
- Ciiiiszej... I nie mów już o niej „siostra”. Rozmawialiśmy o tym.
- A, no tak.

Po godzinie Michał dopełnił formalności i wyszedł przed kompleks budynków, namiotów i kontenerów. Nie miał niczego. Jakiegokolwiek plecaka, ubrań na zmianę, pieniędzy. Niczego. A jednak, choć był jeszcze bardzo osłabiony, gdy tylko poczuł na twarzy promienie słońca, uśmiechnął się. Był szczęśliwy. Jeszcze kilkadziesiąt godzin wcześniej umierał. A teraz? Odzyskał syna i za chwilę miał spotkać kobietę, w której się zakochał. Miał zacząć nowe życie.

Basia nie przespała podczas podróży więcej niż godzinę na raz. Była kompletnie wyczerpana, ale cieszyła się, że chociaż Piotruś odpoczął. Ciągłe bujanie i monotony szum silników działały na niego wyjątkowo usypiająco. Najpierw przetransportowali ją razem z rannymi do bazy w Charkowie. Tam spędziła sporo czasu, czekając na wolne miejsce w samolocie, który mógłby ją zabrać do Pyrzowic.

W charkowskiej bazie przebywali wyłącznie żołnierze, wszystkich więc dziwił widok matki z dzieckiem. Ale nikt nie powiedział złego słowa. Mało tego, kobiety z personelu medycznego wyciągnęły spod ziemi pieluchy oraz inne rzeczy potrzebne przy opiece nad niemowlakiem. W końcu się doczekała i potężnym samolotem pełnym rannych Basia odleciała do Pyrzowic.

Szła w kierunku szpitala. Powiedziano jej, że tam najprędzej znajdzie informacje o rannych lub zabitych i może nawet o części zewidencjonowanej ludności. Więcej mogła się dowiedzieć chyba tylko w urzędzie miejskim w Katowicach. Wiedziała też, co zrobi potem. To był przecież naturalny wybór. Wróci do ich starego mieszkania na Zarębskiego. Nie interesowało jej na razie, czy budynek przetrwał czy nie. Po prostu tam na nich zaczeka.

Zatrzymała się nagle. Przez dłuższą chwilę była pewna, że to po prostu złudzenie. Jakaś halucynacja, skutek niewyspania albo ogólnego przemęczenia. Ale nie, byli jak najbardziej realni. Michał z Jurkiem. Serce zakolało jej w piersi, gdy zobaczyła, że mąż uśmiecha się z czułością. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że wcale nie patrzył na nią.

Obserwowała z niedowierzaniem, jak podchodzi do kobiety z opatrunkiem na nosie. Jak całuje ją namiętnie w usta i kładzie dłoń na jej szyi. Jak na nią spogląda. To rozszarpało Basi serce na strzępy. Michał patrzył na tę nieznajomą z tkliwością i radością wymalowanymi na twarzy. Było jasne, że coś do niej czuł. Basia podeszła bliżej, ale nie potrafiła wydusić słowa.

Stała więc tak, gapiąc się na swojego męża w objęciach obcej blondynki. Dopiero kwilenie Piotrusia spowodowało, że Michał spojrział w jej stronę. Z początku jej nie poznał, ale po chwili w jego oczach pojawiło się oszołomienie. A potem radość, gwałtownie stłumiona przez zażenowanie. Chciał do niej podejść, ale zaraz się zatrzymał, zbity z tropu. Jurek za to nie zastanawiał się ani sekundy. Podbiegł do Basi z płaczem i przywarł do niej całym ciałem.

– Mama! Ty żyjesz!

9.

Traktat pokojowy podpisano w niedzielę 30 kwietnia. W Kaliningradzie, w samo południe czasu polskiego. Nie było to wprawdzie zakończenie konfliktu o globalnym zasięgu, ale zawarcie pokoju odbiło się szerokim echem. Zaraz po tym wiekopomnym wydarzeniu, rozdzwoniły się najważniejsze dzwony cywilizowanego świata. Big Ben, dzwon Świętego Piotra w katedrze w Kolonii, watykański dzwon Świętego Marka. W tej radosnej kakofonii nie mogło rzecz jasna zabraknąć Dzwonu Zygmunrowskiego z Wawelu.

Generał Frank Edwards tego samego dnia wieczorem przyglądał się uczestnikom suto zakrapianej kolacji, wydanej w dowództwie Floty

Bałtyckiej. Premier Rosji Dmitrij Miedwiediew nie wyglądał już tak blado jak w dniu kapitulacji na Kremlu. Śmiał się teraz, popijając szampana. Większość Rosjan również przyjęła koniec wojny z ulgą, a obecny premier miał duże szanse na prezydenturę. Radykalizm tlił się tam jednak cały czas i odzywały się głosy, że tchórzliwej kapitulacji nie wolno przyjmować do wiadomości. Dlatego generała niepokoiło, że nie zdołali do tej pory namierzyć Władimira Putina. Po pożarze wysłano kolejne ekipy do kremlowskich podziemi, ale znalazły tylko kilku zaczadzonych nieszczęśników. Serwerownia kompletnie się wypaliła. Chroniony pokój zadziałał niczym bardzo wydajny piec krematoryjny, nie ocalał nawet fragment ciała człowieka, który strzelał do polskiego porucznika.

Zwycięstwo miało jednak gorzki smak. Armia rosyjska zmiażdżyła Ukrainę i Polskę. Setki tysięcy ludzi bez dachu nad głową, zniszczone miasta, fabryki, upadek wielu przedsiębiorstw i rekordowo niskie kursy walut. Tysiące sierot. Moskwa nie ucierpiała tak bardzo jak Kijów, Warszawa i – zwłaszcza – Katowice.

A teraz, pomni doświadczeń wojen światowych, będą musieli obchodzić się z Rosjanami jak z jajkiem. Będą wydawać dolary na to, by ten wschodni kraj nie został w tyle. Bieda spowodowałaby frustrację, a ta wyniosła na szczyty przedstawicieli radykalnych środowisk, które nigdy nie zaakceptują kapitulacji. Kto tu tak naprawdę zwyciężył? Główny agresor, klasowy chuligan, z którym problemy są od stuleci, nie dostanie przykładowej kary. Pogrożą mu palcem, a on będzie nadal broił.

– Panie generale. – Pułkownik Rogers podszedł do przełożonego. – Prezydent ma pomysł, byśmy się zamknęli w gabinecie, wypili po szklance dobrego burbona i wypalili po cygarze.

– Mam nadzieję, że takim nielegalnym, kubańskim? – Generał uśmiechnął się smutno.

– Oczywiście!

– Zaraz przyjdę.

Pułkownik kiwnął głową i się oddalił, a generał wyjrzał przez okno na rozświetlone ulice Kaliningradu. Na mocy traktatu pokojowego Rosja oczywiście była zobowiązana do wypłaty reparacji, ale gdy generał poznał

stan jej finansów, tylko się roześmiał. Ameryka musiała wziąć na swoje barki większość wydatków. Rację miał niegdyś Barack Obama, gdy porównał Rosję do stacji benzynowej. Zyski ze sprzedaży surowców przejadano tam na bieżąco, a kosztowna wojna do reszty zrujnowała to państwo. Gdyby chcieli, żeby Rosjanie naprawdę ponieśli konsekwencje swoich czynów, musieliby ich wpędzić w nędzę. A wtedy frustracja, radykalizm, nowa wojna... Jakby się nie odwrócić, dupa zawsze z tyłu, pomyślał smętnie amerykański dowódca.

Siły Stanów Zjednoczonych miały na razie pozostać na zachodnim terytorium Rosji, ale potem oczywiście je opuszczą. Czy Chińczycy zrobią to samo? Generał szczerze w to wątpił. Państwo Środka stało się jeszcze większe i potężniejsze, niż było wcześniej. Ukrainę z miejsca przyjęto do NATO, zdaniem Amerykanina bardzo słusznie. Najbardziej martwił go ostatni punkt traktatu. Polska za swoje cierpienia otrzymała obwód kaliningradzki. Kaliningrad miał się znowu nazywać Królewcem. Polacy cieszyli się z uzyskania nowego terytorium i poszerzenia dostępu do Morza Bałtyckiego. Generał uważał jednak, że to kukułcze jajo, które jeszcze kiedyś odbije się Polsce czkawką.

Tyle że już raczej nie na jego warcie. Starczy więc rozmyślania o światowych sprawach. W końcu za niecałe dwa lata Frank będzie już na emeryturze. Poza tym nie miał na to wszystko żadnego wpływu. Iść do gabinetu, wychylić szklaneczkę burbona i zapalić dobre cygaro z prezydentem. O, na to mógł mieć wpływ.

Epilog

1.

Tu zawsze był ruch. Od niepamiętnych czasów skrzyżowanie Alej Jerozolimskich z Marszałkowską tętniło życiem. Nie inaczej było teraz, gdy kłębiący się tłum ludzi i remontowane budynki oblewało wrześnie słońce. Ulicami pędziły samochody oraz autobusy. Według tego, co twierdzili stołeczni radni, za dwa tygodnie miały do nich dołączyć również tramwaje.

Na razie chodniki wokół skrzyżowania oblegane były przez niewielkie straganiki, które tworzyły razem pokaźnych rozmiarów bazar. Roman pomyślał o słynnej polskiej chorobie, przez niektórych nazywaną „szyldożą”. Tak, to się chyba nigdy nie skończy. Stragany i stanowiska oblepiono krzykliwymi, kolorowymi reklamami. Wszystko mogło wywołać guza mózgu u osoby choć trochę uwrażliwionej estetycznie. Jednak było również dowodem na to, że świat nie znosi próżni. Ludzie chcą żyć. Muszą jakoś zarabiać.

Dyskusje sprzedających z klientami zagłuszane były przez hałasy dochodzące z placu Defilad. Trwało wielkie sprzątanie gruzów zbombardowanego Pałacu Kultury i Nauki. Mieszkańcy Warszawy, jak to zwykle w Polsce bywa, byli podzieleni. Jedni chcieli pełnej rekonstrukcji daru Stalina. Drudzy uważali, że to jedyny plus ataku na Warszawę i nie ma mowy o powrocie „koszmarnego snu pijanego cukiernika”.

Roman Gurski zerknął w kierunku jednego ze straganów, prowadzonego przez dziwnie wyglądającą parę. Wydawało mu się, że już ich gdzieś kiedyś widział, dlatego podszedł bliżej, aby przyjrzeć się mężczyznom. Pierwszy z nich był gruby, miał lekką łysinę na czubku głowy i ubrudzony jedzeniem podkoszulek. Poza tym wyglądał na tępaka. Drugi był szczupły, niemal

kompletnie posiwały i w przeciwieństwie do tego drugiego, jakaś myśl znaczyła jego twarz.

– Proszę bardzo, może wiertareczkę dla pana? – Gruby zaczepił jednego z potencjalnych klientów.

– A ile?

– A jak dla pana to tysiąc złotych.

Klient zasepił się na dłuższą chwilę. Choć przed wojną kwota zrobiłaby wrażenie, to nie można było tego przeliczać w ten sam sposób. Ceny i tak trochę się znormalizowały przez sierpień, bo wcześniej już na poważnie chciano albo przeprowadzić ponowną denominację, albo po prostu zapomnieć o dołującej walucie i przyjąć euro.

– Osiem stówek.

– Ja bym panu i za darmo dał. Tylko bez skojarzeń, co nie? – Gruby zarechotał, rozśmieszony swoim prostackim żartem. – Ale w domu mam trzy małe myszki, co to wołają o jedzenie. Dziwińcet.

– Dobra, przyda się.

Mężczyźni dobili transakcji, obserwowani niezadowolonym spojrzeniem Siwego. Roman dopiero teraz uświadomił sobie, że ten grubszy handlował narzędziami, a ten drugi miał na swoim łóżku polowym książki. Oczywiście przed stanowiskiem z literaturą nikt nawet na chwilę nie przystanął.

– Bracie, ja cię błagam pozbądź się tego gówna – powiedział Gruby.

Gurski zmrużył oczy, gdy zrozumiał, że obaj faceci są braćmi. Coś, gdzieś, jakiś zakamarek jego mózgu twierdził, że już ich widział. Ale mimo straszego śwędzenia synaps za cholerę nie mógł sobie przypomnieć, gdzie to było.

– Ludzie muszą się teraz budować, naprawiać. Rozumiesz? A nie czytać jakieś dyrdymały! – Grubszy z braci wziął do ręki jeden z egzemplarzy. – Wywal to!

– Zostaw, to Nabokow – zaprotestował Siwy.

– Srokow! Co!? Lolita!? Czyś ty, kurwa, zwariował!? Kilka miesięcy po wojnie z ruskimi chcesz ludziom sprzedać książkę, gdzie Rosjanin pisze o dymaniu dzieci!?

– Nie dymaniu, tylko...

Roman niestety nie dowiedział się, jak zakończyła się braterska kłótnia, bo zobaczył na horyzoncie człowieka, z którym był umówiony. Uśmiechnął się na widok Jovana. Dopiero po chwili zobaczył, że Lacević ciągnie za rękę małego szkraba. Dzieciak miał ze cztery lata i przyciskał mocno do piersi mały, plastikowy autobus.

– Cześć. – Roman przywitał się z Jovanem i zerknął z ciekawością na dziecko.

– Widzisz? Pozazdrościłem ci syna i teraz też mam. Co, nie poznajesz go?

Gurski dopiero teraz rozpoznał dziecko i omal nie zaklął, gryząc się w ostatniej chwili w język. Podczas rosyjskiej ofensywy na przedmieściach Częstochowy w jednym z domów znaleźli małego chłopca, porzuconego przez rodzinę. Nie mogli dowiedzieć się, nawet jak miał na imię, bo chłopiec konsekwentnie określał siebie jako „Uś”.

– Ale jak? Jakim cudem? – Roman kucnął i przyjrzał się chłopcu, który patrzył na niego nieufnie. – Więc to robiłeś przez ostatnie trzy miesiące?

– Tak.

– Znalazłeś go i co dalej? Po prostu ci go dali? Samotnemu facetowi?

– Stary, co się dzieje w tych domach dziecka... Nawet szkoda o tym mówić. Sierot jest o wiele więcej, niż oficjalnie podają. Poza tym nikt nie chce na to dawać kasy. Może to się jeszcze zmieni.

– Zapomnij – prychnął Roman. – Sieroty musiałyby podpalić opony przed sejmem i zrobić awanturę. Może wtedy im coś skapnie. Dowiedziałeś się skąd ten „Uś”?

– Powiedz wujkowi, jak masz na imię. – Jovan zachęcił malca.

– Romuś – odparł nieśmiało chłopiec.

Roman uśmiechnął się tylko pod nosem i spojrzał na Jovana. Obaj opuścili szeregi armii, gdy tylko nadarzyła się taka możliwość. Mieli dosyć tego całego gówna. Ale tej nici porozumienia i braterstwa, jakie połączyło ich podczas wielu potyczek, nic już nigdy nie zniszczy. O tym byli pewni. Gurski wiedział, że Jovan chce wyjechać do Francji, do Lyonu. Mieszkał tam już przez pewien czas i miał wielu znajomych. Zresztą miał francuski paszport, otrzymany po odsłużeniu kontraktu w Legii Cudzoziemskiej.

– Chodź, odprowadzę was na pociąg.

– Dzięki.

Nie było sensu pytać, z którego lotniska odlatują. Okęcie ciągle było odbudowywane i z ostrożnych szacunków wynikało, że być może zostanie otwarte po nowym roku. Dworzec Centralny uruchomiono raptem przed tygodniem. Po drodze Jovan wyciągnął walizkę ze schowka i po kilku minutach stali już na peronie. Pociąg do Modlina miał nadjechać za dwie minuty.

– A ty? – spytał Lacević. – Jakie plany?

– Przeprowadzam się do Katowic.

– Zwariowałaś!? Do najbardziej zniszczonego miasta w Polsce?

– Dzięki za wsparcie.

– Nie bądź taka wrażliwa. – Jovan roześmiał się. – Co ty tam będziesz robił?

– Porządek.

– W sensie sprzątał gruzy?

– W sensie będę policjantem.

– Pier... – Lacević urwał gwałtownie, przypominając sobie, że słucha ich dziecko. – Ty!?

– A co? Myślisz, że się nie nadaję?

– Nie no, spoko. W sumie już współczuję tym wszystkim bandziorem.

Na peron wtoczył się pociąg do Modlina. Czerwony skład miał na burcie biały napis: „REGIO Südostbayernbahn”. Pochodził z niemieckich darów dla zniszczonej wojną Polski. Bardzo wiele narodów Unii Europejskich pomagało zrujnowanym krajom. Z jednej strony były to miłe gesty. Z drugiej podarki te miały trochę gorzki smak. W końcu swego czasu pozostawiono Polskę na łasce agresora. Teraz wyglądało to trochę tak, jakby kraje sojusznicze chciały choć trochę odkupić swoje winy. Dobre i to, pomyślał smętnie Gurski.

Jovan chwycił mocniej dłoń chłopca i wyciągnął rączkę od walizki.

– Na razie, byku – powiedział Roman i uściskał serdecznie kolegę.

– Trzymaj się. Jesteśmy w kontakcie.

– Jasne. – Gurski spojrzał na chłopca i pomachał do niego. – Pa, pa, Romuś.

– To chyba ja powinienem powiedzieć.

Lacević roześmiał się, a Roman dołączył do niego. Na koniec spojrzeli jeszcze na siebie i po chwili Jovan z dzieckiem siedzieli już w wagonie. Gdy pociąg ruszył, pomachali mu jeszcze na pożegnanie, a Roman odwzajemnił gest. Skład zniknął w tunelu, ale Gurski stał jeszcze długo na peronie. Był smutny. Coś się skończyło.

2.

W powojennej Warszawie było wiele takich miejsc. Nikt jeszcze nie upomniał się o budynek, ale stołeczni „biznesmeni” anektowali miejsce jak swoje, do czasu, gdy ich nie wyrzucono. Ponieważ w zbombardowanym budynku przed wojną mieścił się hotel Sheraton, klub nazwano krótko: „Hotel”. Olbrzymi parkiet sklecono tam, gdzie niegdyś były sale konferencyjne. Zainstalowano oświetlenie, budę dla DJ-a i teraz w świetle laserów bawiło się tysiąc osób. Okrągły bar zbudowano tam, gdzie kiedyś było główne wejście i recepcja. Za niewielką opłatą można było wejść na górę. Co prawda dawne pokoje pozbawione były mebli, a okna szyb, ale i tak pomieszczenia były idealne na szybki seks.

Seget uśmiechnął się, widząc, jak Boski obściskuje się z jakąś małolatą w kącie. Obok niego przy stole klapnął Wójcik. Chłopak był kompletnie pijany i oparł się na przedramieniu, zapadając w drzemkę. Zresztą wszyscy, cała ekipa była już dobrze zrobiona. Dzień jak co dzień. Każdego wieczoru, bez wyjątku, wychodzili na miasto i chlali. Robili tak, odkąd odeszli z armii. Sęk w tym, że nędzne odprawy, jakie dostali, starczyły im raptem na dwa tygodnie balangi. A dalej chciało się pić.

W Warszawie dużo się teraz działo. Ludzie ponownie uruchamiali swoje interesy, a co niektórzy zakładali nowe. Ale w tych trudnych czasach dużo też było pospolitego bandytyzmu i zwykłego złodziejstwa. Dlatego w dzień pracowali jako ochroniarze dla jednego z przedsiębiorców, a wieczorem ostro

impreszowali. DJ puścił nowy kawałek, a ludzie na parkiecie wrzasnęli z aprobatą. Boski zniknął gdzieś, ciągnąc dziewczynę za rękę, a Seget domyślił się, że wziął ją na górę. Po chwili przy stole usiadł Janik. Był nieocenionym towarzyszem imprez, bo zawsze umiał załatwić piguły, po których świetnie się bawili. Seget nie miał pojęcia, jak to robił, ale domyślał się, że z racji swego medycznego wykształcenia, miał jakichś znajomych w stołecznych szpitalach.

– Daj jeszcze jedną – powiedział Seget.

– Kurwa, uwielbiam ten kawałek. – Janik dał pigułkę swojemu koledze, a potem przymknął oczy, kiwając głową w rytm melodii.

Znam się na sztukach

Stewardessach, pigułkach, SMS-ach, na nutach

Klubach, na wygrzewkach

Laserach, światłach, mercedesach

To trance, nie David Guetta, mnie bas gniecie

A ja w ręce peta i gdy patrzę na swoje dłonie

Z góry wiem, że tego z tym lepiej nie mieszać.

Przy stole pojawił się Boski, trzymając dłoń na krwawiącym nosie.

– A tobie co? – Seget roześmiał się. – Panna miała chuja i strzelił ci w pysk?

– Kurwa! – Wójcik ocknął się i wyprostował na krześle. – Mój wujek miał taką akcję w Tajlandii!

– Zacząłem ją obracać na całego – tłumaczył Boski. – Nawet palca już wcisnąłem, a tu jakiś typ mnie odciąga i mi zajebał centralnie.

– Dałeś się jakiemuś frajerowi? – Janik zapodał sobie pigułkę i zapił kieliszkiem wódki.

– Ty no ich było kilku, kurwa!

– A od czego masz kłamkę!?

– Co!? Miałem mu wypalić w ryj na parkiecie?

– Spokojnie. – Seget rozlał resztę wódki do kieliszków i szturchnął Wójcika, który znowu zaczął przysypiać. – Robimy gołdę do końca

i poszukamy frajerów.

Wypili alkohol i ruszyli w tłum tańczących. Seget coraz bardziej czuł działanie narkotyku, choć teoretycznie na dobre powinien mu wejść za jakieś pół godziny. Nagle dorwanie tych gości zrobiło się dla niego niezwykle ważne. Słowa lecące z głośników jeszcze bardziej go nakręcały:

*Znowu klub i znowu parkiet
Znowu rzut w rogu w knajpie
Znowu strup, znowu but, najkiem
Znowu szarpie się o chuj z karkiem
Wschód słońca, a my z jednym fajkiem
Zsuń najpierw drżąca, zdejmij całkiem
Znowu zombie życie, jesteś slajdem
Znowu Bonnie i znowu jestem Clydem².*

Kręcili się dłuższy czas po klubie, przeglądając wypełnione łóżka i stoliki, ale nigdzie nie mogli znaleźć ludzi, którzy zaatakowali Bosaka. W końcu wyszli i ruszyli w stronę placu Trzech Krzyży. Po kilku minutach Boski wyciągnął rękę i powiedział:

– To oni! Tam są!

Seget zobaczył grupę kilkunastu osób. Sześć dziewczyn i siedmiu albo ośmiu chłopaków. Stali przed rumowiskiem dawnego kościoła Św. Aleksandra. Czekali pewnie na ubera. W powojennej Warszawie nie było jeszcze żadnej korporacji taksówkarskiej. Za to szybko uruchomiono internet, a ludzie mieli swoje smartfony, a inni samochody. Dlatego ten środek transportu szybko stał się jednym z bardziej powszechnych. Byli żołnierze przeszli przez ulicę, nie zwracając uwagi na trąbiące samochody. Seget mógł teraz lepiej przyjrzeć się towarzystwu. Chłopcy byli młodzi, ale wysportowani i ubrani w drogie ciuchy. Niewątpliwie dzieci jednych z tych, którym się teraz w Warszawie powodziło. To wzbudziło w dawnym kapralu jeszcze większą agresję. Ciekawe, co te pedały robiły, kiedy my wykrwawialiśmy się na froncie, pomyślał z wściekłością.

Jeden z chłopaków, blondyn, na oko dwudziestoletni, rozpoznał Boskiego i rzucił z drwiącym uśmiechem.

– Co jest!? Jeszcze ci mało!?

– Taki jesteś, kurwa, kozioł? – spytał Seget. – To spróbuj się z kimś w twojej wadze.

Blondyn rzucił się na Segeta, ale ten zrobił gwałtowny unik, pociągnął atakującego w bok i powalił na ziemię. Seget szybkim i zręcznym gestem sięgnął do kieszeni, nałożył kastet i huknął dwa razy w szczękę chłopaka. Trzask łamanych kości był bardzo donośny.

Koledzy ofiary rzucili mu się na pomoc, ale byli żołnierze wyciągnęli pistolety i oddali trzy strzały w powietrze. Kumple rannego unieśli ręce i odsunęli się trochę.

– Policja! – krzyknęła jedna z dziewczyn.

Żołnierze tylko uśmiechnęli się pod nosem. Wiele osób wyjechało z Warszawy już podczas rosyjskiej ofensywy. Kolejni uciekli za czasów okupacji, a część emigrowała, gdy znowu o miasto zaczęto toczyć walki. Nie było drugiej tak deficytowej służby jak policja. Już przed wojną zarobki do najwyższych nie należały i nikt nie garnał się do pracy w szeregach granatowych mundurów. Wielu policjantów wcielono siłą do armii i część z nich po prostu nie przeżyła. Byli żołnierze wiedzieli, że są praktycznie bezkarni.

– A teraz zrobisz lachę swojemu kumpłowi – powiedział rozbawiony Seget. – Wybieraj któremu.

Leżący chłopak wyjęczał coś, ale nie można było zrozumieć sensu słów, bo miał pogruchotaną szczękę.

– Wybieraj!

Seget wyciągnął swój pistolet i przystawił do skroni leżącego, a tamten rozplakał się bezradnie.

– Zostawcie nas! Wy jesteście, kurwa, pojebani! – wydarła się jedna z dziewczyn. – Powinni was pozamykać albo zutylizować!

– Ryj, suko! – Wójcik ledwo trzymał się na nogach. – Walczyliśmy o twoją wolność!

– Wolność!?! Kurwa, rozejrzyj się! To miasto jest w gruzach, a wy napadacie niewinnych ludzi!

– Niewinnych!?! A kto rozwalił nos mojemu kumplowi!?

– Próbował mi wsadzić ręce do majtek! Posrało was!?

– Jakoś wcześniej byłeś chętna! – Boski zaczął się bronić.

Daniel Seget zmarszczył brwi i schował broń. Zlustrował dziewczynę wzrokiem, po czym powiedział do kolegi:

– Kurwa, Boski. Przecież to nie ta.

– Co?

– To nie jest dupa, którą obracałeś wcześniej na parkiecie!

Stropiony żołnierz nie wiedział, co powiedzieć. Jedna z dziewczyn podeszła do leżącego blondyna, usiadła i położyła sobie jego głowę na udach. Spojrzała na krew wypływającą rannemu z ust i powiedziała do koleżanki:

– Zadzwoń do mojego ojca. Musimy go zawieźć do szpitala.

Chyba najprzystojniejszy z nich wszystkich Janik podszedł do Segeta i wyszeptał mu do ucha:

– Spierdalajmy stąd.

W odpowiedzi Seget skinął głową i po kilku minutach siedzieli już w uberze. Po kwadransie wysiedli przed nowoczesnym budynkiem na Bielanych. Ta część Warszawy została uszkodzona w bardzo niewielkim stopniu, dlatego mieszkania na sprzedaż oraz wynajem były bardzo drogie. Przedsiębiorca płacił im jednak bardzo dobrze, dlatego stać ich było na trzypokojowe mieszkanie w tej części miasta.

Normalnie poszliby już spać, bo w robocie musieli stawiać się o szóstej rano, ale jutro mieli wolne. Dlatego zanim weszli na górę, kupili jeszcze kilka flaszek w nocnym sklepie. Takich punktów było chyba więcej niż przed wojną, mimo że Warszawa liczyła pół miliona mieszkańców mniej. Stolica była nimi dosłownie zalana. Alkohol dowolnego rodzaju można było kupić praktycznie na każdym rogu.

W mieszkaniu pili dalej, docierając do standardowego punktu popijawy. Tego, w którym znowu mówili do siebie stopniami i rozpamiętywali wszystkie akcje oraz bitwy, w których brali udział. Pochmurnieli coraz bardziej, wspominając rannych i martwych kolegów oraz trudy służby.

W końcu wszyscy zamilkli. Cisza trwała dobre pół godziny, aż w końcu przerwał ją Wójcik:

– Panowie, błagam, zamówmy jakieś kurwy.

Wszyscy ochoczo przystali na ten pomysł. Panie, które wkrótce zjawily się w mieszkaniu, porządnie wystraszyły się widokiem czterech nawalonych zakapiorów i broni leżącej na stole. Ale bez szemrania wypełniły swoje obowiązki. Nad ranem tylko Seget jako tako nadawał się do życia, więc to on rozliczył się z prostytutkami, a te opuściły lokal.

Seget popatrzył na chrapiących kolegów i wyszedł na balkon, zapalając papierosa. Zaciągał się łapczywie dymem, obserwując słońce wstające gdzieś tam, nad Żeraniem. Myślał o czekającej ich przyszłości. Jak długo tak pociągną? Przedsiębiorca wynajmujący ich do ochrony zaczął ostatnio jęczeć, że każdego dnia czuć od nich alkohol. Gdy znajdzie kogoś na ich miejsce, w końcu im podziękuje. Co wtedy zrobią? Jakoś nie mogli się ze sobą rozstać. Łączyły ich wspomnienia przeżytych koszmarów. Czterech gości z bronią, potrafiący mordować i zabijać. Nie bali się tego, że ktoś może do nich strzelać. W ogóle chyba niczego się nie bali. Seget szybko uświadomił sobie fałszywość tego stwierdzenia. Skoro się nie boją, to po co chleją codziennie na umór? A jeśli się boją, to czego?

– Wypierdolą nas z tej roboty, jak tak dalej pójdzie. – Kompletnie nagi Janik stanął obok na balkonie i również zapalił papierosa.

– Znajdziemy inną. – Daniel wzruszył ramionami.

– Tak? A co my, kurwa, potrafimy? W policji nie będziemy robić, a skoro w ochronie też nie, to gdzie? Co, może banki będziemy rabować?

Seget nie odpowiedział. Myślał.

3.

Paweł Gawriłow był trochę zły na siebie, że tak łatwo zgodził się na zaproponowaną cenę. Wieśniak ostro targował się o lawetę z małą koparką. Z drugiej strony zaczął sobie tłumaczyć, że przecież tak naprawdę to żadne

pieniądze. Już niedługo będzie miał swoje wszystkie oszczędności z czasów, kiedy podczas rosyjskiej okupacji szefował KUBO w Polsce.

Zaparkował lawetę na leśnym parkingu. Do celu miał jeszcze kilkanaście kilometrów, ale było już po zmroku, więc i tak nie będzie dzisiaj kopać. Poczeka do rana. Wysiadł z samochodu i wysikał się pod drzewem. Potem na kolację zjadł kilka kanapek, kupionych wcześniej na stacji benzynowej. Wypił butelkę wody, rozłożył się wygodnie na siedzeniach w kabinie lawety i przykrył śpiworem. Potem po raz setny chyba w przeciągu ostatniego miesiąca, wyciągnął paszport z kieszeni. Granatowa okładka. Orzeł dzierżący trzymaście strzał i gałązkę oliwną z taką samą liczbą liści. Passport. United States of America. Peter Mason, urodzony piętnastego września 1979 roku w stanie Kansas. A na zdjęciu uśmiechnięty od ucha do ucha Paweł Gawriłow. To była jego zapłata za zdradę ojczyzny. Oczywiście sam by tego tak patetycznie nie ujął. Miał w dupie swoją ojczyznę i w ogóle wszystkich innych ludzi. W centrum jego zainteresowania od dawna była tylko jego własna osoba.

Co prawda Amerykanie wyjątkowo długo deliberowali nad jego żądaniem, z początku po prostu oferując pieniądze. Ale Gawriłow miał pod dostatkiem amerykańskich dolarów zakopanych w Polsce. Wykorzystał pierwsze dwa miesiące po kapitulacji, aby pozamykać wszystkie sprawy w Rosji i skutecznie pozacierać ślady. Nie miał wątpliwości, że gdyby został na wschodzie, wkrótce ktoś wyciągnąłby mu zdradę. Dlatego wolał nową tożsamość na amerykańskiej ziemi. Ciągle bił się z myślami, gdzie powinien osiaść. Nowy Jork czy może Kalifornia? W sumie oba miejsca miały swoje wady i zalety. W końcu doszedł do wniosku, że tak naprawdę będzie mógł kupić sobie coś zarówno na wschodnim, jak i zachodnim wybrzeżu. W końcu kilka kilometrów dalej, parę metrów pod ziemią, czekało na niego niemal siedem milionów dolarów. Schował paszport do kieszeni i zgasił lampkę na podsufitce. Zasnął w kilka sekund.

Następnego dnia, gdy tylko się obudził, przemył twarz wodą i odpalił silnik. Zdecydował, że porządnie umyje się w jakimś pokoju hotelowym, który wynajmie po tym, jak będzie miał pieniądze. Korzystając z zapisanych współrzędnych GPS, na miejsce dotarł już po pół godzinie. Nawet

niespecjalnie musiał szukać. Miejsce, w którym zakopał wcześniej pieniądze różniło się trochę, między innymi świeższą i bardziej zieloną trawą. Poza tym znajdowało się nieopodal wysokiego klonu o grubym pniu.

Wcześniej zadbał o to, żeby pieniądze zakopać na głębokości ponad trzech metrów, dlatego nie chciało mu się męczyć z łopata. Zresztą koparką szybciej upora się z zadaniem i nie wzbudzi niczyich podejrzeń. Maszynę może nawet porzucić, a potem będzie poruszał się samą lawetą. Rozłożył metalowe najazdy i zjechał koparką, po czym od razu zabrał się do pracy.

Gdy dół był już głęboki, wygrzebywał metalową łyżką maszyny jak najmniej ziemi. Pieniądze były w solidnej, metalowej skrzyni, ale i tak nie chciał jej uszkodzić. Za duże ryzyko. Wyciągnął z samochodu łopatę i wskoczył do dołu. Kopał ręcznie przeszło pół godziny, aż w końcu postanowił zrobić sobie przerwę i oparł się o trzonek łopaty. Zadarł głowę do góry i zdębiał. Wylot otworu był wysoko nad jego głową. Na oko dobre cztery metry. Miał duże problemy z wyjściem na zewnątrz. W tym celu musiał podkopać jedną z bocznych ścian, która omal go nie przysypała.

Na powierzchni rozejrzył się i jeszcze raz sprawdził współrzędne. Zgadzały się co do joty. Oczywiście granica błędu mogła wynosić jakieś dwa lub trzy metry, ale przecież pamiętał też ten rozłożysty klon, swoistego rodzaju znak rozpoznawczy. Przecież te pieniądze muszą tu gdzieś być, pomyślał, zasiadł z powrotem w koparce i zabrał się do pracy.

Gdy w końcu uznał, że to nie ma sensu, słońce powoli chowało się już za horyzontem, Okolica wyglądała tak, jakby ktoś kopał fundamenty pod centrum handlowe. Wykopane doły, po części przysypane z nowo powstałych dziur, tworzyły kłębowisko pagórków i dolin, niczym powierzchnię jakiegoś piaskowego księżyca. Gawriłow usiadł na jednej z przyzm i zapalił papierosa. Był kompletnie załamany. Ostatnie oszczędności wydał na lawetę z koparką. Czy jeśli odsprzeda teraz sprzęt, to za odzyskane pieniądze kupi bilet do Stanów? Być może. Ale co dalej? Czy gdzieś popełnił błąd? Czy ktoś mógł wykopać pieniądze? Ale jakim cudem? Przecież tylko on znał lokalizację skrzyni! To znaczy tylko on i Kozłow, ale przecież jego wierny druh zginął pod Żytomierzem.

Przed oczami Gawriłowa stanęła mogiła z tabliczką, na której wyryto imię i nazwisko jego *praporszczyka*. Widok jego zwłok, mundur z naszywką i głowa, potwornie zmasakrowana przez czołgową gąsienicę. Głowa potwornie zmasakrowana. Zmasakrowana głowa. Głowa. Brak twarzy. Myśl ta wstrząsnęła Gawriłowem do głębi. W końcu wybuchnął śmiechem i długo nie przestawał. Gdy się uspokoił, wyszeptał do siebie:

– Kozłow, ty skurwysynu.

4.

Błyskawica przecięła granatowe niebo. Zatrzymał swojego lincolna na jednej z alejek i wyłączył silnik. W tym samym momencie ściana wody spadła na okolicę. Deszcz zalewał przednią szybę i bębnił bezlitośnie o dach samochodu. To go jednak nie powstrzymało.

Steven Parker wysiadł na zewnątrz. Nie miał płaszcza ani kurtki, więc zaledwie po kilku sekundach był kompletnie przemoknięty. Otworzył bagażnik, wyciągnął składane krzesło i ruszył przez zalany wodą trawnik Highland Cemetery. Odszukał bez problemu nagrobek z napisem: „David Parker. Beloved son. 1990–2018”. Rozłożył krzesło i usiadł na wprost białego kamienia ozdobionego czarnymi literami. Niebo znowu zabłysło, a grzmot huknął gdzieś całkiem blisko. Ulewa wzmogła się jeszcze bardziej, a okolica pociemniała tak, że nawet z tych dwóch metrów Steven Parker ledwo co widział kontury nagrobka jego syna.

– Synu, co tam u ciebie słychać?

Przychodził tu codziennie równo o dwunastej, od pierwszego dnia po pogrzebie. Zaczął rozmawiać z Davidem już podczas pierwszej wizyty i po prostu mu tego brakowało. Brakowało mu syna. Jego jedyne, ukochanego syna. Żona Stevena początkowo tolerowała te wizyty, ale w końcu nie wytrzymała. Pragnęła zapomnieć, a Steven wręcz przeciwnie, chciał pamiętać. Deborah odeszła od niego miesiąc temu.

– U mnie tak sobie. Bardzo za tobą tęsknię. No ale to przecież wiesz. – Steven westchnął ciężko. – Twoja siostra, Susan, ma do mnie pretensje.

Uważa, że zostawiłem twoją mamę. Ale to nie tak, synu. Nigdy bym jej nie zostawił. Tylko...

Parker senior umilkł na chwilę, bo potężny grzmot zagłuszył jego słowa. Gdy hałas minął, deszcz trochę zelżał a horyzont na południu pojaśniał, dając nadzieję na roz pogodzenie.

– Tylko ja nie chcę zapominać. Mówią mi, że powinieneś być w moim sercu. Może i tak. Tylko od chwili, gdy już cię nie ma, ja. Ja nie jestem pewien, czy mam jeszcze serce. Czy coś czuję.

Krople nie lały się już gwałtownym strumieniem, szumiały teraz o drzewa posadzone wzdłuż asfaltowej alejki.

– Przepraszam cię. Wiem, że te moje wizyty powinny być dla ciebie weselsze. Muszę wziąć się w garść. Mam nadzieję, że tam wysoko wszystko w niebie w porządku. I że nie gniewasz się na swojego staruszka. Pamiętaj jeszcze o jednym, synu. Zawsze cię kochałem, Kocham i będę kochać.

Deszcz przestał padać. Steven wstał, uklęknął przed nagrobkiem i ucałował z nabożną czcią kamień. Potem złożył krzesło i ruszył w kierunku samochodu. Człapał po trawie, a z jego eleganckich pantofli wypływała woda. Był tak mokry, jakby dopiero co wyszedł z jeziora. Schował krzesło do bagażnika i po chwili wyjechał z terenu cmentarza.

Po kilku minutach przejechał mostem nad rzeką Missouri, mijając w Black Eagle sklep z maszynami rolniczymi, który kiedyś należał do niego. Sprzedał go za całkiem dobrą sumkę, którą następnie podzielił na trzy części. Jedną z nich dostała Deborah, a drugą Susan. Jedną trzecią zostawił sobie, ale dzień wcześniej sporządził testament u swojego prawnika. Gdyby kiedyś coś mu się stało, pieniądze miały zostać podzielone między kobiety. On tak naprawdę nie potrzebował już forsy. Przynajmniej tak mu się wydawało.

Ruszył drogą stanową numer 87 na północ i po kilkunastu minutach skręcił w prawo przy strzelnicy. Po kwadransie zatrzymał się nad brzegiem malowniczej Missouri. Stan Montana cechowały raczej monotonne, równinne krajobrazy. Dlatego to miejsce było miłą odmianą. Widok na Ryan Dam, wysoką na dwadzieścia metrów tamę i sztucznie utworzony wodospad zawsze cieszył oko.

To tutaj po raz pierwszy pocałował się z Deborah. Parker senior uśmiechnął się na to wspomnienie. Ojciec Stevena pożyczył mu wtedy forda thunderbirda z 1987 roku. Matka zawsze suszyła mu o to głowę, bo uważała, że bezsensiem było posiadanie trzydrzwiowego samochodu przy pięcioosobowej rodzinie. Jednak ojciec uważał, że na wożenie rodziny wystarczał buick lesabre matki, a on po prostu zakochał się w kształtach thunderbirda, które wtedy uchodziły za awangardowe.

Dave został poczęty na pluszowych siedzeniach forda. Dlatego gdy chłopiec skończył roczek, przywieźli malca właśnie tutaj. Siedzieli na masce samochodu razem z rocznym szkrabem i gapili się na wodospad. Boże, ależ byli wtedy szczęśliwi. Steven przypomniał sobie, jaki był dumny ze swojego syna. Trochę też z siebie, że w końcu założył rodzinę i mógł poczuć się, co było może złudne, jak prawdziwy mężczyzna. Przypomniał sobie, jak mały Dave miał dwa latka, a Steven reperował napęd bramy garażowej. Mały przeszkadzał mu wtedy i Steven odgonił go, ochrzaniając, że tylko przeszkadza. Potem usłyszał, jak syn chodzi po ulicy i swoimi łamanymi słowami dwulatka opowiada z dumą, że jego tata naprawia. Zrobiło mu się bardzo głupio i nigdy więcej nie podniósł głosu na syna.

Tak o niego dbał. Pomagał Deborah zmieniać pieluchy. Patrzył na jego pierwsze kroki, wspierał w szkole podstawowej, a potem w liceum. Cieszył się każdym sukcesem syna i szczerze martwił jego porażkami. A teraz? Dave leżał w ziemi Highland Cemetery, raniony kulą tysiące mil od domu. W zamian za syna dali mu złożoną w trójkąt flagę. Był tak wściekły, że początkowo chciał podtrzeć sobie nią dupę, a film z tego wydarzenia umieścić w sieci. Potem chciał jechać na Kapitol i rozstrzelać jakiegoś Bogu ducha winnego kongresmena, żeby zrobiło się o tym głośno. Żeby ktoś poczuł jego ból.

Ale nie mógł tego zrobić. To po prostu nie było w jego stylu, ranić innych ludzi. Dlatego tak bardzo dziwił się decyzji syna o wstąpieniu do armii. Nie rozumiał go, ale mimo wszystko wspierał. Bo go kochał. Całe życie brzydził się przemocą i bronią. Nawet teraz, gdy ze schowka na rękawiczki wyciągnął kupionego przed dwoma dniami glocka, skrzywił się z niesmakiem. Pomyślał

po raz kolejny o synu i poczuł, jak ciepłe łzy spływają mu po policzkach. Odbezpieczył pistolet i włożył go do ust. Poczuł ulgę, naciskając spust.

5.

Młotek uderzał o dłuto, a kolejne klepki odrywały się z trzaskiem od betonowej wylewki. W końcu za którymś razem walnął się w palec i syknął z bólu. Postanowił trochę odpocząć. Oparł się o kuchenne szafki i otarł pot z czoła. Wiedział, że choć wypisano go ze szpitala dwa miesiące temu, jeszcze dużo brakowało mu do dawnej formy. Zerknął na zegarek i uznał, że na dzisiaj starczy. Musiał przecież jeszcze jechać na wieczorne czytanie.

Wstał i nalał wody do miski oraz nasypał karmy. Tyson zjawił się po chwili, merdając ogonem.

– Ja będę zaraz jechał, ale ty zostań i pilnuj domu, dobra? Będziesz grzecznym pieskiem?

Pitbull zakręcił się w kółko i szczeknął raz, obwąchując dłoń swojego pana, a potem zabrał się za jedzenie. Maciej Nawrot obrzucił krytycznym okiem podłogę. Długo nie mógł się zabrać do tego remontu, bo po prostu nie miał sił i musiał dojść do siebie. Stracił dużo krwi, ale szczęściem w nieszczęściu nie doszło do obrażeń wewnętrznych.

Jednak plama krwi z jego głowy zeszła bez problemu z płytek, którymi wyłożono część salonu. Za to ta Danuty wsiąkła na dobre w parkiet i za nic nie mógł jej zetrzeć. Postanowił usunąć klepki i na ich miejsce położyć panele. Pożegnał się z psem, głaszcząc go pieszczotliwie, i wyszedł na zewnątrz.

Wyprowadził tundrę z garażu i wyjechał za posesję. Potem wysiadł z pikapa i zamknął garaż oraz bramę wjazdową. Niecałą godzinę później zaparkował przed szpitalem wojewódzkim w Jastrzębiu-Zdroju. Wjechał windą na trzecie piętro, a jedna z pielęgniarek siedząca na dyżurce, uśmiechnęła się do niego. Znała go doskonale, w końcu zjawiał się tu każdego dnia wieczorem.

– Cześć Iza – powiedział neurochirurg.

- Hej Maciek.
- Jak sytuacja na froncie?
- Naszym, ogólnym? Czy twoim?
- I tu, i tu. – Nawrot roześmiał się.

– Generalnie na naszym jest coraz lepiej. Zatrudniliśmy dwóch nowych lekarzy, a rzeszę ludzi z ranami jeszcze z czasów wojny udało nam się wypisać. U ciebie niestety bez zmian.

Lekarz tylko skinął głową i ruszył korytarzem. Wszedł do sali po prawej i usiadł na krześle pomiędzy łóżkiem a oknem. Spojrzał na tkwiące w wazonie tulipany, które przyniósł kilka dni temu. Kwiaty wyraźnie zaczęły więdnąć i zanotował sobie w myślach, że jutro będzie musiał przywieźć świeże.

Wyciągnął okulary z futerału i zaczął czytać. Znany był pogląd, że nawet osoby będące w głębokiej śpiączce należy odwiedzać i z nimi rozmawiać. Tak też z początku robił, informując co tam u niego, próbując prowadzić jakiś dziwny, monologowy *small-talk*. Jednak z czasem zaczęło go to irytować i postanowił po prostu czytać. Teraz wyciągnął z torby *Dzieci Arbatu* Anatolija Rybakowa. Doskonałą, jego skromnym zdaniem, epicką powieść dziejącą się w Związku Radzieckim podczas jednego z najokrutniejszych okresów w dziejach tego państwa, czyli latach trzydziestych. Zawsze uważał, że to powieść nieco zapomniana, a przecież złożona z świetnie nakreślonych psychologicznie postaci i niepozabawiona akcji. Czytał ją niemal trzydzieści lat temu i był ciekawy, jak ją oceni, gdy wróci do lektury po latach. Szybko uznał, że historia nic się nie zestarzała i ciągle jest tak samo wciągająca.

Gdy godzinę później skończył czytać, schował książkę i zdjął okulary. Popatrzył na poznaczoną bliznami twarz. Wiedział, że ciało pod kołdrą wygląda jeszcze gorzej. Bolało go to, że te rany są czynem jego ukochanego psa. Ale to przecież nie była wina zwierzęcia. Ciszę panującą w sali zagłuszał tylko lekki syk maszyny oddychającej za nią. Jej twarz była zapadnięta i blada. Wyglądała tak źle, jak tylko może wyglądać osoba leżąca ponad cztery miesiące w śpiączce. Mimo to dla niego ciągle była piękna. Wstał i ucałował delikatnie w czoło Danutę Wojnarowicz. Potem powiedział:

– Do zobaczenia jutro. Kocham cię.

6.

Był zanurzony w pólśnie. Słyszał szelest palmowych liści poruszanych wiatrem i szum fal Morza Karaibskiego. Przyjemny, spokojny sen, spowodowany upojeniem alkoholowym, powoli się kończył. Coś skubnęło go delikatnie w duży palec u stopy. Przewrócił się na bok i podkurczył nogi, przesuwając się trochę bardziej w kierunku cienia rzucanego przez palmę. Ale nie otwierał jeszcze oczu. Chciał przedłużyć trochę ten stan, nie myśleć o niczym.

Gdy jednak znowu coś skubnęło go w stopę, uniósł się i spojrzał w dół, po czym w pierwszym odruchu cofnął nogę z przestraczem, a potem się roześmiał. Żółw miał dobre pół metra średnicy. Wyciągnął szyję ze swojej kryjówki, mrużąc oczy. Jakby zastanawiał się, z czego ten człowiek może się śmiać.

Zenon Marczak usiadł na piasku i poczuł lekki ból głowy i suchość w ustach, cierpki przedsmak nadchodzącego kaca. Sięgnął po butelkę rumu. Wcześniej nie za bardzo lubił ten trunek, wolał whisky, ale tutaj rum był tak tani, że grzechem byłoby pić cokolwiek innego. Zgarnął ręcznik, włożył podkoszulek i ruszył pomiędzy palmami na niewielki parking.

Wsiadł do pomarańczowego malucha, łyknął jeszcze trochę rumu z butelki i odpalił silnik, ciągnąc za wajchę między siedzeniami. Z początku Amerykanie w więzieniu Guantanamo traktowali go jak terrorystę, potem ktoś chyba szepnął słowo i przenieśli go do lepszej części. Wypuścili dwa tygodnie po kapitulacji. Zenon nie miał polskiego paszportu, nie był też obywatelem Kuby. Załatwili mu jakieś kwity, że może mieszkać na wyspie i wypłacali tysiąc dolarów miesięcznie. Dali też lokum i tego jaskrawego fiata. Generalnie połowa samochodów na Kubie wyglądała niczym muzeum motoryzacji. Stare, amerykańskie oldtimery, wołgi, łady i dość dużo małych fiatów, nazywanych tu pieszczotliwie *el polaquito*, czyli „polaczek” po

hiszpańsku. Być może dlatego tuzy intelektu z amerykańskiej armii uznały, że dla Polaka będzie to najodpowiedniejszy środek transportu.

Zenon nie narzekał, maluch był w całkiem dobrym stanie. Ruszył samochodem i odpalił zdezelowane radio. Spiker zapowiedział po hiszpańsku piosenkę, a Marczak z miejsca pogłośnił. Popijał rum i śpiewał razem z Kim Wilde o tym, żeby jakiś babe w końcu ją uwolnił, zniknął z jej życia, bo przecież tak naprawdę jej nie kocha. No i niech przestanie bawić się jej sercem! Z każdym kolejnym łykiem rumu i wyśpiewanym wersem nie było mowy o jakimś kacu. Wręcz przeciwnie: Zenon czuł się coraz lepiej.

Po kwadransie zatrzymał się na podwórku swojego domu nieopodal El Verraco. Wysiadł i wyrzucił pustą butelkę w krzaki. Dom był wiekowy tak samo jak maluch, składał się raptem z dwóch pokoi, obszczonego kibla i zaświnionej kuchni. Ale miał niewielki taras. Zenon stanął tam na chwilę i oparł się o barierkę. Wspaniały, fantastyczny widok. Kolor Morza Karaibskiego trudno było nawet określić, zwłaszcza teraz, w pełnym słońcu. Błękit? Nie, to zbyt banalne, zarezerwowane dla nieba. Turkus, lazur, cyjan, a może akwamaryna? Zajebisty. Tak, Zenon uznał, że obmywające brzeg wody są właśnie tego koloru.

– Dzień dobry, znajdzie pan chwilę, żeby porozmawiać? – Marczak odwrócił się gwałtownie, słysząc pytanie zadane po angielsku. – Pamięta mnie pan?

Na tarasie jego domu stał wysoki, wysportowany mężczyzna w generalskim mundurze. Zenon długo szukał w pamięci. W końcu udało mu się dopasować twarz. To był przydupas amerykańskiego generała, zaczął się zastanawiać Zenon. Jak ten cieć się nazywał?

– Generał Rogers. Może mnie pan pamiętać jako pułkownika.

– Pamiętam – mruknął Marczak. – Ten skurwiel, pański szef, wysłał mnie do więzienia Guantanamo.

– Nie bądźmy małostkowi. Może przejdziemy do salonu? Odetchniemy trochę od tego słońca.

Salonem był pokój z zapleśniałą kanapą, poprutym fotelem, stołem i jednym krzesłem. Na tym ostatnim meblu siedział łysy mężczyzna w eleganckim garniturze i okularach na nosie.

– Pan pozwoli, to mój bliski kolega, dyrektor Charles Peterson. Z CIA.

– *Hello Mister Zenon, pleased to meet you* – wymówił jego imię jak „ziinon”.

– Szpieg i żołnierz. To ci dopiero towarzystwo. Napijcie się panowie trochę rumu?

Zenon otworzył jedną z szafek, w środku znajdowało się ponad dwadzieścia butelek trunku. Wyciągnął jedną z nich, ale generał Rogers zgrabnym gestem zabrał mu butelkę z dłoni i posłał daleko za okno. Usłyszeli, jak szkło rozbija się o przybrzeżne skały.

– Wolelibyśmy, aby podczas tej rozmowy zachował pan tak trzeźwy umysł, jak to tylko możliwe.

– W porządku. – Zenon rozsiadł się na kanapie i zatoczył ręką po pomieszczeniu. – Jak panom się podoba moje lokum?

– Skromne, ale przytulne. – Dyrektor CIA skłonił głowę z szacunkiem.

– No i fantastyczny widok – wtrącił generał. – W Miami ludzie płacą za taki majątek.

– Jeśli można, chciałem serdecznie podziękować za odesłanie mnie osiem tysięcy kilometrów od kraju, ten domek, no i oczywiście wspinały samochód.

– Naprawdę nie ma problemu – odparł dość cierpko Peterson. – Pojazd to w końcu polska myśl techniczna. Pomyśleliśmy, że będzie pan zadowolony.

– Nie zapominajmy o pensji – powiedział Rogers. – Tysiąc dolców w kraju, w którym średnia pensja to dwadzieścia pięć, to chyba całkiem hojnie, co?

– Ależ oczywiście! A teraz, skoro już ustaliliśmy, że jesteście filantropami tak szczodrymi jak John Rockefeller i Andrew Carnegie, co dalej? W kwestii robienia lachy prosiłbym, abyśmy przeszli na plażę. Od tej twardej podłogi bolą mnie kolana.

– Znakomite poczucie humoru. – Mina dyrektora CIA dobitnie świadczyła o tym, że wcale tak nie uważa. – Prześwietliliśmy pańskie akta. Ma pan odpowiedni życiorys. Bohater wojenny, wcześniej wieloletnia praca w policji.

– Rany odniesione w walce – podjął generał, dotykając swojego policzka.
– Nienaganny przebieg służby. Idealnie.

Zenon przez krótką chwilę zastanawiał się, o czym tych dwóch pajaców pierdoliło. W końcu zorientował się, że cytują mu życiorys wymyślony swego czasu przez Gawriłowa. KUBO odwaliło tak świetną robotę, że dokumenty te ciągle musiały krążyć, a ci frajerzy uznali je za prawdziwe. Marczak westchnął i spytał:

– Idealnie... do czego?

– Wie pan, w Polsce tworzy się nowa... – Charles Peterson długo szukał odpowiedniego słowa. – Historia. Oczywiście my się stamtąd wycofaliśmy, ale chcielibyśmy, jak to mówią, trzymać rękę na pulsie.

– Powstają nowe partie polityczne – dodał generał Rogers. – Tę najsilniejszą już mamy obstawioną, ale potrzebujemy jeszcze kogoś, tak na wszelki wypadek.

– Za kilka miesięcy w Polsce odbędą się wybory prezydenckie. Co by pan powiedział, gdybyśmy zaproponowali panu wystartowanie w tym wyścigu? Oczywiście zajmiemy się pomocą, kampanią... Nasi ludzie mają w tym doświadczenie.

Zenon kompletnie zbaraniał. I na swoje nieszczęście z miejsca wytrzeźwiał. Patrzył na gości, chcąc z ich twarzy wyczytać, że to tylko żart. Ale nic takiego tam nie dostrzegł. Zresztą wątpił w to, aby dyrektor CIA i generał amerykańskiej armii tłukli się do rudery na Kubie, żeby robić sobie jaja. Był bezpieczeństwańcem, nie miał żadnych praw. Mimo wszystko żył na rajskiej wyspie, gdzie codziennie mógł brać prostytutkę za pięć dolarów, chlać i jeść do woli, a i tak na koniec miesiąca zostawałoby mu dobre pięćset zielonych. Dodatkowo mógł się byczyć na plaży pod błękitnym niebem i kąpać w morzu koloru zajebistego. Ciągle był jednak więźniem.

– *Set me free why don't cha babe* – zaśpiewał Zenon, imitując głos Kim Wilde. – *Set me free why don't cha babe. Ooh, ooh, ooh, ooh.*

Peterson i Rogers wymienili się spojrzeniami, jakby zastanawiali się, czy podjęli dobrą decyzję. Zenon postanowił wybawić ich z kłopotu, przerywając te rozważania. Dlatego powiedział:

– Zgoda.

7.

Wysiadła z autobusu razem z innymi, aby rozprostować kości. Od razy założyła okulary przeciwsłoneczne, które ukradła na parkingu w Chicago. Na błękitnym niebie nie było ani jednej chmury. Upał ścisnął gorącym chwytem całą okolicę. Przystanek autobusowy Greyhound położony był przy szerokiej ulicy obsadzonej palmami, naprzeciwko potężnego, białego budynku z fasadą wspartą na kolumnach. Natalia przeczytała napis wyryty na frontonie gmachu: „Fourth District Court of Appeal”. To był ostatni przystanek na jej trasie. Do celu pozostało jej niewiele ponad pół godziny.

Przeszła do miejsca dla palących i poprosiła o papierosa potężnego Amerykanina z siwym wąsem. Ten zgodził się i po chwili dziewczyna zaciągnęła się dymem. Była trochę rozbita, bo obudziła się dosłownie kilka minut przed postojem. Znowu śniła jej się tamta noc.

Ocknęła się wtedy po wypadku, a jej twarz była mokra od deszczu. Woda wlewała się do środka przez rozbitą szybę. Barry wisiał bezwładnie w pasach, a Smutny miał głowę przekreśloną pod dziwnym kątem. Nie żył. Natalia próbowała ocucić pilota, ale bezskutecznie. Gdy deszcz trochę zelżał, a horyzont na wschodzie zaczął jaśnieć, usłyszała krząjący helikopter. Z początku ucieszyła się, ale potem przypomniała sobie o ładunku, jaki przewoził samolot. Początkowo myślała o tym, aby wyrzucić heroinę do morza, ale dystans pomiędzy samolotem a brzegiem był za duży. W końcu udało jej się schować narkotyki w zagłębieniu potężnych gładów. A potem wsiadła do samolotu i udawała nieprzytomną. W samą porę, bo po chwili zjawily się amerykańskie służby ratunkowe.

Barry Loggins zmarł tydzień później w szpitalu Anchorage. Dla dziewczyny cała historia skończyła się ulgowo, raptem złamanym przedramieniem. Początkowo Natalia myślała, aby opowiedzieć całą historię i liczyć na to, że pozwolą jej wrócić do domu. Ale potem przypomniała sobie, jak potraktowała matkę i to, jak zła jest na cały świat. Na to, jak okrutnie potraktował ją los. Do czego miała wracać? Była przekonana o tym,

że ojciec z Jurkiem dawno już nie żyją. A matka? Nie mogłaby znowu spojrzeć jej w oczy.

Dlatego zaparła się, milczała. Przysyłano do niej wielu tłumaczy, władających różnymi językami. Pobierano odciski palców. Proszono, straszono. Byli u niej kolejno miejscowy szeryf, prokurator okręgowy, a potem jakiś facet w garniturze z FBI. Natalia pokornie przyjmowała leczenie i posiłki, ale milczała jak grób. Nie miała przy sobie absolutnie nic, co mogłoby zdradzić jej pochodzenie. Początkowo jej szpitalnego pokoju zawsze pilnował jakiś policjant w granatowym mundurze. Ale po trzech tygodniach dano sobie spokój. Wtedy zaczęła planować ucieczkę.

Kradła bardzo ostrożnie. Każdego dnia, ale niewielkie kwoty. Ledwie kilka dolarów, najwyższym nominałem, jaki zwędziła, była dziesiątka. Robiła to po to, aby nikt nie zorientował się w tym, że cokolwiek mu ubyło z portfela. Pewnego dnia do jej pokoju położono dziewczynę, niewiele starszą od Natalii, która przedawkowała narkotyki. Ją też Natalia próbowała okraść, ale okazało się, że narkomanka jest bez grosza przy duszy. Personel traktował ją ostro i bez litości. Jakby mieli do niej pretensję, że muszą zajmować się heroinistką. Natalii zrobiło się jej żal. Pewnej nocy zaczęły rozmawiać. To był pierwszy raz na Alasce, kiedy Natalia wypowiedziała jakieś słowo. Nie odzywała się do nikogo przez niemal dwa miesiące i zrozumiała, jak bardzo jej tego brakowało. Być może właśnie to spowodowało, że wyznała całą prawdę Janice. Narkomanka również podzieliła się z nią swoimi przeżyciami.

Zaprzyjaźniły się tak bardzo, że gdy Amerykankę w końcu wypisano ze szpitala, Natalia przepłakała dwie noce. Na pożegnanie wręczyła koleżance ukradzione dwieście dolarów, za co tamta podziękowała jej i dała swój adres w mieście nieopodal Anchorage. Natalia cały czas ciułała pieniądze. A to zwędziła komuś resztę na stołówce, a to okradła pacjenta, a kiedy indziej jedną czy drugą pielęgniarkę. Miała dużo czasu. Dyrekcja szpitala musiała podejmować jakieś działania, chcąc pozbyć się pacjentki, ale widocznie nie na wiele się to zdawało. Nikt do końca nie wiedział, co można by zrobić z Natalią.

Dlatego dziewczyna uznała, że mogli poczuć nawet ulgę, gdy na początku sierpnia uciekła z placówki. Dysponowała już ponad ośmiuset dolarami i uznała, że to w zupełności wystarczy. Złapała stopa i odnalazła Janice. Dziewczyna mieszkała w obskurnej przyczepie nieopodal drogi międzystanowej. Natalia powiedziała, że musi dotrzeć na Florydę. Amerykanka odradziła jej drogę lądową. Powiedziała, że musiałyby dwa razy przekroczyć granicę z Kanadą, a tam zawsze dość skrupulatnie sprawdzają dokumenty i przy okazji będą ją zagadywać. Z miejsca zorientują się po jej akcencie.

Janice stwierdziła, że lepiej skorzystać z połączenia lotniczego między Anchorage a Seattle. Taki lot jest traktowany jako krajowy i wystarczy mieć amerykańskie prawo jazdy. Nikt nie zadaje zbędnych pytań, a bilet można było kupić już za sto dwadzieścia dolarów. Problemem był sam dokument. Janice miała wielu szemranych znajomych, ale takie prawo jazdy, gdyby miało spełniać swoją rolę, kosztowało ponad tysiąc dolarów. Dlatego dziewczyny wpadły na inny pomysł. Natalia ufarbowała włosy na czarno i skorzystała z prawa jazdy Janice. Może nie był do siebie bardzo podobne, ale gdy Natalia zmieniła kolor włosów, było o wiele lepiej. Amerykanka obiecała jej, że wymieni dokument dopiero za miesiąc.

Udało się. Nikt nie zadawał Natalii jakichkolwiek pytań, a strażnicy na lotnisku ledwie patrzyli na jej prawo jazdy. Skupiano się na drobiazgowej kontroli bezpieczeństwa i wykrywaczach metali. Z Seattle Natalia zaczęła podróżować stopem, miała dosyć stresu związanego z lotem i tym, czy ktoś ją złapie, czy nie. Każdemu kolejnemu kierowcy ciężarówki wciskała inną historię. Z Chicago postanowiła podróżować dalej autobusem. Najpierw do Atlanty, a stamtąd do Orlando. Zostało jej raptem pięćdziesiąt dolarów, z czego trzydzieści musiała wydać na ostatni odcinek podróży. Bus z Orlando do Delray Beach.

Długo krążyła po ulicach, aby odnaleźć wymienione przez smutnego Miramar Drive. W końcu stanęła przed domem z numerem 2876. Budynek nie wyglądał, jakby miał należeć do jakiegoś mafiosa. Tak naprawdę był najbiedniejszy z całej okolicy. Biała farba łuszczyła się w wielu miejscach,

a dach znaczyły głębokie pęknięcia. Długo pukała, aż w końcu uchyliła sfatygowaną moskitierę i przekręciła gałkę. Drzwi były otwarte.

W środku poczuła ostrą woń moczu. W pokoju przed włączonym telewizorem siedział wiekowy starzec w wózku inwalidzkim z podłączonym aparatem tlenowym. Natalia pomyślała, że mężczyzna musi mieć ze sto lat. Gospodarz odwrócił się bardzo powoli i spojrzał na nią nieobecny wzrokiem. Musiałam się pomylić, pomyślała Natalia. To nie może być ten adres! Miała trafić do rosyjskiego gangstera, wujka Smutnego, który jej pomoże. Pomyślała, że może ten starszy człowiek będzie wiedział coś o wujku Smutnego.

– Przepraszam bardzo. Nie wie pan może, gdzie tu mieszka Adam Volkovich? – spytała po angielsku.

– To ja.

8.

Aspirant Roman Gurski sięgnął po gruszkę od radia i powiedział:

– Zero zero dla zero pięć.

– Słucham cię piątka – rozległ się trzeszczący głos oficera dyżurnego.

– Ja kończę, tylko na bazę zjadę samochodem za jakąś godzinę, tak jak ustaliliśmy, ok?

– Jasne. Bez odbioru.

Roman był wdzięczny dowódcy jego komisariatu, że przystał na tę prośbę. Pomimo hojnych darów z zachodu radiowóz ciągle był deficytowym przedmiotem w polskiej policji. Tak samo jak samochód w posiadaniu cywilnego mieszkańca Katowic. Oczywiście mógłby wynająć taksówkę, ale tych też było jak na lekarstwo, a ceny do najniższych nie należały. W przeciwieństwie do jego pensji, która kontynuując polską tradycję, była jedną z niższych. Przestań marudzić, upomniał się w duchu. Przecież właśnie tego chciałeś, prawda?

Radiowóz przeciął aleję Korfantego i wjechał między osiedlowe ulice. Większość z nich zdołano już oczyścić z gruzu, ale ciągle tu i ówdzie

zalegała hałda betonowych odłamków czy cegieł. Katowice powoli dźwigały się z upadku, ale nikt nie miał wątpliwości, że będzie to proces długi i powolny. Zaparkował pod jednym z ocalałych budynków i wysiadł z samochodu.

Po chwili w drzwiach klatki pojawiła się Basia, niosąc w rękach karton. Roman od razu podbiegł do niej i chwycił za pudło.

– Daj, pomogę ci.

Basia otworzyła bagażnik, a Roman włożył karton do środka i powiedział:

– Ja skoczę po resztę.

– Jaką resztę? – zdziwiła się. – To wszystko.

Roman spojrzał na pudło i zrobiło mu się przykro. Przed wojną dzieci miały tyle zabawek. Oczywiście nie wszystkie z nich, ale zdecydowana większość miała niezliczoną ilość przedmiotów, choćby i tych najtańszych, chińskiej produkcji. A teraz? To miał być cały majątek ośmiolatka? Znowu poczuł gniew i wściekłość, narastającą w nim gdzieś tam w środku. Złość na całą tę pieprzoną wojnę, która tak bardzo poturbowała tyle istnień ludzkich. Postarał się uspokoić jak najszybciej. Niedawno obiecał sobie, że nie będzie wpadał w tę niepotrzebną furję.

– Pójdę po Piotrusia – powiedziała Basia i zniknęła we wnętrzu budynku.

Wróciła po kilku minutach z chłopcem w foteliku i bazą. Roman odebrał od niej najpierw podstawę i zamocował w radiowozie, a następnie wcisnął w zatrzaski fotelik z dzieckiem. Uśmiechnął się do malca i pocałował go pieszczotliwie w czoło. Potem zerknął na zegarek i spytał Basię:

– Kiedy będziemy jechać?

– Daj im trochę czasu.

– Jasne.

Michał schodził po schodach, trzymając Jurka za rękę. Na pierwszym piętrze chłopiec ścisnął go mocniej za dłoń, na parterze po jego policzkach pociekły łzy, a gdy wyszli na zewnątrz, po prostu się rozplakał. Michał zaczerpnął sporo powietrza. Czuł, że za chwilę on sam rozbeczy się jak małe dziecko.

Odwrócił Jurka do siebie i klęknął przed nim na jedno kolano.

– Synek, proszę cię – powiedział, gładząc chłopca po głowie. – Przecież rozmawialiśmy o tym.

– Ja wiem, tata. Tylko mi jest strasznie smutno!

– Mnie też, synku. Mnie też. – Michał przycisnął mocno chłopca do siebie. – Ale przecież chcesz być też z mamą, prawda?

– A nie możecie znowu mieszkać razem z mamą? Tak jak kiedyś?

– Obawiam się, że to niemożliwe.

Jurek uspokoił się trochę i wytarł łzy.

– Hej, kolego. – Michał włożył gigantyczny wysiłek w to, aby uśmiechnąć się promiennie. – Przecież za tydzień znowu się zobaczymy. Popatrz, Romek już tu jest. Przecież go lubisz, prawda?

Chłopiec pociągnął nosem i spojrzał na Romana, który mrugnął do niego z uśmiechem. Michał był mu naprawdę wdzięczny za to, że przeprowadził się do Katowic. Dzięki temu mogli podzielić się z Basią opieką nad Jurkiem. Tydzień u niego, tydzień u niej. Chociaż jakby popatrzeć z drugiej strony, to chyba mimo wszystko był mu to winien. W końcu zapłodnił Basię, kiedy ciągle była żoną Michała. Roman chyba zdawał sobie sprawę z całej niezręczności, bo za każdym razem widać było, że źle się czuje w obecności Michała.

– No, przybij piątkę i zmykaj! Pamiętaj, pilnuj Piotrusia. To twój brat, musisz się nim zajmować.

– Piotruś jest ekstra!

– Cieszę się, że w tym się chociaż zgadzamy.

Jurek uścisnął się z ojcem i wsiadł do radiowozu. Roman skinął głową na pożegnanie i zajął miejsce za kierownicą. Basia podeszła i ucałowała Michała w policzek. Poczuł muśnięcie jej kręconych włosów i zapach perfum. Woń, której miał nie zapomnieć do końca życia.

– Dziękuję ci – powiedziała. – I przepraszam. Nie chciałam, żeby to wszystko...

– Daj spokój. Jedźcie już.

Basia przez chwilę wyglądała tak, jakby chciała coś powiedzieć. Ale w końcu uśmiechnęła się smutno i wsiadła do samochodu. Michał patrzył, jak

radiowóz lawiruje między hałdami gruzu i po chwili zniknął za zakrętem.

Rok. Tyle potrzebowały bezlitosne zębatki mechanizmu dziejów ludzkości, aby zmienić kompletnie jego życie i wypluć po drugiej stronie, jako innego człowieka. Ale czy aby na pewno innego? Czy też po prostu przeżycia tego intensywnego okresu sprawiły, że tak mu się tylko wydaje? Dwanaście miesięcy, a on czuł się o dobre dziesięć lat starszy. Nigdy by nie przypuszczał, że to wszystko się tak skończy. Pomyślał o Natalii. O historii, którą opowiedziała mu Basia. Że zgubiła się gdzieś z dziewczynką podczas bombardowania Moskwy. Nie wiedział dlaczego, ale kompletnie w to nie wierzył.

– Hej, wszystko w porządku?

Odwrócił się i zobaczył stojącą obok Beatę. Ręce trzymała splecione na brzuchu. To był już czwarty miesiąc i jej ciąża stawała się coraz bardziej widoczna.

– Tak, w porządku – odpowiedział. – Tylko trochę mi smutno.

– Chodźmy na górę.

Chwyliła go za rękę, a on pocałował ją czule, i oboje weszli na klatkę schodową. Idąc po stopniach w górę, Michał myślał o tym, że jedyne, co teraz może zrobić, to po prostu żyć dalej. Niby banalne, ale jakże prawdziwe. Wychować nowe dziecko, odbudować zniszczone miasto, znaleźć w końcu jakąś porządną pracę. Przecież z tymi problemami codziennie zmagają się na świecie parę miliardów ludzi. Nie miał wyjścia, musiał do nich dołączyć.

Od autora

Ludzie w podeszłym wieku, czyli ja, mają swoje powiedzonka. Na przykład: ani się człowiek nie obejrzał i dwa lata zleciały. W trakcie tych dwóch lat, ku uciesze jednych i sporym niezadowoleniu drugich, napisałem trzy tomy – jak ją nazywam – „sagi o szczelaniu”. Ale sam nigdy nie dałbym rady. Tutaj przydałoby się jakieś błyskotliwe powiedzonko w stylu: samemu to można zrobić to albo siamto. Ale nic mi nie przychodzi do głowy.

Trzeci tom nie powstałby, gdyby nie Małcia IIIarypi. Właściwie dzięki niej nauczyłem się w końcu cyrylicy i mogłem skorzystać z jej rozległej wiedzy, konsultując „wschodnie wątki” powieści. Jestem jej bardzo wdzięczny. Tak samo jak moim konsultantom od czołgów i broni, którzy krzywią się na każdą moją propozycję, tłumacząc, że artyleria to jest już samobieżna i nie trzeba jej składać. No, ale... ja chciałem taką składaną. Więc powiedzmy, że to uprawdopodobniliśmy. Za konsultację z zakresu paraliżu i kręgów wdzięczny jestem wyśmienitemu neurochirurgowi, Grzegorzowi Jóźwiakowi. Dziękuję też Kasi Berenice-Miszczuk i Rafałowi Anuszkiewiczowi.

Nie mogę pominąć ludzi, którzy jak zwykle w pocie czoła przekładali moje łamańce na w miarę czytelny i zrozumiały język polski. Duże ukłony dla Michała Koźbiela, Idy Świerkockiej i Filipa Modrzejewskiego. Oczywiście w wydawnictwie pracuje o wiele więcej osób, którzy posyłają moją książkę do druku, promują ją i sprzedają. Jestem Wam niezmiernie wdzięczny.

Nie byłbym sobą, gdybym nie podziękował mojej najbliższej rodzinie, a zwłaszcza żonie Oli i dwóm synom, Staśkowi i Witkowi. Ci dwaj ostatni doprowadzają mnie regularnie do szewskiej pasji. Ale bez ich wsparcia

byłoby naprawdę ciężko (tu redaktorzy poprawili by w tekście, że tak naprawdę to „trudno”;-) Ale ja jestem niereformowalny.

Na koniec dziękuję Tobie – czytelniku! Jeśli naprawdę udało ci się przebrnąć przez trzy tomy, to jesteś niezły kozak!

Zgorzała, 3 kwietnia 2019

Przypisy

- 1) *Wrecking Ball*; Lukasz Gottwald, Maureen Anne Mcdonald, Stephan Moccio, Sacha Skarbek, Henry Russell Walter Cirkut, MoZella, Stephan Moccio, Kiyanu Kim, Dr. Luke & Sacha Skarbek, RCA Records 2013. [↵](#)
- 2) Ground Zero, Pro8l3m, autor tekstu: Oskar Tuszyński, kompozytor: DJ Steez, 2018. [↵](#)